NOWA JOJO MOYES. „Cosmopolitan"

ZASKAKUJĄCA, RADOSNA, WSPANIAŁA!

# Współlokatorzy

BETH O'LEARY

TIFFY I LEON W JEDNYM ŁÓŻKU ZASYPIAJĄ...
...TIFFY I LEON W OGÓLE SIĘ NIE ZNAJĄ!

ALBATROS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PRAWA DO TEJ KSIĄŻKI SPRZEDANO DO PONAD 30 KRAJÓW NA ŚWIECIE.

TRWAJĄ ROZMOWY O JEJ EKRANIZACJI.

Po bolesnym rozstaniu z chłopakiem Tiffy potrzebuje mieszkania. Taniego. I szybko.

Leon potrzebuje gotówki, bo praca na nocne zmiany niespecjalnie przekłada się na grubość jego portfela. Postanawia podnająć pokój. Ale jest jeden problem…

Ich znajomi sądzą, że to zwariowany pomysł, żeby zamieszkać razem i dzielić jedno łóżko… Ale układ jest prosty. Kiedy Tiffy będzie w pracy, mieszkanie będzie należeć do Leona. Nocami i w weekendy będzie je miała dla siebie. Nigdy więc nawet się nie spotkają.

Kiedy jednak zaczynają pisać do siebie karteczki, gotować dla siebie jedzenie, doradzać

w kwestiach sercowych i poznawać swoje tajemnice, stają się sobie coraz bliżsi…

Tyle tylko, że nigdy się nie widzieli.

**To niekonwencjonalna komedia romantyczna o tym, że czasem warto wyrzucić przez okno wszystkie zasady, a miłość można znaleźć w najbardziej nieoczekiwanym momencie!**

# Współlokatorzy

BETH O'LEARY

Z angielskiego przełożył
Robert Waliś

# BETH O’LEARY

Absolwentka filologii angielskiej, zaczynająca swoją karierę w wydawnictwie publikującym książki dla dzieci. Mieszka na przedmieściach Londynu, swoją pierwszą powieść napisała w podmiejskim pociągu. Teraz jest pełnoetatową powieściopisarką, która jeśli akurat nie pisze, na pewno czyta coś porywającego, owinięta kocem, z filiżanką herbaty w ręce.

**betholearyauthor.com**

*Książki w serii **Mała Czarna***

Olivia Beirne
LISTA, KTÓRA ZMIENIŁA MOJE ŻYCIE

Beth O’Leary
WSPÓŁLOKATORZY

*Wkrótce*

Beth O’Leary
ZAMIANA

Rachel Winters
CO POWIESZ NA SPOTKANIE?

Tytuł oryginału:
THE FLATSHARE

Copyright © Beth O'Leary Ltd. 2019
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020
Polish translation copyright © Robert Waliś 2019

Redakcja: Joanna Popiołek

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Helen Crawford-White, studiohelen.co.uk

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8215-072-8

*Wydawca*
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

# Spis treści


LUTY
- 1. Tiffy
- 2. Leon
- 3. Tiffy
- 4. Leon
- 5. Tiffy
- 6. Leon
- 7. Tiffy
- 8. Leon
- 9. Tiffy
- 10. Leon
- 11. Tiffy
- 12. Leon

KWIECIEŃ
- 13. Tiffy
- 14. Leon

MAJ
- 15. Tiffy
- 16. Leon

LIPIEC

- 17. Tiffy
- 18. Leon
- 19. Tiffy
- 20. Leon
- 21. Tiffy
- 22. Leon
- 23. Tiffy

SIERPIEŃ

- 24. Leon
- 25. Tiffy
- 26. Leon
- 27. Tiffy
- 28. Leon
- 29. Tiffy
- 30. Leon
- 31. Tiffy
- 32. Leon
- 33. Tiffy

WRZESIEŃ

- 34. Leon
- 35. Tiffy
- 36. Leon
- 37. Tiffy
- 38. Leon
- 39. Tiffy
- 40. Leon

41. Tiffy
42. Leon
43. Tiffy
44. Leon
45. Tiffy
46. Leon
47. Tiffy
48. Leon
49. Tiffy
50. Leon
51. Tiffy

PAŹDZIERNIK

52. Leon
53. Tiffy
54. Leon
55. Tiffy
56. Leon
57. Tiffy
58. Leon
59. Tiffy
60. Leon
61. Tiffy
62. Leon
63. Tiffy
64. Leon
65. Tiffy
66. Leon

67. Tiffy
68. Leon
69. Tiffy
70. Leon
71. Tiffy
72. Leon
73. Tiffy
74. Leon
WRZESIEŃ
Epilog. Tiffy
Podziękowania

*Dla Sama*

# LUTY

# 1
# *Tiffy*

Trzeba przyznać, że desperacja czyni nas znacznie bardziej tolerancyjnymi.

To mieszkanie naprawdę ma zalety. Barwną pleśń na ścianie w kuchni da się usunąć, przynajmniej na jakiś czas. Brudny materac można tanio wymienić. A grzyby rosnące za sedesem sprawiają, że człowiek czuje się jak na łonie natury.

Ale Gerty i Mo nie są zdesperowani i nie próbują szukać zalet. Opisałabym ich miny jako ciężko przerażone.

– Nie możesz tutaj zamieszkać.

Tak mówi Gerty. Stoi w butach na wysokich obcasach, zestawiwszy nogi razem, z łokciami przyciśniętymi do ciała, jakby zajmując jak najmniej przestrzeni, protestowała przeciwko temu, że w ogóle musi tutaj być. Włosy ma

ściągnięte na karku w kok, który spięła szpilkami, dzięki czemu może bez trudu włożyć adwokacką perukę, którą nosi w sądzie. Jej wyraz twarzy byłby komiczny, gdyby nie chodziło o moje życie.

– Musi być jakieś inne miejsce, na które cię stać, Tiff – odzywa się Mo z troską, wychylając się zza szafki z bojlerem, za którą zaglądał. Sprawia wrażenie jeszcze bardziej zaniedbanego niż zazwyczaj, co podkreśla pajęczyna zwisająca z jego brody. – Tu jest jeszcze gorzej niż w mieszkaniu, które widzieliśmy wczoraj.

Rozglądam się za agentem; na szczęście nas nie słyszy, bo pali na „balkonie” (uginającym się dachu garażu sąsiadów, po którym zdecydowanie nie powinno się chodzić).

– Nie mam czasu oglądać kolejnej z tych nor – rzuca Gerty, zerkając na zegarek. Jest ósma rano, a o dziewiątej musi być w sądzie Southwark Crown. – Musi istnieć inne wyjście.

– Z pewnością mogłaby się pomieścić u nas – proponuje Mo, piąty raz od soboty.

– Przestaniesz wreszcie? – odcina się Gerty. – To nie jest rozwiązanie na dłuższą metę. Poza tym musiałaby chyba spać na stojąco. – Rzuca mi zrozpaczone spojrzenie. – Po co taka duża urosłaś? Moglibyśmy cię położyć pod stołem

w jadalni, gdybyś miała mniej niż metr osiemdziesiąt.

Robię przepraszającą minę, ale naprawdę wolę spać tutaj niż na podłodze malutkiego, oszałamiająco drogiego mieszkania, w które Mo i Gerty wspólnie zainwestowali w zeszłym miesiącu. Nigdy wcześniej nie mieszkali razem, nawet kiedy byliśmy na uniwersytecie. Obawiam się, że to może oznaczać koniec ich przyjaźni. Mo jest roztargnionym bałaganiarzem i ma niezwykłą zdolność zajmowania ogromnej przestrzeni pomimo względnie niewielkich rozmiarów. Gerty z kolei przez ostatnie trzy lata mieszkała w nieprzyzwoicie czystym mieszkaniu, tak idealnym, że wyglądało jak symulacja komputerowa. Nie jestem pewna, jak te dwa style życia mogą współistnieć w taki sposób, by zachodni Londyn nie wyleciał w powietrze.

Ale największym problemem jest to, że gdybym zgodziła się nocować u kogoś na podłodze, równie dobrze mogłabym wrócić do Justina. A o dwudziestej trzeciej w czwartek oficjalnie postanowiłam, że taka możliwość nie wchodzi w grę. Muszę ruszyć naprzód i gdzieś się zadomowić, żebym już nie miała odwrotu.

Mo pociera czoło i opada na brudną skórzaną kanapę.

– Tiff, mógłbym pożyczyć ci trochę…

– Nie chcę, żebyś pożyczał mi pieniądze – przerywam mu ostrzej, niż zamierzałam. – Posłuchajcie, muszę koniecznie to załatwić w tym tygodniu. Albo wprowadzę się tutaj, albo znów będę musiała dzielić z kimś mieszkanie.

– Raczej łóżko – stwierdza Gerty. – Mogę spytać, skąd ten pośpiech? Oczywiście bardzo się cieszę, ale do niedawna jakoś nie przeszkadzało ci siedzenie w jego mieszkaniu i czekanie, aż ten-którego-imienia-nie-wolno-wymawiać raczy się pojawić.

Krzywię się, zaskoczona. Nie ich nastawieniem – Mo i Gerty nigdy nie przepadali za Justinem i bardzo im się nie podoba, że wciąż u niego mieszkam, chociaż rzadko bywa w domu – ale tym, że Gerty w ogóle o nim wspomina. Ostatnia pojednawcza kolacja, na której spotkaliśmy się w czwórkę, skończyła się wściekłą kłótnią, więc przestałam wierzyć, że kiedyś się pogodzimy, i staram się unikać mówienia o nim przy Gerty i Mo. Trudno pozbyć się dawnych nawyków; pomimo naszego rozstania Justin wciąż pozostaje tematem tabu.

– No i dlaczego koniecznie szukasz czegoś tak taniego? – ciągnie Gerty, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Mo. – Wiem, że kiepsko ci płacą, ale

daj spokój, Tiffy, czterysta funtów za miesiąc to nierealne w Londynie. Przemyślałaś to sobie? Tak na poważnie?

Przełykam ślinę. Czuję, że Mo uważnie mi się przygląda. Dlatego tak trudno przyjaźnić się z psychoterapeutą: Mo praktycznie umie czytać w myślach i stale używa swoich nadludzkich zdolności.

– Tiff? – zachęca mnie delikatnie.

Niech to szlag, muszę im pokazać. Zresztą tak będzie najlepiej. Załatwić sprawę szybko i ostatecznie, jakbym zrywała plaster, wskakiwała do zimnej wody albo mówiła matce, że stłukłam jakiś bibelot stojący na kredensie.

Wyciągam telefon i otwieram wiadomość na Facebooku.

> Tiffy!
>
> Jestem ogromnie rozczarowany Twoim wczorajszym zachowaniem. Było bardzo nie na miejscu. To moje mieszkanie, Tiffy – mogę przychodzić, kiedy chcę i z kim chcę.
>
> Spodziewałem się, że będziesz bardziej wdzięczna za to, że pozwoliłem Ci zostać. Wiem, że ciężko przeżyłaś nasze rozstanie – wiem, że nie jesteś gotowa odejść. Ale jeśli sądzisz, że możesz próbować „ustalać

zasady”, to najwyższy czas, abyś zapłaciła mi czynsz za ostatnie trzy miesiące. Poza tym od tej pory powinnaś płacić pełną stawkę. Patricia uważa, że mnie wykorzystujesz, skoro mieszkasz tutaj praktycznie za darmo, a chociaż zawsze stawałem po Twojej stronie, po wczorajszym wybryku zaczynam myśleć, że ma rację.

Justin xx

Skręca mnie w żołądku, gdy czytam, że go wykorzystuję, ponieważ nigdy nie miałam takiego zamiaru. Po prostu nie wiedziałam, że tym razem postanowił odejść na dobre.

Mo kończy czytać jako pierwszy.

– W czwartek ponownie tam „wpadł”? Z Patricią?

Odwracam wzrok.

– Ma trochę racji. Jestem mu wdzięczna, że tak długo pozwalał mi tam mieszkać.

– Ciekawe – odpowiada Gerty ponuro. – Zawsze mi się wydawało, że chętnie cię tam trzyma.

W jej ustach to brzmi dziwnie, ale mam podobne wrażenie. Dopóki jestem w mieszkaniu Justina, to jeszcze nie koniec. Przecież wcześniej

zawsze wracał. Tylko że… w czwartek poznałam Patricię. Autentyczną, niezwykle atrakcyjną i naprawdę uroczą dziewczynę, dla której Justin mnie zostawił. Nigdy wcześniej nie chodziło o inną kobietę.

Mo bierze mnie za rękę; Gerty sięga po drugą dłoń. Stoimy tak, ignorując agenta nieruchomości, który pali na zewnątrz, a ja pozwalam sobie na chwilę płaczu, po jednej dużej łzie na każdy policzek.

– Tak czy inaczej, muszę się wyprowadzić – odzywam się pogodnym tonem, zabierając ręce, żeby otrzeć łzy. – Natychmiast. Nawet gdybym chciała zostać mimo ryzyka, że znów sprowadzi Patricię, to nie stać mnie na czynsz, no i już jestem Justinowi winna kupę forsy, a bardzo nie chciałabym się u nikogo zapożyczać. Prawdę mówiąc, mam dosyć tego, że nie płacę za siebie, więc… albo zamieszkam tutaj, albo będę musiała dzielić z kimś mieszkanie.

Mo i Gerty wymieniają spojrzenia. Gerty zamyka oczy z bolesną rezygnacją.

– Tutaj na pewno nie możesz mieszkać. – Otwiera oczy i wyciąga rękę. – Pokaż to ogłoszenie.

Podaję jej telefon, przełączywszy go z wiadomości od Justina na ogłoszenie z Gumtree

dotyczące mieszkania.

Szukam współlokatora do jasnego mieszkania z jedną sypialnią i ze wspólnym łóżkiem w Stockwell, czynsz 350 funtów miesięcznie, wliczając rachunki. Dostępne od zaraz, umowa na co najmniej pół roku.

Mam 27 lat, pracuję na oddziale paliatywnym na nocną zmianę, weekendy spędzam poza miastem. Jestem w mieszkaniu w godzinach 9.00–18.00 od poniedziałku do piątku. Przez resztę czasu lokal do pełnej dyspozycji! Idealna oferta dla osoby pracującej na etacie.

Proszę o kontakt w celu umówienia się na oględziny, L. Twomey – szczegóły poniżej.

– Tutaj nie chodzi tylko o dzielenie mieszkania, ale także łóżka, Tiff. To jakieś dziwactwo – stwierdza Mo zatroskanym głosem.

– A jeśli L. Twomey to mężczyzna? – zastanawia się Gerty.

Jestem przygotowana na to pytanie.

– To bez znaczenia – odpowiadam spokojnie. – Przecież nie będziemy spali w tym łóżku razem,

nawet nie będziemy jednocześnie przebywać w mieszkaniu.

Niepokojąco przypomina to argument, którego użyłam w zeszłym miesiącu, żeby usprawiedliwić pozostanie w mieszkaniu Justina, ale trudno.

– Będziesz z nim spała, Tiffany! – oburza się Gerty. – Wszyscy wiedzą, że najważniejsza zasada dzielenia mieszkania to nie spać ze swoim współlokatorem.

– Nie sądzę, żeby w tej zasadzie chodziło o taki układ – odpowiadam gorzko. – Widzisz, Gerty, czasami kiedy ludzie mówią „spać z kimś”, tak naprawdę mają na myśli…

Gerty posyła mi przeciągłe, spokojne spojrzenie.

– Tak, dziękuję, Tiffany.

Mo przestaje chichotać, gdy Gerty piorunuje go wzrokiem.

– Według mnie najważniejszą zasadą dzielenia z kimś mieszkania jest upewnienie się, że dobrze się dogadujemy z naszym współlokatorem, zanim się wprowadzimy – mówi, sprytnie przenosząc spojrzenie na mnie. – Zwłaszcza w takich okolicznościach.

– Oczywiście, że wcześniej spotkam się z tą osobą. Jeśli mi się nie spodoba, nic z tego.

Mo po chwili kiwa głową i ściska moje ramię. Zapada między nami cisza, jaka często pojawia się po rozmowie o czymś trudnym – jesteśmy wdzięczni, że mamy to już za sobą, i czujemy ulgę, że sobie poradziliśmy.

– W porządku – odzywa się Gerty. – W porządku. Zrób, co musisz. Wszystko będzie lepsze od mieszkania w tym chlewie. – Wychodzi, ale przedtem zwraca się donośnym głosem do agenta, który właśnie wraca z „balkonu". – A pan jest jak zaraza trawiąca to społeczeństwo.

Mężczyzna mruga ze zdziwieniem, a Mo zatrzaskuje drzwi wejściowe. Zapada długa, niezręczna cisza.

W końcu agent gasi papierosa.

– To co, zainteresowana? – pyta mnie.

*

Docieram do pracy przed czasem i opadam na krzesło. Przy swoim biurku najczęściej czuję się teraz jak w domu. To azyl dla niepasujących do niczego przedmiotów, rzeczy, które okazały się za ciężkie, by odwieźć je autobusem, oraz roślin doniczkowych ustawionych w taki sposób, że widzę nadchodzących ludzi, zanim oni zorientują się, czy jestem na swoim miejscu. Moja roślinna

ściana stanowi obiekt podziwu pozostałych młodszych pracowników i inspirujący przykład projektowania wnętrz. (Tak naprawdę sztuczka polega na dobieraniu roślin w kolorze włosów – w moim przypadku rudych – i ukrywaniu się za nimi lub chowaniu, gdy zobaczy się kogoś, kto zbliża się zdecydowanym krokiem).

Dzisiaj moim pierwszym zadaniem jest spotkanie z Katherin, jedną z moich ulubionych autorek. Katherin pisze książki o robieniu na drutach i szydełkowaniu. To produkt dla niszowego odbiorcy, ale na tym opiera się działalność Butterfingers Press – uwielbiamy niszowych odbiorców. Specjalizujemy się w książkach o rękodziele i majsterkowaniu. Ufarbuj prześcieradła, zaprojektuj sukienkę, zrób szydełkiem klosz do lampy, zbuduj zestaw mebli z drabin… Tego typu rzeczy.

Uwielbiam tę pracę. To jedyne wytłumaczenie, dlaczego od trzech i pół roku jestem asystentką redaktora z pensją, za którą nie da się utrzymać w Londynie, ale nie próbowałam tego zmienić, ubiegając się na przykład o stanowisko w jakimś wydawnictwie, które zarabia na swoich książkach. Gerty często mi mówi, że nie mam ambicji, ale naprawdę nie o to chodzi. Po prostu kocham tę pracę. Jako

dziecko całymi dniami czytałam i dłubałam przy swoich zabawkach, aby bardziej pasowały do moich upodobań: farbowałam włosy lalkom Barbie, przemalowywałam samochodziki. A teraz zarabiam na życie czytaniem i rękodziełem.

No, może nie do końca zarabiam na życie. Ale trochę pieniędzy z tego mam. Wystarczy na zapłacenie podatków.

– Mówię ci, Tiffy, szydełkowanie wkrótce będzie równie popularne jak książeczki do kolorowania – oznajmia Katherin, kiedy już usadowiła się w naszej najlepszej sali konferencyjnej i opowiedziała mi o swojej kolejnej książce. Przyglądam się palcowi, którym kiwa w moim kierunku. Każdą jej dłoń ozdabia około pięćdziesięciu pierścionków, ale jeszcze nie odkryłam, czy jest wśród nich obrączka albo pierścionek zaręczynowy (podejrzewam, że jeśli Katherin je ma, to nie ogranicza się do jednej sztuki).

Katherin jest ekscentryczką balansującą na granicy akceptowalności: ma słomkowe włosy, opaleniznę, która, o dziwo, ładnie się starzeje, a w zanadrzu chowa mnóstwo opowieści o tym, jak w latach sześćdziesiątych włamywała się do mieszkań i sikała na różne przedmioty. Kiedyś była prawdziwą buntowniczką. Do dziś nie nosi

biustonosza, mimo że te obecne są bardzo wygodne i większość kobiet zrezygnowała z walki, skoro Beyoncé robi to za nas.

– Byłoby świetnie – odpowiadam. – Może dodamy pasek z napisem „Pobudza umysł”. Bo to rzeczywiście pobudza umysł, prawda? Czy raczej go usypia?

Katherin się śmieje, odchylając do tyłu głowę.

– Ach, Tiffy. Masz taką niepoważną pracę. – Z uczuciem klepie mnie po dłoni, a następnie sięga po torebkę. – Kiedy zobaczysz Martina, powiedz mu, że poprowadzę te warsztaty na statku, ale tylko jeśli przydzieli mi piękną, młodą asystentkę.

Mruczę pod nosem. Wiem, dokąd to zmierza. Katherin uwielbia ciągać mnie na swoje pokazy, ponieważ potrzebuje modelki, na której demonstruje dokonywanie pomiarów podczas projektowania stroju, a ja kiedyś popełniłam fatalny błąd i zgodziłam się jej towarzyszyć, gdy nie mogła nikogo znaleźć. Teraz jestem pierwsza w kolejce. Ludzie z działu kreowania wizerunku koniecznie chcą, żeby Katherin uczestniczyła w takich akcjach, więc oni również zaczęli mnie błagać.

– To za daleko, Katherin. Nie popłynę z tobą w rejs.

– Ale płyniemy za darmo! Ludzie płacą za coś takiego tysiące funtów, Tiffy!

– Zrobisz z nimi tylko kółko wokół wyspy Wight – przypominam jej. Martin już mnie zapoznał ze szczegółami. – Poza tym to będzie w weekend. Nie pracuję w weekendy.

– To nie jest praca – upiera się Katherin, zbierając notatki i pakując je do torebki bez uporządkowania. – To urocza sobotnia wycieczka z przyjaciółką. – Przez chwilę milczy. – Ze mną – wyjaśnia. – Jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

– Jestem twoją redaktorką! – odpowiadam, wyprowadzając ją z sali konferencyjnej.

– Zastanów się, Tiffy! – woła przez ramię, niezrażona. Zauważa obok drukarek Martina, który już rusza w jej stronę. – Nie zrobię tego, jeśli ona nie będzie mi towarzyszyła, Martin, złotko! To z nią powinieneś porozmawiać!

A potem znika za brudnymi szklanymi drzwiami wejściowymi, które jeszcze przez jakiś czas się kołyszą.

Martin odwraca się do mnie.

– Ładne buty – mówi z uroczym uśmiechem. Wzdrygam się. Nie znoszę Martina z działu public relations. Podczas zebrań rzuca hasła w rodzaju „Zróbmy z tego akcję” i strzela palcami na Ruby, która jest dyrektorką od marketingu,

według Martina zaś pełni funkcję jego osobistej asystentki. Ma tylko dwadzieścia trzy lata, ale uznał, że jego bezlitosnej pogoni za awansem przysłuży się, jeśli będzie udawał starszego, dlatego zawsze wypowiada się paskudnie żartobliwym tonem i próbuje rozmawiać z naszym dyrektorem o golfie.

Ale buty rzeczywiście są świetne. Fioletowe, w stylu Doca Martensa, ozdobione białymi liliami, których namalowanie zajęło mi prawie całą sobotę. Odkąd Justin mnie zostawił, naprawdę zrobiłam duże postępy w rękodziele.

– Dzięki, Martinie – odpowiadam, próbując wrócić do swojego bezpiecznego biurka.

– Leela wspominała, że szukasz mieszkania – mówi Martin.

Waham się. Nie jestem pewna, co z tego wyniknie. Mam złe przeczucia.

– Ja i Hana – to dziewczyna z działu marketingu, która zawsze podśmiewa się z mojego wyczucia mody – mamy wolny pokój. Może już widziałaś na Facebooku, ale pomyślałem, że i tak o tym wspomnę, kiedy się zobaczymy. Pojedyncze łóżko, ale obecnie to chyba dla ciebie nie problem. Hana i ja uznaliśmy, że po znajomości możemy wziąć od ciebie pięćset miesięcznie, plus rachunki.

– To bardzo miło z waszej strony! – wołam. – Ale właśnie coś znalazłam. – W pewnym sensie. Prawie. O Boże, czy jeśli L. Twomey mnie nie przyjmie, będę musiała zamieszkać z Martinem i Haną? Przecież i tak spędzam z nimi każdy dzień w pracy, a to dla mnie aż nadto. Nie jestem pewna, czy moje (i tak chwiejne) postanowienie, by wyprowadzić się od Justina, wytrzyma w konfrontacji z wizją Martina upominającego się o czynsz i Haną oglądającą mnie każdego ranka w poplamionej owsianką piżamie z bohaterami *Pora na przygodę!*

– Aha. No cóż, w takim razie będziemy musieli znaleźć kogoś innego. – Martin robi cwaną minę. Wyczuł poczucie winy. – Mogłabyś mi to zrekompensować, wybierając się z Katherin na ten…

– Nie.

Wzdycha przesadnie.

– Boże, Tiffy. Przecież to darmowy rejs! Wydawało mi się, że stale gdzieś pływasz.

Kiedyś to robiłam, kiedy mój cudowny były chłopak mnie zabierał. Żeglowaliśmy między karaibskimi wysepkami w słonecznych oparach romantycznej błogości. Zwiedzaliśmy europejskie miasta, a potem wracaliśmy na łódź, gdzie uprawialiśmy niesamowity seks na naszej

malutkiej koi. Opychaliśmy się jedzeniem ze szwedzkiego stołu, a potem leżeliśmy na pokładzie, obserwując krążące nad nami mewy i gawędząc o naszych przyszłych dzieciach.

– Przestałam – odpowiadam, sięgając po telefon. – A teraz przepraszam, ale muszę zadzwonić.

# 2
# *Leon*

Telefon dzwoni, gdy doktor Patel przepisuje lekarstwa dla Holly (dziewczynki z białaczką). Kiepski moment. Bardzo kiepski. Doktor Patel nie jest zadowolona, że jej przeszkadzam, i wcale tego nie ukrywa. Chyba zapomniała, że jako pielęgniarz też powinienem pójść do domu o ósmej, a jednak wciąż tu jestem i muszę znosić chorych oraz marudnych specjalistów, takich jak doktor Patel.

Oczywiście odrzucam połączenie. Zapamiętuję, żeby odsłuchać pocztę głosową i zmienić dzwonek na mniej żenujący (ten nazywa się *Jive* i jest zdecydowanie zbyt wesoły jak na hospicjum. Nie chodzi o to, że chorzy nie potrzebują rozrywki, ale nie zawsze jest ona na miejscu).

Holly: Dlaczego nie odebrałeś? Czy to nie jest niegrzeczne? A jeśli to była ta twoja dziewczyna z krótkimi włosami?

Dr Patel: Niegrzecznie jest nie wyciszać telefonu podczas obchodu. Chociaż dziwię się, że ten ktoś w ogóle próbował dzwonić do niego o tej porze.

Zerka na mnie, na wpół zirytowana, na wpół rozbawiona.

Dr Patel: Być może zauważyłaś, Holly, że Leon nie jest zbyt rozmowny.

Nachyla się i dopowiada konspiracyjnym szeptem.

Dr Patel: Jeden z lekarzy ma teorię. Twierdzi, że Leon na każdym dyżurze może użyć ograniczonej liczby słów, a o tej porze zazwyczaj jego limit jest już wyczerpany.

Nie zaszczycam tego komentarzem.

Skoro już jesteśmy przy dziewczynie z krótkimi włosami: jeszcze nie powiedziałem Kay o pokoju. Nie miałem czasu. Poza tym unikam nieuchronnego konfliktu. Ale rano w końcu będę musiał do niej zadzwonić.

Dzisiaj była dobra noc. Ból u pana Priora zelżał na tyle, że staruszek mógł mi zacząć opowiadać o mężczyźnie, w którym zakochał się w okopach: ciemnowłosym i czarującym

Johnnym Whicie o kształtnej szczęce hollywoodzkiego gwiazdora i błyszczących oczach. Przeżyli razem jedno niebezpieczne, romantyczne, targane wojną lato, a potem zostali rozdzieleni. Johnny White trafił do szpitala z nerwicą frontową. Nigdy więcej się nie widzieli. Pan Prior mógł mieć przez to mnóstwo kłopotów (w wojsku nie tolerowano homoseksualizmu).

Byłem zmęczony, kawa przestawała działać, ale zostałem z panem Priorem po dyżurze. Nigdy nikt go nie odwiedza, a on uwielbia opowiadać, gdy ma taką okazję. Nie udało mi się uniknąć rozmowy o szaliku (moim czternastym od pana Priora). Nie mogę za każdym razem odmawiać, a pan Prior robi na drutach w takim tempie, że nie wiem, po co ktokolwiek zawracał sobie głowę rewolucją przemysłową. Jestem pewien, że pracuje szybciej od maszyny.

*

Zjadam wielokrotnie odgrzewanego smażonego kurczaka przed telewizorem, w którym leci powtórka zeszłotygodniowego *MasterChefa*, i odsłuchuję wiadomość z poczty głosowej.

Poczta głosowa: „Cześć, czy to L. Twomey? O cholera, nie możesz odebrać… zawsze muszę to załatwiać przez pocztę głosową. No dobrze, zakładam, że to L. Twomey. Nazywam się Tiffy Moore i dzwonię w sprawie ogłoszenia z Gumtree dotyczącego pokoju do wynajęcia. Według moich znajomych to dziwne, że mamy spać w tym samym łóżku, chociaż niejednocześnie, ale jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie również, a prawdę mówiąc, zrobiłabym wszystko za mieszkanie w środkowym Londynie, do którego mogłabym się od razu wprowadzić za taką cenę. [Przerwa] Mój Boże, nie wszystko. Mnóstwa rzeczy bym nie zrobiła. Nie jestem taka jak… Nie, Martinie, nie teraz, nie widzisz, że rozmawiam przez telefon?”.

Kim jest Martin? Dzieckiem? Czy ta bełkocząca kobieta z akcentem z Essex chce sprowadzić dziecko do mojego mieszkania?

Dalszy ciąg poczty głosowej: „Przepraszam, to kolega z pracy, chce, żebym popłynęła w rejs z pewną kobietą w średnim wieku, żeby opowiadać emerytom o szydełkowaniu”.

Nie takiego wyjaśnienia się spodziewałem. Tak jest dużo lepiej, ale wciąż mam wiele pytań.

Dalszy ciąg poczty głosowej: „Posłuchaj, po prostu oddzwoń albo napisz esemesa, czy pokój

nadal jest dostępny. Jestem bardzo porządna, nie będę ci wchodziła w drogę i wciąż mam w zwyczaju gotować dla dwóch osób, więc jeśli lubisz domowe jedzenie, mogę ci coś zostawiać”.

Podaje swój numer. Ledwie zdążam go zapisać.

Irytująca babka, bez dwóch zdań. No i kobieta, co może się nie spodobać Kay. Ale dzwoniły jeszcze tylko dwie osoby: pierwsza pytała, czy mam coś przeciwko oswojonym jeżom (odpowiedź: nie, dopóki u mnie nie mieszkają), a druga to na sto procent handlarz narkotykami (nie, nie jestem przewrażliwiony – gość chciał mi sprzedać prochy podczas naszej rozmowy). Potrzebuję tych trzystu pięćdziesięciu funtów miesięcznie, jeśli mam dalej opłacać Sala bez pomocy Kay. To jedyna możliwość. Poza tym przecież nie będę się widywał z tą irytującą babką. Będę w mieszkaniu pod jej nieobecność.

Piszę do niej esemesa.

**Cześć, Tiffy. Dzięki za wiadomość.**
**Chętnie Cię poznam i porozmawiam**
**o wynajmie mieszkania. Może być sobota**
**rano? Pozdrawiam, Leon Twomey**

Miła, normalna wiadomość. Nie pytam o propozycję Martina dotyczącą rejsu, chociaż dręczy mnie ciekawość.

Odpisuje niemal natychmiast.

**Cześć! Świetnie. Może być o 10.00 w mieszkaniu? x**

**Niech będzie 9.00, w przeciwnym razie zasnę! Do zobaczenia. Adres jest w ogłoszeniu. Pozdrawiam, Leon**

No. Gotowe. Prosta sprawa: trzysta pięćdziesiąt funtów miesięcznie mam już niemal w kieszeni. Teraz muszę tylko powiedzieć Kay.

# 3
# *Tiffy*

Z ciekawości oczywiście sprawdzam go w Google'u. Leon Twomey to dosyć nietypowe imię i nazwisko, więc znajduję go na Facebooku bez konieczności stosowania szemranych szpiegowskich technik. Te pozostawiam na nowych autorów, których staram się podebrać innym wydawnictwom.

Z ulgą stwierdzam, że w ogóle nie jest w moim typie, co z pewnością ułatwi mi życie – na przykład gdyby Justin kiedyś spotkał Leona, raczej nie uznałby go za zagrożenie. Leon ma jasnobrązową skórę i gęste kręcone włosy, wystarczająco długie, żeby zatknąć je za uszy, a poza tym jest zdecydowanie zbyt tyczkowaty jak na mój gust. Same łokcie i szyja, znacie ten typ. Ale sprawia wrażenie miłego gościa – na każdym zdjęciu krzywo się uśmiecha, co jednak

nie wygląda obleśnie ani złowrogo, chociaż jeśli patrzy się na zdjęcia z takim nastawieniem, każdy zaczyna przypominać mordercę z siekierą, więc staram się odsunąć od siebie podobne myśli. Wygląda przyjaźnie i niegroźnie. To dobrze.

Mimo wszystko teraz już wiem ponad wszelką wątpliwość, że jest mężczyzną.

Naprawdę chcę dzielić łóżko z facetem? Nawet w przypadku Justina czasami bywało to okropne, chociaż byliśmy w związku. Jego strona materaca lekko zapadała się na środku, a po powrocie z siłowni nie zawsze brał prysznic, przez co jego połówkę kołdry… czuć było potem. Zawsze musiałam układać pościel w taki sam sposób, żeby nie trafiła mi się przepocona część.

No ale trzysta pięćdziesiąt funtów miesięcznie. A przecież nawet go tam nie będzie.

– Tiffany!

Gwałtownie podnoszę głowę. Cholera, to Rachel i dobrze wiem, czego chce. Chce dostać maszynopis tej przeklętej książki *Pyszne ciasta i basta*, którą cały dzień ignorowałam.

– Nie próbuj wymknąć się do kuchni albo udawać, że rozmawiasz przez telefon – odzywa się zza mojej roślinnej ściany. Dlatego nie warto przyjaźnić się z ludźmi z pracy: kiedy idziecie do

pubu, po pijaku opowiadasz im o swoich sztuczkach i potem jesteś bezbronna.

– Zrobiłaś coś z włosami! – wołam. To desperacka próba szybkiej zmiany tematu, ale jej włosy rzeczywiście wyglądają świetnie. Rachel jak zwykle ma na głowie cienkie warkoczyki, lecz tym razem poprzeplatała je turkusową wstążką, która przypomina sznurki gorsetu. – Jak ci się udało tak je zapleść?

– Nie próbuj mnie rozproszyć rozmową o mojej specjalności, Tiffany Moore – odpowiada Rachel, stukając idealnymi paznokciami pomalowanymi w kropki. – Kiedy dostanę maszynopis?

– Potrzebuję… jeszcze trochę czasu… – Zakrywam dłonią papiery przed sobą, żeby nie zobaczyła jednocyfrowych numerów stron.

Mruży oczy.

– W czwartek?

Energicznie kiwam głową. Jasne, czemu nie? W tej chwili to całkowicie niewykonalne, ale piątek to znacznie lepsza propozycja, gdy wspomina się o niej w czwartek, więc wtedy to zrobię.

– Pójdziemy na drinka jutro wieczorem?

Waham się. Miałam być grzeczna i w tym tygodniu nie wydawać pieniędzy ze względu na

wiszący nade mną dług, ale wspólne wyjścia z Rachel zawsze są świetne, a teraz przydałoby mi się trochę rozrywki. Poza tym w czwartek nie będzie mogła kłócić się ze mną o maszynopis, jeśli będzie skacowana.

– Jasne.

*

Pijak numer 1 jest pełen ekspresji. Lubi szeroko rozkładać ręce, niezależnie od tego, co jest po jego obu stronach (jak dotąd były to jedna sztuczna palma, jedna taca z kieliszkami sambuki oraz jedna średnio znana ukraińska modelka). Każdy jego ruch jest przesadny, nawet chód – taki najzwyklejszy, lewa, prawa i tak dalej. Pijak numer 1 zmienia chodzenie w taniec.

Pijak numer 2 jest podstępny. Kiedy cię słucha, ma nieruchomy wyraz twarzy, jakby dzięki temu mógł cię przekonać, że jest całkowicie trzeźwy. Od czasu do czasu kiwa głową i sprawia przekonujące wrażenie, tyle że nie mruga. Gdy gapi się na twoje cycki, robi to w znacznie mniej subtelny sposób, niż mu się wydaje.

Ciekawe, co myślą o mnie i Rachel. Od razu do nas podeszli, ale to o niczym nie świadczy. Kiedy

byłam z Justinem, przed każdym moim wyjściem do klubu z Rachel zawsze mi przypominał, że wielu mężczyzn uznaje „ekscentryczne” dziewczyny za „zdesperowane i łatwe”. Miał rację, jak zwykle. Zastanawiam się, czy nie jest łatwiej znaleźć faceta na jedną noc jako ekscentryczka niż jako pewna siebie cheerleaderka: jesteś bardziej przystępna i nikt nie zakłada, że masz chłopaka. Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że pewnie także dlatego Justin nie przepadał za moimi wieczornymi wyjściami z Rachel.

– Czyli książki o tym, jak piec ciasta? – odzywa się pijak numer 2, dowodząc, że umie słuchać i jest trzeźwy. (Serio. Po co walić sambucę, jeśli zamierzasz udawać, że przez cały wieczór nie piłeś?).

– Tak! – odpowiada Rachel. – Albo budować półki, albo szyć ubrania, albo… albo… a co ty lubisz robić?

Jest na tyle pijana, że pijak numer 2 może jej się podobać, ale podejrzewam, że tylko go zagaduje, żebym mogła zabrać się za pijaka numer 1. Jest zdecydowanie bardziej godny uwagi – przede wszystkim dostatecznie wysoki. To pierwsze wyzwanie. Mam metr osiemdziesiąt trzy i chociaż nie przeszkadza mi umawianie się

z niższymi facetami, widzę, że oni często mają problem z tym, że jestem od nich o kilka centymetrów wyższa. Ale to żaden kłopot, ponieważ nie interesują mnie mężczyźni, którzy przejmują się czymś takim. Traktuję to jako przydatny filtr.

– Co lubię robić? – powtarza pijak numer 2. – Lubię tańczyć z pięknymi kobietami w barach o fatalnych nazwach, gdzie sprzedają za drogie drinki. – Nagle błyska uśmiechem, który, choć zapewne jest nieco zbyt niemrawy i krzywy, prezentuje się dosyć atrakcyjnie.

Rachel najwyraźniej podziela moje zdanie. Posyła mi wyrachowane spojrzenie – a więc wcale nie jest taka pijana – i widzę, że szacuje sytuację między mną a pijakiem numer 1.

Również mierzę go wzrokiem. Jest wysoki, barczysty i ma pierwsze oznaki siwizny na skroniach, co wygląda całkiem seksownie. Zapewne po trzydziestce – spod przymrużonych powiek albo po przygaszeniu świateł może przypominać Clooneya z lat dziewięćdziesiątych.

Podoba mi się? Jeśli tak, mogłabym się z nim przespać. Tak się robi, kiedy jest się wolną.

Dziwne.

Nie myślałam o tym, żeby pójść z kimś do łóżka po rozstaniu z Justinem. Kiedy jesteś sama

i z nikim nie sypiasz, zyskujesz mnóstwo czasu – nie dlatego, że nie tracisz go na sam seks, ale nie musisz golić nóg, kupować ładnej bielizny, zastanawiać się, czy wszystkie kobiety się depilują, i tak dalej. To duża zaleta. Oczywiście znika jeden z najwspanialszych aspektów twojego dorosłego życia, ale jednocześnie masz nad nim znacznie większą kontrolę.

Wiem, że zerwaliśmy trzy miesiące temu i teoretycznie mogę sypiać z innymi facetami. Ale… nie mogę przestać myśleć, co by powiedział Justin. Jaki byłby wściekły. Niby mam swobodę działania, ale… brakuje mi przyzwolenia. Sama go sobie odmawiam.

Rachel to rozumie.

– Wybacz, kolego – mówi, klepiąc pijaka numer 2 po ramieniu. – Wolę tańczyć ze swoją przyjaciółką.

Zapisuje swój numer na serwetce – nie mam pojęcia, skąd wzięła długopis, ta kobieta to magik – i już ciągnie mnie za rękę na środek parkietu, gdzie muzyka atakuje moją czaszkę z obu stron, wprawiając bębenki w drżenie.

– Jak się dzisiaj upiłaś? – pyta, kiedy nieprzyzwoicie ocieramy się o siebie przy dźwiękach klasyku Destiny’s Child.

– Jestem w nastroju… refleksyjnym! – odkrzykuję. – Mam zbyt analityczne nastawienie, żeby przespać się z tym miłym facetem.

Rachel sięga po drinka z tacy jednej z kelnerek, które kręcą się po lokalu, próbując nakłonić ludzi do przepłacania, i wręcza jej pieniądze.

– A więc upiłaś się za mało – ocenia, podając mi drinka. – Może jesteś redaktorką, ale żadna pijana dziewczyna nie używa słów takich jak „analityczne”.

– Asystentką redaktora – przypominam i wychylam drinka. Jägerbomba. Dziwne, że coś tak paskudnego, co pozostawia posmak, od którego następnego dnia masz mdłości, może smakować tak wspaniale na parkiecie.

Rachel przez cały wieczór podsuwa mi drinki i flirtuje ze wszystkimi skrzydłowymi w zasięgu wzroku, kierując w moją stronę każdego atrakcyjnego mężczyznę. Nie zastanawiam się nad tym, co do mnie mówi, gdyż jestem zbyt wstawiona. Porywa mnie karuzela tancerzy i barwnych drinków.

Dopiero kiedy pojawiają się Mo i Gerty, zaczynam się zastanawiać, o co tak naprawdę chodzi.

Mo sprawia wrażenie człowieka wezwanego w ostatniej chwili. Ma nieco potarganą brodę, jakby na niej spał, i jest ubrany w znoszony T-shirt, który pamiętam jeszcze z uniwerku, chociaż teraz nieco ciaśniej go opina. Gerty jak zwykle jest pełna wyniosłego piękna, nie ma makijażu, a włosy upięła w kok jak balerina. Trudno ocenić, czy zamierzała tutaj przyjść, ponieważ nigdy się nie maluje i zawsze jest nienagannie ubrana. Możliwe, że przed wyjściem tylko włożyła buty na nieco wyższych obcasach, żeby pasowały do wąskich dżinsów.

Idą w moją stronę przez parkiet. Moje podejrzenia, że Mo wcale nie zamierzał tutaj przychodzić, znajdują potwierdzenie w tym, że nie tańczy. Jeśli zabierzesz Mo do klubu, zawsze rusza w tany. Więc po co pojawili się podczas mojego przypadkowego środowego wyjścia z Rachel? Nawet nie znają jej za dobrze, widzieli się tylko na kilku przyjęciach urodzinowych i parapetówkach. Tak naprawdę Gerty i Rachel odrobinę ze sobą rywalizują, a kiedy spotykamy się wszyscy razem, zazwyczaj kończy się to sprzeczką.

Czy to moje urodziny? – zastanawiam się po pijaku. Czy czeka na mnie jakaś podniecająca niespodzianka?

Odwracam się do Rachel.

– Co…?

– Stolik – przerywa mi i wskazuje boksy w głębi lokalu.

Gerty zręcznie ukrywa irytację tym, że została przekierowana zaraz po przebiciu się na sam środek parkietu.

Mam złe przeczucia, ale wciąż unoszę się na fali pijackiej radości, więc postanawiam odłożyć niepokój na później. Może przyszli mi oznajmić, że wygrałam czterotygodniową wycieczkę do Nowej Zelandii?

Ale nie.

– Tiffy, nie wiem, jak ci to powiedzieć, więc wpadłam na taki plan – mówi Rachel. – Postanowiłam upić cię na wesoło, przypomnieć ci, jak wygląda flirtowanie, a potem wezwać twoją grupę wsparcia. – Chwyta mnie za obie ręce. – Tiffy. Justin się zaręczył.

# 4
# *Leon*

Rozmowa o mieszkaniu nie przebiegła zgodnie z oczekiwaniami. Kay była wściekła, jak nie ona. Czyżby nie podobało jej się, że ktoś inny oprócz niej ma spać w moim łóżku? Przecież ona nigdy mnie nie odwiedza. Nie znosi ciemnozielonych ścian i starych sąsiadów – ciągle powtarza, że „spędzam za dużo czasu ze staruchami”. Zawsze spotykamy się u niej (jasnoszare ściany, młodzi, przebojowi sąsiedzi).

Nużąca kłótnia kończy się impasem. Ona chce, żebym usunął ogłoszenie i odwołał spotkanie z kobietą z Essex; ja nie zamierzam zmieniać zdania. To mój najlepszy pomysł na zdobycie łatwej gotówki, nie licząc wygranej na loterii, której nie można brać pod uwagę podczas planowania budżetu. Nie chcę wrócić do sprawy pożyczki tych trzystu pięćdziesięciu funtów. Kay

sama powiedziała, że to nie wpływa dobrze na nasz związek.

Skoro doszła do takiego wniosku, to w końcu zmieni zdanie.

*

Spokojna noc. Holly nie mogła spać; graliśmy w warcaby. Unosi palce i zanim dotknie pionka, tańczy nimi po planszy, jakby rzucała magiczne zaklęcie. Najwyraźniej to element strategii – przeciwnik przygląda się twoim ruchom, zamiast planować swoje kolejne zagranie. Gdzie siedmiolatka nauczyła się takich psychologicznych sztuczek?

Zapytaj.

Holly: Jesteś naiwny, Leonie, prawda?

Wymawia to słowo z przesadnym namaszczeniem. Pewnie nigdy wcześniej nie wypowiadała go na głos, tylko wyczytała je w którejś ze swoich książek.

Ja: Ależ skąd, Holly. Jestem bardzo przebiegły!

Posyła mi protekcjonalne spojrzenie.

Holly: Nie ma się czego wstydzić, Leonie. Po prostu jesteś zbyt miły. Założę się, że ludzie depczą cię jak wycieraczkę.

Z pewnością od kogoś to usłyszała. Może od ojca, który odwiedza ją co dwa tygodnie w eleganckim szarym garniturze, przynosząc kiepsko wybrane słodycze i ostry smród papierosowego dymu.

Ja: Bycie miłym to nic złego. Można być silnym i miłym. Jedno nie wyklucza drugiego.

Kolejne protekcjonalne spojrzenie.

Holly: Posłuchaj. Po prostu… Kay jest silna, a ty miły.

Rozkłada ręce, jakby chciała powiedzieć: tak to już jest na tym świecie. Jestem zaskoczony. Nie wiedziałem, że zna imię Kay.

*

Richie dzwoni, kiedy tylko wchodzę. Rzucam się do telefonu stacjonarnego – wiem, że to on, nikt inny nie dzwoni na ten numer – i po drodze uderzam głową o nisko wiszący żyrandol w kuchni. To mój najmniej lubiany element tego doskonałego mieszkania.

Masuję głowę. Zamykam oczy. Skupiam się na głosie Richiego, by nie tylko wychwycić oznaki niepewności oraz wszelkie wskazówki, które pozwolą mi odkryć, jak naprawdę się czuje, ale

także po to, by wreszcie usłyszeć prawdziwego, żywego Richiego, który wciąż jakoś się trzyma.

Richie: Opowiedz mi jakąś dobrą historię.

Mocniej zaciskam powieki. A więc to nie był dla niego najlepszy tydzień. Weekendy są ciężkie – wtedy dłużej trzymają ich w zamknięciu. Słyszę, że jest przygnębiony, po akcencie, z którego obaj słyniemy. Zawsze jest to mieszanka Londynu z hrabstwem Cork, ale kiedy jest smutny, irlandzka część staje się bardziej wyrazista.

Opowiadam mu o Holly. O jej talencie do warcabów. Oskarżeniach o naiwność.

Richie: Ona umrze?

Ciężka sprawa. Ludzie nie rozumieją, że nie chodzi o to, czy ona umrze – oddział opieki paliatywnej nie jest miejscem, w którym człowiek powoli gaśnie. Większość naszych pacjentów opuszcza szpital. Chodzi o zapewnienie komfortu podczas czegoś niezbędnego i bolesnego. Ułatwienie przejścia ciężkiego okresu.

Ale Holly… rzeczywiście może umrzeć. Jest bardzo chora. Urocza, rozwinięta nad wiek i bardzo chora.

Ja: Statystyka w przypadku chorych na białaczkę w jej wieku wygląda korzystnie.

Richie: Nie interesuje mnie statystyka, stary. Chcę usłyszeć dobrą historię.

Uśmiecham się, wspominając nasze dzieciństwo, gdy przez cały miesiąc odgrywaliśmy fabułę *Sąsiadów*, kiedy zepsuł nam się telewizor. Richie zawsze lubił ciekawe historie.

Ja: Nic jej nie będzie. Kiedy dorośnie, zostanie… programistką. Zawodową programistką. Korzystając z tych samych zdolności, dzięki którym świetnie gra w warcaby, opracuje cyfrowo generowane pożywienie, które powstrzyma epidemię głodu i sprawi, że Bono nie będzie miał co robić w okolicach Bożego Narodzenia.

Richie się śmieje. Niezbyt głośno, ale to wystarczy, żeby ucisk w moim żołądku zelżał.

Przez chwilę panuje cisza. Może milczymy dla towarzystwa, a może po prostu brakuje nam odpowiednio ekspresyjnych słów.

Richie: Tutaj jest jak w piekle, stary.

Jego słowa trafiają mnie jak cios w brzuch. Przez ostatni rok zbyt często się tak czułem, jakby ktoś zaciskał dłoń na moich wnętrznościach. Zawsze w takich chwilach, gdy po kilku dniach wypierania tej świadomości rzeczywistość na nowo na mnie spada.

Ja: Niedługo apelacja. Zbliżamy się do celu. Sal mówi…

Richie: Tak, Sal mówi, że chce kasy. Znam wynik, Lee. To niewykonalne.

Ciężkie słowa, powolne, niemal niewyraźne.

Ja: Co to ma być? Straciłeś wiarę w swojego starszego brata? Kiedyś mi mówiłeś, że będę miliarderem!

Czuję, że niechętnie się uśmiecha.

Richie: Dałeś z siebie już wystarczająco dużo.

Nic z tego. To niemożliwe. Nigdy nie zdołam dać wystarczająco dużo, chociaż wiele razy żałowałem, że nie mogę zamienić się z nim miejscami, żeby mu tego oszczędzić.

Ja: Mam plan. Wiem, jak nieźle zarobić. Spodoba ci się.

Jakieś zamieszanie.

Richie: Hej, stary, daj mi chwi…

Przytłumione głosy. Moje serce przyśpiesza. Kiedy rozmawiamy przez telefon, łatwo uwierzyć, że jest w jakimś bezpiecznym i spokojnym miejscu, gdzie rozbrzmiewają tylko nasze głosy. Ale on stoi na podwórzu, a za nim zbiera się kolejka. Postanowił poświęcić pół godziny spędzane poza celą na telefon do mnie, tracąc jedyną okazję na prysznic.

Richie: Muszę iść, Lee. Kocham cię.

Sygnał.

*

Ósma trzydzieści w sobotę. Nawet jeśli wyjdę od razu, i tak się spóźnię. A jeszcze nie mogę wyjść. Według doktor Patel mam zmienić pościel na Oddziale Grzbietowym; według siostry przełożonej z Oddziału Koralowego mam pobrać krew panu Priorowi; według młodszej lekarki Sochy mam jej pomóc przy umierającym pacjencie na Oddziale Wodorostów.

Socha wygrywa. Dzwonię do Kay w biegu.

Kay: Utknąłeś w pracy, prawda?

Jestem tak zdyszany, że nie mogę niczego porządnie wytłumaczyć. Oddziały są od siebie zbyt oddalone, by móc szybko się między nimi przemieszczać. Zarząd powinien pomyśleć o skróceniu korytarzy.

Kay: W porządku. Spotkam się z tą dziewczyną za ciebie.

Potykam się. Zaskoczony. Oczywiście zamierzałem ją o to poprosić – właśnie dlatego zadzwoniłem do Kay, a nie do kobiety z Essex, żeby odwołać spotkanie. Ale… poszło bardzo łatwo.

Kay: Posłuchaj, nie podoba mi się ten pomysł z dzieleniem mieszkania, ale rozumiem, że potrzebujesz pieniędzy. Jednakże. Jeśli mam to zaakceptować, wszystko powinno być załatwiane przeze mnie. Sama spotkam się z tą Tiffy i wszystko z nią ustalę, dzięki czemu nie będziesz miał żadnych kontaktów z przypadkową kobietą, która będzie sypiała w twoim łóżku. Wtedy nie będę się czuła aż tak dziwnie, a ty nie będziesz miał tej sprawy na głowie, bo oboje wiemy, że nie masz na to czasu.

Czuję ukłucie miłości. Może to tylko kolka, trudno ocenić na tym etapie związku, ale mimo wszystko.

Ja: Jesteś… pewna?

Kay, stanowczo: Tak. Taki jest plan. No i żadnej pracy w weekendy. Zgoda? Weekendy są dla mnie.

Uczciwy układ.

Ja: Dzięki. Dziękuję. A czy mogłabyś powiedzieć jej…

Kay: Tak, tak, powiem o dziwaku spod piątki i ostrzegę ją przed lisami.

Zdecydowanie ukłucie miłości.

Kay: Sądzisz, że nigdy cię nie słucham, ale to nieprawda.

Po dobrej minucie biegu docieram na Oddział Wodorostów. Nie rozłożyłem właściwie sił. Błąd żółtodzioba. Tak bardzo przytłacza mnie przerażająca pilność tego dyżuru, wszyscy ci umierający ludzie, odleżyny i trudni pacjenci z demencją, że zapominam o podstawowych zasadach przetrwania w hospicjum. Truchtaj, a nie biegaj. Stale kontroluj, która jest godzina. Nigdy nie gub długopisu.

Kay: Leonie?

Zapomniałem o mówieniu. Tylko ciężko dyszałem. Pewnie brzmiało to złowieszczo.

Ja: Dzięki. Kocham cię.

# 5
# *Tiffy*

Zastanawiam się, czy nie włożyć okularów przeciwsłonecznych, ale dochodzę do wniosku, że wyglądałabym jak primadonna, zważywszy na to, że jest luty. Nikt nie chce mieszkać z primadonną.

Oczywiście pytanie brzmi, czy bardziej pożądana od primadonny jest emocjonalnie rozbita kobieta, po której widać, że płakała przez ostatnie dwa dni.

Przypominam sobie, że nie będziemy typowymi współlokatorami. Nie musimy się dogadywać z Leonem, ponieważ nie będziemy razem mieszkać, tylko zajmować tę samą przestrzeń w różnym czasie. Chyba w niczym mu to nie przeszkadza, jeśli wolny czas spędzam, płacząc.

– Żakiet – rozkazuje Rachel i podaje mi go.

Jeszcze nie upadłam tak nisko, by ktoś musiał mnie ubierać, ale Rachel została na noc, a ona zawsze przejmuje kontrolę nad sytuacją. Nawet jeśli ta „sytuacja” to poranny wybór stroju.

Zbyt rozbita, by protestować, biorę żakiet i go wkładam. Muszę przyznać, że uwielbiam ten ciuch. Uszyłam go sama z ogromnej sukni balowej, którą znalazłam w sklepie charytatywnym – rozprułam ją i wykorzystałam materiał, ale zostawiłam paciorki na miejscu, dzięki czemu teraz mam wzór z fioletowych cekinów i haftów na prawym ramieniu, na plecach i pod biustem. Żakiet trochę przypomina strój konferansjera cyrkowego, ale idealnie na mnie pasuje, a paciorki pod biustem z jakiegoś powodu wyszczuplają mnie w talii.

– Myślałam, że ci go dałam – odpowiadam, marszcząc czoło. – Jakoś w zeszłym roku?

– Miałabyś się rozstać z tym żakietem? – Rachel się krzywi. – Wiem, że mnie kochasz, ale jestem pewna, że nie aż tak bardzo.

No oczywiście. Jestem w takim stanie, że nie myślę jasno. Przynajmniej zależy mi na tym, jak będę wyglądała dzisiaj rano. Kiedy narzucam na siebie to, co akurat leży na wierzchu w szufladzie, wiadomo, że sprawy mają się kiepsko. Nie ma szans, by inni tego nie zauważyli

– dysponuję takim zbiorem ubrań, że braki w planowaniu rzucają się w oczy. Czwartkowe musztardowe sztruksy, kremowa bluzka z falbankami i długi zielony rozpinany sweter wywołały nie lada zamieszanie w pracy – Hana z działu marketingu zakrztusiła się kawą i dostała ataku kaszlu, kiedy weszłam do kuchni. Poza tym nikt nie rozumie, dlaczego jestem taka smutna. Widzę, że myślą: Dlaczego ona płacze? Czy Justin nie odszedł kilka miesięcy temu?

Mają rację. Nie wiem, dlaczego ten konkretny etap nowego związku Justina tak mnie dręczy. Przecież już zdecydowałam, że się wyprowadzę. Poza tym nie chciałam, by się ze mną ożenił ani nic w tym rodzaju. Po prostu sądziłam… że wróci. Tak się zawsze działo wcześniej – wychodzi, trzaskając drzwiami, odcina się ode mnie, ignoruje moje telefony, ale potem uświadamia sobie swój błąd i kiedy dochodzę do wniosku, że jestem gotowa o nim zapomnieć, nagle się pojawia, wyciąga rękę i prosi, żebym wybrała się z nim na jakąś niesamowitą przygodę.

Ale teraz to już koniec, prawda? Żeni się. To już… To już…

Rachel bez słowa podaje mi chusteczki.

– Będę musiała od nowa zrobić makijaż – mówię, kiedy mija najgorsze.

– Naprawdę nie masz czasu – odpowiada Rachel, pokazując ekran telefonu.

Cholera. Wpół do dziewiątej. Muszę natychmiast wyjść, w przeciwnym razie się spóźnię, a to zrobi złe wrażenie. Jeśli mamy przestrzegać ścisłego harmonogramu pobytu w mieszkaniu, Leon powinien wiedzieć, że znam się na zegarku.

– Okulary przeciwsłoneczne? – pytam.

– Okulary przeciwsłoneczne. – Rachel mi je podaje.

Chwytam torebkę i ruszam do drzwi.

Kiedy pociąg z grzechotem przemierza tunele północnej linii, widzę swoje odbicie w szybie i nieco się prostuję. Wyglądam dobrze. Matowe, porysowane szkło poprawia sytuację – trochę jak filtr na Instagramie. Ale mam na sobie jeden z ulubionych ciuchów, świeżo umyte miedziane włosy, a chociaż łzy zmyły ołówek do oczu, szminka pozostała nienaruszona.

Jestem gotowa. Dam radę. Poradzę sobie sama.

To nastawienie towarzyszy mi aż do wyjścia ze stacji Stockwell. Wtedy jakiś facet w samochodzie wrzeszczy do mnie: „Pokaż dupę!”, a ja tracę zimną krew i ponownie staję się bezradną, porzuconą Tiffy. Jestem zbyt

zdenerwowana, żeby tłumaczyć facetowi, jak trudno byłoby mi spełnić jego żądanie.

Docieram pod wskazany adres po pięciu minutach – blok jest nieco oddalony od stacji. Biorę pod uwagę, że być może właśnie znalazłam swój przyszły dom, więc ocieram policzki i uważnie się rozglądam. To jeden z tych klockowatych ceglanych bloków z niewielkim podwórkiem, na którym rośnie odrobina smutnej londyńskiej trawy, bardziej przypominającej siano. Każdy z lokatorów ma swoje miejsce parkingowe, ale jeden wykorzystuje je do składowania oszałamiającej liczby pustych skrzynek po bananach.

Kiedy dzwonię domofonem do mieszkania numer trzy, kątem oka zauważam jakiś ruch – to lis, który wychodzi z miejsca, gdzie zapewne znajduje się śmietnik. Patrzy na mnie bezczelnie z jedną uniesioną łapą. Nigdy wcześniej nie widziałam z bliska lisa – jest znacznie bardziej wyliniały niż na zdjęciach w książce. Ale lisy to sympatyczne zwierzaki, prawda? Tak sympatyczne, że już nie wolno do nich strzelać dla zabawy, nawet jeśli jesteś arystokratą na koniu.

Rozlega się brzęczenie i drzwi się otwierają, a ja wchodzę do środka. Na klatce jest bardzo…

brązowo. Brązowa wykładzina, biszkoptowe ściany. Ale to nieistotne – liczy się wnętrze mieszkania.

Kiedy pukam do drzwi, jestem autentycznie zdenerwowana. Nie – raczej spanikowana. Naprawdę to zrobię? Będę spała w łóżku nieznajomego faceta? Wyprowadzę się od Justina?

Mój Boże. Może Gerty miała rację i trochę przesadzam. Przez chwilę kręci mi się w głowie i wyobrażam sobie, że wracam do Justina, do jego wygodnego mieszkania pełnego chromu i bieli, że znów mam szansę go odzyskać. Ale ta myśl nie przynosi mi spodziewanej otuchy. Od pewnego czasu – być może od dwudziestej trzeciej w zeszły czwartek – inaczej patrzę na jego mieszkanie i na samą siebie.

Niejasno zdaję sobie sprawę, że to dobrze. Dotarłam tak daleko – nie mogę teraz zawrócić.

Muszę polubić to miejsce. To jedyne wyjście. Dlatego kiedy otwiera mi ktoś, kto z pewnością nie jest Leonem, jestem w tak ugodowym nastroju, że płynę z prądem. Nawet nie udaję zaskoczenia.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry – odpowiada kobieta w drzwiach. Jest drobna, ma oliwkową skórę

i figlarną fryzurę, która sprawia, że wygląda jak Francuzka. Od razu czuję się przy niej ogromna.

Nie stara się złagodzić tego wrażenia. Kiedy wchodzę do mieszkania, czuję, że mierzy mnie wzrokiem. Próbuję przyjrzeć się wystrojowi wnętrza – no proszę, ciemnozielona tapeta, wygląda na autentyk z lat siedemdziesiątych – ale po chwili zaczyna mi dokuczać ciężar jej spojrzenia. Odwracam się i patrzę jej w oczy.

Aha. Więc to jego dziewczyna. Jej spojrzenie przekazuje jasny komunikat: Martwiłam się, że jesteś niezłą laską i będziesz chciała ukraść mi chłopaka i rozgościć się w jego łóżku, ale widzę, że nigdy by się tobą nie zainteresował, więc proszę, możesz wejść!

Teraz serdecznie się do mnie uśmiecha. Trudno, zniosę wszystko, byle zdobyć ten pokój. Nie uda jej się mnie zniechęcić. Nie ma pojęcia, jaka jestem zdesperowana.

– Mam na imię Kay – mówi, wyciągając rękę. Ma silny uścisk. – Jestem dziewczyną Leona.

– Domyśliłam się. – Uśmiecham się, żeby rozładować napięcie. – Miło cię poznać. Leon jest w…

Zaglądam do sypialni. Pozostaje jeszcze salon z aneksem kuchennym w rogu – to wszystko, co mieszkanie ma do zaoferowania.

– …łazience? – strzelam, bo widzę pustą sypialnię.

– Leon utknął w pracy – wyjaśnia Kay, prowadząc mnie do salonu.

Jest minimalistycznie urządzony i nieco niemodny, ale czysty, a tapeta z lat siedemdziesiątych bardzo mi się podoba. Założę się, że są ludzie, którzy płaciliby po osiemdziesiąt funtów za rolkę, gdyby zaczęli ją sprzedawać w Farrow & Ball. W części kuchennej wisi żyrandol, który nie pasuje do reszty wystroju, ale wygląda imponująco; skórzana sofa jest powycierana, telewizor nie jest podłączony, ale robi względnie przyzwoite wrażenie, a wykładzinę niedawno odkurzano. Wszystko wygląda obiecująco.

Może będzie dobrze. Może nawet będzie świetnie. Wyobrażam sobie siebie w tym mieszkaniu: jak wyleguję się na sofie, pichcę coś w kuchni. Myśl o dysponowaniu taką przestrzenią sprawia, że mam ochotę zatańczyć z radości. W porę się powstrzymuję. Kay nie sprawia wrażenia aż tak spontanicznej.

– Czyli nie… poznam Leona? – pytam i krzywię się, przypominając sobie najważniejszą zasadę dzielenia z kimś mieszkania, którą wyznaje Mo.

– Cóż, myślę, że w końcu może go poznasz – odpowiada Kay. – Ale to ze mną będziesz rozmawiała. Zajmuję się wynajmem mieszkania w jego imieniu. Nigdy nie będziecie tutaj przebywać w tym samym czasie. Będziesz miała mieszkanie do dyspozycji od osiemnastej do ósmej rano i przez całe weekendy. Na razie podpiszemy umowę na pół roku. Czy to ci odpowiada?

– Tak, właśnie czegoś takiego potrzebuję. – Przez chwilę milczę. – Więc… Leon nigdy nie będzie wpadał bez zapowiedzi? Poza ustalonymi godzinami?

– W żadnym wypadku – zapewnia Kay z miną kobiety, która zamierza o to zadbać. – Od osiemnastej do ósmej rano mieszkanie masz do wyłącznej dyspozycji.

– Świetnie. – Powoli wypuszczam powietrze, uspokajając motylki szalejące w brzuchu, po czym zaglądam do łazienki – to dobry sposób na ocenę jakości mieszkania. Wszystkie urządzenia są czyste i śnieżnobiałe. Widzę granatową zasłonę prysznicową, kilka równo ustawionych buteleczek z tajemniczymi męskimi kremami i płynami oraz porysowane, ale zdatne do użytku lustro. Doskonale. – Jestem zdecydowana. Jeśli wy chcecie mnie przyjąć.

Jestem pewna, że Kay się zgodzi, jeśli naprawdę to ona ma podjąć decyzję. Wiem to od chwili, gdy przyjrzała mi się w przedpokoju: jakiekolwiek kryteria wyboru współlokatora stosuje Leon, Kay wymaga tylko jednego, a ja najwyraźniej wpisuję się w kategorię „wystarczająco nieatrakcyjna”.

– Cudownie – odpowiada Kay. – Zadzwonię do Leona i dam mu znać.

# 6
# *Leon*

Kay: Jest idealna.

Jadę autobusem i co jakiś czas przymykam oczy. Rozkoszne powolne mrugnięcia, które tak naprawdę są krótkimi drzemkami.

Ja: Naprawdę? Nie jest męcząca?

Kay, poirytowanym głosem: Czy to ważne? Jest czysta, schludna i może się wprowadzić od zaraz. Jeśli naprawdę ci na tym zależy, to nie znajdziesz nikogo lepszego.

Ja: Nie zniechęcił jej dziwak mieszkający pod piątką? Ani rodzina lisów?

Chwila ciszy.

Kay: Nie wspomniała, by to jej przeszkadzało.

Rozkoszne powolne mrugnięcie. Muszę uważać, bo nie chcę obudzić się na końcu trasy i wracać kawał drogi. Zawsze mi to grozi po długim tygodniu.

Ja: Więc jaka ona jest?

Kay: Jest… ekscentryczna. Wykracza poza ramy. Miała na nosie duże okulary przeciwsłoneczne w rogowej oprawie, chociaż wciąż jest zima, a na butach wymalowała kwiaty. Ale najważniejsze, że jest spłukana i cieszy się, że znalazła pokój za taką cenę!

„Wykracza poza ramy” w języku Kay oznacza nadwagę. Wolałbym, żeby nie mówiła takich rzeczy.

Kay: Już tutaj jedziesz, zgadza się? Możemy o niej porozmawiać, kiedy będziesz na miejscu.

Po powrocie zamierzałem jak zwykle powitać Kay cmoknięciem w policzek, zdjąć robocze ubranie, napić się wody, paść na łóżko Kay i przespać całą wieczność.

Ja: Może wieczorem? Kiedy już się prześpię?

Cisza. Cisza pełna irytacji. (Jestem specjalistą od rodzajów milczenia Kay).

Kay: Czyli po powrocie od razu idziesz do łóżka.

Gryzę się w język. Powstrzymuję się przed szczegółowym zrelacjonowaniem jej swojego tygodnia.

Ja: Mogę się nie kłaść, jeśli koniecznie chcesz porozmawiać.

Kay: Ależ nie, przecież musisz się wyspać.

Już wiem, że się nie położę. Muszę jak najlepiej wykorzystać te krótkie drzemki, zanim autobus dotrze do Islington.

*

Chłodne powitanie ze strony Kay. Nieopatrznie wspominam o Richiem, co jeszcze bardziej obniża temperaturę. To pewnie moja wina. Zawsze kiedy o nim rozmawiamy, słyszę w głowie Wielką Kłótnię, zupełnie jakby Kay odtwarzała to samo nagranie za każdym razem, gdy wypowiada imię Richiego. Kiedy przyrządza śniadację (połączenie śniadania z kolacją, odpowiednie zarówno dla nocnych, jak i dziennych mieszkańców), przypominam sobie, jak skończyła się Wielka Kłótnia. Kay przeprosiła.

Kay: A więc zapytasz mnie o weekendy?

Wbijam w nią wzrok, zwlekając z odpowiedzią. Czasami mam trudności z mówieniem po ciężkiej nocy. Otwarcie ust w celu zrozumiałego wyrażenia myśli przypomina dźwiganie ciężkiego przedmiotu albo występujący w snach stan, gdy musisz biec, ale twoje nogi poruszają się wolno, jakby były zanurzone w syropie.

Ja: O co mam cię zapytać?

Kay przez chwilę milczy, trzymając w ręce patelnię z omletem. Wygląda bardzo ładnie w blasku zimowego słońca wpadającego przez kuchenne okno.

Kay: O weekendy. Gdzie zamierzasz je spędzać, z Tiffy w swoim mieszkaniu?

Aha, już rozumiem.

Ja: Miałem nadzieję, że będę mógł być tutaj. Przecież i tak jestem tutaj w każdy weekend, kiedy nie pracuję.

Kay się uśmiecha. Mam satysfakcjonujące poczucie, że powiedziałem to, co trzeba, ale już po chwili wypiera je niepokój.

Kay: Dobrze wiem, że zamierzałeś tutaj przyjeżdżać, ale chciałam, żebyś sam to powiedział.

Dostrzega moją rozbawioną minę.

Kay: Zazwyczaj spędzasz tutaj weekendy przypadkiem, a nie dlatego, że to zaplanowałeś. Nie dlatego, że oboje mamy taki plan na życie.

Słowo „plan” jest znacznie mniej przyjemne, gdy towarzyszą mu słowa „na życie”. Nagle bardzo się skupiam na swoim omlecie. Kay ściska mnie za ramię, przesuwa palcami w górę i dół karku, ciągnie mnie za włosy.

Kay: Dziękuję.

Czuję się winny, chociaż wcale nie wprowadziłem jej w błąd – rzeczywiście zakładałem, że będę tutaj spędzał każdy weekend, brałem to pod uwagę, gdy wynajmowałem pokój. Tylko że… nie traktowałem tego w taki sposób. W kategoriach planu na życie.

*

Druga w nocy. Kiedy po raz pierwszy dołączyłem do zespołu pracującego w hospicjum, noce po powrocie z dyżuru były stracone – siedziałem rozbudzony, czekając na świt. Ale teraz jest mój czas, przytłumiona cisza, w której reszta Londynu śpi albo zalewa się w trupa. Przyjmuję każdy nocny dyżur, jaki jest mi skłonny zaproponować koordynator – to najlepiej płatne dyżury, nie licząc weekendowych nocy, ale obiecałem Kay, że z tych zrezygnuję. Poza tym tylko w taki sposób to dzielenie się mieszkaniem może wypalić. Nie jestem pewny, czy w ogóle warto przestawiać się na tryb dzienny w weekendy, skoro będę pracował pięć nocy w tygodniu.

O drugiej zazwyczaj pisuję do Richiego. Przysługuje mu ograniczona liczba telefonów, ale

może dostawać dowolną ilość poczty.

W zeszły wtorek minęły trzy miesiące, odkąd został skazany. Nie wiem, w jaki sposób mam odliczać kolejne miesiące. Wznosząc toast? Rysując kolejną kreskę na ścianie? Richie zniósł to w miarę dobrze, ale Sal obiecywał mu, że wyciągnie go do lutego, więc teraz nie jest w najlepszym humorze.

Sal zapewne robi, co może, ale Richie jest niewinny i siedzi w więzieniu, więc nic nie poradzę, że czuję lekką niechęć do jego prawnika. Sal nie jest zły. Używa fachowych słów, nosi teczkę, nigdy w siebie nie wątpi – stosuje wszystkie prawnicze chwyty, żeby pocieszyć swojego klienta. Ale pomyłki się zdarzają. Na przykład niespodziewane wyroki skazujące.

Tylko jakie mamy wyjście? Żaden inny prawnik nie jest zainteresowany obroną Richiego za tak niską stawkę. Żaden inny prawnik nie zna sprawy i nie jest gotowy porozmawiać z Richiem w więzieniu, zresztą nie mamy czasu szukać nikogo nowego. Z każdym mijającym dniem Richie coraz bardziej się oddala.

To ja kontaktuję się z Salem, nigdy mama, co wymaga niekończących się wyczerpujących rozmów telefonicznych. Ale mama jest krzykliwa

i skora do oskarżeń, a Sal to wrażliwy gość i łatwo go zniechęcić, na co absolutnie nie możemy sobie pozwolić.

Nie jest mi z tym łatwo. Druga w nocy to fatalna pora na martwienie się kwestiami prawnymi. Najgorsza możliwa pora. Jeśli północ nazywa się godziną duchów, to druga w nocy jest godziną zmartwień.

Koniecznie potrzebuję przerwy, więc wpisuję w Google'u „Johnny White". Zaginiony ukochany pana Priora o szczęce hollywoodzkiej gwiazdy.

Jest wielu mężczyzn o tym imieniu i nazwisku. Jeden to czołowy kanadyjski wykonawca muzyki dance. Kolejny jest amerykańskim futbolistą. Obaj z pewnością nie walczyli w drugiej wojnie światowej i nie zakochali się w uroczym angielskim dżentelmenie.

A jednak internet stworzono właśnie w takim celu, czyż nie?

Wpisuję „Johnny White ofiary wojny", chociaż mam lekkie wyrzuty sumienia. Czuję się nielojalny wobec pana Priora, skoro zakładam, że Johnny nie żyje. Ale warto najpierw wyeliminować taką możliwość.

Znajduję stronę Find War Dead. Początkowo jestem lekko przerażony, ale w końcu dochodzę

do wniosku, że jest rewelacyjna – wszyscy są tutaj upamiętnieni. To cyfrowa wyszukiwarka nagrobków. Mogę szukać po nazwisku, pułku, wojnie, dacie urodzenia… Wpisuję „Johnny White” i zaznaczam drugą wojnę światową, ale nie mam żadnych dodatkowych informacji.

Siedemdziesięciu ośmiu Johnnych White’ów w siłach zbrojnych zginęło podczas drugiej wojny światowej.

Prostuję się na krześle. Wpatruję się w listę. John K. White. James Dudley Jonathan White. John White. John George White. Jon R.L. White. Jonathan Reginald White. John…

No dobrze. Nagle ogarnia mnie przytłaczająca pewność, że cudowny Johnny White pana Priora nie żyje, i żałuję, że nie ma podobnej bazy danych tych, którzy walczyli na wojnie, ale nie zginęli. Byłoby miło. Lista ocalałych. Jak to się często zdarza o drugiej w nocy, poraża mnie groza ludzkiej egzystencji i nasza skłonność do ludobójstwa.

Kay: Leon! Twój pager! Piszczy mi prosto do ucha!

Klikam na ikonę drukowania i zostawiam laptopa na sofie. Otwieram drzwi sypialni i zastaję Kay leżącą na boku z kołdrą na głowie i moim pagerem w wyciągniętej dłoni.

Chwytam pager. Chwytam telefon. Oczywiście mam wolne, ale załoga nie alarmowałaby mnie, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

Socha, młodsza lekarka: Leonie, chodzi o Holly.

Wkładam buty.

Ja: Co się stało?

Klucze! Klucze! Gdzie one są?

Socha: Dostała infekcji, wyniki badań nie wyglądają dobrze. Pyta o ciebie. Nie wiem, co robić, Leonie, doktor Patel nie odpowiada, lekarz dyżurny jest na nartach, a June nie udało się zorganizować zastępstwa, więc nie mam do kogo zadzwonić…

Znajduję klucze na dnie kosza z brudnymi ubraniami. Wspaniałe miejsce na ich przechowywanie. Ruszam do drzwi, powiewając sznurowadłami, podczas gdy Socha opowiada o liczbie białych krwinek…

Kay: Leon! Masz na sobie piżamę!

Cholera. To dlatego mi się wydawało, że uwinąłem się szybciej niż zwykle.

# 7
# *Tiffy*

A więc nowe mieszkanie jest dosyć… wypełnione. Przytulne.

– Zagracone – potwierdza Gerty, stając w jedynym wolnym miejscu w sypialni. – Jest zagracone.

– Wiesz, że cenię eklektyzm! – protestuję, rozkładając uroczą farbowaną narzutę na łóżko, którą znalazłam na jednym z targowisk w Brixton zeszłego lata. Bardzo się staram robić dobrą minę. Pakowanie swoich rzeczy i wyprowadzka od Justina były okropne, podróż samochodem tutaj trwała czterokrotnie dłużej, niż twierdził Google, a wnoszenie wszystkiego po schodach okazało się torturą. Potem musiałam odbyć długą pogawędkę z Kay podczas przekazania kluczy, chociaż marzyłam tylko o tym, by usiąść i delikatnie ocierać czoło, dopóki

nie uspokoję oddechu. To nie był przyjemny dzień.

– Omówiłaś to z Leonem? – pyta Mo, przysiadając na brzegu łóżka. – Chodzi mi o przywiezienie tutaj wszystkich swoich rzeczy.

Marszczę czoło. Oczywiście, że przywiozę swoje rzeczy! Czy w ogóle trzeba o tym rozmawiać? Wprowadzam się – to oznacza, że moje rzeczy muszą mieszkać tutaj razem ze mną. Gdzie indziej miałyby się znajdować? To moje stałe lokum.

Mimo wszystko zdaję sobie sprawę, że dzielę sypialnię z inną osobą, a ona również ma swoje rzeczy, które do tego weekendu zajmowały większą część pokoju. Niełatwo było wszystko pomieścić. Rozwiązałam kilka problemów, przenosząc niektóre przedmioty gdzie indziej – na przykład duża część moich świeczek stanęła na brzegach wanny, a moja wspaniała lampa lawowa znalazła godne miejsce w salonie – ale nie pogniewałabym się, gdyby Leon trochę posprzątał. Powinien to zrobić wcześniej – wypadało tak zrobić, skoro wiedział, że się wprowadzę.

Może powinnam była zawieźć część swoich rzeczy do rodziców. Ale większość z nich trzymałam u Justina i zabranie ich zeszłego

wieczoru sprawiło mi mnóstwo radości. Rachel żartowała, że kiedy znalazłam lampę, wyglądałam jak Andy z *Toy Story*, gdy ponownie spotkał się z Chudym, ale rzeczywiście towarzyszyły temu zaskakująco silne emocje. Przez chwilę siedziałam w przedpokoju, wpatrując się w różnokolorową stertę swoich ulubionych przedmiotów wysypujących się z szafki pod schodami, i czułam, że jeśli te poduszki znów odetchną świeżym powietrzem, ja również będę do tego zdolna.

Dzwoni mój telefon; to Katherin. Jest jedyną pisarką, która ma szansę dodzwonić się do mnie w sobotę, głównie dlatego, że zapewne chce mi opowiedzieć o czymś zabawnym, co zrobiła. Na przykład wrzuciła na Twittera swoje bardzo nieprzyzwoite zdjęcie z lat osiemdziesiątych, na którym pozuje z kimś, kto dziś jest ważnym politykiem, albo ufarbowała włosy swojej matce staruszce.

– Jak się miewa moja ulubiona redaktorka? – pyta, kiedy odbieram.

– Wprowadziłam się do nowego mieszkania! – odpowiadam, gestem prosząc Mo, żeby nastawił wodę. Sprawia wrażenie nieco zirytowanego, ale wykonuje polecenie.

– Świetnie! Doskonale! Co robisz w środę? – pyta Katherin.

– Tylko pracuję – odpowiadam, w myślach przeglądając swój kalendarz. Tak naprawdę na środę mam zaplanowane nużące spotkanie z redaktorką od międzynarodowych praw autorskich. Musi sprzedać za granicę debiutancką książkę byłego murarza, a obecnie modnego projektanta, którą kupiłam zeszłego lata. Kiedy nabyłam prawa do książki, dużo (choć mało konkretnie) opowiadałam o obecności autora w międzynarodowych mediach społecznościowych, lecz okazało się, że jest ona skromniejsza, niż twierdziłam. Redaktorka teraz bez przerwy mejluje do mnie z prośbami o „więcej szczegółów" i „konkretne dane dotyczące popularności na różnych obszarach". Doszło do tego, że nie mogę jej dłużej unikać, nawet dzięki maskującej ścianie roślin.

– Świetnie! – mówi Katherin podejrzanie entuzjastycznym głosem. – Mam dla ciebie znakomitą wiadomość.

– Naprawdę? – Liczę na wcześniejsze dostarczenie maszynopisu albo nagłą zmianę zdania w kwestii rozdziału o czapkach i szalikach. Groziła, że go usunie, co byłoby

katastrofą, ponieważ tylko ta część książki może zainteresować kupujących.

– Ludzie z Sea Breeze Away w ostatniej chwili przesunęli mój warsztat „Jak szybko szydełkować ubrania” na środowy rejs, więc jednak będziesz mi mogła pomóc.

Hm. Tym razem to będzie w ciągu dnia pracy, a poza tym przesunę kłopotliwą rozmowę o prawach do książki o co najmniej tydzień. Co wolę: wybrać się w rejs i razem z Katherin ubierać się w dziergane kamizelki czy wysłuchiwać pretensji redaktorki w pokoju bez okien?

– W porządku. Zrobię to.

– Serio?

– Serio – odpowiadam, przyjmując herbatę od Mo. – Ale nie będę nic mówiła. A ty nie szarp mnie tak jak poprzednio. Miałam siniaki przez kilka tygodni.

– Na tym polegają trudy życia modelki, czyż nie, Tiffy? – odpowiada Katherin, a ja mam dziwne wrażenie, że ze mnie drwi.

*

Wszyscy wyszli. Zostałam sama w swoim mieszkaniu.

Oczywiście przez cały dzień byłam wyjątkowo pogodna i nie dałam poznać Mo, Gerty ani Kay, że przez przeprowadzkę do mieszkania Leona czuję się nieswojo albo ulegam emocjom.

Ale rzeczywiście czuję się trochę nieswojo i znów mam ochotę się rozpłakać. Patrzę na swój uroczy farbowany kocyk, który leży w nogach łóżka, i myślę o tym, że zupełnie nie pasuje do poszwy na kołdrę Leona, którą zdobią czarne i szare pasy, a ja nie mogę nic z tym zrobić, ponieważ to tak samo jego łóżko, jak moje, kimkolwiek on jest, i to jego półnagie, a może nagie ciało leży pod tą kołdrą. Do tej pory nie zastanawiałam się nad logistyką spania w tym samym łóżku, a gdy już zaczęłam, wcale mi się to nie podoba.

Buczy mój telefon. To Kay.

**Mam nadzieję, że przeprowadzka przebiegła gładko. Możesz się częstować jedzeniem z lodówki (dopóki się nie zadomowisz i nie zrobisz zakupów). Leon prosił, żebyś spała po lewej stronie łóżka. Kay xx**

No i proszę. Już płaczę. To naprawdę dziwaczne. Kim w ogóle jest ten Leon? Dlaczego

jeszcze go nie spotkałam? Mam ochotę do niego zadzwonić, ale nie ulega wątpliwości, że Kay chce sama wszystko załatwić.

Pociągam nosem, ocieram oczy i podchodzę do lodówki. Jest zaskakująco pełna jak na mieszkanie kogoś, kto pracuje przez tyle godzin. Biorę dżem malinowy i margarynę, a następnie znajduję pieczywo nad tosterem. Okej.

**Cześć, Kay. Już się wprowadziłam, dzięki – mieszkanie jest bardzo przytulne!**
**Dziękuję za wskazówkę w sprawie stron łóżka**

Omawianie, kto ma spać po prawej, a kto po lewej stronie łóżka, jest odrobinę zbyt oficjalne jak na mój gust, ale wyczuwam, że Kay wolałaby, byśmy się wszyscy nadmiernie nie spoufalili.

Wysyłam kilka pytań na temat mieszkania – gdzie jest włącznik światła na zewnętrznym korytarzu, czy mogę podłączyć telewizor i tak dalej. Potem, z tostem w dłoni, wracam do sypialni i zastanawiam się, czy nie wykażę się zbytnią śmiałością, jeśli będę spała we własnej pościeli. Leon z pewnością zmienił pościel na świeżą, ale… co jeśli tego nie zrobił? Mój Boże, teraz już nie pozbędę się tej myśli. Będę musiała

to zrobić. Ściągam prześcieradło z materaca, mocno zaciskając powieki, jakbym bała się zobaczyć coś, czego nie chcę oglądać.

W porządku. Pościel Leona – zapewne czysta jak łza – jest w pralce, mój świeży zestaw leży na łóżku, a ja jestem lekko zdyszana po tym wysiłku. Pokój wygląda znacznie bardziej swojsko niż na początku. Owszem, narzuta na kołdrę nadal jest fatalna (czuję, że jej wymiana byłaby nieco zbyt bezczelna), a na półkach stoją dziwaczne książki (ani jednej pozycji o szyciu własnych ubrań, wkrótce to naprawię), ale wszędzie porozstawiałam swoje drobiazgi, powiesiłam sukienki w szafie i… tak, rozłożę koc, żeby zakrywał całą narzutę, przynajmniej na razie. Znacznie lepiej.

Kiedy podnoszę koc, pod łóżkiem zauważam czarny foliowy worek, z którego wysuwa się na podłogę coś wełnianego. Pewnie zapomniałam go rozpakować; wyciągam worek spod łóżka, żeby sprawdzić jego zawartość.

Jest pełen szalików. Niezwykłych wełnianych szalików. Nie należą do mnie, ale są przepięknie zrobione – takie posługiwanie się drutami i szydełkiem wymaga prawdziwego talentu. Powinny być moje. Choć jestem spłukana, wiele bym za nie zapłaciła.

Poniewczasie uświadamiam sobie, że grzebię w rzeczach Leona, i to takich, które trzyma pod łóżkiem, więc zapewne nie chce ich wszystkim pokazywać. Jeszcze przez kilka sekund kontempluję kunsztowny splot, a następnie wpycham worek z powrotem pod łóżko, starając się pozostawić go w takim samym ułożeniu. Ciekawe, co oznaczają te wszystkie ręcznie robione szaliki. Nikt nie trzyma tylu sztuk bez powodu.

Uświadamiam sobie, że Leon może być świrem. Samo przechowywanie szalików nie jest dziwaczne, ale możliwe, że to wierzchołek góry lodowej. Poza tym w worku jest ich całkiem sporo – co najmniej dziesięć. A jeśli je ukradł? Cholera. Może to trofea po zamordowanych kobietach?

Może jest seryjnym zabójcą. Zimowym zabójcą, który atakuje tylko wtedy, gdy ludzie noszą szaliki.

Muszę do kogoś zadzwonić. W towarzystwie tych szalików naprawdę czuję się wystraszona, a to z kolei nieco mnie wkurza.

– Co słychać? – pyta Rachel po odebraniu telefonu.

– Boję się, że Leon może być seryjnym zabójcą – oznajmiam.

– Dlaczego? Próbował cię zabić?

Rachel sprawia wrażenie nieco rozproszonej. Martwię się, że nie traktuje mnie wystarczająco poważnie.

– Nie, nie, jeszcze go nie spotkałam.

– Ale poznałaś jego dziewczynę, tak?

– Tak, a co?

– Myślisz, że ona wie?

– O czym?

– O morderstwach.

– Eee. Nie. Chyba nie? – Kay wydaje się bardzo zwyczajna.

– W takim razie babka jest bardzo mało spostrzegawcza. Tobie udało się znaleźć ślady już pierwszego wieczoru. Pomyśl, ile czasu ona tam spędza. Na pewno widziała te same ślady, a jednak nie wyciągnęła jedynego logicznego wniosku!

Zapada cisza. Argument Rachel jest zwodniczo prosty, ale bardzo przekonujący.

– Jesteś znakomitą przyjaciółką – odzywam się w końcu.

– Wiem. Nie ma za co. Ale muszę kończyć, jestem na randce.

– O Boże, przepraszam!

– Nic się nie stało, jemu to nie przeszkadza, prawda, Reggie? Mówi, że mu nie przeszkadza.

Na drugim końcu linii rozlega się stłumiony hałas. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy Rachel przypadkiem nie związała Reggiego.

– Już się wyłączam – mówię. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Nie, nie ciebie, Reggie, przymknij się.

# 8
# *Leon*

Holly podnosi buzię z zapadniętymi policzkami i patrzy na mnie zmęczonym wzrokiem. Sprawia wrażenie mniejszej. Jakby skurczyło się w niej wszystko – nadgarstki, kępki odrastających włosów – poza oczami.

Uśmiecha się słabo.

Holly: Byłeś tutaj w zeszły weekend.

Ja: Ciągle wracam. Potrzebowali mojej pomocy. Mają niedobory kadrowe.

Holly: To dlatego, że o ciebie poprosiłam?

Ja: Nic z tych rzeczy. Wiesz, że jesteś moją najmniej lubianą pacjentką.

Szerszy uśmiech.

Holly: Spędzałeś miły weekend ze swoją dziewczyną z krótkimi włosami?

Ja: Owszem.

Patrzy na mnie figlarnie. Nie chcę robić sobie nadziei, ale wygląda zdecydowanie lepiej – w zeszły weekend się tak nie uśmiechała.

Holly: Ale musiałeś ją zostawić z mojego powodu!

Ja: Niedobory kadrowe, Holly. Musiałem ją zos… przyjść do pracy ze względu na niedobory kadrowe.

Holly: Na pewno była zła, że wolisz mnie od niej.

Socha, młodsza lekarka, wygląda zza zasłony, żeby zwrócić moją uwagę.

Socha: Leonie.

Ja, do Holly: Zaraz wracam, rozbijaczko rodzin.

Ja, do Sochy: No i co?

Na jej twarzy pojawia się szeroki, zmęczony uśmiech.

Socha: Przyszły wyniki badań krwi. Antybiotyki wreszcie zaczęły działać. Przed chwilą rozmawiałam przez telefon ze szpitalem przy Great Ormond i powiedzieli, że skoro jej stan się poprawia, to nie musi wracać na oddział. Opieka społeczna się zgadza.

Ja: Antybiotyki działają?

Socha: Tak. Poziom białka C-reaktywnego i liczba białych krwinek spadają, temperatura

nie rośnie, stężenie mleczanu w normie. Podczas obserwacji nie zauważono niczego niepokojącego.

Natychmiast ogarnia mnie ulga. Nic nie może się równać z tym uczuciem, gdy ktoś wraca do zdrowia.

Świetny nastrój wywołany dobrymi wynikami badań Holly towarzyszy mi przez całą drogę do domu. Nastolatkowie palący skręta na rogu ulicy są aniołami. Cuchnący facet, który zdejmuje skarpety w autobusie, żeby podrapać się w stopy, wzbudza tylko szczere współczucie. Nawet największy wróg każdego londyńczyka, czyli powolny turysta, wywołuje jedynie pobłażliwy uśmiech.

Wchodząc do mieszkania, już planuję doskonałą kolację, którą zjem o dziewiątej rano. Najpierw zwracam uwagę na zapach. Mieszkanie wypełnia… kobieca woń. Jakby mieszanka dymu z kadzidełka i kwiatów.

Potem zauważam górę rupieci w moim salonie. Olbrzymie sterty książek oparte o kontuar. Poduszka w kształcie krowy leżąca na sofie. Lampa lawowa – lampa lawowa! – na stoliku. Co to ma być? Czy ta kobieta z Essex urządza pchli targ w naszym mieszkaniu?

Lekko oszołomiony, idę odłożyć klucze na stałe miejsce (kiedy akurat nie trzymam ich na dnie kosza z brudnymi ubraniami), ale okazuje się, że stoi tam skarbonka w kształcie żółtego psa z dziecięcych książeczek. Nie do wiary. Zmieniła wystrój mieszkania na nieporównywalnie gorszy. Dochodzę do wniosku, że zrobiła to rozmyślnie – taki brak gustu nie może być przypadkowy.

Próbuję sobie przypomnieć, co Kay mówiła mi o tej kobiecie. Jest… redaktorką w wydawnictwie? Wydaje się, że to praca dla kogoś rozsądnego, kto ma dobry gust. Kay z pewnością nie wspominała, że kobieta z Essex kolekcjonuje dziwaczne rupiecie. A jednak.

Opadam na leżącą w pobliżu poduchę z kulkami i przez chwilę na niej siedzę. Myślę o trzystu pięćdziesięciu funtach, których w przeciwnym razie nie byłbym w stanie zapłacić Salowi w tym miesiącu. Dochodzę do wniosku, że nie jest tragicznie – na przykład ta poducha jest świetna: ozdobiona wzorem barwnych płatków i niezwykle wygodna. A lampa lawowa jest komiczna. Kto w dzisiejszych czasach trzyma coś takiego?

Zauważam swoją pościel rozwieszoną na suszarce w kącie pokoju. Wkurzam się, ponieważ

sporo się napracowałem, by ją uprać, i spóźniłem się przez to na dyżur. Ale muszę pamiętać, że ta irytująca kobieta z Essex tak naprawdę mnie nie zna. Nie wiedziała, że nigdy nie wpuściłbym nieznajomej osoby do swojego łóżka, gdybym wcześniej nie uprał pościeli.

Ech. Jak będzie wyglądała sypialnia?

Zbieram się na odwagę i wchodzę. Wydaję z siebie zduszony jęk. Mam wrażenie, że ktoś tutaj zwymiotował tęczą i perkalem, pokrywając wszystkie powierzchnie kolorami, które nie występują razem w naturze. Na łóżku leży koszmarny koc przeżarty przez mole. Olbrzymia beżowa maszyna do szycia zajmuje większą część biurka. No i ubrania… wszędzie są ubrania.

Ta kobieta ma więcej ciuchów niż spory sklep. Najwyraźniej nie wystarczyła jej połowa szafy, którą dla niej zwolniłem, więc rozwiesiła sukienki na drzwiach, wzdłuż ściany – na starej listwie pod sufitem, co w sumie jest dość pomysłowe – oraz na oparciu teraz już niemal niewidocznego krzesła pod oknem.

Mam ochotę zadzwonić do niej i tupnąć nogą, ale w końcu dochodzę do wniosku, że byłoby to niezręczne, a za kilka dni i tak przestanie mi to przeszkadzać. Pewnie nawet nie będę już niczego zauważać. A jednak w tej chwili mam jak

najgorsze zdanie o kobiecie z Essex. Już mam wrócić na wygodną poduchę, gdy zauważam, że spod łóżka wystaje worek z szalikami, które zrobił dla mnie pan Prior.

Zapomniałem o nich. Kobieta z Essex może mnie uznać za dziwaka, jeśli znajdzie pod łóżkiem torbę z czternastoma szalikami zrobionymi na drutach. Od dawna planuję oddać je na cele dobroczynne, ale ona oczywiście o tym nie wie. Nie miałem jeszcze okazji jej poznać i nie chciałbym, żeby pomyślała, że jestem, no wiecie. Kolekcjonerem szalików albo kimś w tym rodzaju.

Chwytam długopis, bazgrzę DLA BIEDNYCH na samoprzylepnej karteczce i przytwierdzam ją do worka. Załatwione. To przypomnienie dla mnie, na wypadek gdyby wypadło mi z głowy.

A teraz z powrotem na poduchę, żeby zjeść kolację, a potem do łóżka. Jestem taki zmęczony, że nawet paskudna farbowana narzuta zaczyna wyglądać atrakcyjnie.

# 9
# *Tiffy*

A więc jestem. Na lodowatym nabrzeżu. Ubrana w „neutralny strój, w którym będę mogła pracować”, jak twierdzi Katherin, uśmiechając się do mnie promiennie, podczas gdy wiatr chłoszcze jej policzki słomkowymi włosami. Czekamy, aż marynarze zabezpieczą luki statku brezentem, zwrócą żagle w stronę wiatru, czy co tam muszą zrobić, zanim wpuszczą ludzi na pokład.

– Masz idealne proporcje do tej pracy – przekonuje Katherin. – Jesteś moją ulubioną modelką, Tiffy. Naprawdę. Zrobimy prawdziwą furorę.

Unoszę jedną brew i spoglądam na morze. Nie widzę tłumu innych modelek, w których Katherin mogłaby przebierać. Ponadto przez lata zaczęło mnie męczyć, gdy ludzie chwalą moje

„proporcje”. Tak naprawdę stanowię odwrotność mieszkania Gerty i Mo – jestem o dwadzieścia procent większa od typowej kobiety, we wszystkich kierunkach. Moja matka lubi mawiać, że mam „grube kości”, ponieważ mój ojciec w młodości był drwalem. (Czyżby? Wiem, że jest stary, ale czy drwale nie występują tylko w bajkach?). Nie mogę spokojnie wejść do pomieszczenia, aby ktoś uczynny nie poinformował mnie, że jestem bardzo wysoka jak na kobietę.

Czasami ludzi to drażni, jakbym rozmyślnie zajmowała więcej miejsca, niż mi przydzielono, a czasami im przeszkadza, zwłaszcza gdy przywykli do patrzenia z góry na kobiety, z którymi rozmawiają, ale przeważnie tylko muszę wysłuchiwać komplementów dotyczących moich „proporcji”. Myślę, że tak naprawdę chcą powiedzieć: „Kurczę, jesteś duża, ale wcale nie taka gruba!” albo „Brawo, jesteś wysoka, ale nie koścista!”. A może: „Wprowadzasz zamęt w moje postrzeganie płci, ponieważ jesteś bardzo kształtną kobietą, mimo że masz wzrost i szerokość typowego mężczyzny!”.

– Takie kobiety uwielbiali Sowieci – dodaje Katherin, ignorując moją uniesioną brew. – Umieszczali je na plakatach pokazujących

kobiety, które pracowały w polu, gdy mężczyźni byli na wojnie.

– Radzieckie kobiety nosiły dużo ciuchów wydzierganych szydełkiem? – pytam lekko nerwowo. Pada mżawka, a morze wygląda zupełnie inaczej z zatłoczonego nabrzeża – jest znacznie mniej oszałamiające niż przy plaży. Zmienia się w wielki lodowaty słony zbiornik. Ciekawe, jak ciepło jest teraz redaktorce od zagranicznych praw, która uczestniczy w zebraniu dotyczącym naszych wiosennych tytułów.

– Możliwe, możliwe – odpowiada Katherin z namysłem. – Dobry pomysł, Tiffy! Jak sądzisz, w następnej książce powinnam zamieścić rozdział o historii szydełkowania?

– Nie – odpowiadam stanowczo. – To się nie spodoba czytelnikom.

W przypadku Katherin trzeba dusić złe pomysły w zarodku. A w tej kwestii z pewnością się nie mylę. Nikogo nie interesuje historia – ludzie szukają pomysłów na nowy ciuszek, który będą mogli podarować swojemu śliniącemu się wnuczkowi.

– Ale…

– Zapoznaję cię z brutalną naturą rynku, Katherin – odpowiadam. To jeden z moich

ulubionych tekstów. Stary dobry rynek, zawsze można zrzucić na niego winę. – Czytelnicy nie szukają historii w książkach o szydełkowaniu. Chcą ładnych ilustracji i przystępnych instrukcji.

Kiedy już sprawdzono wszystkie nasze dokumenty, wchodzimy na pokład. Nie da się stwierdzić, gdzie kończy się nabrzeże, a gdzie zaczyna statek – czuję się, jakbyśmy weszły do budynku, i doznaję lekkich zawrotów głowy, gdy podłoga porusza się pod moimi stopami. Sądziłam, że czeka nas inne, ciekawsze powitanie, skoro jesteśmy specjalnie zaproszonymi gośćmi, ale tłoczymy się z resztą pasażerów. Oczywiście wszyscy są co najmniej dwudziestokrotnie bogatsi ode mnie i znacznie lepiej ubrani.

Statek jest zaskakująco niewielki – ma najwyżej rozmiary Portsmouth, a nie Londynu. Ktoś grzecznie zagania nas do kąta „strefy rozrywki”, gdzie mamy czekać na sygnał. Rozstawimy się, kiedy goście skończą lunch.

Nam nikt nie proponuje posiłku. Katherin oczywiście zabrała kanapki. Wszystkie są z sardynkami. Radośnie proponuje mi połowę. To miło z jej strony, a mnie tak bardzo burczy w brzuchu, że w końcu przyznaję się do porażki i przyjmuję poczęstunek. Jestem niespokojna.

Ostatnia moja podróż statkiem to rejs po greckich wyspach razem z Justinem. Wtedy promieniowałam miłością i seksualnymi hormonami. Teraz, skulona w kącie z trzema torbami pełnymi drutów, szydełek i wełny, w towarzystwie byłej hipiski i kanapki z sardynkami, nie mogę dłużej zaprzeczać, że moje życie uległo pogorszeniu.

– Jaki mamy plan? – pytam Katherin, skubiąc skórkę kanapki. Rybi smak nie jest taki zły na brzegach. – Co muszę robić?

– Najpierw pokażę na tobie, jak należy dokonywać pomiarów – wyjaśnia Katherin. – Potem opowiem o podstawowych ściegach dla początkujących i wykorzystam wcześniej przygotowane robótki, żeby zademonstrować kilka sztuczek pozwalających samodzielnie wykonać idealnie dopasowany strój! No i oczywiście pokażę im swoich pięć najlepszych sztuczek dotyczących mierzenia w biegu.

„Mierzenie w biegu” to jedno z ulubionych powiedzeń Katherin. Jak dotąd się nie przyjęło.

Kiedy wreszcie przychodzi pora rozpoczęcia warsztatów, zbiera się spory tłum. Katherin zna się na rzeczy – zapewne w dawnych czasach ćwiczyła podczas wieców. Większość chętnych to starsze panie z mężami, ale pojawia się też kilka

dwudziesto- i trzydziestolatek, a nawet dwóch facetów. Jestem zmotywowana. Może Katherin ma rację, że szydełkowanie wraca do łask.

– Oklaski dla mojej ślicznej asystentki! – woła Katherin, jakbyśmy przygotowały magiczny pokaz. Tak naprawdę iluzjonista, który rozstawił się w drugim kącie strefy rozrywki, sprawia wrażenie naburmuszonego.

Wszyscy posłusznie mnie oklaskują. Staram się wyglądać na radosną miłośniczkę szydełkowania, ale wciąż mi zimno i czuję się niekomfortowo w neutralnym ubraniu – białych dżinsach, szarym T-shircie i uroczym różowym rozpinanym swetrze. Mogłabym przysiąc, że w zeszłym roku go sprzedałam, ale dziś rano niespodziewanie odkryłam go w swojej szafie. To jedyny kolorowy element mojego stroju i już widzę, że Katherin zaraz…

– Zdejmujemy sweter! – rzuca, ściągając go ze mnie. Czuję się upokorzona. No i marznę. – Wszyscy uważają? Proszę schować telefony! Podczas zimnej wojny jakoś wytrzymywaliśmy bez zaglądania na Facebooka co pięć minut, prawda? Hm? No właśnie, warto czasem spojrzeć z innej perspektywy! Proszę schować telefony, właśnie tak!

Próbuję się nie śmiać. Oto typowa Katherin – zawsze powtarza, że odwołania do zimnej wojny zmuszają ludzi do posłuszeństwa.

Zaczyna mnie mierzyć – szyję, ramiona, biust, talię, biodra – a ja uświadamiam sobie, że moje wymiary są właśnie odczytywane sporej grupie ludzi, co jeszcze bardziej mnie rozśmiesza. Klasyczna sytuacja – nie wolno ci się śmiać i nagle jest to coś, co pragniesz robić ponad wszystko.

Katherin rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie, kiedy mierzy moje biodra, rozprawiając o tym, że plisowanie powinno stworzyć wystarczająco dużo „miejsca na pośladki". Niewątpliwie czuje, że moje ciało zaczyna drżeć od wstrzymywanego śmiechu. Wiem, że muszę zachowywać się jak zawodowiec. Wiem, że nie mogę teraz parsknąć śmiechem, ponieważ zburzyłabym jej autorytet. Ale… tylko popatrzcie. Tamta staruszka właśnie zapisała w swoim notesiku obwód mojego uda. A tamten gość z tyłu wygląda…

Tamten gość z tyłu… Tamten…

To Justin.

Kiedy go zauważam, cofa się i miesza z tłumem. Ale przedtem patrzy mi w oczy. Przeszywa mnie dreszcz, ponieważ to nie jest zwyczajny kontakt wzrokowy. Jego spojrzenie

jest bardzo charakterystyczne. Tak samo patrzysz na kogoś, gdy rzucacie dwudziestkę na stół i wychodzicie z pubu, żeby migdalić się w taksówce. Albo kiedy odstawiacie kieliszki po winie i wspinacie się po schodach do sypialni.

To seksualny kontakt wzrokowy. On rozbiera mnie wzrokiem. Mężczyzna, który porzucił mnie kilka miesięcy temu, nie odbierał telefonu i zapewne jest na tym statku razem ze swoją narzeczoną… Patrzy na mnie w taki sposób. Czyni mnie bardziej bezbronną niż wszystkie te staruszki z notesikami. Czuję się całkowicie obnażona.

# 10
# *Leon*

Ja: Mogliście się odnaleźć. Miłość zwycięża, panie Prior! Miłość zwycięża!

Pan Prior nie jest przekonany.

Pan Prior: Bez obrazy, chłopcze, ale nie było cię tam – to tak nie działa. Oczywiście zdarzały się piękne historie dziewcząt, które myślały, że ich chłopcy zginęli, a po powrocie do domu spotykały ich na ścieżce, ubranych w mundur, rześkich jak skowronek… ale na każdą taką historię przypadały setki ukochanych, którzy nie wrócili. Johnny zapewne nie żyje, a nawet jeśli przeżył, to już dawno związał się z jakimś panem albo panią i o mnie zapomniał.

Ja: Przecież powiedział pan, że nie ma go na tej liście.

Wskazuję wydrukowaną listę poległych na wojnie, niepewny, dlaczego tak się uparłem. Pan

Prior nie prosił, żebym szukał Johnny'ego; tylko za nim tęsknił. Wspominał go.

Ale widuję tutaj wielu starszych ludzi. Jestem przyzwyczajony do wspomnień i tęsknoty. Czułem, że to coś innego. Czułem, że pan Prior ma do załatwienia jakieś niedokończone sprawy.

Pan Prior: Rzeczywiście, nie ma go. Ale z drugiej strony jestem stary i pamięć już mi nie dopisuje, a ten twój system komputerowy to jakaś nowinka, więc obaj możemy się mylić, prawda?

Uśmiecha się delikatnie, jakbym robił to dla siebie, nie dla niego. Dokładniej mu się przyglądam. Myślę o tych wszystkich wieczorach, gdy przychodziłem, by paplać o gościach odwiedzających innych pacjentów, a pan Prior siedział cicho w kącie z dłońmi na kolanach i grymasem na pomarszczonej twarzy, jakby starał się ukryć smutek.

Ja: Proszę to zrobić dla mnie. Niech pan mi poda więcej faktów. Pułk? Miejsce urodzenia? Znaki szczególne? Członkowie rodziny?

Pan Prior podnosi na mnie oczy jak paciorki. Wzrusza ramionami. Uśmiecha się. Jego wysuszona jak papier, pokryta plamami twarz wykrzywia się, a na szyi ukazuje się wyraźna jak tatuaż linia opalenizny, powstała przez

dziesięciolecia noszenia koszul o kołnierzykach identycznej szerokości.

Lekko kręci głową, jakby już się szykował, by komuś opowiedzieć, jacy stuknięci są współcześni pielęgniarze, ale zaczyna mówić.

*

Czwartek rano. Dzwonię do mamy z autobusu, żeby odbyć krótką, trudną rozmowę.

Mama, zmęczona: Już coś wiadomo?

Tak wyglądają nasze powitania od miesięcy.

Leon: Przykro mi, mamo.

Mama: Mam zadzwonić do Sala?

Leon: Nie, nie. Ja się tym zajmę.

Długa, smutna cisza. Nurzamy się w niej. Aż w końcu:

Mama, z wysiłkiem: Przepraszam, kochanie, a co u ciebie?

W domu czeka na mnie miła niespodzianka: domowego wypieku chlebek owsiany na kredensie. Jest pełen kolorowych suszonych owoców i nasion, jakby kobieta z Essex koniecznie musiała mieszać gryzące się ze sobą barwy nawet podczas gotowania, ale przestaje mi to przeszkadzać, gdy zauważam liścik obok tacy.

*Częstuj się! Mam nadzieję, że miałeś ~~udany dzień~~ udaną noc. Tiffy x*

Znakomite wieści. Z pewnością zniosę sterty rupieci i tandetne lampy za trzysta pięćdziesiąt funtów miesięcznie plus darmowe żarcie. Biorę duży kawałek chlebka i siadam, żeby napisać do Richiego i przekazać mu najnowsze wieści o Holly. W listach do niego nazywam ją „Łotrzycą" i przedstawiam w nieco karykaturalny sposób – jako bardziej bystrą, złośliwą i przemądrzałą. Machinalnie sięgam po kolejny kawałek chlebka, wypełniając drugą stronę opisami najdziwniejszych przedmiotów należących do kobiety z Essex. Niektóre są tak absurdalne, że Richie chyba mi nie uwierzy. Żelazko w kształcie Iron Mana. Buty klauna, które wiszą na ścianie jako dzieło sztuki. Kowbojki z ostrogami, które najwyraźniej regularnie wkłada, biorąc pod uwagę, jak bardzo są znoszone.

Naklejając znaczek, zauważam, że zjadłem cztery kawałki chlebka. Mam nadzieję, że pisała szczerze, kiedy kazała mi się „częstować". Korzystając z tego, że trzymam w dłoni długopis, bazgrzę na odwrocie jej liściku.

*Dzięki. Był taki pyszny, że niechcący zjadłem prawie wszystko.*

Przerywam na chwilę pisanie. Czuję, że powinienem się jakoś zrewanżować. Na tacy już prawie nic nie zostało.

*Dzięki. Był taki pyszny, że niechcący zjadłem prawie wszystko. W lodówce jest resztka strogonowa z pieczarkami, jeśli potrzebujesz czegoś na kolację (skoro prawie nic nie zostawiłem z Twojego chlebka). Leon*

Teraz muszę tylko przyrządzić strogonowa z pieczarkami.

*

To niejedyny liścik, jaki zostawiła dla mnie rano. Kolejny wisi na drzwiach łazienki.

*Cześć, Leonie!*
*Proszę, czy mógłbyś opuszczać klapę od sedesu?*

*Obawiam się, że nie umiem napisać tej wiadomości w taki sposób, by nie zabrzmiała agresywnie – serio, jest coś dziwnego w liścikach, kiedy biorę do ręki długopis i kartkę, od razu zmieniam się w złośnicę – ale udaję, że jest inaczej. Mogę dodać kilka uśmiechniętych buziek, żeby skuteczniej do Ciebie dotrzeć.*

*Tiffy x*

Pod tekstem ciągnie się cały rząd uśmiechniętych buziek.

Parskam śmiechem. Jedna buźka ma resztę ciała i sika w stronę narożnika karteczki. Tego się nie spodziewałem. Sam nie wiem, z jakiego powodu – w końcu nie znam tej kobiety – ale sądziłem, że nie ma poczucia humoru. Może dlatego, że wszystkie jej książki dotyczą DIY.

# 11
# *Tiffy*

– To absurd.

– Wiem – przyznaję.

– To wszystko?! – wrzeszczy Rachel. Wzdrygam się. W nocy wypiłam butelkę wina, z nerwów upiekłam chlebek i prawie nie zmrużyłam oka. Krzyki mnie drażnią.

Siedzimy w „przestrzeni kreatywnej” w pracy – przypomina pozostałe dwie sale konferencyjne w budynku Butterfingers Press, tylko że niestety nie ma drzwi (aby podkreślić atmosferę otwartości), a na ścianach wiszą tablice suchościeralne. Ktoś kiedyś z nich korzystał; notatki z jakiegoś spotkania, sporządzone wyschniętym markerem, są całkowicie nieczytelne. Rachel wydrukowała układ stron, o którym mamy rozmawiać, i rozłożyła kartki na stole. To te cholerne *Pyszne ciasta i basta* i nie da

się ukryć, że byłam skacowana i bardzo się śpieszyłam, kiedy robiłam pierwszą redakcję.

– Chcesz mi powiedzieć, że zobaczyłaś Justina na statku wycieczkowym, rzucił ci spojrzenie mówiące: „Chcę cię zerżnąć”, a ty zajęłaś się swoimi sprawami i więcej go nie widziałaś?

– Wiem – powtarzam żałośnie.

– Absurd! Dlaczego nie próbowałaś go znaleźć?

– Bo byłam zajęta z Katherin! A skoro już o niej mowa, to zrobiła mi krzywdę – mówię, odchylając poncho, żeby pokazać wściekle czerwony ślad w miejscu, w które Katherin dźgnęła mnie podczas pokazu.

Rachel zerka na niego pobieżnie.

– Mam nadzieję, że w zamian za to zgodziła się wcześniej dostarczyć maszynopis – mówi. – Jesteś pewna, że to był Justin? A nie jakiś inny biały koleś z brązowymi włosami? Wiesz, na statku wycieczkowym chyba jest…

– Rachel, wiem, jak wygląda Justin.

– Jasne – odpowiada, rozkładając ręce, aż kartki ślizgają się po blacie. – Nie mogę w to uwierzyć. Co za rozczarowanie. Naprawdę myślałam, że ta opowieść zakończy się seksem w kajucie! Albo na pokładzie. Albo… albo… albo na środku oceanu, na tratwie ratunkowej!

Tak naprawdę przez resztę pokazu byłam sparaliżowana i spanikowana, rozpaczliwie udawałam, że słucham poleceń Katherin – „Ręce w górę, Tiffy!”, „Uważaj na włosy, Tiffy!” – jednocześnie nie spuszczając wzroku z tłumu. Zastanawiałam się, czy sobie tego nie wyobraziłam. Czy to w ogóle możliwe, do diabła? Wiem, że gość lubi wypływać w rejsy, ale to bardzo duży kraj. Wokół niego pływa cała masa statków.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tym spojrzeniu – prosi Rachel.

– Och, nie potrafię tego wyjaśnić – odpowiadam, opierając się czołem o kartki na stole. – Po prostu… znam to spojrzenie z czasów, gdy byliśmy razem. – Skręca mnie w żołądku. – Było takie nieprzyzwoite. Mój Boże, przecież jego dziewczyna… to znaczy narzeczona…

– Zobaczył cię z drugiego końca zatłoczonej sali, w połowie rozebraną, cudownie naturalną, w towarzystwie ekscentrycznej pisarki w średnim wieku… i przypomniał sobie, dlaczego kiedyś miał na ciebie taki apetyt – podsumowuje Rachel. – Właśnie tak było.

– To nie tak… – Ale co naprawdę się stało? Coś na pewno. Tamto spojrzenie to nie przypadek. Czuję niespokojne mrowienie pod żebrami.

Chociaż rozmyślałam o tym całą noc, wciąż nie wiem, jak się z tym czuję. Przez moment pojawienie się Justina na statku wycieczkowym i skrzyżowanie spojrzeń wydaje mi się niezwykle romantyczne i znaczące, ale już po chwili cała drżę i jest mi niedobrze. W drodze do domu także byłam roztrzęsiona – już dawno samotnie nie wyjeżdżałam z Londynu, nie licząc odwiedzin u rodziców. Justin bardzo przejmował się tym, że stale mylę pociągi, i był na tyle miły, że na wszelki wypadek mi towarzyszył. Kiedy czekałam samotnie na ciemnym dworcu w Southampton, byłam pewna, że wyląduję w pociągu jadącym na przykład na Hebrydy.

Sprawdzam telefon – na „zebranie” z Rachel zaplanowałam tylko pół godziny, a potem koniecznie muszę zredagować pierwsze trzy rozdziały książki Katherin.

Mam jedną nową wiadomość.

**Jak miło było Cię wczoraj zobaczyć.**
**Byłem tam w sprawach zawodowych,**
**a kiedy zobaczyłem w programie**
**„Katherin Rosen i asystentka”,**
**pomyślałem sobie, hej, to na pewno Tiffy.**
**Tylko Ty potrafisz się śmiać, gdy ktoś**
**odczytuje na głos Twoje wymiary –**

**większość dziewczyn byłaby wściekła. Ale właśnie to czyni Cię wyjątkową. J xx**

Drżącą ręką wyciągam telefon w stronę Rachel. Wstrzymuje oddech i zakrywa usta dłońmi.

– On cię kocha! Ten facet wciąż jest w tobie zakochany!

– Uspokój się, Rachel – odpowiadam, chociaż moje serce próbuje wyskoczyć przez krtań. Mam wrażenie, że się duszę, a zarazem wciągam za dużo powietrza.

– Możesz mu odpisać, że właśnie przez takie komentarze kobiety przywiązują zbyt wielką wagę do swoich wymiarów? A pisząc, że „większość dziewczyn byłaby wściekła", pogłębia kobiecy problem z postrzeganiem własnego ciała oraz nastawia kobiety przeciwko sobie, co stanowi jeden z najpoważniejszych problemów, przed jakimi stoi współczesny feminizm.

Patrzę na nią spod przymrużonych powiek, a ona posyła mi szeroki uśmiech.

– Albo możesz po prostu odpisać: „Dzięki, wpadnij do mnie i przez całą noc pokazuj mi, jaka jestem wyjątkowa".

– Nie wiem, po co z tobą rozmawiam.

– Albo ze mną, albo z Martinem – zauważa, zbierając kartki. – Zajmę się tymi zmianami. A ty leć odzyskać swojego faceta, zgoda?

*

– Nie – odpowiada natychmiast Gerty. – Nie pisz tak do niego. To śmieć, który traktował cię jak gówno, próbował izolować od przyjaciół i niemal na pewno cię zdradzał. Nie zasługuje na tak serdeczną wiadomość.

Zapada cisza.

– Skąd w ogóle pomysł, żeby tak mu odpisać, Tiffy? – pyta Mo, jakby tłumaczył słowa Gerty.

– Po prostu… chciałam z nim porozmawiać. – Mój głos brzmi bardzo cicho. Zaczyna mnie ogarniać zmęczenie. Siedzę zwinięta na poduszce z kulkami, popijam gorącą czekoladę, a Mo i Gerty spoglądają na mnie z wyżyn sofy z wyraźną troską (chociaż Gerty tak naprawdę wygląda tylko na rozzłoszczoną).

Gerty ponownie odczytuje roboczą wersję mojej wiadomości.

– „Cześć, Justinie. Tak się cieszę, że piszesz. Szkoda, że nie udało nam się porozmawiać, chociaż płynęliśmy tym samym statkiem!”. A potem dwa buziaki.

– On tak zakończył swoją wiadomość – bronię się.

– Buziaki to ostatni punkt na liście rzeczy, które trzeba zmienić w tej wiadomości – stwierdza Gerty.

– Jesteś pewna, że chcesz znów nawiązać z nim kontakt, Tiffy? Mam wrażenie, że jesteś bardziej sobą, odkąd wyprowadziłaś się z jego mieszkania – mówi Mo. – Możliwe, że to nie przypadek. – Wzdycha, kiedy nie odpowiadam. – Wiem, że jest ci trudno o nim myśleć, ale nawet jeśli znajdziesz milion wymówek dla jego innych zachowań, nie możesz zignorować faktu, że zostawił cię dla innej kobiety.

Wzdrygam się.

– Wybacz, ale tak było, a nawet jeśli już się z nią rozstał, na co nie mamy żadnych dowodów, to jednak do niej odszedł. Nie możesz tego wymazać ani udawać, że to twoja wyobraźnia, ponieważ poznałaś Patricię. Przeczytaj ponownie tamtą wiadomość na Facebooku. Przypomnij sobie, co czułaś, gdy pojawił się z nią w mieszkaniu.

Och. Dlaczego ludzie wciąż mówią mi rzeczy, których nie chcę usłyszeć? Tęsknię za Rachel.

– Jak sądzisz, o co mu chodzi, Tiffy? – pyta Mo. Naciska tak mocno, że nagle zaczynam się wić

jak piskorz.

– Chce być miły. Próbuje odnowić kontakt.

– Nie prosił o spotkanie – zauważa Mo.

– A z tego, co mówiłaś, spojrzenie, które ci posłał, nie było po prostu przyjacielskie – dodaje Gerty.

– Nie… – To prawda. Jego oczy nie mówiły: „Cześć, bardzo za tobą tęskniłem, chciałbym znów z tobą porozmawiać”. A jednak… coś mówiły. To prawda, że nie mogę zignorować narzeczonej, ale nie mogę także zignorować tamtego spojrzenia. Co ono oznaczało? Jeśli chce… jeśli chce znów ze mną być…

– Zgodziłabyś się? – pyta Gerty.

– Na co? – pytam, żeby zyskać na czasie.

Nie odpowiada. Dobrze mnie zna.

Myślę o tym, jak przeraźliwie nieszczęśliwa byłam przez ostatnie kilka miesięcy, jak trudno było pożegnać się z jego mieszkaniem. Jak wiele razy wyszukiwałam Patricię na Facebooku i płakałam nad klawiaturą laptopa, aż w końcu zaczynałam się bać porażenia prądem.

Miałam niezwykłe szczęście, że z nim byłam. Z Justinem nie sposób było się nudzić. Nasze życie przypominało przejażdżkę na karuzeli; lataliśmy z kraju do kraju, próbowaliśmy wszystkiego, siedzieliśmy do czwartej rano, po

czym wspinaliśmy się na dach, żeby obejrzeć wschód słońca. Owszem, często się kłóciliśmy, a ja popełniłam masę błędów w tym związku, ale przeważnie czułam się prawdziwą szczęściarą. Bez niego jestem… zagubiona.

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale duża część mnie tego pragnie.

– Nie przejmuj się. – Gerty zwinnie wstaje i głaszcze mnie po głowie. – Nie pozwolimy ci.

# 12
# *Leon*

*Cześć, Leonie!*

*No dobrze, przyznaję się – tak naprawdę piekę z nerwów. Kiedy jestem przygnębiona albo jest mi trudno, zabieram się do pieczenia. O co w tym chodzi? Zmieniam negatywne uczucia w pyszne, kaloryczne dobro. Dopóki nie czuć mojego smutku w cieście, nie ma sensu pytać, dlaczego w tym tygodniu każdego dnia coś piekę.*

*A robię to, ponieważ mój były chłopak pojawił się na moim statku wycieczkowym*, popatrzył na mnie wymownie, a potem wyniósł się w cholerę. Dlatego jestem taka zakręcona. Wysłał mi słodkiego esemesa, w którym napisał, że jestem wyjątkowa, a ja mu nie odpowiedziałam. Chciałam, tylko*

*moi przyjaciele mnie od tego odwiedli. Irytują mnie, ale zazwyczaj mają rację.*

*W każdym razie właśnie dlatego musiałeś zjeść tyle ciasta.*

*Tiffy x*

** To nie jest mój statek wycieczkowy. Bez obrazy, ale nie dzieliłabym z Tobą sypialni, gdybym mogła sobie pozwolić na własny statek. Mieszkałabym w szkockim zamku z kolorowymi wieżyczkami.*

*Cześć, Tiffy!*

*Przykro mi słyszeć o Twoim byłym. Domyślam się po reakcjach Twoich przyjaciół, że nie uważają go za dobrą partię dla Ciebie – a czy Ty tak o nim myślisz?*

*Popieram całym sercem, jeśli będzie z tego ciasto.*

*Leon*

*Cześć, Leonie!*

*Nie wiem – naprawdę się nad tym nie zastanawiałam. Moja odruchowa odpowiedź to tak, jest dla mnie odpowiedni. Ale nie jestem pewna. Różnie nam się układało, byliśmy jedną z tych par,*

*o których ciągle się plotkuje (już wcześniej kilka razy się rozstawaliśmy i schodziliśmy). Chętniej zapamiętujemy to, co dobre – a przeżyliśmy razem mnóstwo cudownych chwil – ale mam wrażenie, że odkąd się rozstaliśmy, wspominam tylko takie czasy. Wiem, że świetnie się z nim bawiłam. Ale czy był dla mnie odpowiedni? Sama nie wiem.*

*Stąd ciasto biszkoptowe z domowej roboty dżemem.*

*Tiffy x*

Na dużym zbindowanym wydruku książki *Zbudowany: Moja niezwykła podróż od murarza do projektanta wnętrz*:

*Będę szczery – wziąłem to do ręki, bo myślałem, że to jakaś zabawna szmira. Tymczasem nie mogłem się oderwać. Położyłem się spać dopiero w południe. Czy ten facet jest Twoim byłym? A jeśli nie, to czy mogę za niego wyjść?*

*Leon*

*Cześć, Leonie!*

*Tak się cieszę, że spodobała Ci się książka! Mój piękny murarz-który-został-projektantem nie jest moim byłym i rzeczywiście chętniej wziąłby ślub z Tobą niż ze mną. Chociaż Kay pewnie miałaby na ten temat coś do powiedzenia.*

*Tiffy x*

*Kay powiedziała, że nie mogę wyjść za pięknego murarza-który-został-projektantem. Szkoda. Kazała Cię pozdrowić.*

*Cieszę się, że udało mi się ją wczoraj złapać! Twierdzi, że utuczyłam Cię tymi wypiekami. Musiałam obiecać, że będę odreagowywała emocjonalne zawirowania w jakiś zdrowszy sposób, więc przyrządziłam brownies z mączki z chleba świętojańskiego i daktyli. Przykro mi, są obrzydliwe.*

*Przeklejam ten liścik na* Wichrowe Wzgórza, *ponieważ muszę odnieść* Zbudowanego *do redakcji! x*

Na kuchennym kredensie nad pojemnikiem na śmieci:

*Kiedy odbierają śmieci?*

*Leon*

*To jakiś żart? Mieszkam tutaj od pięciu tygodni! Ty mieszkasz tutaj od lat! Jak możesz mnie pytać, kiedy odbierają śmieci?*
*...ale racja, to było wczoraj i zapomnieliśmy. x*

*Tak mi się właśnie wydawało... Nigdy nie pamiętam, czy to we wtorek, czy w czwartek. Nic nie poradzę, te dwa dni zawsze mi się mylą.*
*Masz jakieś wieści od byłego? Przestałaś piec. Nic nie szkodzi, mam jeszcze zapasy w zamrażalniku, ale przydałby mi się kolejny z Twoich kryzysów, powiedzmy, w połowie maja.*

*Leon*

*Cześć!*
*Całkowita cisza w eterze. Nawet nie aktualizuje swojego konta na Twitterze ani Facebooku, więc nie mogę go śledzić. Zapewne wciąż jest ze swoją narzeczoną (dlaczego miałby nie być, w końcu tylko dziwnie na mnie popatrzył), a ja błędnie*

*odczytałam tamto spotkanie na statku, natomiast on jest podłym człowiekiem, jak twierdzi moja przyjaciółka Gerty. Tak czy inaczej, spłaciłam mu wszystkie długi i teraz jestem winna przerażająco dużo kasy bankowi.*

*Dzięki za risotto, było pyszne – naprawdę świetnie gotujesz jak na kogoś, kto zawsze jada o niewłaściwej porze!*

*Tiffy x*

Obok blachy do pieczenia:

*Jezu. Nie wiedziałem o narzeczonej. Ani o pieniądzach.*

*Czy ciasto karmelowe oznacza, że masz jakieś wieści?*

Obok blachy do pieczenia, teraz pełnej okruchów:

*Cisza. Nawet nie potwierdził, że dostał przelew. Sytuacja jest tragiczna, ale wczoraj pożałowałam, że nie spłacam należności w ratach, po kilkaset funtów miesięcznie.*

*Wtedy nadal bylibyśmy w kontakcie, a ja nie doprowadziłabym się do ruiny.*

*W wielkim skrócie, nie odezwał się do mnie ani słowem od czasu tamtego esemesa ze statku. Jestem skończoną idiotką x*

*E tam. Miłość wszystkich nas zmienia w idiotów – kiedy poznałem Kay, powiedziałem jej, że jestem muzykiem jazzowym (saksofonistą). Pomyślałem, że to jej się spodoba.*

*Na kuchence stoi chilli dla Ciebie.*

*Leon x*

# KWIECIEŃ

# 13
# *Tiffy*

– Chyba mam palpitacje.

– W obecnych czasach nikt nie miewa palpitacji – informuje mnie Rachel, upijając nieprzyzwoicie duży łyk latte, które kupił mi kierownik redakcji (od czasu do czasu czuje się winny, że Butterfingers za mało mi płaci, więc wykłada dwa funty dwadzieścia na kawę, żeby uspokoić sumienie).

– Ta książka… mnie… wykończy – mówię.

– Wykończą cię tłuszcze nasycone w twoim lunchu. – Rachel szturcha palcem chleb bananowy, w który właśnie się wgryzłam. – Z twoim pieczeniem jest coraz gorzej. To znaczy, że jesteś w tym coraz lepsza. Dlaczego nie tyjesz?

– Tyję, ale jestem od ciebie większa, więc nie zauważasz różnicy. Upycham tłuszcz w miejscach, których nie widzisz. Na przykład

w górnej części ramion. Albo w policzkach. Mam coraz bardziej okrągłe policzki, nie uważasz?

– Redaguj, kobieto! – odpowiada Rachel, uderzając dłonią w leżące między nami kartki. Kiedy minął marzec, nasze narady w sprawie książki Katherin z cotygodniowych zmieniły się w codzienne. A odkąd z przerażeniem uświadomiłam sobie, że nadszedł kwiecień i do daty wydania pozostały tylko dwa miesiące, każdego dnia spotykamy się także podczas lunchu. – Kiedy dostarczysz mi zdjęcia kapeluszy i szali? – pyta.

O Boże. Kapelusze i szale. Budzę się w środku nocy, myśląc o kapeluszach i szalach. Żadna agencja nie podejmie się wykonania zdjęć w tak krótkim terminie, a Katherin naprawdę nie ma czasu. Umowa nie zobowiązuje jej do dostarczenia wszystkich fotografii – nigdy więcej nie popełnię takiego błędu na etapie negocjacji – więc nie mam argumentów, by ją do tego zmusić. Próbowałam ją błagać, ale odpowiedziała, nie bez sympatii, że tylko się ośmieszam.

Spoglądam ponuro na bananowy chleb.

– Nie mam żadnego rozwiązania – stwierdzam. – Zbliża się termin. Książka idzie do druku bez zdjęć w rozdziale o kapeluszach i szalach.

– Nie ma mowy – zaperza się Rachel. – Poza tym masz za mało tekstu, żeby wypełnić tę przestrzeń. Redaguj! A potem coś wymyśl! Byle szybko!

Uch. Dlaczego właściwie ją lubię?

*

Kiedy wracam do domu, od razu wstawiam wodę – to odpowiedni wieczór na filiżankę herbaty. Na spodzie czajnika znajduję starą wiadomość od Leona. Te samoprzylepne karteczki są wszędzie.

Kubek Leona wciąż stoi obok zlewozmywaka, do połowy napełniony kawą z mlekiem. Zawsze pije z tego samego wyszczerbionego białego kubka z komiksowym królikiem. Każdego wieczoru kubek albo stoi po tej stronie zlewozmywaka, do połowy opróżniony, co oznacza, że Leon się śpieszył, albo suszy się na ociekaczu, co wskazuje na to, że Leon zapewne wstał po dzwonku budzika.

Zdążyłam się już zadomowić. Musiałam zwrócić Leonowi część przestrzeni w salonie – w zeszłym miesiącu usunął połowę moich poduszek, ułożył je na stercie w przedpokoju i dołączył wiadomość: *Muszę wreszcie upomnieć*

*się o swoje (przepraszam)*. Chyba miał rację, naznosiłam ich odrobinę za dużo. Coraz trudniej było usiąść na sofie.

Łóżko pozostaje najdziwniejszą kwestią w naszym układzie. Przez pierwszy miesiąc używałam własnej pościeli, którą zdejmowałam każdego ranka, i leżałam jak najdalej po lewej stronie, odsuwając się ze swoją poduszką. Ale teraz już nie zmieniam pościeli – przecież i tak leżę tylko po swojej stronie. Wszystko wygląda całkiem zwyczajnie. Oczywiście nadal nie poznałam swojego współlokatora, co może się wydawać nieco dziwaczne, ale coraz częściej zostawiamy sobie liściki i czasem zapominam, że nie toczymy tych rozmów osobiście.

Rzucam torebkę na podłogę i padam na poduchę z kulkami, podczas gdy herbata się parzy. Prawdę mówiąc, wciąż czekam. Czekam nieprzerwanie od kilku miesięcy, odkąd zobaczyłam Justina.

Na pewno się do mnie odezwie. Co prawda nie odpisałam na jego esemesa – nadal nienawidzę Gerty i Mo za to, że mi nie pozwolili – ale w końcu posłał mi tamto spojrzenie na statku. Rzecz jasna, minęło tyle czasu, że niemal całkowicie zapomniałam, jak to spojrzenie wyglądało, i pozostała mi tylko mieszanka

rozmaitych min, które widywałam u Justina (czy raczej na jego zdjęciach na Facebooku)… ale mimo wszystko. Przecież poczułam się bardzo… No dobrze, sama nie wiem, jak się poczułam. Bardzo jakoś.

Im więcej czasu mija, tym częściej myślę o tym, jakie to dziwne, że Justin znalazł się na tym samym statku wycieczkowym i to akurat tego dnia, gdy Katherin i ja prowadziłyśmy warsztaty „Jak szybko robić ubrania na drutach”. Chociaż ta myśl mi się podoba, wątpię, by pojawił się tam ze względu na mnie – w końcu przełożyli naszą prezentację w ostatniej chwili, więc nie mógł wiedzieć, że mnie spotka. Poza tym napisał, że był tam w sprawach zawodowych, co jest jak najbardziej możliwe – pracuje dla firmy z branży rozrywkowej, która organizuje występy na statkach i wycieczki po Londynie. (Prawdę mówiąc, nigdy nie pamiętam szczegółów. W każdym razie to coś stresującego i związanego z logistyką).

Więc skoro nie pojawił się tam rozmyślnie, to czy nie można tego uznać za przeznaczenie?

Biorę herbatę i przechodzę do sypialni, wciąż zatopiona w myślach. Przecież nawet nie chcę wrócić do Justina, prawda? Jeszcze nigdy na tak długo się nie rozstaliśmy i tym razem czuję, że

jest inaczej. Może dlatego, że zostawił mnie dla kobiety, której natychmiast się oświadczył. Pewnie tak.

W gruncie rzeczy nie powinno mnie obchodzić, czy się do mnie odezwie. Jak to o mnie świadczy, że czekam na telefon od mężczyzny, który prawdopodobnie mnie zdradzał?

– To świadczy o tym, że jesteś lojalna i ufna – odpowiada Mo, gdy zadaję mu to samo pytanie przez telefon. – Właśnie ze względu na te cechy Justin zapewne spróbuje znów się z tobą skontaktować.

– Myślisz, że to zrobi? – Uświadamiam sobie, że jestem niespokojna, drażliwa, spragniona pokrzepienia, co jeszcze bardziej mnie irytuje. Zaczynam ustawiać płyty z serialem *Kochane kłopoty* w odpowiedniej kolejności, zbyt roztrzęsiona, by usiedzieć na miejscu. Pomiędzy pierwszą a drugą serią znajduję kolejną wiadomość; wyciągam ją i pobieżnie czytam. Próbowałam namówić Leona do korzystania z naszego telewizora, na zachętę podsuwając mu swoją wysokiej jakości kolekcję płyt. Nie dał się przekonać.

– Prawie na pewno – odpowiada Mo. – Wygląda na to, że to w stylu Justina. Ale… jesteś pewna, że tego chcesz?

– Chciałabym, żeby ze mną porozmawiał. Albo przynajmniej zwrócił na mnie uwagę. Nie wiem, co mu siedzi w głowie. Miałam wrażenie, że wściekł się z powodu mieszkania, ale wiadomość, którą mi wysłał po spotkaniu na statku, była naprawdę słodka, więc… sama nie wiem. Chcę, żeby zadzwonił. – Mocno zaciskam powieki. – Ale dlaczego?

– Może inni długo ci wmawiali, że sobie bez niego nie poradzisz – odpowiada Mo delikatnie. – To by tłumaczyło, dlaczego pragniesz, by wrócił, chociaż tak naprawdę wcale go nie chcesz.

Rozpaczliwie szukam innego tematu rozmowy. Ostatni odcinek *Sherlocka*? Nowa asystentka w pracy? Ale okazuje się, że nie mam na to energii.

Mo przez chwilę czeka w milczeniu.

– Nie mylę się, prawda? – zagaduje. – Myślałaś w ogóle o tym, żeby zacząć spotykać się z kimś innym?

– Mogłabym to robić – protestuję.

– Hm – wzdycha. – Jak naprawdę się poczułaś, kiedy tak na ciebie popatrzył na statku?

– Nie wiem. Minęło już tyle czasu. Chyba pomyślałam… że to dosyć… podniecające? Miło było poczuć się pożądaną.

– Nie bałaś się?

– Słucham?

– Czy się bałaś? Czy jego spojrzenie sprawiło, że poczułaś się mniejsza?

Marszczę czoło.

– Mo, daj spokój. To było tylko spojrzenie. Na pewno nie starał się mnie przestraszyć… Poza tym zadzwoniłam, żeby pogadać o tym, czy on się do mnie odezwie, a ty trochę poprawiłeś mi nastrój, więc dzięki, ale na tym zakończmy.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panuje cisza. Mimo woli jestem lekko roztrzęsiona.

– Ten związek odcisnął na tobie piętno, Tiffy – odzywa się Mo łagodnie. – Unieszczęśliwił cię.

Kręcę głową. Zgoda, często kłóciliśmy się z Justinem, ale potem zawsze się godziliśmy i robiło się jeszcze bardziej romantycznie, więc to się nie liczy. To nie przypominało kłótni innych par, tylko było częścią pięknej, szalonej przygody, którą był nasz związek.

– W końcu to do ciebie dotrze, Tiff – stwierdza Mo. – Kiedy tak się stanie, po prostu do mnie zadzwoń, okej?

Kiwam głową, niepewna, na co właściwie się zgadzam. Ze swojego punktu obserwacyjnego właśnie dostrzegłam coś, co idealnie odciągnie moje myśli od tego, jak się czuję: torbę z szalikami pod łóżkiem Leona. Znalazłam ją

pierwszego wieczoru i pomyślałam, że Leon to pewnie seryjny morderca. Dostrzegam karteczkę, której z pewnością nie było na niej za pierwszym razem: DLA BIEDNYCH.

– Dzięki, Mo – mówię do telefonu. – W niedzielę pójdziemy na kawę. – Rozłączam się, jednocześnie rozglądając się za długopisem.

*Cześć!*

*Przepraszam, że grzebię pod Twoim (naszym) łóżkiem. Wiem, że to niedopuszczalne. Ale te szaliki są NIESAMOWITE. Piszę to jako specjalistka od ciuchów. Wiem, że nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale domyślam się, że skoro pozwalasz, by ktoś obcy (czyli ja) spał w Twoim łóżku, to robisz to dlatego, że brakuje Ci forsy, a nie dlatego, że w swojej dobroci ulitowałeś się nad kimś, kto szuka taniego mieszkania w Londynie.*

*Więc chociaż całym sercem POPIERAM oddawanie ubrań biednym (w końcu kupuję większość swoich rzeczy w sklepach charytatywnych – ludzie tacy jak ja potrzebują ludzi takich jak ty), to uważam, że powinieneś rozważyć sprzedanie tych*

*szalików. Pewnie dostałbyś jakieś 200 funtów za sztukę.*

*A gdybyś postanowił sprzedać jeden z nich swojej uroczej współlokatorce ze zniżką 90%, nie będę się sprzeciwiała.*

*Tiffy x*

*PS Skąd właściwie je wziąłeś? Jeśli nie przeszkadza Ci, że pytam.*

# 14
# *Leon*

Szeroko rozłożone ręce, rozstawione nogi. Surowa strażniczka obszukuje mnie z wielkim entuzjazmem. Podejrzewam, że pasuję jej do profilu osoby, która może wnieść narkotyki albo broń do sali widzeń. Wyobrażam sobie, jak w myślach odhacza kolejne punkty. Płeć: mężczyzna. Rasa: nieustalona, ale nieco zbyt brązowy. Wiek: wystarczająco młody, by brakowało mu rozsądku. Wygląd: niechlujny.

Próbuję się niegroźnie uśmiechać, jak przystało na porządnego obywatela. Po namyśle dochodzę do wniosku, że zapewne wyglądam arogancko. Czuję lekkie mdłości, gdy dociera do mnie atmosfera tego miejsca, mimo że staram się ignorować zwoje drutu kolczastego na grubym stalowym ogrodzeniu, budynki bez okien oraz agresywne tablice informujące

o konsekwencjach przemycania narkotyków do więzienia. I mimo że robię to co najmniej raz w miesiącu od listopada.

Najgorszym etapem jest zapewne wędrówka od stanowiska ochrony do sali widzeń. Muszę pokonać labirynt betonu i drutu kolczastego, a po drodze kolejno prowadzą mnie różni strażnicy, noszący przy pasie kółka z kluczami do bram i drzwi, które każdorazowo zamykają za moimi plecami, zanim pozwolą mi się zbliżyć do kolejnych. Jest piękny wiosenny dzień; ponad drutami widać niebo, drażniąco błękitne.

W sali widzeń jest lepiej. Dzieciaki pełzają między stolikami albo piszczą, gdy muskularni tatusiowie podnoszą je nad głowę. Więźniowie mają na sobie jaskrawe pomarańczowe stroje, które odróżniają ich od nas. Przysuwają się do odwiedzających dziewczyn bliżej, niż pozwala regulamin, ich palce mocno się splatają. W powietrzu unosi się więcej emocji niż w hali przylotów na lotnisku. Twórcy *To właśnie miłość* coś przegapili.

Siadam przy wyznaczonym stoliku. Czekam. Kiedy wprowadzają Richiego, czuję osobliwe szarpnięcie w środku, jakby żołądek próbował się wywrócić na lewą stronę. Richie sprawia wrażenie zmęczonego i zaniedbanego, jego

policzki są zapadnięte, a głowa niestarannie ogolona. Ma na sobie swoją jedyną parę dżinsów – nie chce, żebym go widział w więziennym stroju – które teraz są za luźne w pasie. Koszmar, koszmar, koszmar.

Wstaję i z uśmiechem wyciągam ramiona, żeby go uściskać. Czekam, żeby do mnie podszedł; nie mogę opuścić wyznaczonej strefy. Strażnicy więzienni stoją pod ścianami i przyglądają się nam uważnie z obojętnymi minami.

Richie, klepiąc mnie po plecach: W porządku, braciszku, dobrze wyglądasz!

Ja: Ty też.

Richie: Kłamca. Wyglądam jak gówno. Odcięli wodę po jakimś zamieszaniu w skrzydle E – nie mam pojęcia, kiedy ją włączą, ale dopóki tego nie zrobią, lepiej nie korzystać z toalet.

Ja: Będę pamiętał. Jak się miewasz?

Richie: Fantastycznie. Sal się odzywał?

Miałem nadzieję, że uda mi się unikać tego tematu przynajmniej przez minutę.

Ja: Tak. Jest mu przykro, że te papiery opóźniają apelację. Pracuje nad tym.

Richie nachyla się w moją stronę.

Richie: Nie mogę dłużej czekać, Lee.

Ja: Jeśli chcesz, żebym znalazł kogoś nowego, to nie ma sprawy.

Ponura cisza. Richie wie równie dobrze jak ja, że zmiana prawnika zapewne jeszcze bardziej wszystko opóźni.

Richie: Zdobył nagranie z kamery z Aldiego?

Pytanie brzmi, czy w ogóle próbował je zdobyć. Zaczynam wątpić, chociaż zapewniał, że to zrobi. Masuję się po karku, spoglądam na swoje buty, bardziej niż kiedykolwiek żałuję, że nie jesteśmy w innym miejscu.

Ja: Jeszcze nie.

Richie: Mówię ci, że to jest klucz. Tamta kamera w Aldim ich nagrała. Okaże się, że to nie byłem ja.

Chciałbym, żeby to była prawda. Ale jakiej jakości jest obraz? Czy będzie na tyle wyraźny, by zakwestionować zeznania świadków?

Rozmawiamy o apelacji niemal godzinę. Nie mogę nakłonić go do zmiany tematu. Badania laboratoryjne, przegapione ślady, nagrania z monitoringu. Nadzieja, nadzieja, nadzieja.

Wychodzę na miękkich nogach i łapię taksówkę na dworzec. Potrzebuję cukru. Mam torebkę z drugim śniadaniem, które przygotowała Tiffy. Pochłaniam jakieś trzy tysiące kalorii, podczas gdy pociąg przemierza

wiejski krajobraz, mijając pole za polem, zabierając mnie od brata do miejsca, gdzie wszyscy o nim zapomnieli.

*

Po powrocie do domu znajduję na środku sypialni torbę z szalami i przylepiony do niej liścik od Tiffy.

Pan Prior robi szale warte dwieście funtów za sztukę? Przecież nawet nie zajmuje mu to zbyt wiele czasu! Przypominam sobie, ile razy odmawiałem, gdy proponował mi nowy szalik, czapkę, rękawiczki albo pokrowiec na dzbanek z herbatą. Mógłbym teraz być miliarderem.

Na drzwiach sypialni:

*Cześć, Tiffy!*

*DZIĘKUJĘ za informację o szalikach. Owszem, potrzebuję forsy. Chętnie je sprzedam – podpowiesz mi, gdzie/jak to zrobić?*

*Robi je pewien pan u mnie w pracy. Rozdaje je wszystkim, którzy mają na to ochotę (w przeciwnym razie miałbym opory przed braniem za nie pieniędzy…).*

*Leon*

*Cześć!*

*Ależ oczywiście – powinieneś je sprzedać przez Etsy albo Preloved. Mają mnóstwo klientów, którzy byliby zachwyceni tymi szalikami.*

*Hm. To dziwne pytanie, ale czy ten pan nie byłby zainteresowany robieniem na drutach na zlecenie?*

*Tiffy x*

*Nie mam pojęcia, co to znaczy.*
*A w ogóle, to weź sobie szalik, który najbardziej Ci się podoba – resztę dzisiaj wystawię na sprzedaż w internecie.*

*Leon*

Na trudnej do namierzenia karteczce leżącej na podłodze obok drzwi sypialni:

*Dzień dobry!*

*Tak się składa, że pracuję nad książką* Szydełkiem przez życie *(wiem – to jeden z moich najlepszych tytułów)*
*i potrzebujemy kogoś, kto bardzo szybko zrobi dla nas cztery szaliki i osiem czapek, które będziemy mogli sfotografować do książki. Twój znajomy musiałby dostosować*

*się do wskazań autorki (co do koloru, ściegu itp.). Mogę mu zapłacić, ale nie za wiele. Dasz mi namiary na niego? Jestem zdesperowana, a on najwyraźniej ma talent jak diabli.*

*Mój Boże, będę nosiła ten szalik bez przerwy (nie obchodzi mnie, że w kalendarzu mamy wiosnę). Jest cudowny. Dziękuję!*

*Tiffy x*

Znów przy drzwiach sypialni:

*Nie widzę przeszkód, chociaż będę musiał zapytać siostry przełożonej. Napisz list, a ja jej go pokażę. Jeśli się zgodzi, wręczę go panu od robótek.*

*Skoro bez przerwy nosisz szalik ode mnie, to czy mogłabyś pozbyć się pięciuset szalików, które obecnie zajmują Twoją stronę szafy?*

*A przy okazji: pierwszy szalik właśnie sprzedał się za 235 funtów! Wariactwo. Nawet nie był ładny!*

*Leon*

Na kuchennym blacie, obok niezaklejonej koperty:

*Cześć!*

*Jak słusznie zauważyłeś, to moja połowa, Leonie. Moja i chcę ją wypełnić szalikami.*

*Dołączam list – daj znać, czy trzeba coś w nim zmienić. Przy okazji, kiedyś będziemy musieli uporządkować nasze liściki. Mieszkanie zaczyna przypominać scenerię z* Pięknego umysłu.

*Tiffy x*

Przekazuję list Tiffy siostrze przełożonej, która zgadza się, żebym zaproponował panu Priorowi robienie na drutach dla potrzeb książki Tiffy. Albo szydełkowanie. Zupełnie nie dostrzegam różnicy. Tiffy zapewne kiedyś napisze długą wiadomość, w której bez pytania mi to wszystko wyjaśni. Uwielbia długie wyjaśnienia. Po co używać jednego zdania, gdy można użyć pięciu? Dziwna, absurdalna, przezabawna kobieta.

Następnego dnia pan Prior ma już gotowe dwie czapki – mają kształt czapek i są wełniane, więc chyba wszystko w porządku.

Jedyną wadą tego układu jest fakt, że pan Prior jest zafascynowany Tiffy.

Pan Prior: Więc ona jest redaktorką.

Ja: Tak.

Pan Prior: Cóż za ciekawy zawód.

Chwila ciszy.

Pan Prior: Mieszkacie razem?

Ja: Mhm.

Pan Prior: Ciekawe.

Zerkam na niego kątem oka, sporządzając notatki. Mruga do mnie niewinnie paciorkowatym okiem.

Pan Prior: Nie sądziłem, że spodoba ci się mieszkanie z inną osobą. Tak bardzo lubisz niezależność. Czy to nie dlatego nie chciałeś zamieszkać z Kay?

Muszę przestać rozmawiać z pacjentami o swoim życiu osobistym.

Ja: To coś innego. Nie muszę widywać Tiffy. Tylko zostawiamy sobie liściki.

Pan Prior kiwa głową z namysłem.

Pan Prior: Sztuka pisania listów. List to coś niezwykle… intymnego, czyż nie?

Spoglądam na niego podejrzliwie. Nie jestem pewien, do czego zmierza.

Ja: Mówimy o samoprzylepnych karteczkach na lodówce, panie Prior, a nie osobiście

dostarczanych listach na perfumowanym papierze.

Pan Prior: Och, z pewnością masz rację. Jak najbardziej. Samoprzylepne karteczki. To nie sztuka, niewątpliwie.

*

Następnej nocy już nawet Holly wie o Tiffy. Niesamowite, jak szybko nieistotne wiadomości przenoszą się między oddziałami, mimo że spora część ludzi w budynku śpi.

Holly: Jest ładna?

Ja: Nie wiem, Holly. Czy to ważne?

Holly przez chwilę milczy, zamyślona.

Holly: Jest miła?

Ja, po namyśle: Tak, jest miła. Trochę wścibska i dziwaczna, ale miła.

Holly: Co to znaczy, że jest twoją „współlokatorką”?

Ja: To znaczy, że dzielimy moje mieszkanie. Mieszkamy tam razem.

Holly, z szeroko otwartymi oczami: Jak chłopak ze swoją dziewczyną?

Ja: Nie, nie. Ona nie jest moją dziewczyną. Jest koleżanką.

Holly: Więc śpicie w osobnych pokojach?

Na szczęście ktoś mnie wzywa, zanim muszę odpowiedzieć.

MAJ

# 15
# *Tiffy*

Zrywam samoprzylepne karteczki i przyklejone taśmą skrawki papieru z drzwi szafek, stołów, ścian i (w jednym przypadku) pokrywki kosza na śmieci, nie przestając się uśmiechać. Ta wymiana liścików, która trwała przez ostatnie kilka miesięcy, była dziwnym sposobem na poznanie Leona i zaczęła się niepostrzeżenie – od wiadomości dotyczącej resztek jedzenia, a już wkrótce codziennie ze sobą korespondowaliśmy.

Podążając szlakiem liścików wzdłuż oparcia sofy, zauważam, że zazwyczaj piszę pięciokrotnie więcej słów niż Leon. Poza tym moje wiadomości są znacznie bardziej osobiste i zawierają więcej informacji. Dziwnie jest czytać je z perspektywy czasu – dostrzegam na przykład, jak zawodną mam pamięć. W jednym z liścików wspomniałam

o tym, jak bardzo się wstydziłam, że w zeszłym roku zapomniałam przekazać Justinowi zaproszenie na przyjęcie urodzinowe u Rachel, ale teraz pamiętam, że jednak go zaprosiłam. Skończyło się na potężnej kłótni o to, czy mogę iść. Justin zawsze powtarzał, że mam fatalną pamięć; irytuje mnie, że mam przed sobą dowód na prawdziwość jego słów.

Jest szesnasta trzydzieści. Wcześniej skończyłam pracę, ponieważ wszyscy wyszli z biura na przyjęcie pożegnalne, ale ja jestem spłukana, więc postanowiłam wrócić do domu, korzystając z nieobecności przełożonych, którzy mogliby podjąć tę decyzję za mnie. Jestem pewna, że właśnie tego by chcieli.

Gdy wróciłam do domu około siedemnastej, myślałam, że tego dnia uda mi się zastać Leona. Dziwne uczucie. Tak naprawdę zgodnie z naszą umową nie wolno mi przychodzić wcześniej, gdy jeszcze jest w mieszkaniu. Kiedy zgadzałam się na te warunki, wiedziałam, że nie będziemy się widywać – właśnie dlatego to był taki dobry pomysł. Ale nie uświadamiałam sobie, że dosłownie nigdy się nie spotkamy. Ani razu przez całe cztery miesiące.

Rozważałam spędzenie tej godziny w kawiarni za rogiem, ale potem pomyślałam,

że… to trochę dziwne przyjaźnić się z kimś i nigdy go nie spotkać. Ponieważ mam wrażenie, że się zaprzyjaźniliśmy – zresztą jak mogłoby być inaczej, skoro stale dzielimy tę samą przestrzeń. Wiem dokładnie, jak Leon smaży jajka, chociaż nigdy nie widziałam go przy jedzeniu (zawsze zostawia na talerzu masę płynnego żółtka). Potrafię dokładnie opisać jego sposób ubierania się, chociaż nigdy nie widziałam go w żadnym z ubrań wiszących na suszarce w salonie. A najdziwniejsze, że znam jego zapach.

Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się spotkać – to nie zmieniłoby zasad, którymi się kierujemy. Po prostu mogłabym rozpoznać swojego współlokatora, gdybym zobaczyła go na ulicy.

Dzwoni telefon, co mnie zaskakuje, ponieważ nie wiedziałam, że go mamy. Odruchowo sięgam po komórkę, ale mój dzwonek to jedna z radosnych melodyjek proponowanych przez Samsunga, a nie to dryń-dryń w stylu retro rozbrzmiewające z jakiegoś niewidocznego zakątka salonu.

W końcu namierzam aparat na blacie w kuchni, pod jednym z szalików pana Priora i ciągiem karteczek z dyskusją o tym, czy Leon zużył całe masło (oczywiście, że tak).

Telefon stacjonarny! Kto by pomyślał! Sądziłam, że to relikt przeszłości, za który płaci się tylko po to, żeby korzystać z szerokopasmowego internetu.

– Słucham? – odzywam się niepewnie do słuchawki.

– O, cześć – mówi facet na drugim końcu linii. Sprawia wrażenie zaskoczonego (zapewne jestem bardziej kobieca, niż się spodziewał) i ma dziwaczny akcent – jakby połączenie irlandzkiego z londyńskim.

– Mówi Tiffy – wyjaśniam. – Współlokatorka Leona.

– Hej! Cześć! – Najwyraźniej bardzo go cieszy ten fakt. – To z tobą dzieli łóżko?

– Wolimy mówić, że dzielimy mieszkanie – odpowiadam, krzywiąc się.

– Jasne – rzuca, a ja domyślam się, że szczerzy zęby w uśmiechu. – Miło cię poznać, Tiffy. Jestem Richie, brat Leona.

– Miło cię poznać, Richie. – Nie wiedziałam, że Leon ma brata. Ale podejrzewam, że jest mnóstwo rzeczy, których o nim nie wiem, nawet jeśli wiem, co obecnie czyta przed snem (*Szklany klosz*, bardzo powoli). – Wygląda na to, że rozminąłeś się z Leonem. Wróciłam pół godziny temu i już go nie było.

– Facet się przepracowuje – stwierdza Richie. – Nie zdawałem sobie sprawy, że już wpół do szóstej. O której zazwyczaj się wymieniacie?

– O osiemnastej, ale dzisiaj wcześniej wyszłam z pracy – odpowiadam. – Możesz zadzwonić na jego komórkę.

– Niestety, Tiffy, ale nie mogę tego zrobić.

Marszczę czoło.

– Nie możesz zadzwonić na jego komórkę?

– Szczerze mówiąc, to dosyć długa historia. – Richie na chwilę milknie. – W wielkim skrócie sytuacja wygląda tak, że siedzę w więzieniu o zaostrzonym rygorze i udało mi się załatwić połączenia wyłącznie z domowym numerem Leona. Połączenie z komórką jest dwa razy droższe, a zarabiam czternaście funtów tygodniowo na sprzątaniu bloku. Zresztą za tę robotę też muszę komuś płacić… więc nie zostaje mi zbyt wiele.

Czuję się lekko oszołomiona.

– Cholera! – wołam. – To straszne. Jak się czujesz?

Te słowa same wydobywają się z moich ust. Niemal na pewno nie są właściwe w tych okolicznościach, ale tak to już jest – mówię, co mi ślina na język przyniesie.

Ku mojemu zaskoczeniu – a może także jego – Richie zaczyna się śmiać.

– Dobrze – odpowiada po chwili. – Dzięki, że pytasz. Minęło już siedem miesięcy. Chyba się… jak to nazywa Leon?… zaaklimatyzowałem. Uczę się, jak żyć i jak przetrwać każdą kolejną minutę.

Kiwam głową.

– To zawsze coś. Jak tam jest? W skali od Alcatraz do Hiltona?

Ponownie parska śmiechem.

– Zdecydowanie gdzieś na tej skali. Wiele zależy od mojego samopoczucia w danym dniu. Ale na pewno mam sporo szczęścia w porównaniu z mnóstwem osób. Mam własną celę i mogę przyjmować gości dwa razy w miesiącu.

Z mojego punktu widzenia wcale nie ma szczęścia.

– Nie chcę przedłużać tej rozmowy, jeśli za nią płacisz. Masz jakąś wiadomość dla Leona?

Po drugiej stronie zapada grzechocząca cisza, którą wypełnia tylko echo hałasów rozbrzmiewających w tle.

– Nie spytasz, za co siedzę, Tiffy?

– Nie – odpowiadam obruszona. – A chcesz mi powiedzieć?

– Trochę tak. Ludzie zazwyczaj o to pytają.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam prawa cię osądzać, jesteś bratem Leona i zadzwoniłeś, żeby z nim porozmawiać. Zresztą rozmawialiśmy o tym, jak strasznie jest w więzieniu, niezależnie od tego, co zrobiłeś. Każdy wie, że więzienie nie działa. Prawda?

– Prawda… to znaczy, naprawdę?

– Jasne.

Znów zapada cisza.

– Siedzę za napad z bronią w ręku. Ale tego nie zrobiłem.

– Boże, tak mi przykro. W takim razie wdepnąłeś w gówno.

– Można tak powiedzieć – odpowiada Richie. Czeka przez chwilę, po czym pyta: – Wierzysz mi?

– Nawet cię nie znam. Dlaczego to ma dla ciebie znaczenie?

– Nie wiem. Po prostu… ma.

– Cóż, zanim powiem, że ci wierzę, muszę poznać kilka faktów. W przeciwnym razie taka deklaracja nic nie będzie znaczyła, prawda?

– W takim razie właśnie tak brzmi moja wiadomość dla Leona. Niech przedstawi ci wszystkie fakty, żebyś mogła ocenić, czy mi wierzysz.

– Chwileczkę. – Sięgam po plik samoprzylepnych karteczek i długopis. – *Cześć, Leonie!* – czytam zapisywaną wiadomość. – *Oto wiadomość od Richiego. Mówi, że…*

– Chciałbym, żeby Tiffy dowiedziała się, co mnie spotkało. Chcę, żeby uwierzyła, że tego nie zrobiłem. Sprawia wrażenie bardzo miłej i założę się, że niezła z niej ślicznotka, możesz mi spokojnie powiedzieć, a poza tym ma taki głos… głęboki i seksowny, sam wiesz…

Wybucham śmiechem.

– Nie napiszę tego!

– Dokąd dotarłaś?

– Do „seksowny” – przyznaję, a Richie się śmieje.

– W porządku. Już wystarczy. Ale jeśli ci to nie przeszkadza, zostaw ten ostatni kawałek. Leon na pewno się uśmiechnie.

Kręcę głową, ale też się uśmiecham.

– Dobrze, zostawię. Miło było cię poznać, Richie.

– Ciebie też, Tiffy. Opiekuj się moim bratem, dobrze?

Milknę, zaskoczona tą prośbą. Po pierwsze, to Richie sprawia wrażenie kogoś, kim trzeba się zaopiekować, a po drugie, nie jestem właściwą osobą do sprawowania opieki nad kimkolwiek

z rodziny Twomeyów, zważywszy na to, że ich nigdy nie spotkałam. Ale zanim jestem w stanie coś odpowiedzieć, Richie przerywa połączenie i słyszę tylko sygnał.

# 16
# *Leon*

Nie potrafię powstrzymać śmiechu. To typowe. Próbuje wkraść się w łaski mojej współlokatorki nawet zza krat.

Kay opiera się o moje ramię, czytając wiadomość.

Kay: Widzę, że Richie wciąż jest sobą.

Sztywnieję. Ona to wyczuwa i również się spina, ale nie cofa swoich słów ani nie przeprasza.

Ja: Stara się podchodzić do wszystkiego na luzie. Rozśmieszać innych. To w jego stylu.

Kay: A Tiffy jest do wzięcia?

Ja: To człowiek, a nie przedmiot, Kay.

Kay: Jesteś taki zasadniczy, Leon! To tylko takie powiedzenie. Dobrze wiesz, że nie staram się oddać tej biedaczki Richiemu.

W jej słowach coś jeszcze jest nie w porządku, ale jestem zbyt zmęczony, by to tropić.

Ja: Jest wolna, ale wciąż zakochana w swoim byłym.

Kay, wyraźnie zainteresowana: Naprawdę?

Nie mam pojęcia, dlaczego ją to obchodzi – za każdym razem, gdy wspominam o Tiffy, wyłącza się albo robi zrzędliwa. Dzisiaj po raz pierwszy od kilku miesięcy jesteśmy razem w moim mieszkaniu. Kay ma wolny poranek, więc przyszła zjeść ze mną śniadację, zanim się położę. Z jakiegoś powodu rozdrażniły ją porozklejane liściki.

Ja: Jej były wygląda na przeciętniaka. Co innego murarz-który-został…

Kay przewraca oczami.

Kay: Przestań wreszcie mówić o książce tego cholernego murarza!

Nie byłaby taka krytykancka, gdyby ją przeczytała.

*

Kilka tygodni później przychodzi słoneczny dzień w rodzaju tych, jakie zazwyczaj zdarzają się tylko za granicą. Anglia nie jest przyzwyczajona do takiego ciepła, zwłaszcza

niespodziewanego. Jest dopiero czerwiec, ledwie początek lata. Dojeżdżający do pracy pośpiesznie przemykają ulicami, pochylając głowy, jakby chronili się przed deszczem, a ich bladoniebieskie koszule są naznaczone ciemnymi plamami potu. Nastolatkowie pozdejmowali T-shirty, więc wszędzie roi się od bladych kończyn, klatek piersiowych i niezgrabnie sterczących łokci. Na każdym kroku natykam się na słoneczne oparzenia lub nieprzyjemne ciepło promieniujące od mężczyzn w garniturach.

Właśnie wracam z Imperialnego Muzeum Wojny, gdzie podążałem za ostatnim tropem Johnny'ego White'a. W plecaku mam listę ośmiu nazwisk i adresów. Zdobyłem je dzięki skrupulatnemu przeszukiwaniu archiwów, rozmowom z krewnymi i śledzeniu ludzi w internecie, co nie gwarantuje sukcesu, ale stanowi dobry początek – a raczej osiem początków. Pan Prior ostatecznie dał mi sporo materiału do badań. Jeśli skłoni się go do mówienia, okazuje się, że pamięta znacznie więcej, niż mu się wydaje.

Każdy z mężczyzn na liście nazywa się Johnny White. Nie jestem pewien, od czego zacząć. Wybrać ulubionego Johnny'ego? Najbliższego?

Wyjmuję telefon i piszę esemesa do Tiffy. W zeszłym miesiącu poinformowałem ją o swoich poszukiwaniach. To było po jej długim liście o sukcesach i porażkach w pracy nad książką o szydełkowaniu. Wpadłem w nastrój do zwierzeń. Dziwne. Zupełnie jakby natrętna gadatliwość Tiffy była zaraźliwa. Zawsze czuję się lekko zażenowany, kiedy przychodzę do hospicjum i przypominam sobie, co tym razem wyjawiłem w liściku nabazgranym przy kawie przed wyjściem do pracy.

**Cześć! Mam ośmiu Johnnych (lp. Johnny) do wyboru. Jak mam wybrać, od którego zacząć? Leon**

Odpowiedź przychodzi po około pięciu minutach. Tiffy jest całkowicie pochłonięta książką wariatki od szydełkowania i wygląda na to, że ma problemy z koncentracją. Nic dziwnego. Szydełkowanie jest dziwaczne i nudne. Próbowałem przeczytać kawałek maszynopisu, który zostawiła na stoliku, żeby sprawdzić, czy to coś w stylu książki murarza, ale nie. To tylko zbiór szczegółowych instrukcji, które sprawiają wrażenie bardzo trudnych do zrealizowania.

**To łatwe. Aniołek fiołek róża bez konwalia baliawś ciekły pies… x**

A dwie sekundy później.

**Konwalia BALIA WŚCIEKŁY pies. Autokorekta. Obawiam się, że ciekłe psy w niczym Ci nie pomogą xx**

Osobliwa kobieta. Mimo wszystko posłusznie przystaję w cieniu przystankowej wiaty, żeby wydobyć listę nazwisk, i zaczynam wyliczankę. Wypada na Johnny'ego White'a (jakżeby inaczej). Tego, który mieszka niedaleko Birmingham.

**Dobry wybór. Mogę go odwiedzić, kiedy znów będę jechał do Richiego – mieszka w okolicach Birmingham. Dzięki. Leon**

Kilka minut ciszy. Idę z okularami przeciwsłonecznymi na czole przez tłoczny, spocony Londyn, który wygrzewa się w upale. Jestem wykończony. Powinienem być w łóżku od kilku godzin. Ale obecnie tak mało czasu spędzam na słońcu, że stęskniłem się za dotykiem jego promieni na skórze. Przez chwilę

zastanawiam się bez sensu, czy nie brakuje mi witaminy D, a potem zaczynam rozmyślać o tym, ile czasu w tym tygodniu spędził na świeżym powietrzu Richie. Według rozporządzenia władz każdego dnia powinni go wypuszczać na pół godziny. Rzadko tak się zdarza. Strażników więziennych jest za mało, spacery są jeszcze bardziej ograniczone niż zwykle.

**Dostałeś moją wiadomość dotyczącą Richiego? Miałeś mi opowiedzieć, co go spotkało. Nie chcę być natarczywa, ale minął ponad miesiąc i chciałabym czegoś się o nim dowiedzieć, jeśli byłbyś tak miły xx**

Wpatruję się w jej esemesa, a słońce rozświetla ekran, aż słowa stają się niemal niewidoczne. Osłaniam go dłonią i czytam ponownie. Dziwne, że dostałem go akurat w chwili, gdy myślałem o Richiem.

Nie byłem pewien, co sądzić o wiadomości od Richiego, który poprosił, żebym opowiedział o nim Tiffy. Kiedy tylko dowiedziałem się, że rozmawiali, zacząłem się zastanawiać, czy Tiffy wierzy w jego niewinność, chociaż go nie zna i nie ma pojęcia o tej sprawie. Absurd. Nawet

gdyby wszystko wiedziała, nie powinno mieć znaczenia, czy mu wierzy. Nawet jej nie spotkałem. Ale zawsze tak jest – kiedy z kimś rozmawiam, stale dręczą mnie wątpliwości. Rozmawiamy całkiem zwyczajnie, aż tu nagle myślę: „Czy uwierzyłabyś, że mój brat jest niewinny?”.

Nie mogę jednak pytać o to ludzi. To fatalny temat rozmowy i paskudne pytanie, o czym może zaświadczyć Kay.

Odpowiem za pośrednictwem liściku, gdy wrócę do domu. Rzadko esemesuję do Tiffy; dziwnie się z tym czuję. Jakbym mejlował do mamy. Liściki to po prostu… nasz sposób rozmowy.

Na szafie (tutaj kończy się najnowszy szlak karteczek):

*Poproszę Richiego, żeby do Ciebie napisał, jeśli to Ci nie przeszkadza. On najlepiej o tym opowie.*

*Mam taką myśl: czy Twoja pisarka od szydełkowania mogłaby kiedyś wpaść do Świętego Marka (gdzie pracuję)? Wciąż szukamy nowych atrakcji dla pacjentów. Przyszło mi do głowy, że szydełkowanie,*

*choć nudne, może zaciekawić starszych ludzi. x*

*Cześć, Leonie!*

*Oczywiście. Kiedy tylko Richie będzie gotowy.*

*Bardzo chętnie! Dział PR cały czas wypatruje takich okazji. Muszę powiedzieć, że wybrałeś znakomity moment, ponieważ Katherin właśnie została CELEBRYTKĄ. Tylko zerknij na jej tweeta.*

Wydrukowany zrzut ekranu z Twittera, przyklejony pod liścikiem:

Katherin Rosen @KatherinNaDrutach

Oto jeden z fantastycznych szalików, które możecie zrobić dzięki mojej mającej się niedługo ukazać książce *Szydełkiem przez życie*. Znajdźcie czas na odrobinę skupienia i stwórzcie coś pięknego!

117 komentarzy, 8 tys. udostępnień, 23 tys. polubień.

Poniżej nowa karteczka:

*Tak jest. OSIEM TYSIĘCY UDOSTĘPNIEŃ. (Jednego z szalików pana Priora – nie zapomnij mu powiedzieć!).*

Następna karteczka:

*Zakładam, że nie znasz się na Twitterze, ponieważ nie przesunąłeś swojego laptopa przez ostatnie kilka miesięcy i nawet go nie naładowałeś, ale to mnóstwo udostępnień, Leonie. MNÓSTWO. A to wszystko dzięki pewnej niesamowitej youtuberce zajmującej się rękodziełem, Tashy Chai-Latte, która udostępniła tego tweeta z takim komentarzem:*

Wydrukowany zrzut ekranu z Twittera (tym razem tak nisko na drzwiach szafy, że muszę przykucnąć, żeby go przeczytać):

Tasha Chai-Latte @ChaiLatteDIY
Szydełkowanie totalnie wyprze kolorowanki! Podziwiam @KatherinNaDrutach za jej niesamowite projekty. #odrobinaskupienia #szydełkiemprzezzycie

69 komentarzy, 32 tys. udostępnień, 67 tys. polubień.

Poniżej kolejne dwie karteczki:

*Śledzi ją 15 milionów osób. Ludzie z marketingu i PR sikają po nogach z podniecenia. Niestety, to oznacza, że musiałam zapoznać Katherin z YouTube'em, a ona jeszcze gorzej radzi sobie z technologią niż Ty (używa jednej z tych starych nokii, jakie mają tylko dilerzy narkotykowi), poza tym ten odpychający Martin z działu PR „tweetuje na żywo" ze wszystkich imprez, w których bierze udział Katherin. Ale mimo wszystko to takie podniecające! Moja droga wariatka Katherin może trafić na listy bestsellerów! Oczywiście nie te najważniejsze, ale na jedną z niszowych list na Amazonie. Na przykład zajmie pierwsze miejsce sprzedaży książek o rękodziele i origami albo coś w tym stylu. xx*

…Spróbuję odpowiedzieć, dopiero kiedy się wyśpię.

# LIPIEC

# 17
# *Tiffy*

Gdy docieram do domu, wciąż jest jasno. Uwielbiam lato. Nie ma butów sportowych Leona, więc pewnie wybrał się do pracy piechotą – bardzo mu zazdroszczę, że może to robić. Metro jest jeszcze bardziej obrzydliwe podczas upałów.

Szukam wzrokiem nowych liścików. Obecnie niełatwo je dostrzec – zazwyczaj wszystko jest oblepione karteczkami, chyba że akurat jedno z nas postanowiło urządzić gruntowne porządki.

W końcu zauważam wiadomość na kuchennym blacie: kopertę z imieniem i numerem więziennym Richiego po jednej stronie i naszym adresem po drugiej. Obok adresu widnieje krótka wiadomość napisana odręcznie przez Leona.

*Oto list od Richiego.*

A wewnątrz:

*Droga Tiffy!*

*Pewnej ciemnej, burzliwej nocy…*

*No dobrze, wcale taka nie była. Pewnej ciemnej, całkiem przeciętnej nocy bawiłem się w klubie nocnym Daffie's w Clapham. Byłem już nawalony, kiedy tam przyjechałem – przenieśliśmy się z parapetówki kumpla.*

*Tańczyłem z kilkoma dziewczynami. Później zrozumiesz, dlaczego o tym wspominam. W klubie byli bardzo różni ludzie, dużo młodziaków z uniwerku, sporo oblechów, którzy czają się na obrzeżach parkietu i czekają, aż dziewczyny się upiją, a wtedy zaczynają działać. Ale w głębi przy jednym ze stolików siedziało kilku facetów, którzy wyraźnie tam nie pasowali.*

*Trudno to wyjaśnić. Wyglądali, jakby pojawili się tam z innego powodu niż pozostali goście. Nie chcieli nikogo poderwać, nie chcieli się upić, nie chcieli tańczyć.*

*Dziś już wiem, że przyszli robić interesy. Mówią na nich Krwawi. Dowiedziałem się tego dużo później, kiedy opowiadałem innym więźniom swoją historię, więc podejrzewam, że Ty również o nich nie słyszałaś. Jeżeli należysz do klasy średniej, skupiasz się na pracy i zajmujesz swoimi sprawami, to chociaż mieszkasz w Londynie, zapewne nawet nie wiesz, że takie gangi istnieją.*

*Ale oni są ważni. Chyba nawet wtedy się tego domyślałem, gdy na nich patrzyłem. Tylko że byłem także bardzo pijany.*

*Jeden z nich podszedł do baru ze swoją dziewczyną. W ich grupie były tylko dwie kobiety, a ta sprawiała wrażenie potwornie znudzonej. Wymieniliśmy spojrzenia i nagle wyraźnie się ożywiła.*

*Obejrzałem się. Jeśli jest znudzona swoim facetem, to jego problem, nie mój. Na pewno nie zamierzam odmawiać sobie patrzenia na ładną kobietę tylko dlatego, że koleś, który obok niej stoi, sprawia wrażenie większego twardziela niż typowy gość w Daffie's.*

*Później znalazł mnie w toalecie. Przycisnął do ściany.*

*„Łapy przy sobie, rozumiesz?”*

*Wiesz, jak to jest. Krzyczał mi prosto w twarz, żyła pulsowała mu na czole.*

*„Nie mam pojęcia, o czym mówisz”, odpowiedziałem. Na pełnym luziku.*

*Jeszcze trochę pokrzyczał. Popychał mnie. Nie ustępowałem, ale nie próbowałem go popychać ani uderzać. Powiedział, że widział, jak tańczyliśmy, co nie było prawdą. Wiem, że to nie z nią tańczyłem wcześniej tego wieczoru. Na pewno bym ją zapamiętał.*

*Mimo wszystko działał mi na nerwy, więc kiedy później ona się pojawiła, tuż przed zamknięciem klubu, nabrałem jeszcze większej ochoty, żeby z nią pogadać i zrobić mu na złość.*

*Flirtowaliśmy. Kupiłem jej drinka. Jej ludzie rozmawiali o interesach i najwyraźniej nie zwracali na nas uwagi. Pocałowałem ją. Odwzajemniła pocałunek. Byłem tak pijany, że kręciło mi się w głowie, gdy zamykałem oczy, więc całowałem ją z otwartymi oczami.*

*Na tym się skończyło. Dziewczyna po prostu rozpłynęła się w tłumie – nie pamiętam dokładnie, byłem solidnie*

*nawalony. Nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie wyszła ani kiedy ja wyszedłem.*

*Nie mogę ręczyć za nic, co wydarzyło się później. Gdyby tak było, nie pisałbym do Ciebie z tego miejsca, tylko relaksowałbym się na Twojej słynnej poduszce z kulkami z filiżanką kawy z mlekiem Leona, a to wszystko byłoby tylko zabawną anegdotą, jaką opowiada się w pubie.*

*W każdym razie sądzę, że to było tak.*

*Śledzili mnie i moich kumpli, kiedy wyszliśmy. Oni wsiedli do nocnych autobusów, ale ja mieszkałem niedaleko, więc ruszyłem piechotą. Wszedłem do całodobowego monopolowego przy Clapham Road i kupiłem papierosy oraz sześciopak piwa. Nawet nie miałem na nie ochoty – a z pewnością nie powinienem go pić. Dochodziła czwarta rano i pewnie nawet nie potrafiłem iść prosto. Ale wszedłem do sklepu, zapłaciłem gotówką, wróciłem do domu. Nie widziałem ich, ale musieli być niedaleko, ponieważ według nagrania ze sklepowego monitoringu „wróciłem" dwie minuty później w kapturze i kominiarce na głowie.*

*Facet na nagraniu rzeczywiście jest zbudowany podobnie do mnie. Ale jak powiedziałem w sądzie, ktokolwiek to jest, znacznie pewniej trzyma się na nogach. Byłem zbyt pijany, żeby uchylić się przed rzuconym pudłem z przecenionym towarem i jednocześnie wyciągnąć nóż zza paska.*

*Nie miałem pojęcia, co się stało, dopóki dwa dni później nie aresztowano mnie w pracy.*

*Zmusili dziewczynę przy kasie, żeby otworzyła sejf. W środku było cztery i pół tysiąca funtów. Byli sprytni, a może po prostu doświadczeni – prawie się nie odzywali, więc dziewczyna podczas przesłuchania nie potrafiła powiedzieć niczego poza tym, że trzymali nóż przy jej twarzy.*

*Pojawiłem się na nagraniu z monitoringu. Byłem wcześniej karany. Zgarnęli mnie.*

*Postawili mi zarzuty i nie wyznaczyli kaucji. Mój prawnik wziął tę sprawę, ponieważ szczerze go zaciekawiła. Wierzył, że oprze linię obrony na jedynym świadku, kasjerce, ale oni zdołali ją dopaść. Spodziewaliśmy się, że dziewczyna zezna*

*przed sądem, że facet, który pojawił się później w sklepie, to nie ja. Przecież widziała mnie wcześniej, byłem miły i nie próbowałem niczego zwinąć.*

*Ale ona wskazała mnie w sądzie. Powiedziała, że to na pewno ja. To było jak koszmar na jawie. Patrzyłem, jak ta scena rozgrywa się przed moimi oczami, jak zmieniają się oblicza sędziów, ale nie mogłem niczego zrobić. Kiedy próbowałem wstać i coś powiedzieć, sędzia mnie skrzyczał – nie wolno odzywać się niepytanym. Tylko że nikt nie zamierzał mnie o nic pytać. Gdy wreszcie udzielili mi głosu, wszyscy już podjęli decyzję.*

*Sal zadawał mi gówniane pytania i nie zdołałem powiedzieć niczego sensownego. Byłem rozkojarzony, nie spodziewałem się, że do tego dojdzie. Prokurator odwołał się do moich kłopotów z prawem sprzed kilku lat – wdałem się w kilka bójek jako dziewiętnastolatek, kiedy byłem w dołku (to zupełnie inna opowieść, zapewniam, że nie tak dramatyczna, jak się wydaje). Przedstawili mnie jako agresywnego. Nawet przywlekli pewnego gościa, z którym kiedyś pracowałem w kawiarni i który szczerze*

*mnie nienawidził – pokłóciliśmy się o jakąś dziewczynę; podobała mu się w college'u, a ja zabrałem ją na bal albo coś w tym rodzaju. Nie mogłem uwierzyć, jak sprytnie to ukartowali. Nie dziwię się, że sąd uwierzył w moją winę. Ci prawnicy są zajebiście skuteczni.*

*Skazali mnie na osiem lat za napad z bronią w ręku.*

*A więc jestem tutaj. Sam w to nie wierzę. Za każdym razem, gdy komuś o tym piszę albo opowiadam, wydaje mi się to coraz bardziej nieprawdopodobne, jeśli wiesz, co mam na myśli. Coraz bardziej się wściekam.*

*To nie była trudna sprawa. Wszyscy sądziliśmy, że Sal sobie z nią poradzi, kiedy wniesie apelację. (Przy okazji, Sal jest moim prawnikiem). Ale wciąż tego nie zrobił, kurwa mać. Skazali mnie w listopadzie, a na apelację się nie zanosi. Wiem, że Leon próbuje to załatwić, i kocham go za to, ale tak naprawdę wszyscy poza nim mają mnie w dupie. No i pewnie poza mamą.*

*Będę z Tobą szczery, Tiffy, jestem roztrzęsiony. Mam ochotę krzyczeć. To najgorsze chwile – nie mam dokąd pójść. Trochę pomaga robienie pompek, ale*

*czasami mam ochotę pobiegać, a kiedy łóżko od sedesu dzielą trzy kroki, nie ma na to zbyt dużo miejsca.*

*Nieważne. To bardzo długi list i wiem, że długo trwało, zanim go napisałem – być może już zapomniałaś o naszej rozmowie. Nie musisz odpisywać, ale jeśli chcesz, Leon może dołączyć Twój list do swojej kolejnej przesyłki – jeśli napiszesz, proszę, wyślij mi znaczki pocztowe i kopertę.*

*Zależy mi na tym, żebyś mi uwierzyła. Może dlatego, że jesteś ważna dla mojego brata, a on jest jedyną osobą, która jest ważna dla mnie.*

*Pozdrawiam*
*Richie xx*

Następnego ranka ponownie czytam list w łóżku, owinięta kołdrą, jak w przytulnym gnieździe. Czuję zimno w żołądku i mrowienie na skórze. Mam ochotę się rozpłakać. Nie wiem, dlaczego tak mnie to rusza, ale ten list obudził mnie o piątej trzydzieści w sobotni poranek. Aż tak bardzo nie daje mi spokoju. To takie niesprawiedliwe.

Niewiele myśląc, sięgam po telefon.

– Gerty, znasz się na swojej pracy?

– Owszem, mam o niej pewne pojęcie. Wiem na przykład, że to z jej powodu każdego dnia wstaję o szóstej rano, nie licząc sobotnich poranków.

Zerkam na zegar. Szósta.

– Przepraszam. Ale… jakim prawem się właściwie zajmujesz?

– Prawem karnym, Tiffy. Zajmuję się prawem karnym.

– No tak. Ale co to właściwie znaczy?

– Zaufam ci i uznam, że chodzi o coś ważnego – odpowiada Gerty. Słyszę, jak zgrzyta zębami. – Zajmujemy się przestępstwami przeciwko ludziom i mieniu.

– Na przykład napadami z bronią w ręku?

– Tak. Dobry przykład, brawo.

– Nienawidzisz mnie, prawda? Znajduję się teraz na szczycie twojej listy znienawidzonych osób.

– To jedyny dzień w tygodniu, gdy mogę się wyspać, więc owszem, właśnie przeskoczyłaś Donalda Trumpa i tego kierowcę Ubera, który zawsze nuci pod nosem przez całą drogę.

Cholera. Kiepsko mi idzie.

– Są takie szczególne sprawy, którymi prawnicy zajmują się za darmo albo za mniejsze pieniądze, prawda?

Gerty przez chwilę milczy.

– Do czego zmierzasz, Tiffy?

– Wysłuchaj mnie. Jeśli dam ci list od faceta skazanego za napad z bronią w ręku, rzucisz na niego okiem? Nie musisz niczego robić. Oczywiście nie musisz przyjmować tej sprawy, wiem, że masz mnóstwo ważniejszych rzeczy na głowie. Ale czy zgodzisz się go przeczytać i może sporządzić listę pytań?

– Skąd masz ten list?

– Nieważne, to długa historia. Ale nie prosiłabym cię, gdyby to nie było ważne.

Na drugim końcu linii zapada długa, senna cisza.

– Oczywiście, że go przeczytam. Wpadnij na lunch i przynieś list.

– Kocham cię.

– Nienawidzę cię.

– Wiem. Ale przyniosę ci latte z Moll's. Donald Trump na pewno nie przyniósłby ci latte z Moll's.

– Zgoda. Podejmę ostateczną decyzję co do twojego miejsca na liście nienawiści, kiedy spróbuję kawy. Nie dzwoń do mnie ponownie przed dziesiątą. – Rozłącza się.

*

Mieszkanie Gerty i Mo uległo całkowitej gertyfikacji. Nie sposób się domyślić, że Mo także tutaj mieszka. Jego pokój w poprzednim mieszkaniu wypełniała sterta czystych i brudnych ubrań (nieposegregowanych) oraz dokumentów, zapewne poufnych, ale tutaj każdy przedmiot ma swoje przeznaczenie. Mieszkanie jest malutkie, lecz nie rzuca mi się to w oczy tak bardzo jak podczas pierwszej wizyty – Gerty jakimś sposobem zdołała odwrócić uwagę od niskich sufitów ku ogromnym oknom, przez które do kuchni-jadalni wlewa się łagodny blask letniego słońca. Poza tym jest tutaj niezwykle czysto. Nabieram szacunku do Gerty, która potrafi osiągnąć tak wiele dzięki sile woli lub odrobinie despotyzmu.

Podaję jej kawę. Upija łyk i kiwa głową z uznaniem. Przeszywam powietrze pięścią, gdyż właśnie oficjalnie stałam się mniej odpychająca niż człowiek, który zamierza wybudować mur między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi.

– List – mówi Gerty, wyciągając rękę.

Nie lubi próżnej gadki. Przez chwilę grzebię w torebce, po czym podaję jej kopertę, a Gerty natychmiast przystępuje do lektury, wcześniej zabrawszy okulary ze stolika przy drzwiach, na

którym, co niezwykłe, nigdy nie zapomina ich zostawić.

Wiercę się. Krążę po pokoju. Zmieniam kolejność książek piętrzących się na skraju stołu w jadalni, ot tak, dla zabawy.

– Idź sobie – mówi Gerty, nawet nie podnosząc głosu. – Rozpraszasz mnie. Mo jest w tej kawiarni na rogu, w której dają gorszą kawę. On cię zabawi.

– Jasne. Zgoda. Więc… już zaczęłaś czytać? Co o tym sądzisz?

Nie odpowiada. Przewracam oczami, więc wychodzę na wypadek, gdyby to zauważyła.

Nawet nie zdążam dotrzeć do kawiarni, gdy dzwoni mój telefon. To Gerty.

– W zasadzie już możesz wrócić – mówi.

– Naprawdę?

– Protokół z procesu dotrze do mnie najwcześniej za czterdzieści osiem godzin, nawet ekspresową przesyłką. Dopóki go nie przeczytam, nie powiem ci niczego użytecznego.

Uśmiecham się.

– Będziesz wnioskowała o protokół z procesu?

– Mężczyźni często bardzo przekonująco opowiadają o swojej niewinności, Tiffy, więc podchodziłabym z dystansem do skróconych

relacji. Są ogromnie stronnicze i często zdradzają brak obeznania z tajnikami prawa.

Wciąż się uśmiecham.

– Ale będziesz wnioskowała o protokół z procesu.

– Nie rozbudzaj w nikim nadziei – odpowiada Gerty poważnym głosem. – Nie żartuję, Tiffy. Po prostu zapoznam się ze sprawą. Proszę, nie mów niczego temu człowiekowi. Dawanie mu nieuzasadnionej nadziei byłoby okrucieństwem.

– Wiem – odpowiadam i pochmurnieję. – Nie zrobię tego. Dzięki.

– Nie ma za co. Kawa była doskonała. A teraz wracaj tutaj. Skoro musiałam wstać tak wcześnie w sobotę, przynajmniej chcę mieć jakąś rozrywkę.

# 18
# *Leon*

W drodze na spotkanie z Johnnym White’em Pierwszym. Jest bardzo wcześnie – czeka mnie czterogodzinna podróż do Johnny’ego, a potem jazda autobusem z dwiema przesiadkami do więzienia w Groundsworth, gdzie o piętnastej odwiedzam Richiego. W pociągu jest mało miejsca na nogi, przez co zesztywniałem, a wagony nie są klimatyzowane, więc pot spływa mi po plecach. Kiedy podwijam rękawy koszuli, odkrywam starą wiadomość od Tiffy przyklejoną do mankietu. Liścik z zeszłego miesiąca dotyczący tego, co dziwny facet spod piątki robi o siódmej rano. Hm. Co za wpadka. Muszę dokładniej oglądać ubrania przed wyjściem z domu.

Greeton, gdzie mieszka Johnny White, to zaskakująco ładne miasteczko, które rozciąga się

na gładkich zielonych polach środkowej Anglii. Idę piechotą z dworca autobusowego do domu JW. Wymieniliśmy kilka mejli, ale nie jestem pewien, jaką okaże się osobą.

Kiedy docieram do celu, potężny i groźnie wyglądający Johnny White warknięciem zaprasza mnie do środka. Natychmiast wykonuję jego polecenie i wchodzę do skromnie urządzonego salonu. W oczy rzuca się tylko fortepian stojący w kącie. Jest odkryty i sprawia wrażenie zadbanego.

Ja: Gra pan?

JW Pierwszy: Kiedyś nawet koncertowałem. Teraz rzadziej grywam, ale wciąż trzymam staruszka w domu. Bez niego czułbym się nieswojo.

Jestem zachwycony. Idealnie. Pianista! Najbardziej czadowy zawód świata! Nigdzie nie widać zdjęć żony ani dzieci – doskonale.

JW Pierwszy proponuje mi herbatę i po chwili przynosi gruby, wyszczerbiony kubek mocnego naparu z mlekiem. Zupełnie jak herbata u mamy. Czuję dziwny przypływ tęsknoty za domem – muszę zacząć częściej ją odwiedzać.

JW Pierwszy i ja siadamy naprzeciwko siebie na sofie i fotelu. Nagle uświadamiam sobie, że muszę poruszyć potencjalnie trudny temat. Czy

miał pan romans z mężczyzną podczas drugiej wojny światowej? Możliwe, że ten człowiek nie ma ochoty rozmawiać o czymś takim z nieznajomym przybyszem z Londynu.

JW Pierwszy: Więc czego dokładnie pan szuka?

Ja: Zastanawiałem się… hm.

Odchrząkuję.

Ja: Służył pan w wojsku podczas drugiej wojny światowej, prawda?

JW Pierwszy: Przez dwa lata, z krótką przerwą, gdy musieli wygrzebać pocisk z mojego brzucha.

Wbijam wzrok w jego brzuch. JW Pierwszy posyła mi zaskakująco dynamiczny uśmiech.

JW Pierwszy: Pewnie pan myśli, że musieli się go sporo naszukać?

Ja: Nie! Pomyślałem, że w okolicach brzucha znajduje się wiele ważnych organów.

JW Pierwszy, chichocząc: Na szczęście dla mnie Niemiaszki nie trafiły w żaden z nich. Zresztą bardziej się bałem o dłonie. Można grać na fortepianie bez śledziony, ale nie bez odmrożonych palców.

Patrzę na niego z podziwem i przerażeniem. Ponownie chichocze.

JW Pierwszy: Ale chyba nie interesują pana moje wojenne opowieści grozy. Wspominał pan, że bada losy swojej rodziny?

Ja: Nie swojej, ale przyjaciela. Roberta Priora. Służył w tym samym pułku co pan, chociaż nie jestem pewien, czy w tym samym czasie. Czy go pan pamięta?

Mężczyzna się zastanawia. Marszczy nos. Przekrzywia głowę.

JW Pierwszy: Nie. Nic mi nie mówi jego nazwisko. Przykro mi.

Ech, miałem niewielkie szanse. Jeden z głowy, pozostała siódemka.

Ja: Dziękuję, panie White. Nie będę zabierał panu więcej czasu. Mam jeszcze tylko jedno pytanie – czy był pan kiedyś żonaty?

JW Pierwszy, bardziej oschle niż dotychczas: Nie. Moja Sally zginęła podczas nalotu w czterdziestym pierwszym i to był dla mnie koniec. Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ona.

Prawie się rozklejam. Richie by mnie wyśmiał – zawsze nazywa mnie beznadziejnym romantykiem. Albo używa bardziej obraźliwych określeń o podobnym znaczeniu.

*

Kay, na drugim końcu linii: Serio, Leonie. Mam wrażenie, że gdybyś mógł, przyjaźniłbyś się tylko z ludźmi po osiemdziesiątce.

Ja: Po prostu był bardzo ciekawym człowiekiem. Przyjemnie się z nim rozmawiało. A poza tym był pianistą! To najbardziej czadowy zawód świata, czyż nie?

Rozbawiona Kay nie odpowiada.

Ja: Została jeszcze siódemka.

Kay: Jaka siódemka?

Ja: Siódemka Johnnych White'ów.

Kay: No tak.

Przez chwilę milczy.

Kay: Zamierzasz spędzać wszystkie weekendy na jeżdżeniu po Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu dawnego kochanka tego staruszka?

Tym razem to ja milknę. W sumie taki miałem plan. Jak inaczej mam znaleźć właściwego Johnny'ego? Nie mogę się tym zajmować w tygodniu.

Ja, niepewnie: …Nie?

Kay: To dobrze, ponieważ i tak rzadko się widujemy przez twoje odwiedziny w więzieniu i dyżury. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Ja: Tak. Przepraszam, po prostu…

Kay: Tak, tak, wiem, zależy ci na pracy, Richie cię potrzebuje. Wiem o tym wszystkim. Nie staram się utrudniać ci życia, Leonie. Tylko chciałabym… żebyś bardziej się tym przejmował. Tak jak ja się przejmuję. Tym, że się nie widujemy.

Ja: Przejmuję się! Przecież widzieliśmy się rano.

Kay: Przez pół godziny, podczas bardzo pośpiesznego śniadania.

Ogarnia mnie nagła irytacja. Skróciłem o pół godziny swoją trzygodzinną regeneracyjną drzemkę, żeby zjeść śniadanie z Kay. Głęboko oddycham. Wyglądam przez okno, żeby sprawdzić, gdzie jesteśmy.

Ja: Muszę kończyć. Dojechałem do więzienia.

Kay: W porządku. Porozmawiamy później. Napiszesz mi, którym pociągiem będziesz wracał?

Wcale mi się to nie podoba – kontrolowanie, pytanie, którym pociągiem wracam, stałe śledzenie, gdzie jestem. Ale… zachowuję się nierozsądnie. Nie mogę się sprzeciwić. Kay już uważa, że jestem związkofobem. To ostatnio jej ulubione słowo.

Ja: Nie ma sprawy.

Ale ostatecznie tego nie robię. Mam taki zamiar, ale nic z tego nie wychodzi. Dawno się tak nie pokłóciliśmy.

# 19
# *Tiffy*

– To idealne miejsce dla ciebie, Katherin! – wykrzykuje Martin, rozkładając zdjęcia na stole.

Uśmiecham się zachęcająco. Chociaż początkowo uważałam, że premiera książki w tak ogromnym miejscu to absurd, zaczynam się przekonywać do tego pomysłu. Różni internetowi celebryci udostępnili dwadzieścia filmów na YouTubie, na których noszą stroje, które podobno samodzielnie wydziergali szydełkiem na podstawie instrukcji Katherin. Po nerwowym nieplanowanym zebraniu z dyrekcją, podczas którego kierownik działu PR skutecznie udawał, że wie, co to za książka, i ma pieniądze na jej promocję, wszyscy w redakcji są pełni emocji. Najwyraźniej zapomnieli, że jeszcze w zeszłym tygodniu mieli w dupie szydełkowanie. Tymczasem wczoraj

kierowniczka działu sprzedaży wyznała, że „od początku podejrzewała, że ta książka okaże się hitem”.

Katherin jest tym wszystkim nieco oszołomiona, zwłaszcza zamieszaniem z Tashą Chai-Latte. Początkowo zareagowała jak każdy, kto widzi przypadkową osobę, która zarabia kupę forsy na YouTubie. („Też bym tak potrafiła!”, oznajmiła. Poradziłam, żeby na początek zainwestowała w smartfona. Metoda małych kroków). Teraz ma za złe Martinowi, że przejął kontrolę nad jej kontem na Twitterze. („Nie możemy jej tego powierzyć! Musimy zachować kontrolę!”, wrzeszczał Martin na Ruby dziś rano).

– Więc jak wygląda prawdziwa premiera książki? – pyta Katherin. – Zazwyczaj po prostu kręcę się tu i tam, popijam wino i gawędzę z jakąś staruszką, która postanowiła się pojawić. Jak mam to robić, gdy będzie tylu ludzi? – Wskazuje zdjęcie gigantycznej Islington Assembly Hall.

– No właśnie, Katherin, cieszę się, że pytasz – odzywa się Martin. – Tiffy i ja za dwa tygodnie zabierzemy cię na inną dużą premierę, żebyś mogła zobaczyć, jak to wygląda.

– Będą darmowe drinki? – pyta Katherin, wyraźnie się ożywiając.

– Oczywiście, mnóstwo darmowych drinków – zapewnia Martin, chociaż mnie wcześniej mówił, że drinków nie będzie.

Zerkam na zegarek, a Martin dalej próbuje przekonać Katherin do dużej sali. Katherin martwi się, że ludzie stojący z tyłu nie będą niczego widzieli. Ja z kolei przejmuję się, czy nie spóźnię się do Leona.

Dziś wieczorem odwiedzamy szpital. Leon też tam będzie, co oznacza, że po pięciu i pół miesiąca wspólnego mieszkania wreszcie się spotkamy.

Jestem dziwnie nerwowa. Dziś rano trzy razy się przebierałam, co rzadko mi się zdarza – zazwyczaj gdy już wybiorę strój, nie wyobrażam sobie, że danego dnia miałabym wyglądać inaczej. Dzisiaj nie jestem pewna swojego wyboru. Co prawda stonowałam cytrynową sukienkę dżinsową kurtką, legginsami i liliowymi butami, ale wciąż jestem ubrana jak szesnastolatka wybierająca się na szkolny bal. Tiulowe ciuchy sygnalizują, że za bardzo się staram.

– Nie uważasz, że powinniśmy już kończyć? – odzywam się, przerywając Martinowi w połowie

plecenia bzdur. Chcę dotrzeć do szpitala na czas, by znaleźć Leona i podziękować mu, zanim zaczniemy. Wolałabym, żeby nie zaskoczył mnie tak jak Justin, gdy akurat będę robiła za poduszkę do szpilek dla Katherin.

Martin posyła mi surowe spojrzenie, obracając przy tym głowę, by Katherin nie zobaczyła, że torpeduje mnie wzrokiem. Ona oczywiście to zauważa i od razu poprawia jej się humor, tak że chichocze nad filiżanką kawy. Kiedy przyszłam, naburmuszyła się, ponieważ (najwyraźniej) znów zignorowałam jej prośbę o założenie „neutralnego ubrania". Nie przekonało jej moje wytłumaczenie, że beżowe stroje wysysają ze mnie życie. „Wszyscy musimy się poświęcać dla naszej sztuki, Tiffy!", powiedziała, grożąc mi palcem. Zwróciłam jej uwagę, że to nie jest moja sztuka, tylko jej, ale sprawiała wrażenie tak urażonej, że dałam za wygraną i w ramach kompromisu zaproponowałam, że pozbędę się obszernej halki.

To miło, że wspólna niechęć do Martina znów nas zjednoczyła.

*

Nie mam pojęcia, dlaczego wydaje mi się, że wiem, jak wygląda hospicjum – nigdy w żadnym nie byłam. Mimo wszystko to miejsce potwierdza kilka moich wyobrażeń: linoleum na korytarzu, sprzęt medyczny ze sterczącymi przewodami i rurkami, na ścianach kiepskie obrazy w przekrzywionych ramach. Ale panuje tutaj bardziej przyjazna atmosfera, niż się spodziewałam. Mam wrażenie, że wszyscy się znają: lekarze rzucają wesołe uwagi, gdy mijają się na korytarzu, pacjenci chichoczą chrapliwie do swoich towarzyszy z oddziału, a w pewnej chwili słyszę, jak pielęgniarka sprzecza się zażarcie z pewnym starszym panem z Yorkshire o to, który deser ryżowy z wieczornego jadłospisu jest najsmaczniejszy.

Recepcjonistka prowadzi nas oszałamiającym labiryntem korytarzy do czegoś w rodzaju salonu. Jest tutaj rozchwiany plastikowy stół, na którym mamy rozłożyć swoje rzeczy, a także mnóstwo niewygodnych krzeseł oraz telewizor przypominający ten w domu moich rodziców – kanciasty i potężny, jakby upchnięto w nim dodatkowe kanały zakupowe.

Zrzucamy z ramion torby z wełną i szydełkami. Kilkoro lepiej poruszających się pacjentów pojawia się w pokoju. Wygląda na to,

że wieści o naszym pokazie się rozniosły, zapewne za pośrednictwem pielęgniarek i lekarzy, którzy wydają się bez przerwy pędzić w przypadkowych kierunkach, jak kulki w bilardzie elektrycznym. Zostało nam piętnaście minut – mnóstwo czasu, żeby namierzyć Leona i się przywitać.

– Przepraszam – zagaduję pielęgniarkę, której trasa chwilowo przecięła salon – czy Leon już przyszedł?

– Leon? – pyta, patrząc na mnie nieobecnym wzrokiem. – Tak. Jest tutaj. Jest potrzebny?

– Ależ nie, proszę się nie martwić – odpowiadam. – Nie chodzi o sprawy, no wie pani, medyczne. Po prostu chciałam się z nim przywitać i podziękować za to, że pozwolił nam to zorganizować. – Macham ręką w kierunku Martina i Katherin, którzy rozplątują wełnę z niejednakowym entuzjazmem.

Pielęgniarka ożywia się i skupia na mnie wzrok.

– Jesteś Tiffy?

– Eee… Tak?

– Aha! Cześć. Kurczę, miło cię poznać. Jeśli chcesz go spotkać, to chyba jest na Oddziale Grzbietowym. Idź za znakami.

– Bardzo dziękuję! – wołam za nią, gdy się oddala.

Oddział Grzbietowy. No dobrze. Zerkam na tabliczkę przymocowaną do ściany: to chyba w lewo. Potem w prawo. Potem w lewo, lewo, prawo, lewo, prawo, prawo – jasna cholera. Ten budynek nie ma końca.

– Przepraszam – zagaduję kogoś w fartuchu – czy tędy dojdę na Oddział Grzbietowy?

– Jasne – odpowiada, nie zwalniając. Hm. Nie jestem pewna, czy skupił się na moim pytaniu. Pewnie jeśli tutaj pracujesz, masz po dziurki w nosie odwiedzających, którzy pytają o drogę. Wpatruję się w następną tabliczkę: Oddział Grzbietowy zniknął.

Facet w fartuchu najwyraźniej wrócił korytarzem, bo nagle pojawia się obok mnie. Podskakuję.

– Przepraszam, czy ty jesteś Tiffy? – pyta.

– Tak. Cześć.

– Serio? Psiakrew. – Bezwstydnie lustruje mnie wzrokiem, ale po chwili uświadamia sobie, co robi, i się krzywi. – Mój Boże, wybacz, po prostu żadne z nas w to nie wierzyło. Leon jest na Oddziale Wodorostów – to następnym korytarzem w lewo.

– W co nie wierzyliście?! – wołam za nim, ale już zniknął za wahadłowymi drzwiami, które się tylko za nim zakołysały.

Czuję się… dziwnie.

Kiedy się odwracam, zauważam pielęgniarza o jasnobrązowej skórze i ciemnych włosach, którego granatowy szpitalny strój nawet z daleka wygląda na podniszczony – zauważyłam, jak znoszony jest ubiór Leona suszący się w mieszkaniu. Przez ułamek sekundy patrzymy sobie w oczy, ale potem on odwraca głowę, zerka na pager przy pasku i odbiega w przeciwną stronę. Jest wysoki. Czy to mógł być on? Byliśmy od siebie zbyt daleko, żebym miała pewność. Ruszam za nim tak szybko, że aż tracę oddech, ale czuję się, jakbym go prześladowała, więc po chwili zwalniam. Szlag. Chyba przegapiłam skręt w kierunku Oddziału Wodorostów.

Zatrzymuję się w połowie korytarza. Bez tiulowej halki moja spódnica oklapła, przywierając do legginsów. Jestem zgrzana i zaczerwieniona oraz, nie oszukujmy się, całkowicie zagubiona.

Tabliczka informuje, że powinnam skręcić w lewo, żeby dotrzeć do sali rekreacyjnej, skąd zaczęłam swoją wędrówkę. Wzdycham i zerkam na zegarek. Nasz pokaz zaczyna się za pięć minut

– lepiej wrócę. Później namierzę Leona i przy odrobinie szczęścia nie wpadnę na kolejnych dziwacznych nieznajomych, którzy znają moje imię.

Kiedy docieram na miejsce, zauważam spory tłum. Katherin oddycha z ulgą na mój widok i od razu rozpoczyna pokaz. Posłusznie wykonuję jej polecenia, a podczas gdy ona z entuzjazmem zachwala zalety zamkniętych oczek, rozglądam się po pomieszczeniu. Publiczność to mieszanka starszych pań i panów, z których dwie trzecie siedzi na wózkach, a także kilku pań w średnim wieku, które kiepsko wyglądają, ale są najbardziej zainteresowane słowami Katherin. Jest także trójka dzieci. Jedno to mała dziewczynka, której dopiero odrastają włosy, zapewne po chemii. Ma ogromne oczy, a zauważam je, ponieważ nie wpatruje się w Katherin, jak pozostali, tylko we mnie, szeroko się przy tym uśmiechając.

Macham do niej, ale Katherin uderza mnie w dłoń.

– Fatalny dzisiaj z ciebie manekin! – gani mnie, a ja wracam myślami do rejsu w lutym, gdy ostatnim razem Katherin zmuszała mnie do przyjmowania różnych niewygodnych pozycji w imię szydełkowania. Przez chwilę widzę wyraz

twarzy Justina, gdy spotkały się nasze spojrzenia – nie taki jak w moich wspomnieniach, zatarty i zniekształcony przez upływ czasu, ale taki, jaki był naprawdę. Przeszywa mnie dreszcz.

Katherin posyła mi zaciekawione spojrzenie, a ja z trudem wyrywam się z zamyślenia i zmuszam do pocieszającego uśmiechu. Kiedy podnoszę wzrok, widzę wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w szpitalnym fartuchu, który wchodzi na jeden z oddziałów, i serce podskakuje mi w piersi. Ale to nie jest Leon. Niemal się z tego cieszę. Jestem roztrzęsiona i zdezorientowana – nie chcę go spotkać w takiej chwili.

– Podnieś ręce, Tiffy! – jazgocze Katherin prosto do mojego ucha, a ja kręcę głową i znów robię to, co mi każe.

# 20
# *Leon*

Zmięty list jest w kieszeni spodni. Tiffy poprosiła, żebym go przeczytał przed wysłaniem do Richiego, ale jeszcze tego nie zrobiłem. To dla mnie trudne. Nagle ogarnia mnie pewność, że ona nie zrozumie. Uzna go za wyrachowanego przestępcę, tak samo jak sędzia. Powie, że jego wymówki nie trzymają się kupy, a biorąc pod uwagę jego charakter i przeszłość, właśnie tego należało się po nim spodziewać.

Jestem zestresowany, mam spięte ramiona. Tylko rzuciłem okiem, a jednak nie mogę się pozbyć przekonania, że rudowłosa kobieta na drugim końcu korytarza to mogła być ona. Jeśli tak, mam nadzieję, że nie pomyślała, że uciekłem. Oczywiście właśnie tak zrobiłem. Ale mimo wszystko. Wolałbym, żeby o tym nie wiedziała.

Po prostu… nie chcę się z nią widzieć, dopóki nie przeczytam listu.

No właśnie. Muszę go przeczytać. Tymczasem mogę się ukryć na Oddziale Wodorostów, by uniknąć nieplanowanych spotkań na korytarzu.

Po drodze mijam recepcję, gdzie zagaduje mnie June, która siedzi za biurkiem.

June: Twoja koleżanka przyjechała!

Powiedziałem tylko kilku osobom, że prezentację szydełkowania zorganizowała moja współlokatorka. Okazuje się, że to niezwykle ciekawy temat plotek. Czuję się urażony, że wszyscy są zaskoczeni tym, iż mam współlokatorkę. Najwyraźniej wyglądam na mężczyznę, który mieszka samotnie.

Ja: Dzięki, June.

June: Jest w sali rekreacyjnej!

Ja: Dzięki, June.

June: Jest taka ładna.

Mrugam. Nie zastanawiałem się nad wyglądem Tiffy, nie licząc rozważań, czy nosi po pięć sukienek jednocześnie (co tłumaczyłoby mnogość ubrań wiszących w naszej szafie). Przez chwilę mam ochotę zapytać, czy ma rude włosy, ale się powstrzymuję.

June: Urocza dziewczyna. Naprawdę urocza. Tak się cieszę, że udało ci się zamieszkać z taką

uroczą dziewczyną.

Przyglądam się June podejrzliwie. Ona posyła mi promienny uśmiech. Ciekawe, z kim rozmawiała – czyżby z Holly? Dziewczynka ma obsesję na punkcie Tiffy.

Załatwiam kilka spraw na Oddziale Wodorostów. Po raz pierwszy robię sobie przerwę na kawę. Nie mogę dłużej zwlekać. Nawet nie mam żadnych poważnie chorych pacjentów, którzy mogliby mnie potrzebować – nie mam nic innego do roboty poza przeczytaniem listu.

Rozkładam go. Odwracam wzrok, czuję ukłucie w sercu. Co za absurd. Jakie to ma znaczenie?

W porządku. Patrzę na list. Stawiam mu czoło, jak przystało na dorosłego skonfrontowanego z opinią innego dorosłego, który poprosił mnie o przeczytanie czegoś, ale którego zdanie nie powinno się liczyć.

Tylko że ono się liczy. Muszę być wobec siebie szczery: lubię po powrocie do domu czytać wiadomości od Tiffy i byłoby mi smutno, gdyby okrutnie potraktowała Richiego i musiałbym się jej pozbyć. Raczej tego nie zrobi. Ale… już kiedyś tak sądziłem. Nigdy nie wiadomo, jak ludzie zareagują.

*Drogi Richie!*

*Bardzo dziękuję za Twój list. Doprowadził mnie do łez, co stawia Cię w jednym rzędzie z moim byłym chłopakiem i cebulami. Imponujące osiągnięcie. (Chcę przez to powiedzieć, że nie jestem mazgajem – trzeba poważnych emocjonalnych zawirowań albo dziwnych roślinnych enzymów, żebym się popłakała).*

*Trudno uwierzyć w to, jaki gówniany los Cię spotkał. Wiedziałam, że takie rzeczy się zdarzają, ale trudno to zrozumieć, dopóki ktoś ze szczegółami nam o tym nie opowie/napisze. Nie opisywałeś, jak się czułeś w sali sądowej ani jak sobie radzisz w więzieniu… więc wyobrażam sobie to wszystko, co pominąłeś, i robi mi się jeszcze bardziej smutno.*

*Ale nie ma sensu, żebym mówiła Ci, jak źle potraktował Cię los (dobrze o tym wiesz) i jak bardzo mi przykro (pewnie często to słyszysz). Pomyślałam sobie tak, zanim napisałam ten list, i poczułam się bezużyteczna. Nie mogłam po prostu napisać: „Przykro mi, pewnie czujesz się do dupy”. Dlatego zadzwoniłam do swojej najlepszej przyjaciółki Gerty.*

*Gerty jest wspaniałym człowiekiem, chociaż się z tym nie afiszuje. Jest wredna praktycznie dla każdego, ma obsesję na punkcie swojej pracy, a jeśli jej podpadniesz, wykreśli Cię ze swojego życia. Ale ma zasady, bardzo dobrze traktuje przyjaciół i ponad wszystko ceni szczerość.*

*Tak się składa, że jest adwokatem. I to cholernie dobrym, czego dowodzi jej nieludzko udana kariera.*

*Będę szczera: rzuciła okiem na Twój list, ponieważ była mi winna przysługę. Ale protokół z Twojego procesu przeczytała już z własnej inicjatywy i jak sądzę, ze względu na Ciebie. Nie obiecała, że zajmie się Twoją sprawą (przeczytasz o tym w liście, który załączyła), ale ma kilka pytań i chciałaby poznać na nie odpowiedzi. Oczywiście możesz ją zignorować – na pewno masz znakomitego prawnika, który już nad tym pracuje. Być może zwróciłam się do Gerty bardziej ze względu na siebie, ponieważ chciałam mieć poczucie, że coś robię. Dlatego jeśli chcesz, możesz mnie olać.*

*Ale jeżeli postanowisz odpisać Gerty, możesz przesłać wiadomość w następnym liście do Leona, a my jej ją przekażemy.*

*Tylko może lepiej nie wspominaj o tym swojemu adwokatowi. Nie wiem, jak prawnicy traktują rozmowę z innym prawnikiem – może jak cudzołóstwo?*

*Dołączam mnóstwo znaczków (koniecznie chcę być pomocna, nic na to nie poradzę).*

*Pozdrawiam*
*Tiffy*

*Szanowny Panie Twomey!*

*Nazywam się Gertrude Constantine. Podejrzewam, że Tiffany w efektowny sposób przedstawiła mnie w swoim liście, więc daruję sobie wstępy.*

*Będę z Panem szczera: to nie jest propozycja poprowadzenia Pańskiej sprawy. To nieoficjalny list, a nie prawna konsultacja. Wszelkich porad udzielam jako przyjaciółka Tiffany.*

*Z protokołu procesu wynika, że znajomi, z którymi przebywał Pan w Daffie's, nocnym klubie w Clapham, nie zostali wezwani na świadków ani przez oskarżenie, ani przez obronę. Proszę to potwierdzić.*

*Ani Pan, ani nikt inny podczas procesu nie wspomina o „Krwawych". Zakładam na*

*podstawie Pańskiego listu, że poznał Pan tę nazwę dopiero w więzieniu. Czy może Pan wyjaśnić, na jakiej podstawie uważa Pan, że to właśnie członkowie tego gangu przebywali w klubie i że to jeden z nich zaatakował Pana w toalecie?*

*Czy zgłosił Pan napaść w toalecie klubu?*

*Bramkarze w klubie nocnym zeznali, że członkowie gangu (tak będziemy ich nazywać) wyszli z lokalu wkrótce po Panu. Nie zadawano im więcej pytań. Możliwe, że ze swojego miejsca mogli ocenić, czy Pan i członkowie gangu zmierzaliście w tym samym albo zbliżonym kierunku.*

*Wygląda na to, że sąd podjął decyzję tylko na podstawie fragmentu nagrania z monitoringu, zarejestrowanego wewnątrz sklepu. Czy Pański prawnik wystąpił o nagrania z kamer znajdujących na Clapham Road, parkingu przed Aldim oraz w sąsiedniej pralni samoobsługowej?*

*Łączę wyrazy szacunku*
*Gertrude Constantine*

# 21
# *Tiffy*

Kiedy przychodzi czas na wyjście z szydełkami i wełną do ludzi, ruszam w kierunku małej dziewczynki, która wcześniej mi się przyglądała. Gdy się zbliżam, uśmiecha się, szczerząc wielkie przednie zęby.

– Cześć – mówi. – Ty jesteś Tiffy?

Wpatruję się w nią przez chwilę, a potem kucam przed jej wózkiem, ponieważ dziwnie się czuję, patrząc na nią z góry.

– Tak! Wielu ludzi mnie dzisiaj o to pytało. Skąd wiesz, jak mam na imię?

– A więc jesteś ładna! – odpowiada radośnie. – Jesteś też miła?

– Och, tak naprawdę jestem paskudna – odpowiadam. – Dlaczego pomyślałaś, że jestem Tiffy? No i że powinnam być ładna? – dodaję po namyśle.

– Na początku powiedzieli, jak masz na imię – zauważa dziewczynka. No tak, oczywiście. Tylko że to nie tłumaczy dziwacznego zachowania pielęgniarek. – Wcale nie jesteś paskudna. Myślę, że jesteś miła. To miło z twojej strony, że pozwoliłaś zmierzyć sobie nogi.

– Prawda? Mam wrażenie, że jak dotąd ten sympatyczny gest przeszedł niezauważony, więc dziękuję. Chcesz się nauczyć szydełkować?

– Nie – odpowiada.

Parskam śmiechem. Przynajmniej jest szczera, w odróżnieniu od mężczyzny za jej plecami, który dzielnie próbuje zadzierzgnąć węzeł supełkowy pod okiem Katherin.

– Więc co chcesz robić?

– Chcę porozmawiać z tobą o Leonie.

– Ach! Znasz Leona!

– Jestem jego ulubioną pacjentką.

Uśmiecham się.

– Nie wątpię. Więc wspominał o mnie, tak?

– Nieszczególnie.

– Aha. No tak. Cóż…

– Ale obiecałam mu, że sprawdzę, czy jesteś ładna.

– Serio? Poprosił cię o to?

Chwilę się zastanawia.

– Nie. Ale chyba chciał to wiedzieć.

– Nie wydaje mi się… – Uświadamiam sobie, że nie znam jej imienia.

– Holly – podsuwa dziewczynka.

– Widzisz, Holly, Leon i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. Przyjaciele nie muszą się dowiadywać, czy są ładni.

Nagle obok mnie staje Martin.

– Zapozujesz z nią do zdjęcia? – szepcze mi do ucha. Boże, ten to potrafi wystraszyć człowieka. Powinien nosić na szyi dzwonek, jak koty, które polują na ptaki.

– Do zdjęcia? Z Holly?

– Tak, z dziewczynką z białaczką – potwierdza Martin. – Do relacji prasowej.

– Słyszę, co pan mówi – odzywa się głośno Holly.

Martin ma w sobie na tyle przyzwoitości, że sprawia wrażenie zażenowanego.

– Cześć – odzywa się sztywno. – Mam na imię Martin.

Holly wzrusza ramionami.

– W porządku, Martin. Moja mama nie wyraziła zgody, żebyś mnie fotografował. Nie chcę, żeby ktokolwiek robił mi zdjęcia. Ludzie zawsze się nade mną użalają, ponieważ prawie nie mam włosów i wyglądam na schorowaną.

Widzę, że Martin właśnie to miał na myśli. Nagle, zresztą nie po raz pierwszy, ogarnia mnie pragnienie, żeby zdzielić go pięścią albo przynajmniej kopnąć w piszczel. Może mogłabym potknąć się o wózek Holly i udać, że to był wypadek.

– Dobrze – mruczy pod nosem Martin i czym prędzej odwraca się w stronę Katherin, zapewne w nadziei, że udało jej się znaleźć równie uroczego pacjenta, który nie ma obiekcji, by jego podobizna trafiła do internetu i pomogła w rozwoju kariery Martina.

– On jest paskudny – stwierdza Holly rzeczowo.

– Tak – odpowiadam bez namysłu. – Jest paskudny. – Zerkam na zegarek; kończymy za dziesięć minut.

– Chcesz poszukać Leona? – pyta Holly, posyłając mi sprytne spojrzenie.

Spoglądam na Katherin i Martina. Odegrałam rolę modelki, a nieszczególnie znam się na szydełkowaniu, więc nikogo nie nauczę. Posprzątanie tej całej wełny zajmie im wieki, a miło byłoby na chwilę się stąd wyrwać.

Szybko esemesuję do Katherin: *Idę znaleźć swojego współlokatora, żeby podziękować mu za*

*zaproszenie. Wrócę, żeby pomóc w sprzątaniu xx*. (Nie ma mowy).

– Tędy – mówi Holly, a kiedy nie udaje mi się przepchnąć jej wózka, ze śmiechem wskazuje hamulec. – Każdy wie, że najpierw trzeba zwolnić hamulec.

– Myślałam, że po prostu jesteś taka ciężka – odpowiadam.

Holly chichocze.

– Leon jest na Oddziale Koralowym. Nie kieruj się tabliczkami, poprowadzą cię dłuższą drogą. Skręć w lewo!

Robię, jak mi każe.

– Naprawdę dobrze znasz szpital, prawda? – pytam, kiedy już przemierzyłyśmy kilkanaście korytarzy, a w pewnym momencie nawet przeszłyśmy przez szafę.

– Jestem tutaj od siedmiu miesięcy – wyjaśnia Holly. – Poza tym przyjaźnię się z panem Robbiem Priorem. Leży na Oddziale Koralowym i był kimś bardzo ważnym podczas jednej z wojen.

– Pan Prior! Czy on robi na drutach?

– Bez przerwy – odpowiada Holly.

Doskonale! A więc idę się spotkać z moim zbawcą od szalików oraz ze współlokatorem od

liścików. Ciekawe, czy Leon mówi tak samo, jak pisze, krótkimi zdaniami.

– Dzień dobry, pani doktor Patel! – wrzeszczy Holly do przechodzącej lekarki. – To jest Tiffy!

Doktor Patel zatrzymuje się, zsuwa okulary na nos, a potem posyła mi uśmiech.

– A niech mnie – rzuca, po czym znika w najbliższej sali.

– W porządku, panno Holly – mówię, obracając wózek, tak że stajemy naprzeciwko siebie. – Co się dzieje? Dlaczego wszyscy tutaj wiedzą, jak mam na imię? No i dlaczego są tacy zaskoczeni moim widokiem?

Holly robi figlarną minę.

– Nikt nie wierzył, że jesteś prawdziwa – odpowiada. – Powiedziałam wszystkim, że Leon mieszka z dziewczyną, pisze do niej liściki, a ona doprowadza go do śmiechu, ale nikt mi nie uwierzył. Powiedzieli, że Leon nie… – marszczy nosek – …zniósłby współlokatora. To chyba oznacza, że nie chciałby z nikim mieszkać, ponieważ jest taki cichy. Ale nie wiedzą, że on rozmawia tylko z naprawdę dobrymi ludźmi, takimi jak ja czy ty.

– Poważnie? – Kręcę głową z uśmiechem i ponownie ruszam korytarzem. Dziwnie jest słuchać o Leonie z ust kogoś innego. Jak dotąd

moim jedynym punktem odniesienia była Kay, która ostatnio przestała się pojawiać.

Dzięki wskazówkom Holly w końcu docieramy na Oddział Koralowy. Dziewczynka rozgląda się, zapierając się o podłokietniki wózka.

– Gdzie jest pan Prior?! – woła.

Starszy mężczyzna, który siedzi na wózku pod oknem, odwraca się i uśmiecha do Holly. Jego twarz pokrywają głębokie zmarszczki.

– Witaj, Holly.

– Pan Prior! To jest Tiffy. Ładna, prawda?

– Ach, panna Moore – odzywa się pan Prior, próbując wstać z wyciągniętą ręką. – Co za radość.

Czym prędzej podchodzę, nie chcąc, by się podnosił. Wygląda na to, że nie byłoby to mądrym posunięciem.

– Jestem zaszczycona, że mogę pana poznać, panie Prior! Muszę przyznać, że uwielbiam pańskie dzieła. Ogromnie dziękuję, że zrobił pan te wszystkie szaliki i czapki do książki Katherin.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Przyszedłbym na pokaz, ale niestety nie czułem się na siłach – wyjaśnia, z roztargnieniem klepiąc się po piersi.

– Nic nie szkodzi – odpowiadam. – Nie musi się pan doszkalać. – Przez chwilę milczę. – Tak się zastanawiam, czy może widział pan…

Pan Prior się uśmiecha.

– Leona?

– No tak. Chciałam się z nim przywitać.

– Mmm, naszego Leona nie tak łatwo przyszpilić. Tak się składa, że przed chwilą się wymknął. Chyba ktoś go uprzedził, że się pani zbliża.

– Aha. – Spuszczam wzrok z zażenowaniem. Nie miałam zamiaru gonić go po całym szpitalu. Justin zawsze powtarzał, że nie wiem, kiedy odpuścić. – Skoro nie chce się ze mną zobaczyć, lepiej już…

Pan Prior macha ręką.

– Źle mnie pani zrozumiała. Nie o to chodzi. Myślę, że Leona zjadły nerwy na myśl o spotkaniu z panią.

– Dlaczego miałby się denerwować? – pytam, jakbym sama nie była spięta.

– Nie wiem na pewno – odpowiada pan Prior. – Ale Leon nie lubi… zmian. Podejrzewam, że bardzo mu się podoba mieszkanie z panią, panno Moore, więc boi się to popsuć. – Przez chwilę milczy. – Jeśli chce pani coś zmienić w zwyczajach Leona, proponuję przeprowadzić

to bardzo szybko i zdecydowanie, żeby nie miał szansy na zrobienie uniku.

– Najlepsza jest niespodzianka – dodaje Holly uroczystym tonem.

– Jasne – odpowiadam. – No nic, miło było pana poznać, panie Prior.

– Jeszcze jedno, panno Moore – dodaje pan Prior. – Leon sprawiał wrażenie poruszonego. Miał przy sobie jakiś list. Czy przypadkiem nie wie pani, o co może chodzić?

– Mój Boże, mam nadzieję, że nie napisałam czegoś niewłaściwego – mówię, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć, co zawarłam w liście do Richiego.

– Ależ nie, nie wyglądał na niezadowolonego. Tylko trochę spłoszonego. – Pan Prior zdejmuje okulary i wyciera je o koszulę drżącymi, sękatymi palcami, a następnie ponownie wsuwa na nos. – Zgaduję, że coś go… zaskoczyło.

# 22
# *Leon*

Za wiele tego. Cały się trzęsę. Od miesięcy nie czułem tak silnej nadziei i już zapomniałem, jak sobie radzić z tymi emocjami – dygoczę wewnątrz, a moja skóra jednocześnie robi się zimna i gorąca. Od dobrej godziny szybciej bije mi serce. Nie potrafi zwolnić.

Powinienem osobiście podziękować Tiffy. Próbuje mnie znaleźć, a ja się ukrywam, co jest z mojej strony dziecinne i bezsensowne. Bardzo dziwnie się z tym czuję. Mam wrażenie, że nasze spotkanie wszystko zmieni i już nie będzie powrotu do tego, co było dawniej. A mnie bardzo się podoba to, co było. Jest.

Ja: June, gdzie jest Tiffy?

June: Twoja urocza współlokatorka?

Ja, cierpliwie: Tak. Tiffy.

June: Leonie, jest prawie pierwsza w nocy. Wyszła po pokazie.

Ja: Och. Czy… zostawiła jakąś wiadomość? Albo cokolwiek?

June: Przykro mi, kochany. Ale próbowała cię znaleźć, jeśli to cię pocieszy.

Wcale mnie to nie pociesza. Poza tym Tiffy nie zostawiła żadnej wiadomości. Przegapiłem szansę, by jej podziękować, a pewnie przy okazji ją zdenerwowałem. Nie podoba mi się ta myśl. Ale wciąż pamiętam o liście, co podtrzymuje mnie na duchu przez resztę nocy, choć czasami powracają do mnie bolesne wspomnienia, jak przemykałem korytarzami, by uniknąć kontaktu z ludźmi (to przejaw ekstremalnej aspołeczności, nawet jak na mnie. Krzywię się na samą myśl, co by o tym powiedział Richie).

Po zakończeniu dyżuru wybiegam ze szpitala i ruszam na przystanek autobusowy. Dzwonię do Kay, kiedy tylko wychodzę za drzwi. Nie mogę się doczekać, aż opowiem jej o liście, przyjaciółce prawniczce i liście pytań.

Kay jest wyjątkowo cicha.

Ja: To niezwykłe, prawda?

Kay: Ta prawniczka jeszcze niczego nie zrobiła, Leonie. Nie przyjęła sprawy, a nawet nie powiedziała, że wierzy w niewinność Richiego.

Prawie się potykam, jakby ktoś wyciągnął rękę, by mnie zatrzymać.

Ja: Ale to jednak coś. Od dawna nic się nie działo w jego sprawie.

Kay: Myślałam, że nigdy nie zamierzasz spotkać się z Tiffy. To była pierwsza zasada, jaką ustaliliśmy, kiedy zgodziłam się na ten układ.

Ja: Jak to… nigdy? Nigdy nie mogę jej spotkać? To moja współlokatorka.

Kay: Nie wmawiaj mi, że zachowuję się nierozsądnie.

Ja: Nie zdawałem sobie sprawy, że chodzi ci o… Ech, to dziecinne. Zresztą wcale jej nie spotkałem. Zadzwoniłem do ciebie, żeby przekazać ci wieści w sprawie Richiego.

Kolejne przedłużające się milczenie. Marszczę czoło i zwalniam kroku.

Kay: Chciałabym, żebyś wreszcie pogodził się z tym, co spotkało twojego brata, Leonie. To wysysa z ciebie energię – przez ostatnie kilka miesięcy bardzo się zmieniłeś. Jeśli mam być szczera, uważam, że najzdrowszym wyjściem jest akceptacja. Jestem pewna, że w końcu uda ci się ją osiągnąć, po prostu… to już tak długo trwa i odciska się piętnem na tobie. Na nas.

Nie rozumiem. Czy ona nie usłyszała, co powiedziałem? Przecież nie powtarzam tych

samych rzeczy, nie chwytam się tych samych szans – mówię, że pojawiła się nowa nadzieja. Nowe rozwiązania.

Ja: Co proponujesz? Żebyśmy się poddali? Przecież teraz, kiedy wiemy, czego szukać, możemy zdobyć nowe dowody!

Kay: Nie jesteś prawnikiem, Leonie. Sal nim jest i sam przyznałeś, że robił wszystko, co w jego mocy. Osobiście uważam, że ta kobieta nie powinna się wtrącać i dawać tobie i Richiemu nadziei, skoro to była tak jednoznaczna sprawa. Wszyscy sędziowie zgodzili się, że Richie jest winny.

Czuję w żołądku wzbierające zimno. Moje serce znów przyśpiesza, tym razem z niewłaściwych powodów. Ogarnia mnie złość. Po raz kolejny ktoś, kogo staram się kochać, mówi coś okropnego.

Ja: O co ci chodzi, Kay? Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcesz.

Kay: Chcę cię odzyskać.

Ja: Słucham?

Kay: Chcę cię odzyskać, Leonie. Chcę, żebyś wrócił do teraźniejszości. Do swojego życia. Do mnie. Mam wrażenie, że… przestałeś mnie widzieć. Od czasu do czasu spędzasz u mnie wolne chwile, ale tak naprawdę nie jesteś ze

mną. Zawsze jesteś z Richiem. Zawsze troszczysz się o niego bardziej niż o mnie.

Ja: Oczywiście, że bardziej się o niego troszczę.

Jej milczenie jest jak cisza po wystrzale. Zakrywam usta dłonią. Nie chciałem tego powiedzieć. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

Ja: Nie o to mi chodziło. Po prostu… Richie teraz potrzebuje więcej… mojej troski. Nie ma nikogo.

Kay: A czy masz w swoim życiu miejsce dla kogokolwiek innego? Choćby dla siebie?

Chce powiedzieć „dla mnie”.

Kay: Proszę, zastanów się nad tym. Poważnie się zastanów nad nami.

Płacze. Czuję się podle, ale lodowato-gorący gniew w moim wnętrzu wciąż płonie.

Ja: Uważasz, że on jest winny, prawda?

Kay: Psiakrew, Leon. Próbuję rozmawiać o nas, a nie o twoim bracie.

Ja: Muszę wiedzieć.

Kay: Nie możesz po prostu mnie posłuchać? Mówię ci, że tylko tak zdołasz się uleczyć. Jeśli chcesz, możesz dalej wierzyć, że on tego nie zrobił, ale siedzi w więzieniu i spędzi tam ładnych parę lat. Nie możesz bez przerwy

walczyć. To niszczy twoje życie. Cały czas tylko pracujesz, piszesz do Richiego i wpadasz w obsesję na punkcie różnych spraw, jak dawny ukochany jakiegoś staruszka czy najnowszy szczegół w apelacji Richiego. Kiedyś robiłeś też inne rzeczy. Wychodziłeś z domu. Spędzałeś czas ze mną.

Ja: Nigdy nie miałem dużo wolnego czasu, Kay. Ale każdą wolną chwilę poświęcam tobie.

Kay: Odwiedzasz go co dwa tygodnie.

Naprawdę złości się na mnie dlatego, że odwiedzam brata w więzieniu?

Kay: Wiem, że nie mogę się o to na ciebie gniewać. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale po prostu… Chcę powiedzieć, że masz tak mało czasu, a ja czuję, że teraz mogę liczyć na jeszcze mniejszy wycinek…

Ja: Czy wciąż uważasz, że Richie jest winny?

Cisza. Ja chyba też płaczę; czuję na policzkach gorącą wilgoć i przepuszczam kolejny autobus. Nie mogę się zdobyć na to, żeby do niego wsiąść.

Kay: Dlaczego wszystko zawsze się do tego sprowadza? Dlaczego to takie ważne? Twój brat nie powinien odgrywać tak ważnej roli w naszym związku.

Ja: Richie jest częścią mnie. Jesteśmy rodziną.

Kay: A my jesteśmy partnerami. Czy to nic nie znaczy?

Ja: Wiesz, że cię kocham.

Kay: Zabawne, bo wcale nie jestem tego pewna.

Cisza się przedłuża. Ruch uliczny przyśpiesza. Szuram nogami, spoglądając na spalony słońcem chodnik. Mam wrażenie, że to się nie dzieje naprawdę.

Ja: Po prostu to powiedz.

Czeka. Ja również. Kolejny autobus też czeka, a potem odjeżdża.

Kay: Myślę, że Richie to zrobił, Leonie. Tak orzekł sąd, który dysponował wszystkimi informacjami. Zresztą to w jego stylu.

Powoli zamykam oczy. Spodziewałem się, że odbiorę to inaczej – dziwne, ale niemal czuję ulgę. Słyszałem to w jej milczeniu od miesięcy, od czasu Wielkiej Kłótni. To koniec nieustannego ucisku w żołądku, czajenia się na obrzeżach rozmów, wypierania tego, co oczywiste.

Kay szlocha. Słucham jej z zamkniętymi oczami i mam wrażenie, jakbym się unosił.

Kay: To koniec, prawda?

Nagle to do mnie dociera. To koniec. Nie mogę tak dłużej żyć. Nie mogę pozwolić, żeby to

nadszarpnęło moją miłość do Richiego. Nie mogę być z kimś, kto go nie kocha.

Ja: Tak. To koniec.

# 23
# *Tiffy*

Następnego dnia po wizycie w szpitalu na kuchennym blacie obok talerza z nieruszonym spaghetti znajduję jak dotąd najdłuższy i najbardziej nieskładny list od Leona.

*Cześć, Tiffy!*

*Jestem trochę zakręcony, ale dziękuję za wiadomość w sprawie Richiego. Jestem Ci ogromnie wdzięczny. Przyda nam się każda pomoc. Richie będzie zachwycony.*

*Przepraszam, że nie znalazłem Cię w pracy. To moja wina – za późno poszedłem Cię szukać, bo chciałem najpierw przeczytać Twój list do Richiego, ale długo mi z tym zeszło i spóźniłem się, zawsze się tak ze wszystkim grzebię – przepraszam, idę się położyć, do zobaczenia później. x*

Przez chwilę wpatruję się w jego wiadomość. Przynajmniej wiem, że nie starał się mnie unikać przez cały wieczór. Ale… niezjedzona kolacja? Takie długie zdania? Co to może znaczyć?

Kładę obok jego wiadomości samoprzylepną karteczkę, starannie przyklejając ją do blatu.

*Cześć, Leonie!*
*Wszystko w porządku? Na wszelki wypadek upiekę ciasto.*
*Tiffy xx*

Nietypowa rozwlekłość listu Leona to jednorazowy przypadek. W ciągu kolejnych dwóch tygodni jego liściki są jeszcze bardziej skrótowe niż dotychczas. Nie chcę być wścibska, ale coś go wyraźnie wyprowadziło z równowagi. Czyżby pokłócił się z Kay? Dawno jej nie było w mieszkaniu, a Leon nie wspominał o niej od kilku tygodni. Nie wiem, jak mu pomóc, skoro nie chce niczego zdradzić, więc tylko piekę nieco za dużo ciast i nie narzekam, gdy niedokładnie sprząta. Wczoraj jego kubek do kawy nie stał ani po lewej, ani po prawej stronie zlewu, tylko w szafce, a Leon najwyraźniej poszedł do pracy bez zastrzyku kofeiny.

Pod wpływem nagłego przypływu inspiracji zostawiam mu nowy maszynopis murarza-który-został-projektantem, autora *Zbudowanego*. Druga książka – *Sięganie do chmur* – jest chyba jeszcze lepsza i mam nadzieję, że poprawi mu humor.

Po powrocie do domu znajduję następujący liścik obok zbindowanego maszynopisu:

*Co za gość!*
*Dzięki, Tiffy! Przepraszam, że zostawiłem bałagan. Niedługo posprzątam, obiecuję.*

*Leon x*

Uznaję ten wykrzyknik za ważną oznakę poprawy.

*

Nadchodzi dzień próbnej promocji, podczas której ludzie od kształtowania wizerunku będą próbowali przekonać Katherin, że zawsze pragnęła efektownej promocji dla swojej książki.

– Żadnych rajstop – mówi zdecydowanie Rachel. – Mamy sierpień, na miłość boską.

Razem przygotowujemy się w biurowej toalecie. Od czasu do czasu ktoś przychodzi się wysikać i zaskoczony wydaje okrzyk, widząc, że pomieszczenie zostało przekształcone w garderobę. Zawartość naszych kosmetyczek spoczywa w umywalkach, w powietrzu unoszą się obłoki perfum i lakieru do włosów. Obie zawiesiłyśmy obok luster po trzy stroje do wyboru, nie licząc ubrań, które mamy na sobie (ostateczna decyzja: Rachel wkłada limonkową portfelową sukienkę, a ja elegancką suknię za kolana ozdobioną ogromnymi wizerunkami Alicji w Krainie Czarów – znalazłam ten materiał w sklepie charytatywnym w Stockwell i przekupiłam jedną ze swoich najbardziej uczynnych autorek, żeby uszyła mi z niego sukienkę).

Kręcę biodrami i zdejmuję rajstopy. Rachel kiwa głową z uznaniem.

– Tak lepiej. Zawsze warto pokazać nogi.

– Gdybyś mogła, ubrałabyś mnie w bikini.

Uśmiecha się psotnie do lustra, szminkując usta.

– Może spotkasz jakiegoś przystojnego młodego Skandynawa.

Dziś wieczorem w centrum uwagi jest *Leśnictwo dla zwykłych ludzi*, nasz nowy nabytek

z dziedziny stolarki budowlanej. Autorem jest norweski pustelnik. To niezwykłe, że zgodził się opuścić swój domek na drzewie i przyjechać do Londynu. Rachel i ja mamy nadzieję, że nie wytrzyma nerwowo i rzuci się na Martina, który organizuje to spotkanie i powinien domyślić się na podstawie pustelniczego stylu życia autora, że ten nie będzie miał ochoty występować przed salą pełną fanatyków stolarki.

– Nie wiem, czy jestem gotowa na przystojnych młodych Skandynawów. – Przypominam sobie, co Mo powiedział o Justinie kilka miesięcy temu, gdy do niego zadzwoniłam, by pogadać o tym, czy Justin jeszcze kiedyś się do mnie odezwie. – Mam problem z tym, żeby… znów się z kimś umówić. Chociaż Justin odszedł już wieki temu.

Rachel przerywa nakładanie makijażu i patrzy na mnie z troską.

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak – odpowiadam. – Myślę, że w porządku.

– Więc to z powodu Justina?

– Nie, nie to miałam na myśli. Może po prostu teraz nie potrzebuję tego w swoim życiu. – Wiem, że to nieprawda, ale i tak to mówię, ponieważ Rachel patrzy na mnie, jakbym była chora.

– Owszem, potrzebujesz – ripostuje Rachel. – Po prostu od dawna z nikim nie spałaś. Zapomniałaś, jakie to wspaniałe.

– Raczej nie zapomniałam, czym jest seks, Rachel. Czy to nie tak, jak z jazdą na rowerze?

– Podobnie – zgadza się. – Ale nie byłaś z mężczyzną od czasu rozstania z Justinem, czyli od… listopada zeszłego roku? Czyli od ponad… – Liczy na palcach. – Dziewięciu miesięcy.

– Dziewięciu miesięcy? – Kurczę. Rzeczywiście długo. W tym czasie można donosić ciążę. Oczywiście mnie to nie grozi, w przeciwnym razie nie zmieściłabym się w tę sukienkę.

Wytrącona z równowagi nieco zbyt energicznie nakładam róż, przez co wyglądam, jakbym za długo siedziała na słońcu. Będę musiała zacząć od początku.

*

Martin z działu PR to prawdziwy wrzód na tyłku, ale potrafi urządzić znakomite przyjęcie w stolarskich klimatach. Jesteśmy w pubie w Shoreditch; nisko nad naszymi głowami biegną gołe krokwie, na każdym stoliku leżą sterty polan, a bar jest przystrojony sosnowymi gałęziami.

Rozglądam się, ostentacyjnie wypatrując Katherin, chociaż tak naprawdę próbuję zlokalizować norweskiego pisarza, który od pół roku nie miał kontaktu z drugim człowiekiem. Sprawdzam po kątach, gdzie zapewne się ukrył.

Rachel ciągnie mnie do baru, żeby się przekonać, czy drinki rzeczywiście są darmowe. Okazuje się, że tylko przez pierwszą godzinę, więc przeklinamy się za dwudziestominutowe spóźnienie i zamawiamy gin z tonikiem. Rachel spoufala się z barmanem, zagadując go o piłkę nożną, co zaskakująco często działa, chociaż wydawałoby się, że to najmniej oryginalny temat rozmowy z mężczyzną.

Oczywiście pijemy bardzo szybko, co jest jedyną rozsądną reakcją na informację o jednogodzinnej dostępności darmowych drinków, więc kiedy pojawia się Katherin, ściskam ją wyjątkowo wylewnie. Sprawia wrażenie zadowolonej.

– To wygląda nieco dekadencko – stwierdza. – Czy książka tego pisarza jest tego warta? – Zapewne myśli o swoich poprzednich czekach za tantiemy.

– Ależ nie – odpowiada Rachel beztrosko, gestem prosząc o dolewkę swojego nowego przyjaciela, z którym łączy ją miłość do Arsenalu

(tak naprawdę Rachel kibicuje West Ham). – To wątpliwe. Ale od czasu do czasu trzeba zorganizować coś takiego, w przeciwnym razie wszyscy będą wydawali książki na własną rękę.

– Ciii – syczę. Nie chcę, żeby Katherin wpadł do głowy jakiś niemądry pomysł.

Po kilku kolejnych szklaneczkach ginu z tonikiem Rachel i barman odnoszą się do siebie bardziej niż przyjacielsko, przez co pozostali goście mają trudności z zamówieniem drinka. Ku mojemu zaskoczeniu Katherin jest w swoim żywiole. Właśnie zaśmiewa się z czegoś, co powiedział nasz kierownik od PR, a ja wiem, że udaje, ponieważ on nigdy nie bywa zabawny.

Takie imprezy są idealne do obserwowania ludzi. Obracam się na swoim stołku przy barze, żeby lepiej rozejrzeć się po sali. Rzeczywiście nie brakuje tutaj przystojnych Skandynawów. Rozważam spacer po sali w nadziei, że ktoś usłużnie przedstawi mnie jednemu z nich, ale nie mogę się zdobyć na odwagę.

– To trochę przypomina patrzenie na mrówki, prawda? – odzywa się ktoś obok mnie. Odwracam się; po mojej lewej stronie o bar opiera się elegancko ubrany biznesmen. Uśmiecha się do mnie smutno. Ma jasnobrązowe włosy przystrzyżone do tej samej długości co

zarost na twarzy i urocze niebieskoszare oczy ze zmarszczkami w kącikach. – Na głos to zabrzmiało dużo gorzej niż w mojej głowie.

Oglądam się na tłum.

– Wiem, co pan ma na myśli – odpowiadam. – Wszyscy są tacy… zapracowani. Działają tak celowo.

– Oprócz niego – mówi mężczyzna, wskazując faceta w przeciwległym kącie, którego właśnie porzuciła młoda rozmówczyni.

– On jest zagubioną mrówką – zgadzam się. – Jak pan sądzi, czy to nasz norweski pustelnik?

– Och, sam nie wiem – odpowiada mężczyzna, mierząc nieznajomego wzrokiem. – Mam wrażenie, że ma zbyt pospolitą urodę.

– A co, widział pan zdjęcie pisarza? – pytam.

– Owszem. To prawdziwy przystojniak. Niektórzy nazwaliby go oszałamiającym.

Mrużę oczy.

– To pan, prawda? Pan jest tym pisarzem.

Uśmiecha się, a zmarszczki w kącikach jego oczu układają się w malutkie kurze łapki.

– Przyłapany na gorącym uczynku.

– Dobrze się pan ubiera jak na pustelnika – zauważam nieco oskarżycielsko. Czuję się trochę oszukana. Niech to szlag, nawet nie ma norweskiego akcentu.

– Gdyby pani to przeczytała – mówi, wymachując jedną z broszurek, które leżały przy wejściu – wiedziałaby pani, że zanim wybrałem samotne życie w Nordmarce, byłem inwestorem w Oslo. Ostatni raz miałem na sobie ten garnitur w dniu, gdy złożyłem wypowiedzenie.

– Naprawdę? Co pana do tego skłoniło?

Otwiera broszurę i zaczyna czytać.

– „Zmęczony korporacyjną harówką, Ken doznał objawienia podczas weekendowej włóczęgi z kolegą ze szkolnych lat, który zarabia na życie stolarką. Ken zawsze miał zręczne palce. – Posyła mi niewątpliwie zalotne spojrzenie. – A kiedy wszedł do warsztatu kolegi, od razu poczuł się jak w domu. Już po chwili stało się jasne, że ma niezwykły talent do obróbki drewna”.

– Gdybyśmy zawsze dysponowali taką gotową biografią podczas spotkań z nowymi ludźmi – odpowiadam, unosząc brew – znacznie łatwiej byłoby nam się przechwalać.

– Więc poproszę o pani notę biograficzną – rzuca, zamykając broszurę z uśmiechem.

– Moją? Hm. Pomyślmy. „Tiffy Moore jak najszybciej porzuciła zacofane wiejskie wychowanie na rzecz wielkiej przygody, która czekała ją w Londynie. Tam znalazła życie,

jakiego zawsze pragnęła: zbyt drogą kawę, obskurne mieszkania i niezwykły brak miejsc pracy dla wykształconych młodych ludzi, nie licząc rozkładania obrusów”.

Ken się śmieje.

– Doskonale. Pani też pracuje w public relations?

– Jestem redaktorką – wyjaśniam. – Gdybym pracowała w public relations, musiałabym dołączyć do mrówek.

– W takim razie cieszę się, że tak się nie stało. Wolę trzymać się z dala od tłumu, ale raczej nie darowałbym sobie przywitania z piękną kobietą w sukience z motywem z Lewisa Carrolla.

Patrzy na mnie. Bardzo intensywnie. Czuję motylki w brzuchu. Ale… przecież mogę to zrobić. Czemu nie?

– Przewietrzymy się? – pytam. Kiwa głową, a ja zabieram kurtkę z krzesła i ruszam w stronę drzwi prowadzących do ogródka.

Jest idealny letni wieczór. W powietrzu wciąż czuć ciepło, chociaż słońce zaszło kilka godzin temu. Właściciele pubu rozwiesili między drzewami sznury żarówek, które oblewają ogródek łagodnym żółtym światłem. Na zewnątrz jest tylko kilka osób, głównie palaczy – stoją

lekko przygarbieni, jakby cały świat sprzysiągł się przeciwko nim. Ken i ja siadamy na ławce.

– Więc kiedy mówi pan o sobie „pustelnik”… – zaczynam.

– Czego nie zrobiłem – zauważa Ken.

– Racja. Ale na czym to dokładnie polega?

– Na samotnym życiu w jakimś odizolowanym miejscu. Gdzie jest bardzo niewielu ludzi.

– Bardzo niewielu?

– Kilkoro dalszych znajomych, kobieta dostarczająca zakupy. – Wzrusza ramionami. – To nie jest aż tak spokojne życie, jak mogłoby się wydawać.

– Kobieta dostarczająca zakupy, tak? – Tym razem to ja patrzę na niego znacząco.

Parska śmiechem.

– Przyznaję, że to jedna z wad samotności.

– Niech pan da spokój. Wcale nie trzeba mieszkać w domu na drzewie, żeby nie uprawiać seksu.

Zaciskam usta. Nie jestem pewna, co mnie podkusiło – pewnie gin z tonikiem – ale Ken tylko się uśmiecha, bardzo łagodnie, a potem nachyla się, żeby mnie pocałować.

Kiedy zamykam oczy i zbliżam się do niego, oszałamia mnie ta swoboda. Nic nie powstrzymuje mnie przed udaniem się z tym

mężczyzną do domu. Ta świadomość jest jak słońce przebijające się przez chmury, jakby opadła ze mnie jakaś zasłona. Mogę robić, co zechcę. Jestem wolna.

Ale potem, gdy pocałunek staje się bardziej namiętny, nagle coś sobie przypominam.

Justin. Płaczę. Właśnie się pokłóciliśmy i to była moja wina. Justin jest obrażony, leży odwrócony plecami w naszym ogromnym białym łóżku przykrytym modną czesaną bawełną i mnóstwem poduszek.

Jestem potwornie nieszczęśliwa. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, a jednak to znajome uczucie. Justin odwraca się w moją stronę i nagle chwyta mnie w ramiona, i zaczynamy się całować. Jestem otępiała i zagubiona. Dziękuję losowi, że już się na mnie nie gniewa. Wie, gdzie mnie dotykać. Smutek nie przeminął, wciąż mi towarzyszy, ale teraz on mnie pragnie, a ulga, którą czuję, przytłacza wszystko inne.

Znów jestem w ogródku w Shoreditch. Ken się cofa. Uśmiecha się. Pewnie nawet nie wie, że cała się spociłam, a moje serce szaleje z niewłaściwego powodu.

Cholera. Cholera. Co to, u diabła, było?

# SIERPIEŃ

# 24
# *Leon*

Richie: Jak się czujesz, stary?

Jak się czuję? Wytrącony z równowagi. Jakby coś poluzowało się w mojej piersi i moje ciało przestało poprawnie funkcjonować. Jakbym został sam.

Ja: Smutno mi.

Richie: Mówię ci, że już od miesięcy nie kochałeś Kay. Całe szczęście, że wydostałeś się z tego związku, stary – to nie była miłość, tylko przyzwyczajenie.

Ciekawe, dlaczego fakt, że Richie ma rację, wcale nie łagodzi cierpienia. Niemal bez przerwy tęsknię za Kay. To jest jak dokuczliwy ból. Nasila się za każdym razem, gdy biorę telefon, żeby do niej zadzwonić, ale okazuje się, że nie mam do kogo.

Ja: Nieważne. Odezwała się ta prawniczka od Tiffy?

Richie: Jeszcze nie. Nie mogę przestać o tym myśleć. Każda część jej listu sprawiała, że wołałem: „O cholera, dlaczego o tym nie pomyśleliśmy?”.

Ja: Miałem to samo.

Richie: Przekazałeś moją odpowiedź? Na pewno ją dostała?

Ja: Tiffy ją przekazała.

Richie: Jesteś pewien?

Ja: Jestem pewien.

Richie: Okej, w porządku. Przepraszam. Po prostu…

Ja: Wiem. Ja też.

*

W ostatnie dwa weekendy włóczyłem się po Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu chłopaka pana Priora. To znakomicie odciągało moją uwagę. Poznałem dwóch diametralnie różnych Johnnych White’ów – jeden jest zgorzkniały, wściekły i niepokojąco prawicowy, a drugi mieszka w przyczepie kempingowej i lubi popalać trawkę, opowiadając o swoim życiu po zakończeniu wojny. On przynajmniej pozwolił mi rozbawić

Tiffy – liściki dotyczące Johnnych White'ów zawsze spotykają się z dobrym przyjęciem. Po opisaniu wizyty u Johnny'ego White'a Trzeciego dostałem następującą odpowiedź:

> *Jeśli nie będziesz uważał, zamówię u Ciebie książkę na ten temat. Oczywiście żeby pasowała do mojego profilu wydawniczego, musiałabym wprowadzić jakiś element DIY – czy mógłbyś uczyć się nowego rzemiosła od każdego z Johnnych? Na przykład Johnny White Pierwszy pod wpływem impulsu postanawia nauczyć Cię, jak zrobić regał na książki, a gdy jesteś u Johnny'ego White'a Drugiego, on akurat lukruje ciasta, więc się przyłączasz… Mój Boże, czy to nie najlepszy pomysł, jaki miałam? A może najgorszy? Nie mam pojęcia. xx*

Często myślę sobie, że bycie Tiffy musi być bardzo męczące. Nawet w swoich liścikach zużywa tak wiele energii. Ale miło zastawać takie wiadomości po powrocie do domu.

W ten weekend odwiedziny u Richiego zostały odwołane – w więzieniu brakuje strażników. To oznacza pięciotygodniową przerwę

w widzeniach. Za długo, zarówno dla niego, jak i dla mnie. Kay odeszła, Richie rzadziej dzwoni – niedobór strażników oznacza dłuższe przebywanie w celach i ograniczony dostęp do telefonów – a ja dochodzę do wniosku, że nawet mnie czasami dokucza małomówność. Oczywiście mam znajomych, do których mogę zadzwonić. Ale to nie są… ludzie, z którymi mogę porozmawiać.

Zarezerwowałem nocleg niedaleko Birmingham z okazji odwiedzin u Richiego, ale musiałem odwołać rezerwację i uświadamiam sobie, że w nadchodzący weekend będę potrzebował jakiegoś lokum. Proponując taki układ, najwyraźniej miałem zbyt optymistyczną wizję swojego związku. Teraz w weekendy jestem bezdomny.

Zastanawiam się, co robić. Nic nie przychodzi mi do głowy. W drodze do pracy sprawdzam godzinę w telefonie. To jedyna chwila w ciągu dnia, gdy mogę zadzwonić do matki. Wysiadam z autobusu przystanek wcześniej i telefonuję do niej, idąc pieszo do szpitala.

Mama, po odebraniu: Za rzadko do mnie dzwonisz, Lee.

Zamykam oczy. Biorę głęboki wdech.

Ja: Cześć, mamo.

Mama: Richie dzwoni do mnie częściej. Z więzienia.

Ja: Przepraszam, mamo.

Mama: Wiesz, jakie to dla mnie trudne? To, że moi synowie ze mną nie rozmawiają?

Ja: Przecież właśnie dzwonię, mamo. Mam kilka minut przed pracą i chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Mama, nagle czujna: Chodzi o apelację? Sal do ciebie dzwonił?

Nie opowiedziałem mamie o prawniczce, przyjaciółce Tiffy. Nie chcę robić jej nadziei.

Ja: Nie. Chodzi o mnie.

Mama, podejrzliwie: O ciebie?

Ja: Rozstaliśmy się z Kay.

Mama mięknie. Nagle promieniuje od niej tylko współczucie. Właśnie tego było jej trzeba: syna, który prosi o pomoc w sprawie, z którą ona może sobie poradzić. Moja matka zna się na złamanych sercach. Ma w tym dużą wprawę.

Mama: Och, skarbie. Dlaczego z tobą zerwała?

Czuję się lekko obrażony.

Ja: To ja z nią zerwałem.

Mama: Aha! Naprawdę? Dlaczego?

Ja: No…

Och. Zaskakująco trudno mi o tym rozmawiać, nawet z mamą.

Ja: Nie mogła zaakceptować moich godzin pracy. Nie podobałem jej się taki, jaki jestem – chciała, żebym był bardziej towarzyski. Poza tym… nie wierzyła, że Richie jest niewinny.

Mama: Co takiego?

Czekam. Mama milczy. Skręca mnie w żołądku. Czuję się fatalnie, donosząc na Kay, chociaż już nie jesteśmy razem.

Mama: A to krowa. Zawsze patrzyła na nas z pogardą.

Ja: Mamo!

Mama: Cóż, wcale mi jej nie żal. Krzyżyk na drogę.

To trochę jak mówienie źle o zmarłych. Rozpaczliwie próbuję zmienić temat.

Ja: Mogę spędzić u ciebie weekend?

Mama: Spędzić? Tutaj? U mnie?

Ja: Tak. Dotychczas zostawałem na weekend u Kay. To część… umowy wynajmu mieszkania. Z Tiffy.

Mama: Chcesz wrócić do domu?

Ja: Tak. Tylko na…

Gryzę się w język. Nie tylko na ten weekend. Dopóki nie znajdę jakiegoś rozwiązania. Ale w takich sytuacjach odruchowo wyznaczam sztywny termin. Jedynie tak mogę zachować

swobodę ucieczki. Kiedy wrócę do domu, mama już nie wypuści mnie z rąk.

Mama: Możesz przyjechać, kiedy zechcesz, i zostać, jak długo potrzebujesz.

Ja: Dzięki.

Chwila ciszy. Słyszę, jaka jest zadowolona, i znów skręca mnie w żołądku. Powinienem częściej ją odwiedzać.

Ja: Czy mogę… Czy ktoś… z tobą mieszka?

Mama, zakłopotana: Nie ma nikogo, skarbie. Już od kilku miesięcy jestem sama.

Doskonale. Cieszę się, bo to rzadkość. Mama stale spotyka się z jakimiś mężczyznami, którzy zawsze u niej pomieszkują, niezależnie od tego, kim są. Richie bez wyjątku ich nie znosi, a ja także wolałbym tego nie oglądać. Mama ma paskudny gust. Mężczyźni setki razy sprowadzali ją na manowce.

Ja: Do zobaczenia w sobotę wieczorem.

Mama: Nie mogę się doczekać. Zamówię chińszczyznę, dobrze?

Cisza. Zawsze tak robiliśmy, gdy Richie wracał do domu: sobotnia chińszczyzna z lokalu Szczęśliwa Kaczka przy ulicy mamy.

Mama: Albo tym razem coś indyjskiego. Mam ochotę na zmianę, a ty?

# 25
# *Tiffy*

– Dobrze się czujesz? – pyta Ken.

Znieruchomiałam. Moje serce łomocze.

– Tak. Przepraszam, wszystko w porządku. – Próbuję się uśmiechnąć.

– Chcesz stąd wyjść? – pyta niepewnie. – Przyjęcie i tak prawie się skończyło…

Chcę? Jeszcze przed minutą chciałam. Teraz pragnę uciec, chociaż wciąż czuję na ustach ciepłe mrowienie od pocałunku. Nie myślę jasno – mój mózg emituje tylko bezużyteczną rozpaczliwą nutę, głośny, przeciągły jęk kołaczący mi się pod czaszką.

Ktoś woła mnie po imieniu. Rozpoznaję głos, ale nie uświadamiam sobie, co się dzieje, dopóki nie odwracam się i nie zauważam Justina.

Stoi w drzwiach prowadzących do ogródka, ubrany w koszulę rozpiętą pod szyją, ze swoją

starą skórzaną torbą przerzuconą przez ramię. Wygląda boleśnie znajomo, ale dostrzegam też pewne różnice: włosy ma dłuższe niż wtedy, gdy byliśmy razem, a także nosi nowe eleganckie buty. Mam wrażenie, że przywołałam go myślą – jak inaczej miałby się tutaj znaleźć?

Zerka na Kena, a potem przenosi wzrok na mnie. Przecina oddzielający nas trawnik. Nie mogę się ruszyć z miejsca, mam napięte ramiona, przyczaiłam się na ławce obok Kena.

– Wyglądasz pięknie.

Nie do wiary, ale to są jego pierwsze słowa.

– Justin. – Tylko tyle udaje mi się wykrztusić. Oglądam się na Kena, a na mojej twarzy niewątpliwie maluje się rozpacz.

– Niech zgadnę – odzywa się Ken lekkim tonem. – Twój chłopak?

– Były – odpowiadam. – Były chłopak! Nigdy bym nie…

Ken uśmiecha się do mnie swobodnie i seksownie, a potem patrzy na Justina z sympatią.

– Dzień dobry – mówi, wyciągając rękę. – Ken.

Justin prawie na niego nie patrzy. Ściska jego dłoń przez pół sekundy, po czym zwraca się do mnie.

– Mogę z tobą porozmawiać?

Patrzę na zmianę na niego i Kena. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle brałam pod uwagę, by pójść z Kenem do łóżka. Nie mogę tego zrobić.

– Przykro mi – zaczynam. – Naprawdę…

– Nie przejmuj się – odpowiada Ken, wstając. – Masz moje dane kontaktowe, gdybyś chciała się spotkać, zanim wyjadę z Londynu. – Macha broszurą. – Miło było cię poznać – zwraca się, niezwykle grzecznie, do Justina.

– Taaa – rzuca Justin.

Kiedy Ken się oddala, jęk w mojej głowie cichnie i mam wrażenie, że budzę się z transu. Staję na drżących nogach naprzeciwko Justina.

– Co ty tu robisz, do diabła?

Justin nie reaguje na jad w moim głosie. Kładzie mi dłoń na plecach i kieruje mnie do bocznej bramy. Poruszam się mechanicznie, bezwiednie, ale gdy tylko uświadamiam sobie, co się dzieje, natychmiast odtrącam jego dłoń.

– Ejże. – Patrzy na mnie, gdy zatrzymujemy się w wyjściu. Wieczorne powietrze jest ciepłe, niemal duszne. – Wszystko w porządku? Przepraszam, że cię zaskoczyłem.

– I popsułeś mi wieczór.

Uśmiecha się.

– Daj spokój, Tiffy. Potrzebowałaś ratunku. Nigdy nie poszłabyś z takim facetem.

Otwieram usta, żeby się odezwać, ale zaraz je zamykam. Zamierzałam powiedzieć, że Justin już mnie nie zna, ale z jakiegoś powodu nie jestem w stanie.

– Co tutaj robisz? – udaje mi się wydukać.

– Wpadłem na drinka. Często tu przychodzę.

To jakiś absurd. Nie wierzę własnym uszom. Statek wycieczkowy mógł być przypadkiem – dziwacznym, ale prawdopodobnym – lecz coś takiego?

– Nie uważasz, że to dziwne?

Jest wyraźnie zbity z tropu. Przekrzywia głowę ze zdziwioną miną. Mój żołądek wywija koziołka – kiedyś uwielbiałam, gdy tak na mnie patrzył.

– Wpadliśmy na siebie dwukrotnie w ciągu pół roku. W tym raz na statku wycieczkowym.

Potrzebuję jakiegoś wyjaśnienia, innego niż „Justin pojawia się, gdy źle o nim myślisz”, ale w tej chwili mojego otępiałego mózgu nie stać na nic więcej. Zaczynam się siebie bać.

Justin uśmiecha się pobłażliwie.

– Tiffy, daj spokój. Co sugerujesz? Że popłynąłem w tamten rejs, żeby się z tobą zobaczyć? Że w tym samym celu przyszedłem dzisiaj do pubu? Gdyby mi na tym zależało,

mógłbym po prostu do ciebie zadzwonić. Albo pojawić się u ciebie w biurze.

Och. To… to chyba ma sens. Oblewam się rumieńcem. Ogarnia mnie zażenowanie.

Justin ściska moje ramię.

– Ale bardzo miło cię widzieć. Masz rację, to niezwykły zbieg okoliczności. A może przeznaczenie? Zastanawiałem się, dlaczego akurat dziś wieczorem zapragnąłem napić się piwa. – Robi przesadnie tajemniczą minę, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu. Już zapomniałam, jaki jest uroczy, gdy się wygłupia.

Nie. Wcale się nie uśmiecham. Wcale nie jest uroczy. Myślę o tym, co by powiedzieli Gerty i Mo. Biorę się w garść.

– O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Cieszę się, że na ciebie wpadłem. Naprawdę… zamierzałem zadzwonić. Ale tak trudno zdecydować, od czego zacząć.

– Może od ikony słuchawki, potem można znaleźć imię na liście kontaktów – odpowiadam. Głos lekko mi drży i mam nadzieję, że on tego nie słyszy.

Śmieje się.

– Zapomniałem, jaka jesteś zabawna, kiedy się złościsz. Nie, nie chciałem ci tego mówić przez telefon.

– Czego mówić? Niech zgadnę. Rozstałeś się z kobietą, dla której mnie zostawiłeś?

Zaskoczyłam go. Czuję dreszcz podniecenia, gdy widzę, jak jego idealny uśmiech blednie, ale po chwili zalewa mnie fala niepokoju. Boję się go wkurzyć. Biorę głęboki oddech.

– Nie chcę z tobą rozmawiać, Justinie. To niczego nie zmienia. Zostawiłeś mnie dla niej i…

– Nigdy cię nie zdradziłem – wtrąca szybko. Zaczynamy iść. Nie jestem pewna dokąd; znów mnie zatrzymuje, kładzie dłonie na moich ramionach i odwraca mnie, tak że muszę na niego popatrzeć. – Nigdy bym ci tego nie zrobił, Tiffy. Wiesz, jak za tobą szaleję.

– Szalałeś.

– Słucham?

– Chciałeś powiedzieć, że kiedyś za mną szalałeś. – Powinnam mu wyjaśnić, że nie chcę go widzieć wcale nie z powodu Patricii. Tylko że sama nie jestem pewna, o co właściwie mi chodzi. Chyba o… całą resztę, czymkolwiek ona jest. Nagle czuję się otępiała. Obecność Justina zawsze tak na mnie wpływa. Gubię wątek i plączą mi się myśli. Godziłam się z tym, gdy byłam zakochana, ale teraz to wcale nie jest miłe uczucie.

– Nie mów mi, co chcę, a czego nie chcę powiedzieć. – Na chwilę odwraca wzrok. – Posłuchaj, jestem tutaj. Nie możemy wybrać się gdzieś na drinka i pogadać? Daj spokój. Chodźmy do tamtego baru za rogiem, gdzie podają drinki w puszkach po farbie. Albo wjedźmy na szczyt The Shard. Pamiętasz, jak kiedyś cię tam zabrałem, żeby ci sprawić przyjemność? Co ty na to?

Wpatruję się w niego. W jego duże brązowe oczy, zawsze szczere i lśniące z podekscytowania, którym nigdy nie potrafiłam się oprzeć. Patrzę na jego idealną szczękę. Na pewny siebie uśmiech. Staram się wyrzucić z głowy okropne wspomnienie, które powróciło do mnie, gdy całowałam się z Kenem, ale ono najwyraźniej jest częścią mnie, zwłaszcza gdy Justin jest w pobliżu. Mam dreszcze, kiedy o tym myślę.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

– Już ci mówiłem – odpowiada zniecierpliwionym głosem. – Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć.

– A po co przyszedłeś tutaj?

– Tiffy – rzuca ostro. – Po prostu chodźmy na drinka.

Wzdrygam się i biorę kolejny głęboki oddech.

– Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, zadzwoń, a umówimy się na konkretny termin. Nie teraz.

– Więc kiedy? – pyta, marszcząc czoło. Wciąż mocno trzyma mnie za ramiona.

– Po prostu… potrzebuję czasu. – Mam zawroty głowy. – Nie chcę teraz z tobą rozmawiać.

– To może za dwie godziny?

– Raczej za dwa miesiące – odpowiadam bez zastanowienia i od razu gryzę się w język, ponieważ właśnie wyznaczyłam termin.

– Chcę się z tobą zobaczyć teraz – mówi, a jego dłonie nagle dotykają moich włosów i suną wzdłuż ręki.

To samo wspomnienie znów pojawia się w mojej głowie. Odtrącam jego dłoń.

– Naucz się cierpliwości, Justinie. Na nic więcej z mojej strony nie możesz liczyć i chyba dobrze ci to zrobi.

Nie czekając, aż zmienię zdanie, odwracam się i chwiejnym krokiem wracam do pubu.

# 26
# *Leon*

Holly niemal całkowicie odrosły włosy. Wygląda jak żeńska wersja Harry'ego Pottera – stale jest rozczochrana, niezależnie od wysiłków mamy.

Jej twarz także się zmieniła, zaokrągliła i nabrała życia. Oczy już nie wydają się nieproporcjonalnie duże.

Uśmiecha się do mnie.

Holly: Przyszedłeś się pożegnać?

Ja: Przyszedłem pobrać ci krew.

Holly: Ostatni raz?

Ja: Zależy, co powiedzą.

Holly: Tylko się droczysz. Nie chcesz, żebym wyszła.

Ja: Nieprawda. Chcę, żebyś wyzdrowiała.

Holly: Wcale nie. Nie lubisz zmian. Chciałbyś, żebym została.

Nie odpowiadam. To irytujące, gdy ktoś tak mały potrafi cię przejrzeć na wylot.

Holly: Ja też będę za tobą tęskniła. Odwiedzisz mnie w domu?

Zerkam na jej mamę i widzę na jej twarzy zmęczony, ale radosny uśmiech.

Ja: Będziesz zajęta szkołą i zajęciami pozalekcyjnymi. Nie znajdziesz czasu na przyjmowanie gości.

Holly: Znajdę.

Mama Holly: Byłabym szczęśliwa, gdyby pan kiedyś wpadł na kolację. Holly też będzie zachwycona. Chciałybyśmy panu podziękować.

Czysta euforia otacza mamę Holly jak obłok perfum.

Ja: Może tak zrobię. Dziękuję.

Łzy napływają jej do oczu. Nie umiem sobie radzić w takich sytuacjach. Zaczyna mnie ogarniać panika; przesuwam się w stronę drzwi.

Obejmuje mnie, zanim mam szansę uciec. Nagle robi mi się słabo. Nie jestem pewien, czy mam ochotę płakać z powodu Holly, czy Kay, ale jej bliskość sprawia, że zaczynają mi łzawić oczy.

Ocieram łzy i mam nadzieję, że Holly niczego nie zauważyła. Mierzwię jej potargane brązowe włosy.

Ja: Bądź grzeczna.

Holly szeroko się uśmiecha. Odnoszę wrażenie, że ma inne plany.

*

Po wyjściu z pracy widzę ostatnie ślady cudownego zachodu słońca za londyńskimi drapaczami chmur i w stalowoszarych wodach Tamizy, która staje się fioletowa pod wpływem słonecznego blasku. Mam tyle swobody, odkąd Kay odeszła. Zastanawiam się, czy naprawdę poświęcałem jej tak niewiele czasu, jak twierdziła – jeśli tak, to skąd nagle wzięły się te dodatkowe godziny?

Postanawiam wstąpić gdzieś na herbatę, a potem wracam pieszo do domu – zajmuje mi to tylko półtorej godziny, a taki poranek warto spędzić na świeżym powietrzu. Ludzie mkną we wszystkich kierunkach, śpieszą się do pracy, kurczowo trzymając kubki z kawą. Patrzę, jak mnie mijają. Staram się iść bocznymi uliczkami, gdzie jest nieco spokojniej.

Niepostrzeżenie docieram na Clapham Road. Robi mi się zimno, gdy widzę znajomy sklep monopolowy. Mimo wszystko przystaję. Mam wrażenie, że tak wypada; to jak zdjęcie kapelusza, gdy przejeżdża orszak żałobny.

Zauważam, że kamery na sklepie Aldi rzeczywiście są zwrócone we wszystkich możliwych kierunkach, także w moją stronę. Czuję przypływ nadziei. Przypominam sobie, dlaczego właściwie rozstaliśmy się z Kay. Pochłonął mnie smutek i zapomniałem, że wciąż jest nadzieja dla Richiego.

Może Gerty już mu odpisała. Idę dalej, przyśpieszając kroku. Chcę jak najszybciej dotrzeć do domu. Możliwe, że Richie zadzwoni, spodziewając się mnie zastać o zwyczajowej porze. Czuję, że już to zrobił, i jestem na siebie wściekły za to, że przegapiłem jego telefon.

Głęboko oddycham. Manipuluję kluczem w zamku, ale drzwi, o dziwo, nie są zamknięte. Tiffy jeszcze nigdy o tym nie zapomniała. Bacznie rozglądam się po pokoju, żeby upewnić się, że nikt nas nie okradł, ale telewizor i laptop są na swoich miejscach, więc idę prosto do telefonu stacjonarnego i sprawdzam rejestr nieodebranych połączeń oraz pocztę głosową.

Pusto. Robię wydech. Jestem spocony po szybkim marszu w porannym słońcu. Odkładam klucze na ich aktualne miejsce (obecnie spoczywają pod skarbonką w kształcie psa), ściągam T-shirt i kieruję się do łazienki. Spycham rząd różnobarwnych świeczek z krawędzi

wanny, żeby wziąć prysznic. Potem odkręcam ciepłą wodę i zmywam z siebie kolejny tydzień.

# 27
# *Tiffy*

O Boże.

Chyba jeszcze nigdy tak źle się nie czułam. To gorsze od kaca po dwudziestych piątych urodzinach Rachel. Gorsze od tamtego dnia na uniwerku, gdy wypiłam dwie butelki wina i zwymiotowałam pod pokojem wykładowców. Gorsze od świńskiej grypy.

Wciąż mam na sobie sukienkę z Alicją w Krainie Czarów. Spałam na pościeli, przykryta tylko swoim poncho. Przynajmniej pomyślałam, żeby zdjąć buty i zostawić je przy drzwiach.

O Boże.

Spoglądając w stronę butów, napotykam wzrokiem budzik. Pokazuje godzinę, która nie może być właściwa. Twierdzi, że jest ósma pięćdziesiąt dziewięć.

Za minutę powinnam być w pracy.

Jak to się stało? Gramolę się z łóżka, walcząc ze skurczami żołądka i zawrotami głowy, a kiedy szukam torebki – dobrze, że przynajmniej jej nie zgubiłam, a w niej mam aspirynę, o tak – przypominam sobie, jak to się zaczęło.

Wróciłam do środka po odprawieniu Justina i odciągnęłam Rachel od barmana, żeby się jej wypłakać. Nie najlepiej się do tego nadaje, gdyż jako jedyna wciąż kibicuje Justinowi. (Nie mówiłam jej o dziwacznym wspomnieniu. Teraz też nie chcę o nim myśleć). Rachel najpierw poradziła mi, żebym wyszła i go wysłuchała, ale potem spodobała jej się moja strategia uczenia Justina cierpliwości, która wzbudziła uznanie także u Katherin… o Boże, powiedziałam Katherin…

Łykam aspirynę i próbuję się nie zakrztusić. Czy wczoraj wymiotowałam? Powracają do mnie niewyraźne i nieprzyjemne wspomnienia, w których jestem zdecydowanie za blisko muszli klozetowej w toalecie w pubie.

Piszę krótkiego esemesa z przeprosinami do redaktora naczelnego, czując rosnącą panikę. Nigdy się tak bardzo nie spóźniłam, a wszyscy domyślą się, że to z powodu kaca. A jeśli nawet nie, Martin z radością ich oświeci.

W pierwszym tego ranka przebłysku rozsądku uzmysławiam sobie, że nie mogę iść w takim stanie do pracy. Muszę się umyć i przebrać. Rozpinam sukienkę i rzucam ją na podłogę, jednocześnie sięgając po ręcznik wiszący na drzwiach.

Nie słyszę płynącej wody. Wciąż szumi mi w uszach, co brzmi jak odgłos prysznica, zresztą jestem tak spanikowana, że nie zauważyłabym, gdyby mój pluszowy słoń na fotelu ożył i zaczął mi mówić, że powinnam iść na odwyk.

Uświadamiam sobie, że Leon jest pod prysznicem dopiero wtedy, gdy go widzę. Nasza zasłona prysznicowa jest prawie nieprzezroczysta, ale coś przez nią widać. A przynajmniej zarys czegoś.

Reaguje w naturalny sposób: wpada w panikę i odsuwa zasłonę, żeby sprawdzić, kto jest w łazience. Patrzymy na siebie. Woda wciąż leci.

Leon pierwszy przytomnieje i zaciąga zasłonkę.

– Eeee – odzywa się. To bardziej przypomina zduszony odgłos niż słowo.

Jestem w niezwykle skąpej, koronkowej wyjściowej bieliźnie. Nawet nie owinęłam się ręcznikiem, tylko przerzuciłam go przez ramię. Mam wrażenie, że to znacznie gorzej niż nie mieć

czym się zasłonić. Prawie uniknęłam obnażenia, a jednak się nie udało.

– O Boże! – wołam piskliwie. – Przepraszam… bardzo przepraszam.

Wyłącza prysznic. Pewnie nawet mnie nie słyszał przez ten szum. Odwraca się do mnie tyłem; fakt, że to zauważam, uświadamia mi, że powinnam przestać wpatrywać się w zarys jego sylwetki za zasłoną. Sama też się odwracam.

– Eeee – powtarza.

– Wiem – odpowiadam. – O Boże. Nie tak… wyobrażałam sobie nasze spotkanie.

Krzywię się. Zabrzmiało nieco zalotnie.

– Czy… – zaczyna.

– Niczego nie widziałam – kłamię pośpiesznie.

– To dobrze. Okej. Ja też nie.

– Powinnam… Jestem bardzo spóźniona do pracy.

– Och, musisz skorzystać z prysznica?

– No…

– Już skończyłem – dodaje. Wciąż stoimy do siebie tyłem. Zsuwam ręcznik z ramienia i starannie się nim owijam, o pięć minut za późno.

– Jeśli nie masz nic przeciwko – mówię.

– Tylko będę potrzebował ręcznika.

– Aha, oczywiście. – Zdejmuję ręcznik z wieszaka i odwracam się.

– Zamknij oczy! – krzyczy Leon.

Nieruchomieję i zamykam oczy.

– Zamknęłam! Zamknęłam!

Czuję, jak bierze ode mnie ręcznik.

– Dobrze. Już możesz patrzeć.

Wychodzi spod prysznica. Zasłonił się, ale wciąż jest prawie nagi. Widzę na przykład jego klatkę piersiową. Oraz sporą część brzucha.

Jest ode mnie wyższy o jakieś pięć centymetrów. Mokre, gęste, kręcone włosy wciąż sterczą mu na głowie. Zaczesał je do tyłu za uszami i teraz woda skapuje mu na ramiona. Ma delikatne rysy i ciemnobrązowe oczy, o kilka odcieni ciemniejsze od skóry. Ma kurze łapki i nieco odstające uszy, jakby stworzone do powstrzymywania włosów przed opadaniem na twarz.

Obraca się bokiem, żeby mnie wyminąć. Robi, co może, ale w łazience nie ma miejsca dla nas obojga, więc kiedy się obok mnie przeciska, ciepła skóra jego pleców ociera się o moją pierś. Wstrzymuję oddech, zapominając o kacu. Mimo koronkowego biustonosza i oddzielającego nas ręcznika dostaję gęsiej skórki i coś zaczyna

buzować w moim podbrzuszu, gdzie zazwyczaj kryją się wszystkie najlepsze uczucia.

Ogląda się na mnie przez ramię. Jego spojrzenie jest intensywne, na wpół nerwowe, na wpół ciekawskie, a mnie robi się jeszcze bardziej gorąco. Nic na to nie poradzę. Kiedy odwraca się w stronę drzwi, zerkam w dół.

Czy mu… To wygląda jak…

Niemożliwe. Na pewno tylko zwinął mu się ręcznik.

Zamyka za sobą drzwi, a ja opieram się o umywalkę. Ostatnie dwie minuty były tak boleśnie zawstydzające, że mówię na głos: „O Boże” i przyciskam dłonie do oczu. To nie pomaga złagodzić kaca, który znów atakuje, gdy tylko nagi mężczyzna wyszedł z łazienki.

Boże. Jest mi gorąco, jestem wzburzona, mam gęsią skórkę i nie mogę złapać tchu – nie, po prostu jestem podniecona. Nie spodziewałam się tego. Czy to nie było nazbyt niezręczne, by mogło być prawdziwe? Jestem dorosłą kobietą! Nie mogę sobie poradzić z widokiem nagiego mężczyzny? Pewnie dlatego, że od tak dawna obywam się bez seksu. To jakaś biologiczna reakcja, jak ślinienie się pod wpływem zapachu boczku albo chęć porzucenia pracy

i natychmiastowej prokreacji wywołana wzięciem na ręce czyjegoś dziecka.

Ogarnięta paniką, ścieram parę z lustra i patrzę na swoje odbicie. Ukazuje mi się blada, wychudzona twarz. Szminka wniknęła w wysuszoną skórę ust, a cienie do powiek i ślady kredki do oczu zlały się w jedną czarną plamę. Wyglądam jak dzieciak, który bawił się kosmetykami mamy.

Głośno jęczę. Co za katastrofa. Nie mogło być gorzej. Wyglądam okropnie, a on sprawiał oszałamiająco dobre wrażenie. Przypominam sobie, jak sprawdzałam jego profil na Facebooku – wtedy nie wydał mi się atrakcyjny. Dlaczego tego nie zauważyłam? Boże, jakie to w ogóle ma znaczenie? To Leon. Mój współlokator Leon. Leon-który-ma-dziewczynę.

No dobrze, muszę wziąć prysznic i iść do pracy. Jutro będę się martwiła swoimi hormonami i tą niezwykle niezręczną sytuacją.

O Boże. Jestem taka spóźniona.

# 28

# *Leon*

Aaach.

Aaach.

Leżę na plecach na łóżku, unieruchomiony przez miażdżący wstyd. Nie myślę słowami. „Aaach” to jedyny odgłos, który może wyrazić moje przerażenie.

Czy Kay nie mówiła, że Tiffy jest nieatrakcyjna? Uwierzyłem jej na słowo! A raczej… w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Tymczasem ona jest… Aaach.

Roznegliżowana kobieta nie może zaskakiwać mężczyzny pod prysznicem. W żadnym razie. To niesprawiedliwe.

Nie potrafię połączyć tej kobiety w czerwonej bieliźnie z Tiffy, z którą wymieniam liściki i po której sprzątam. Nigdy nie…

Dzwoni telefon stacjonarny. Nieruchomieję. Aparat jest w kuchni. Ryzyko ponownego wpadnięcia na Tiffy: wysokie.

Otrząsam się. Oczywiście muszę odebrać – to na pewno Richie. Wypadam z sypialni, owinięty w pasie ręcznikiem, i znajduję telefon pod stertą czapek pana Priora zalegającą na kuchennym blacie. Chwytam słuchawkę i wbiegam z powrotem do sypialni.

Ja: Cześć.

Richie: Wszystko w porządku?

Wydaję z siebie jęk.

Richie, zaniepokojony: O co chodzi? Co się stało?

Ja: Nie martw się, nic złego. Po prostu… spotkałem Tiffy.

Richie, rozweselony: Aha! Niezła z niej laska?

Znów jęczę.

Richie: A więc tak! Wiedziałem.

Ja: Nie miała taka być. Zakładałem, że Kay o to zadbała!

Richie: Przypominała Kay?

Ja: Co?

Richie: Kay nie uznałaby za atrakcyjną żadnej kobiety, która nie wygląda jak ona.

Krzywię się, ale rozumiem, o co mu chodzi. Nie mogę wyrzucić z głowy obrazu Tiffy.

Rozczochrane rude włosy, jakby właśnie wstała z łóżka. Jasnobrązowe piegi na bladej skórze, pokrywające ręce i dekolt. Czerwony koronkowy biustonosz. Absurdalnie idealne piersi.

Aaach.

Richie: Gdzie ona teraz jest?

Ja: Pod prysznicem.

Richie: A ty?

Ja: Ukrywam się w sypialni.

Cisza.

Richie: Zdajesz sobie sprawę, że po wyjściu z łazienki od razu tam wejdzie?

Ja: Cholera!

Gwałtownie siadam na łóżku. Rozpaczliwie rozglądam się za swoimi ubraniami. Znajduję tylko jej ciuchy. Widzę jej rozpiętą sukienkę leżącą na podłodze.

Ja: Zaczekaj. Muszę się ubrać.

Richie: Zaraz, co takiego?

Odkładam słuchawkę na łóżko i wciągam bokserki oraz spodnie od dresu. Wiem, że wypinam tyłek w stronę drzwi, ale z dwojga złego i tak to jest lepsze. Znajduję starą kamizelkę, wkładam ją i oddycham z ulgą.

Ja: No, w porządku. Chyba najbezpieczniej… pójść do kuchni? Nie będzie przez nią przechodziła w drodze z łazienki do sypialni.

Potem mogę się ukryć w łazience, dopóki nie wyjdzie.

Richie: Co się stało, do diabła? Dlaczego jesteś goły? Przeleciałeś ją, stary?

Ja: Nie!

Richie: W porządku. To było uzasadnione pytanie.

Przemykam przez salon do kuchni. Chowam się jak najgłębiej za lodówką, żeby Tiffy nie zauważyła mnie w drodze z łazienki do sypialni.

Ja: Wpadliśmy na siebie pod prysznicem.

Richie ryczy ze śmiechu, a ja wbrew sobie lekko się uśmiecham.

Richie: Była naga?

Jęknięcie.

Ja: Prawie. Ale ja tak.

Richie śmieje się jeszcze głośniej.

Richie: No, stary, poprawiłeś mi humor na cały dzień. Więc była owinięta ręcznikiem?

Ja: W bieliźnie.

Tym razem także z ust Richiego wydobywa się jęk.

Richie: Jest niezła?

Ja: Nie będę o tym rozmawiał!

Richie: Racja. Może cię usłyszeć?

Milknę. Nasłuchuję. Aaach.

Ja, syczę: Woda pod prysznicem przestała lecieć!

Richie: Nie chcesz tam być, kiedy wyjdzie w samym ręczniku? Może wrócisz do sypialni? Nie pomyśli, że zrobiłeś to specjalnie. Przecież przez niedopatrzenie prawie tam zostałeś. Jak się jeszcze raz spotkacie, kto wie…

Ja: Nie zamierzam tam leżeć i czekać na tę biedną dziewczynę, Richie! Już się przed nią obnażyłem, prawda? Pewnie jest w szoku.

Richie: Wyglądała, jakby była w szoku?

Przypominam sobie. Wyglądała… Aaach. Tak dużo odsłoniętej skóry. Do tego wielkie niebieskie oczy, piegi na nosie, ciche westchnienie, gdy ją mijałem w drodze do drzwi, przechodząc stanowczo zbyt blisko.

Richie: Będziesz musiał z nią porozmawiać.

Odgłos otwieranych drzwi łazienki.

Ja: Cholera!

Wciskam się jeszcze głębiej za lodówkę, a kiedy zapada cisza, ostrożnie wyglądam.

Tiffy nie patrzy w moją stronę. Jest ciasno owinięta ręcznikiem pod pachami, a jej długie włosy są ciemniejsze i ociekają wodą. Znika w sypialni.

Wypuszczam powietrze.

Ja: Jest w sypialni. Idę do łazienki.

Richie: Dlaczego po prostu nie wyjdziesz z mieszkania, skoro aż tak się przejmujesz, stary?

Ja: Wtedy nie będę mógł z tobą rozmawiać! Nie poradzę sobie z tym sam, Richie!

Słyszę, że uśmiecha się szeroko.

Richie: O czymś mi nie mówisz, prawda? Nie, daj mi zgadnąć… czyżbyś trochę się podniecił…?

Wydaję z siebie jak dotąd najgłośniejszy i najbardziej zażenowany jęk. Richie zanosi się śmiechem.

Ja: Pojawiła się znikąd! Nie byłem gotowy! Nie uprawiałem seksu od tygodni!

Richie, zaśmiewając się histerycznie: Ach, Lee! Myślisz, że zauważyła?

Ja: Nie. Na pewno nie.

Richie: A może jednak.

Ja: Niemożliwe. Nie chcę nawet o tym myśleć.

Zamykam za sobą drzwi łazienki i siadam na opuszczonej desce sedesowej. Patrzę na swoje nogi, a moje serce wali jak młotem.

Richie: Muszę iść.

Ja: Nie! Nie możesz odejść! Co mam teraz zrobić?

Richie: A co chcesz zrobić?

Ja: Uciec!

Richie: Daj spokój, Lee! Wyluzuj.

Ja: To okropne. Mieszkamy razem. Nie mogę paradować z erekcją przed swoją współlokatorką. To… to… obsceniczne! To pewnie przestępstwo!

Richie: Jeśli tak, to z pewnością jestem we właściwym miejscu. Daj spokój, stary, nie świruj. Tak jak mówiłeś, rozstaliście się z Kay kilka tygodni temu, zresztą już od całkiem dawna ze sobą nie sypialiście…

Ja: Skąd o tym wiesz?

Richie: Przecież to oczywiste.

Ja: Nie widziałeś nas razem od miesięcy!

Richie: Chcę powiedzieć, że to nic poważnego. Zobaczyłeś rozebraną panienkę i zacząłeś myśleć swoim… chwileczkę, stary, daj mi…

Wzdycha.

Richie: Muszę iść. Ale wrzuć na luz. Ona niczego nie widziała, to nic nie znaczy, spokojnie.

Rozłącza się.

# 29
# *Tiffy*

Rachel niemal drży z podekscytowania.

– Żartujesz! Żartujesz! – powtarza, podskakując na krześle. – Nie mogę uwierzyć, że mu stanął!

Jęczę i masuję skronie. Czasami widuję w telewizji, jak zmęczeni ludzie to robią, i mam nadzieję, że poczuję się lepiej. Nic z tego. Jak to możliwe, że Rachel jest tak pełna energii? Byłam pewna, że wypiła prawie tyle co ja.

– To nie jest zabawne – odpowiadam. – Poza tym powiedziałam, że chyba tak było. Nie jestem pewna.

– Nie gadaj. Aż tak nie wyszłaś z obiegu, żeby zapomnieć, jak to wygląda. Trzej mężczyźni jednej nocy! Życie jak w bajce.

Ignoruję ją. Redaktor naczelny na szczęście uznał za zabawne to, że się spóźniłam, ale i tak

muszę dzisiaj wykonać masę pracy, a stracona godzina z pewnością mi w tym nie pomoże.

– Przestań udawać, że sprawdzasz te wydruki – karci mnie Rachel. – Musimy obmyślić plan!

– Jaki plan?

– Tego, co teraz zrobisz. Zadzwonisz do pustelnika Kena? Pójdziesz na drinka z Justinem? A może wskoczysz pod prysznic z Leonem?

– Wracam do swojego biurka – odpowiadam, zbierając stertę wydruków. – Tutaj tylko tracę czas.

Kiedy odchodzę, Rachel nuci *Maneater*.

*

Rachel miała rację co do planu. Muszę wymyślić, jak wybrnąć z tej sytuacji z Leonem. Jeśli szybko nie porozmawiamy, istnieje ryzyko, że ten poranek wszystko popsuje – koniec z liścikami i zostawianiem jedzenia, pozostanie tylko bolesne i niezręczne milczenie. Upokorzenie jest jak pleśń: jeśli je zignorujesz, wkrótce wszystko stanie się zielone i cuchnące.

Muszę… muszę wysłać do niego esemesa.

Nie. Muszę do niego zadzwonić. Nie czas na półśrodki. Sprawdzam godzinę. Jest czternasta, więc pewnie śpi, dzięki czemu mam cztery

cudowne godziny, podczas których i tak nic nie zdziałam. Pewnie powinnam poświęcić ten czas na przeglądanie korekty książki Katherin, w końcu grozi nam, że sporo osób ją kupi, skoro szydełkowanie stało się hitem mediów społecznościowych.

Zamiast tego, po całej nocy i poranku, gdy ze wszystkich sił starałam się tego nie robić, znów myślę o Justinie.

A potem, ponieważ nie jestem za dobra w samodzielnym główkowaniu, dzwonię do Mo, żeby porozmawiać o Justinie. Mo sprawia wrażenie nieco zaspanego, jakbym go obudziła.

– Gdzie jesteś? – pytam.

– W domu. A co?

– Masz dziwny głos. Gerty nie ma dziś dnia wolnego?

– Ma, ona też tutaj jest.

– Aha. – Dziwnie się czuję ze świadomością, że spędzają czas beze mnie. Po prostu… do siebie nie pasują. Od pierwszego roku studiów Gerty i ja byłyśmy nierozłączne, a pod koniec roku wzięłyśmy Mo pod swoje skrzydła po tym, jak zobaczyłyśmy go entuzjastycznie tańczącego do *Drop it Like it's Hot* i uznałyśmy, że ktoś, kto tak się rusza, musi nam towarzyszyć podczas wieczornych wyjść. Od tamtej pory robiliśmy

wszystko we trójkę, a jeśli już ktoś się wykruszał, to zawsze Gerty albo Mo. – Włączysz głośnik? – pytam, starając się nie wyjść na rozkapryszoną.

– Poczekaj. No, już cię słychać.

– Niech zgadnę – odzywa się Gerty. – Zakochałaś się w bracie Leona.

Przez chwilę milczę.

– Zazwyczaj masz świetną intuicję, ale dzisiaj cię zawiodła.

– Psiakrew, więc może w Leonie?

– Nie mogę po prostu mieć ochoty z tobą pogawędzić?

– To nie jest pogawędka – odpowiada Gerty. – Nigdy nie dzwonisz w tym celu o czternastej. Po to masz WhatsApp.

– Dlatego zadzwoniłam do Mo.

– A więc? Co się takiego stało? – pyta Gerty.

– Justin – wyjaśniam, zbyt zmęczona, żeby się z nią kłócić.

– Och! Stary temat, ale jary.

Przewracam oczami.

– Pozwolisz Mo powiedzieć coś pomocnego, chociaż od czasu do czasu?

– Co się stało, Tiffy? – pyta Mo.

Opowiadam im o ostatnim wieczorze. A przynajmniej przedstawiam skróconą wersję – nie wspominam o straszliwym pocałunku. To

i tak mnóstwo problemów jak na jedną rozmowę telefoniczną, zwłaszcza że jednocześnie staram się sprawdzać numery stron.

Pozostaje jeszcze ta kwestia, o której za nic na świecie nie chcę myśleć.

– To typowe zachowanie Justina, Tiffy – wyrokuje Mo.

– Brawo, że odmówiłaś – dodaje Gerty z zaskakującym zapałem. – To kurewsko dziwne, że był na tamtym statku wycieczkowym, a teraz jeszcze coś takiego? Szkoda, że nie widziałaś, jak… – Rozlega się zduszony odgłos i Gerty milknie. Mam wrażenie, że Mo dał jej kuksańca.

– Nie do końca odmówiłam – zauważam, wbijając wzrok w swoje stopy. – Powiedziałam „za dwa miesiące”.

– To i tak dużo lepiej niż rzucić wszystko i znów z nim uciec – twierdzi Gerty.

Zapada długa cisza. Mam ściśnięte gardło. Wiem, że muszę porozmawiać o tamtym pocałunku, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć.

– Gerty – odzywam się w końcu. – Czy mogłabym porozmawiać tylko z Mo? Chociaż przez chwilę?

Znów zapada cisza, jakby wszystkie dźwięki zostały stłumione.

– Już jestem sam – mówi Mo.

Przełykam ślinę. Nie chcę o tym rozmawiać tutaj, więc ruszam do drzwi biura, a potem po schodach wychodzę z budynku. Na zewnątrz wszyscy poruszają się nieco wolniej niż zazwyczaj, jakby upał uspokoił Londyn.

– Kiedyś mi powiedziałeś, że mój… że ja i Justin… że to odcisnęło na mnie piętno.

Mo nic nie odpowiada, tylko czeka.

– Powiedziałeś, że to w końcu się odezwie, a wtedy mam do ciebie zadzwonić.

Cisza się przedłuża, ale to milczenie w stylu Mo, które działa niezwykle pokrzepiająco. Jak przytulenie na odległość. Mo nie musi mówić – jego zdolności wykraczają poza słowa.

– Wczoraj wieczorem wydarzyło się coś dziwnego. Byłam… ten facet… Ken… i ja pocałowaliśmy się, a wtedy… przypomniałam sobie…

Dlaczego nie umiem tego powiedzieć?

– Przypomniałam sobie, jak kiedyś leżałam z Justinem w łóżku po kłótni. Byłam taka nieszczęśliwa. – Łzy napływają mi do oczu. Pociągam nosem, z całych sił próbując się nie rozpłakać.

– Jak się poczułaś – pyta Mo – kiedy pojawiły się te myśli?

– Wystraszona – przyznaję. – Nie pamiętam, żeby nasz związek tak wyglądał. Ale teraz sądzę, że być może go… wybielałam? Zapomniałam takie chwile? Nie wiem, czy to w ogóle możliwe?

– Twój mózg jest zdolny do niezwykłych rzeczy, żeby tylko ochronić się przed cierpieniem – tłumaczy Mo. – Ale nie jest w stanie bez końca trzymać tego przed tobą w tajemnicy. Czy od czasu rozstania z Justinem często miewasz wrażenie, że zapamiętałaś pewne sprawy inaczej?

– Nieczęsto. – Ale zdarzało się. Na przykład napisałam w liściku, że nie zaprosiłam Justina na przyjęcie do Rachel, chociaż wiem, że to zrobiłam. To wariactwo, ale dochodzę do wniosku, że to Justin mógł dać mi do zrozumienia, że go nie zaprosiłam, ponieważ dzięki temu mógł mieć do mnie pretensje, że tam poszłam. Poza tym ostatnio znajduję różne przedmioty – ubrania, buty, biżuterię – które według Justina sprzedałam albo oddałam. Zazwyczaj zrzucam to na karb słabej pamięci, ale od kilku miesięcy nie daje mi spokoju poczucie, że coś tu nie gra, w czym z pewnością nie pomaga uporczywe, irytujące podpuszczanie ze strony Mo za każdym razem, gdy rozmawiamy o Justinie. Ale jeśli chcę, potrafię ignorować

niepożądane sprawy, więc po prostu… postanowiłam o tym nie myśleć.

Mo mówi o psychicznej manipulacji i impulsach wyzwalających. Nie mogę usiedzieć na miejscu, aż w końcu pojedyncza łza spływa mi po policzku. Więc jednak płaczę.

– Muszę już iść – rzucam, wycierając nos.

– Po prostu zastanów się nad tym, co powiedziałem. Dobrze, Tiffy? I pamiętaj, jak skutecznie postawiłaś mu się wczoraj wieczorem. Poczyniłaś już ogromne postępy. Doceń to w sobie.

Wchodzę do biura całkiem wyczerpana. Te ostatnie dni dały mi w kość. Góry i doliny, na zmianę… Uff, i do tego ten przygniatający kac.

Kiedy wreszcie kończę sprawdzać korektę książki Katherin, myśli o Justinie znów tkwią w swojej przegródce, a ja jestem znacznie spokojniejsza. Zjadłam trzy torebki chrupek kukurydzianych, które według Rachel są najlepszym lekarstwem na kaca i które najwyraźniej zmieniły mnie z zombi w częściowo rozumną istotę. Zostawiam *Szydełkiem przez życie* na biurku Rachel i wracam na swoje stanowisko, żeby zrobić to, co nie daje mi spokoju od zeszłego wieczoru: zajrzeć na profil Leona na Facebooku.

Oto on. Uśmiecha się do aparatu i obejmuje kogoś ramieniem podczas przyjęcia bożonarodzeniowego – w tle wiszą świąteczne światełka, a w pomieszczeniu jest pełno ludzi. Przeglądam zdjęcia profilowe i przypominam sobie, że już je widziałam. Wtedy nie uznałam go za atrakcyjnego i rzeczywiście jest nieco zbyt tyczkowaty i długowłosy jak na mój gust. Ale niewątpliwie należy do ludzi, którzy zyskują przy bliższym poznaniu.

Może chodziło jedynie o element zaskoczenia oraz nagość. Może nasze drugie spotkanie będzie sympatyczne i platoniczne, a ja puszczę go w niepamięć i zadzwonię do Kena, seksownego norweskiego pustelnika. Chociaż nie wiem, czy spojrzę mu w oczy po tym, jak Justin upokorzył mnie w jego obecności. Nie, nie myśl o Justinie…

– Kto to? – odzywa się Martin za moimi plecami. Podskakuję i rozlewam kawę na kolekcję samoprzylepnych karteczek z bardzo pilnymi wiadomościami.

– Dlaczego zawsze się do mnie podkradasz? – pytam, zamykając okno i wycierając kawę chusteczką.

– Po prostu masz słabe nerwy. Więc kto to był?

– Mój przyjaciel Leon.

– Przyjaciel?

Przewracam oczami.

– Od kiedy interesujesz się moim życiem, Martinie?

Posyła mi osobliwie chytre spojrzenie, jakby wiedział coś, o czym ja nie wiem, a może po prostu dokuczają mu kiszki.

– Czego potrzebujesz? – pytam przez zaciśnięte zęby.

– Niczego, Tiffy. Nie będę ci przeszkadzał. – Po czym odchodzi.

Siadam z powrotem na krześle i biorę głęboki oddech. Rachel wychyla się zza komputera i bezgłośnie mówi: „Nadal nie wierzę! Stanął mu!” – a następnie unosi oba kciuki. Sadowię się głębiej na krześle, czując powrót kaca, i postanawiam, że już nigdy, przenigdy się nie napiję.

# 30
# *Leon*

Mama przynajmniej odciąga moje myśli od boleśnie niezręcznych wydarzeń tego poranka.

Niesamowicie się stara. Wygląda na to, że mówiła prawdę o życiu w pojedynkę – w domu nie ma śladów obecności mężczyzny (Richie i ja w dzieciństwie potrafiliśmy je doskonale rozpoznawać), a mama nie zmieniła fryzury ani ubrań od naszego ostatniego spotkania, co oznacza, że nie stara się dopasować do kogoś nowego.

Opowiadam jej o Kay. To zaskakująco przyjemne. Kiwa głową w odpowiednich momentach i głaszcze mnie po dłoni, od czasu do czasu ma łzy w oczach, a potem przyrządza dla mnie panierowane kawałki kurczaka z frytkami, co sprawia, że znów czuję się jak dziesięciolatek.

Ale nie narzekam. To miłe, gdy ktoś się tobą opiekuje.

Najdziwniejszy jest powrót do pokoju, który dzieliłem z Richiem, gdy w wieku kilkunastu lat przeprowadziliśmy się do Londynu. Byłem tutaj tylko raz od czasu procesu. Wtedy mieszkałem tu przez tydzień, ponieważ uznałem, że mama nie poradzi sobie sama. Ale już wkrótce poznała Mike'a, który nie chciał, żeby ktoś im przeszkadzał, więc wróciłem do siebie.

Pokój się nie zmienił. Jest jak muszla, z której wyprowadziło się zamieszkujące ją morskie stworzenie. Pełno tutaj naszych śladów: plamy na ścianach po dawno zdjętych plakatach, przechylone książki na częściowo opróżnionej półce. Pudło z rzeczami Richiego, które przynieśli tu jego dawni współlokatorzy.

Z trudem się powstrzymuję, żeby nie zacząć grzebać w tym pudle. Niepotrzebnie bym się zdenerwował, a Richiemu z pewnością by się to nie spodobało.

Kładę się na łóżku, a wtedy w moich myślach pojawia się Tiffy – najpierw w czerwonej bieliźnie, a potem owinięta ręcznikiem. Ten drugi obraz jest jeszcze bardziej niedopuszczalny, ponieważ nawet nie wiedziała, że na nią patrzę. Wiercę się nerwowo. Nie

powinienem być nią tak zainteresowany. To pewnie reakcja na zerwanie z Kay.

Dzwoni telefon. Ogarnia mnie panika. Patrzę na ekran: Tiffy.

Nie chcę odbierać. Telefon dzwoni i dzwoni – mam wrażenie, że nigdy nie przestanie.

W końcu Tiffy się rozłącza, nie zostawiwszy wiadomości. Z jakiegoś powodu czuję się winny. Richie powiedział mi, że powinienem z nią porozmawiać. Ale wolę ciszę w eterze i najwyżej okazjonalną wiadomość zostawioną na czajniku lub drzwiach.

Znów się kładę. Rozmyślam o tym wszystkim. Zastanawiam się, czy to prawda.

Telefon wibruje. Dostałem esemesa.

**Cześć. Wydaje mi się, że powinniśmy pogadać o tym, co stało się rano. Tiffy x**

Wspomnienia ożywają i znów wydaję z siebie jęk. Muszę koniecznie odpisać. Odkładam telefon. Wbijam wzrok w sufit.

Telefon ponownie wibruje.

**Powinnam zacząć od przeprosin. To mnie nie powinno tam być, zgodnie z naszymi zasadami. A potem zaskoczyłam Cię pod**

**prysznicem. Tak więc bardzo, bardzo przepraszam! xx**

O dziwo czuję się dużo lepiej, gdy czytam te słowa. Nie wygląda na to, by doznała szoku, i pisze do mnie w swoim znajomym stylu, więc mam wrażenie, że tego esemesa wysłała dawna Tiffy, którą sobie wyobrażałem, zanim spotkałem tę prawdziwą. Ona była… może nie do końca nieistotna, ale „bezpieczna”. Mogłem z nią rozmawiać bez żadnej presji ani konsekwencji. Swobodnie i bez oczekiwań.

Teraz Tiffy zdecydowanie nie należy do bezpiecznej kategorii.

Zbieram się na odwagę, by napisać odpowiedź.

**Nie przepraszaj. W końcu musieliśmy na siebie wpaść! Nie martw się – już o tym zapomniałem**

Kasuję tę ostatnią część. To przecież nieprawda.

**Nie przepraszaj. W końcu musieliśmy na siebie wpaść! Nie martw się – z chęcią**

**o tym zapomnę, jeśli Ty też tego chcesz.**
**Leon x**

Wysyłam i od razu żałuję znaczka całusa. Czy zazwyczaj go dodaję? Nie pamiętam. Przewijam do kilku poprzednich wiadomości i widzę, że jestem całkowicie niekonsekwentny, co w sumie wychodzi na moją korzyść. Kładę się na łóżku i czekam.

Czekam.

Co ona robi? Zazwyczaj odpowiada od razu. Sprawdzam godzinę – dwudziesta trzecia. Czyżby zasnęła? Wczoraj chyba późno wróciła. Ale w końcu:

**Zapomnijmy o tym! Obiecuję, że to już się nie powtórzy (nie zaskoczę Cię pod prysznicem ANI nie zaśpię). Mam nadzieję, że Kay się nie wściekła, że złamałam zasady? No i że poznałam jej chłopaka pod prysznicem… xx**

Głęboki oddech.

**Kay i ja zerwaliśmy dwa tygodnie temu x**

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast.

**O cholera, bardzo mi przykro. Podejrzewałam, że coś jest nie tak – byłeś małomówny w swoich wiadomościach (to znaczy bardziej niż zwykle!). Jak się trzymasz?**

Zastanawiam się nad odpowiedzią. Jak się trzymam? Leżę na łóżku w mieszkaniu mojej matki i fantazjuję o nagiej współlokatorce. Na chwilę autentycznie zapomniałem o swojej byłej dziewczynie. To pewnie nie do końca zdrowe, ale… czuję się lepiej niż wczoraj. Piszę:

**Będzie lepiej x**

Tiffy długo nie odpowiada. Zastanawiam się, czy nie powinienem napisać nieco więcej. Chociaż jak dotąd nigdy jej to nie przeszkadzało.

**Może to Cię rozweseli: dzisiaj w pracy byłam tak skacowana, że weszłam na drukarkę**

Parskam śmiechem. Po chwili przesyła mi zdjęcie drukarki. Jest olbrzymia. W środku można by zmieścić cztery Tiffy.

**Nie… zauważyłaś jej?**

**Chyba straciłam umiejętność zatrzymywania się w odpowiednim momencie. Ale chwilę wcześniej skończyłam rozmawiać ze swoim cudownym murarzem-który-został-projektantem, więc…**
**Ach. Założę się, że wciąż uginają się pod Tobą nogi**

**Pewnie tak! Najwyraźniej to już taki dzień xx**

Wpatruję się w tę ostatnią wiadomość, aż ekran gaśnie. *To już taki dzień*. Czyli jaki? Kiedy uginają się pod nią nogi? Ale dlaczego – czyżby…

Nie, na pewno nie z mojego powodu. To absurd. Tylko że… co w takim razie miała na myśli?

Mam nadzieję, że od tej pory nasza wymiana zdań nie będzie tak wyglądała. Jestem

wyczerpany.

# 31
# *Tiffy*

Mój tata lubi mawiać: „Życie nigdy nie jest proste”. To jedno z jego ulubionych powiedzonek.

Myślę, że to nieprawda. Życie często bywa proste, ale zauważamy to dopiero wtedy, gdy bardzo się skomplikuje. Na przykład nigdy nie jesteśmy wdzięczni losowi za zdrowie, dopóki nie zachorujemy, ani nie cieszymy się, że mamy szufladę ze starymi rajstopami, dopóki nie podrze nam się najnowsza para.

Katherin właśnie zamieściła gościnnego vloga na stronie Tashy Chai-Latte. Pokazała, jak szydełkiem zrobić bikini, a internet oszalał. Nie zliczę wszystkich wpływowych osób, które udostępniły jej tweeta – a jako że Katherin nie znosi Martina, za każdym razem, gdy potrzebuje pomocy albo świruje z jakiegoś powodu, dzwoni do mnie. Nie mam pojęcia o kreowaniu

wizerunku, więc potem i tak muszę iść do Martina, a następnie przekazać Katherin jego uwagi. Gdyby byli rozwiedzioną parą, a ja ich dzieckiem, potrzebna byłaby interwencja opieki społecznej.

Gerty dzwoni, kiedy wychodzę z pracy.

– Dopiero wyszłaś? Prosiłaś już o podwyżkę? – pyta.

Zerkam na zegarek – jest wpół do ósmej wieczorem. Spędziłam w pracy prawie dwanaście godzin i tak mało zrobiłam?

– Nie mam czasu – odpowiadam. – Poza tym oni nie dają podwyżek. Pewnie zwolniliby mnie, gdybym o to spytała.

– Absurd.

– A w ogóle co słychać?

– Pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć, że udało nam się przyśpieszyć rozprawę apelacyjną Richiego o trzy miesiące – oznajmia beztrosko Gerty.

Staję jak wryta. Ktoś na mnie wpada i klnie (gwałtowne zatrzymywanie się w centrum Londynu to potworna zbrodnia, która upoważnia ludzi do wymierzenia ci kopniaka).

– Przyjęłaś jego sprawę?

– Jego poprzedni prawnik był koszmarny – wyjaśnia Gerty. – Serio. Mam ochotę zgłosić to do

rady adwokackiej. Będziemy musieli także znaleźć Richiemu nowego radcę prawnego, zwłaszcza że nie skonsultowałam się z dotychczasowym, co go solidnie wkurzyło, ale…

– Przyjęłaś jego sprawę?

– Staraj się nadążać, Tiffy.

– Dziękuję. Tak bardzo ci dziękuję. Boże… – Nie mogę przestać się uśmiechać. – Richie już powiedział Leonowi?

– Richie zapewne jeszcze nie wie – odpowiada Gerty. – Napisałam do niego dopiero wczoraj.

– Mogę powiadomić Leona?

– Oszczędzisz mi pracy, więc śmiało.

Mój telefon wibruje, gdy tylko się rozłączam. To esemes od Leona; moje serce dziwnie podskakuje w piersi. Nie pisał do mnie, odkąd wymienialiśmy esemesy w weekend.

**Uwaga: w przedpokoju stoi ogromny bukiet kwiatów od Twojego byłego. Nie byłem pewien, czy psuć Ci niespodziankę (miłą czy niemiłą?), ale na Twoim miejscu wolałbym wiedzieć x**

Znów staję jak wryta; tym razem bizneswoman na hulajnodze przejeżdża mi po stopie.

Justin nie odzywał się od czwartku. Żadnych telefonów, esemesów, cisza. Zaczęłam wierzyć, że wziął sobie do serca moje słowa i nie będzie próbował się kontaktować, lecz powinnam mieć więcej rozumu – to byłoby zupełnie nie w jego stylu. Ale coś takiego – to cały on.

Nie chcę wielkiego bukietu od Justina. Chcę, żeby zniknął z mojego życia. Tak trudno się pozbierać, gdy wciąż się w nim pojawia. Zbliżam się do domu, mocno zaciskając usta i przygotowując się na najgorsze.

To naprawdę olbrzymi bukiet. Już zapomniałam, jak bogaty jest Justin i jak chętnie wydaje pieniądze na bzdury. W zeszłym roku na urodziny kupił mi wariacko drogą suknię od znanego projektanta, uszytą ze srebrnego jedwabiu z cekinami. Czułam się w niej jak przebieraniec.

Pomiędzy kwiatami tkwi karteczka z wiadomością: *Dla Tiffy – porozmawiamy w październiku. Całuję, Justin*. Podnoszę bukiet i szukam właściwego listu, ale to wszystko. List byłby zbyt bezpośredni – potężny drogi bukiet jest bardziej w stylu Justina.

Z jakiegoś powodu strasznie mnie to złości. Może dlatego, że nie wspominałam Justinowi, gdzie mieszkam. A może dlatego, że otwarcie

zlekceważył to, o co prosiłam go w czwartek, i obrócił moje „potrzebuję dwóch miesięcy” w „porozmawiam z tobą za dwa miesiące”.

Wkładam kwiaty do ozdobnej doniczki, w której zazwyczaj trzymam wełnę. Czekałam, aż Justin to zrobi – pojawi się, żeby zwalić mnie z nóg swoimi wyjaśnieniami i efektownymi gestami. Ale tamta wiadomość na Facebooku, zaręczyny… Zepchnął mnie w przepaść i teraz jestem kimś zupełnie innym niż wtedy, gdy próbował do mnie wrócić ostatnim razem.

Opadam na sofę i wpatruję się w kwiaty. Myślę o tym, co powiedział Mo, i o tym, w jaki sposób wspominam nasz związek. Pamiętam, jak ostro Justin krytykował mnie za zapominalstwo i jaka byłam wtedy zaskoczona. Pamiętam mieszankę podniecenia i niepokoju, z jaką codziennie czekałam na jego powrót do domu. Skurcz w żołądku, który poczułam, gdy w czwartek w pubie położył dłoń na moim ramieniu i domagał się, żebym poszła z nim na drinka.

Tamto wspomnienie.

Boże. Nie chcę wracać do tego wszystkiego. Jestem teraz szczęśliwsza – lubię tutaj mieszkać, bezpiecznie ukryta w tym mieszkaniu, które uczyniłam swoim własnym. Za dwa tygodnie

skończy się umowa wynajmu – Leon o tym nie wspominał, więc ja również milczę, ponieważ nie chcę się wyprowadzać. Wreszcie mam pieniądze, chociaż większość przeznaczam na spłatę długu. Mam współlokatora, z którym mogę porozmawiać – co z tego, że nie twarzą w twarz? No i mam dom, który jest w pięćdziesięciu procentach mój.

Sięgam po telefon i odpowiadam Leonowi.

**Kiepska niespodzianka. Dzięki za ostrzeżenie. Teraz mamy mnóstwo kwiatów w mieszkaniu xx**

Odpisuje niemal natychmiast, co jest dla niego nietypowe.

**Miło mi to słyszeć x**

A po około minucie:

**Oczywiście chodzi mi o kwiaty w mieszkaniu, a nie o niespodziankę x**

Uśmiecham się.

**Ja też mam dla Ciebie dobrą wiadomość xx**

**Idealne wyczucie czasu – podczas przerwy na kawę. Dawaj x**

Nie zrozumiał – myśli, że chodzi o jakiś drobiazg, na przykład że przyrządziłam pudding owocowy. Moje palce nieruchomieją nad klawiaturą. To idealny sposób na poprawienie sobie humoru – zresztą co jest w tej chwili ważniejsze, moje perypetie z byłym chłopakiem czy sprawa Richiego?

**Mogę do Ciebie zadzwonić? To znaczy, jeśli zadzwonię, będziesz mógł odebrać? xx**

Odpowiedź tym razem nie przychodzi od razu.

**Jasne x**

Zalewa mnie gwałtowna fala nerwowości i przypominam sobie nagiego Leona, ociekającego wodą, z włosami odgarniętymi

z twarzy. Wciskam guzik słuchawki, ponieważ teraz już nie mam wyjścia, chyba że wymyślę jakąś dziwaczną i naciąganą wymówkę.

– Cześć – odzywa się cichym głosem, jakby był w jakimś miejscu, w którym nie wolno hałasować.

– Cześć – odpowiadam. Czekamy. Przez chwilę myślę o jego nagim ciele, a potem staram się z całych sił wyrzucić ten obraz z głowy. – Jak dyżur?

– Spokojny. Dlatego mam przerwę na kawę.

Mówi niemal z takim samym akcentem jak Richie, niezwykle oryginalnym. Jakby południowy Londyn miał romans z Irlandią. Siadam na sofie, podciągam kolana pod brodę i obejmuję je ręką.

– A więc… – zaczyna.

– Przepraszam – rzucam, niemal w tej samej chwili. Znów milczymy, a potem śmieję się głupawo i niezręcznie, czego z pewnością nigdy wcześniej nie robiłam. Doskonały moment na wypracowanie nowego niezręcznego śmiechu.

– Mów pierwsza – zachęca.

– Może… Nie zadzwoniłam po to, żeby rozmawiać o tamtym dniu… więc może na czas tej rozmowy udajmy, że tamta sytuacja pod prysznicem to był nasz wspólny dziwny sen,

dzięki czemu będę mogła przekazać ci dobre wieści bez obustronnego zażenowania?

Mam wrażenie, że się uśmiecha.

– Zgoda.

– Gerty wzięła sprawę Richiego.

Słyszę, że Leon wstrzymuje oddech, a potem zapada cisza. Czekanie nieprzyjemnie się przedłuża, ale mam wrażenie, że Leon jest jedną z tych osób, które potrzebują czasu, by przyswoić nowe informacje, podobnie jak Mo, więc powstrzymuję chęć odezwania się i czekam, aż będzie gotowy.

– Gerty wzięła sprawę Richiego – powtarza Leon zadziwionym głosem.

– Tak, przyjęła ją. Ale to jeszcze nie jest główna dobra wiadomość! – Zauważam, że lekko podryguję na sofie.

– Więc… jaka jest główna dobra wiadomość? – Brzmi, jakby zrobiło mu się słabo.

– Udało jej się przyśpieszyć rozprawę apelacyjną o trzy miesiące. Szykowaliście się na styczeń przyszłego roku, prawda? Więc teraz możemy liczyć na…

– Październik. Październik. To…

– Niedługo! Bardzo niedługo!

– To już za dwa miesiące! Nie jesteśmy gotowi! – Leon nagle wpada w panikę. – A co jeśli… Czy

ona…

– Leon. Oddychaj.

Znów milczymy. Słyszę, jak Leon powoli i głęboko oddycha. Policzki bolą mnie od powstrzymywania olbrzymiego uśmiechu.

– Ona jest niesamowitą prawniczką – zapewniam. – Nie przyjęłaby sprawy, gdyby nie uważała, że Richie ma szansę. Naprawdę.

– Nie róbcie mi tego, jeśli ona zamierza się… wycofać albo… – Z trudem wypowiada kolejne słowa, a mnie aż skręca w żołądku ze współczucia.

– Nie obiecuję, że Gerty na pewno wyciągnie go z więzienia, ale myślę, że są powody, by znów mieć nadzieję. Nie mówiłabym tego, gdybym tak nie uważała.

Powoli wypuszcza powietrze, pozwalając sobie na cichy śmiech.

– Richie już wie?

– Jeszcze nie. Chyba. Napisała do niego wczoraj. Jak długo idą listy?

– To zależy, zazwyczaj przez jakiś czas są przetrzymywane w więzieniu. Ale to znaczy, że sam będę mógł mu powiedzieć, kiedy znów zadzwoni.

– Gerty też niedługo będzie chciała porozmawiać z wami o sprawie – dodaję.

– Prawnik, który chce rozmawiać o sprawie Richiego – dziwi się Leon. – Prawnik… który… chce…

– Właśnie tak – przerywam mu ze śmiechem.

– Tiffy. – Leon nagle poważnieje. – Nie wiem, jak ci dziękować.

– Daj spokój – przerywam mu.

– Mówię serio. Nawet nie wiesz, jak wiele to znaczy dla… dla Richiego. No i dla mnie.

– Ja tylko przekazałam list Richiego.

– Nikt nigdy nie zrobił tak wiele dla mojego brata.

Wiercę się nerwowo.

– Powiedz Richiemu, że ma mi odpisać.

– Zrobi to. Muszę już iść. Ale… dziękuję, Tiffy. Tak się cieszę, że to byłaś ty, a nie handlarz narkotykami albo facet z jeżem.

– Słucham?

– Nieważne – rzuca pośpiesznie. – Do zobaczenia.

# 32
# *Leon*

Nowy ciąg wiadomości (Tiffy zawsze używa kilku karteczek. Wciąż brakuje jej miejsca):

*Leon, czy mogę spytać… Co jest z Twoimi sąsiadami? Widziałam tylko dziwaka spod numeru 5. (Myślisz, że wie o tej dziurze w spodniach od dresu? Mieszka sam, może nikt mu nie powiedział!). Sądzę, że pod numerem 1 mieszkają te dwie staruszki, które przesiadują na przystanku autobusowym na rogu i czytają krwawe kryminały. Ale co z mieszkaniami 4 i 2? xx*

*Pod numerem 4 mieszka sympatyczny pan w średnim wieku, niestety uzależniony*

*od kokainy. Co do numeru 2, to zawsze uważałem, że to nora lisów. x*

Zapisane na odwrocie maszynopisu leżącego na stoliku:

*No tak! Nora lisów. Mam nadzieję, że płacą czynsz. Zauważyłeś, że Leokadia Lis ma trójkę szczeniąt?!*

Poniżej:

*…Leokadia Lis?*
*A skoro mowa o czynszu. Według kalendarza w moim telefonie właśnie mija sześć miesięcy, odkąd się wprowadziłaś. Formalnie kończy się nam umowa najmu. Chcesz zostać?*

Kolejna wiadomość, dodana tego samego wieczoru, po obudzeniu:

*To znaczy mam nadzieję, że chcesz. Już tak bardzo nie potrzebuję pieniędzy, skoro zarabiam na sprzedaży szalików i mam nieprawdopodobnie dobrą darmową*

*prawniczkę. Ale nie jestem pewien, jak to mieszkanie by wyglądało bez Ciebie. Na przykład nie przeżyłbym bez poduchy z kulkami. x*

Poniżej Tiffy naszkicowała grupę lisów na sofie z nagłówkiem *Mieszkanie numer 2*. Każdy z lisów jest starannie opisany.

*Leokadia Lis! Mamuśka. Prawdziwa z niej lisica.*

*Laurencja Lis. Pyskata prawa ręka. Zazwyczaj kręci się w kącie obok cuchnących kubłów.*

*Lucjan Lis. Kapryśny młody cwaniaczek. Najczęściej próbuje dostać się do budynku przez okno.*

*Ludwig Lis. Główny samiec. (Nie chodzi tylko o płeć, ale o styl bycia).*

*Nowe szczenięta, jeszcze nienazwane. Chciałbyś podjąć się tego zadania?*

Poniżej:

*Owszem, poducha z kulkami i ja chciałybyśmy jeszcze trochę zostać. Co*

*powiesz na kolejne sześć miesięcy? xx*

*Kolejne sześć miesięcy. Doskonale. Załatwione. x*

Nowa wiadomość, obok pustej tacy po drugim śniadaniu:

*Słucham? Noggle, Stanley i Archibald? Nawet nie zaczynają się na L!*

Ta sama wiadomość, tym razem pozostawiona obok dużego talerza z zapiekanką z ziemniaków i mięsa:

*Cóż mogę powiedzieć. Leonowi spodobało się imię Noggle. Pozostałe dwa to pomysł Leokadii.*

*Aha, widziałem zawartość kubła ze śmieciami. Wszystko w porządku? x*

Zapiekanka zniknęła. Nowy liścik:

*Tak, nie przejmuj się. Wszystko jest dobrze. Już dawno powinnam się pozbyć pamiątek po swoim byłym, a dzięki temu zwolniłam sporo miejsca pod łóżkiem na*

*nowe szaliki. (Na wypadek gdybyś się zastanawiał, nie pozostaliśmy przyjaciółmi). xx*

*Aha. Muszę przyznać, że ja też mam coraz mniej sympatii do swojej byłej. Na pewno przyda nam się więcej miejsca na szaliki. Wczoraj noga zaplątała mi się w jeden z nich – leżał na podłodze w sypialni i tylko czekał, żeby złapać kogoś z zaskoczenia. x*

*Ojej, przepraszam, wiem, że nie powinnam zostawiać ubrań na podłodze! Poza tym wybacz, jeśli to zbyt osobiste pytanie, ale czy wymieniłeś wszystkie bokserki? Już nie widuję na suszarce tych z zabawnymi postaciami z kreskówek, a mieszkanie po każdym praniu zmienia się w hołd dla pana Kleina.*

*A skoro już mówimy o naszych byłych… Odzywała się do Ciebie Kay? xx*

Nowa podwójna karteczka. Bardzo rzadko mnie także brakuje miejsca. Poza tym długo się zastanawiałem, co odpisać.

*Spotkałem ją w zeszły weekend, na ślubie przyjaciela. Było dziwnie. Sympatycznie. Gawędziliśmy jak znajomi i bardzo mi się to podobało. Richie miał rację: ten związek skończył się już dawno temu.*

*Owszem, odświeżyłem garderobę. Uświadomiłem sobie, że nie kupowałem nowych ubrań od mniej więcej pięciu lat. Poza tym nagle dotarło do mnie, że mieszkam z kobietą, która ogląda moje pranie.*

*Wydaje mi się, że Ty też byłaś na zakupach. Podoba mi się niebiesko-biała sukienka, która wisi na drzwiach. Mogłabyś w niej wyruszyć na poszukiwanie przygód. x*

*Dzięki :) To idealny moment na przygodę. Jest lato, jestem wolna, lisy biegają po asfalcie, gołębie gruchają na rynnach… Życie jest piękne. xx*

# 33
# *Tiffy*

Siedzę na balkonie i płaczę jak dziecko, które upuściło lody. Szlocham na całe gardło z szeroko otwartymi ustami.

Wspomnienia atakują mnie w całkowicie przypadkowych chwilach, pojawiają się znikąd i wyprowadzają mnie z równowagi. To było wyjątkowo wredne: właśnie podgrzewałam zupę, gdy nagle BUM! – przypomniałam sobie, jak Justin pojawił się w lutym, jeszcze przed wiadomością na Facebooku, i przyprowadził Patricię. Patrzył na mnie z odrazą i niemal się do mnie nie odzywał. A kiedy Patricia wyszła na korytarz, pocałował mnie na pożegnanie w usta, kładąc dłoń na moim karku. Jakbym należała do niego. Kiedy sobie to przypomniałam, przez chwilę czułam przerażenie, że wciąż tak jest.

No właśnie. Chociaż w zasadzie jestem znacznie szczęśliwsza, te wspomnienia wszystko psują. Niewątpliwie muszę się zmierzyć z kilkoma problemami, a moja strategia odwracania uwagi już się nie sprawdza. Trzeba będzie się nad tym zastanowić.

To oznacza, że potrzebuję pomocy Mo i Gerty. Przychodzą razem, mniej więcej godzinę po tym, jak do nich esemesuję. Kiedy Gerty nalewa wino do kieliszków, zdaję sobie sprawę, że jestem zdenerwowana. Nie chcę rozmawiać. Ale gdy już zaczynam, nie potrafię przestać i wyrzucam z siebie wszystko w postaci wielkiego bełkotu: wspomnienia, historie z samych początków związku, aż po kwiaty, które dostałam w zeszłym tygodniu.

W końcu milknę, wyczerpana. Dopijam wino z kieliszka.

– Nie będę owijała w bawełnę – mówi Gerty, która nigdy w życiu nie owinęła niczego w bawełnę. – Masz szalonego byłego chłopaka, który wie, gdzie mieszkasz.

Moje serce zaczyna szybciej bić, jakby próbowało wydostać się z piersi.

Mo posyła Gerty spojrzenie, do jakiego zazwyczaj tylko ona ma prawo.

– Ja będę mówił, a ty możesz zająć się winem, dobrze? – zarządza.

Gerty ma minę, jakby ktoś ją spoliczkował. Ale po chwili, o dziwo, odwraca się w moją stronę z uśmiechem.

Ciekawe.

– Żałuję, że mu obiecałam wspólnego drinka w październiku – mówię do skupionego na mnie Mo. – Dlaczego to powiedziałam?

– Nie jestem pewien, czy właśnie to powiedziałaś. Chyba to on postanowił tak zrozumieć twoje słowa – wyjaśnia Mo. – Ale nie musisz się z nim spotykać. Nie jesteś mu nic winna.

– Wy też pamiętacie to wszystko? – pytam nagle. – Nie wyobraziłam sobie tego?

Mo na chwilę milknie, ale Gerty nie zwalnia tempa.

– Oczywiście, że tak. Pamiętam każdą cholerną minutę. Był dla ciebie okrutny. Zawsze mówił ci, gdzie masz się znaleźć i jak masz tam dotrzeć, a potem cię tam prowadził, ponieważ sama na pewno być zabłądziła. Obwiniał cię o każdą kłótnię i nie ustępował, póki go nie przeprosiłaś. Porzucał cię, a potem natychmiast po ciebie przyjeżdżał. Mówił ci, że masz nadwagę, jesteś dziwaczką i nikt inny cię nie

zechce, mimo że tak naprawdę wyglądasz jak bogini i miał wielkie szczęście, że z nim byłaś. To było straszne. Nie znosiliśmy go. A gdybyś nie zabroniła mi o nim mówić, powtarzałabym ci to każdego cholernego dnia.

– Aha – odzywam się bardzo cicho.

– Czy właśnie tak się czułaś? – pyta Mo z miną majstra, który ma za mało narzędzi i próbuje naprawić zniszczenia po wybuchu bomby.

– Pamiętam… pamiętam, że byłam z nim naprawdę szczęśliwa – odpowiadam. – A jednocześnie cholernie zdołowana.

– Nie traktował cię źle przez cały czas – zaczyna Gerty.

– Nie byłby w stanie cię przy sobie zatrzymać, gdyby tak było – kontynuuje Mo. – Dobrze o tym wiedział. To sprytny facet, Tiffy. Potrafił…

– …tobą manipulować – kończy Gerty.

Mo krzywi się pod wpływem jej słów.

– Ale mam wrażenie, że kiedyś byliśmy szczęśliwi razem. – Nie wiem, dlaczego to dla mnie takie ważne. Nie podoba mi się myśl, że wszyscy patrzyli na nasz związek i uznawali mnie za idiotkę, skoro byłam z kimś, kto tak mnie traktował.

– Jasne. – Mo kiwa głową. – Zwłaszcza na początku.

– No właśnie – zgadzam się. – Na początku.

Przez jakiś czas w milczeniu sączymy wino. Czuję się bardzo dziwnie. Odnoszę wrażenie, że powinnam się rozpłakać, i mam na to ochotę, ale czuję takie napięcie w oczach, że nie potrafię uronić ani jednej łzy.

– No cóż, dziękuję. Za to, że próbowaliście. Przepraszam, że… zmusiłam was, żebyście przestali o nim mówić. – Wbijam wzrok w swoje stopy.

– Nie ma sprawy. Przynajmniej to oznaczało, że wciąż chciałaś się z nami widywać – odpowiada Mo. – Musiałaś dojść do tego samodzielnie, Tiff. Chociaż kusiło nas, żeby wtargnąć do twojego życia i uratować cię przed Justinem, to na pewno byś do niego wróciła.

Zbieram się na odwagę, żeby zerknąć na Gerty. Patrzy mi w oczy z pasją. Nie wyobrażam sobie, jak wiele ją kosztowało dotrzymanie słowa i niewspominanie o Justinie.

Zastanawiam się, jakim cudem Mo przekonał ją, by pozwoliła mi radzić sobie z tym na własną rękę. Ale miał rację – odepchnęłabym ich, gdyby kazali mi odejść od Justina. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Świetnie sobie radzisz, Tiff – stwierdza Mo, dolewając mi wina. – Tylko trzymaj się tego, co

już ustaliłaś. Może być trudno stale o tym pamiętać, ale to ważne. Dlatego musisz się postarać.

*

Kiedy Mo coś mówi, zawsze ma się wrażenie, że ma rację.

Tak trudno o tym pamiętać. Wystarczy tydzień bez nagłych przypływów wspomnień albo przypadkowych spotkań z Justinem, a już zaczynam słabnąć. Tracę wiarę w siebie. Rozsypuję się i uznaję, że tylko to sobie wymyśliłam.

Na szczęście zawsze mogę porozmawiać z Mo. Omawiamy poszczególne zdarzenia, tak jak je pamiętam – gwałtowne kłótnie, subtelne przytyki, jeszcze subtelniejsze zakusy na moją niezależność. Nie mogę uwierzyć, jak niezdrowa była moja relacja z Justinem, ale jeszcze bardziej mnie dziwi, że tego nie zauważałam. Będę potrzebowała czasu, by pogodzić się z tą świadomością.

Dzięki Bogu za przyjaciół i współlokatorów. Leon oczywiście nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje, ale chyba zrozumiał, że przydałoby mi się odwrócenie uwagi od kłopotów – zaczął częściej

gotować, a gdy przez jakiś czas nie rozmawiamy, rozpoczyna nową serię wiadomości. Kiedyś to zawsze była moja domena – mam wrażenie, że Leon nie czuje się swobodnie w roli osoby inicjującej rozmowę.

Oto co znajduję na lodówce, gdy wracam z pracy razem z Rachel, dla której mam przyrządzić kolację (twierdzi, że jestem jej winna nieograniczone darmowe posiłki, ponieważ podpisując umowę na *Szydełkiem przez życie*, zrujnowałam jej karierę):

> *Polowanie na Johnny'ego White'a idzie kiepsko. Johnny White Czwarty tak mnie spił w obskurnym pubie niedaleko Ipswich, że aż zasnąłem pod stołem. Prawie zaliczyłem powtórkę z naszego pamiętnego łazienkowego spotkania: zaspałem i strasznie się spóźniłem. x*

Rachel unosi brwi, czytając mi przez ramię.

– Pamiętnego, co?

– Och, zamknij się. Dobrze wiesz, co miał na myśli.

– Chyba wiem – przytakuje. – Miał na myśli: Wciąż pamiętam, jak wyglądałaś w bieliźnie. A czy ty pamiętasz, że byłem nagi?

Rzucam w nią cebulą.

– Posiekaj ją, to na coś się przydasz! – wołam, ale nie mogę przestać się uśmiechać.

# WRZESIEŃ

# 34
# *Leon*

Już wrzesień. Lato robi się chłodniejsze. Nigdy nie sądziłem, że czas może pędzić, gdy Richie jest w więzieniu, ale on mówi to samo – jego dni mijają normalnie, a nie wloką się, zmuszając go do doświadczania każdej minuty.

Wszystko dzięki Gerty. Spotkałem ją tylko kilka razy, ale co kilka dni rozmawiamy przez telefon; często do rozmowy dołącza także radca prawny. Z poprzednim prawie nie miałem kontaktu. Ten stale coś robi. Niesamowite.

Gerty jest obcesowa, czasem wręcz niegrzeczna, ale mnie się podoba – wydaje się, że nigdy nie wciska kitu (w odróżnieniu od Sala?). Często bywa w mieszkaniu i wtóruje Tiffy w pisaniu liścików. Na szczęście bardzo łatwo odróżnić ich wiadomości. Te dwie znajduję na kuchennym blacie:

*Cześć! Przykro mi z powodu dwudniowego kaca – znam ten ból i polecam chrupki kukurydziane. Jednakże… niemożliwe, żeby włosy bardziej się kręciły, gdy mamy kaca! To nie może być prawda, ponieważ kac nie ma żadnych zalet. Moja wiedza na temat Twojego wyglądu jest ograniczona, ale założę się, że z bardziej kręconymi włosami wyglądasz fajniej. xx*

*Leon – powiedz Richiemu, żeby do mnie zadzwonił. Nie przekazał mi odpowiedzi na dziesięciostronicową listę pytań, które przesłałam mu w zeszłym tygodniu. Przypomnij mu, proszę, że jestem bardzo niecierpliwą osobą, której zazwyczaj dużo płacą za taką robotę. G*

*

Kiedy wracałem z ostatniego widzenia u Richiego, odwiedziłem jednego z Johnnych White'ów, który mieszka w domu opieki na północ od Londynu. Od razu poczułem, że to nie jego szukam. Już żona i siedmioro dzieci dały mi do myślenia (choć to, oczywiście, niczego nie przesądza), ale po bardzo trudnej rozmowie

odkryłem, że mężczyzna służył w wojsku tylko przez trzy tygodnie, a potem został odesłany do domu z gangreną w nodze.

Wywiązała się z tego długa rozmowa o gangrenie. Czułem się jak w pracy, tylko znacznie bardziej niezręcznie.

W tym tygodniu pan Prior źle się czuje. Zaskakująco mocno się tym martwię. Pan Prior jest bardzo stary, więc można się było tego spodziewać. Moja praca polega na zapewnieniu mu wygody. Tak było od dnia, gdy spotkałem go po raz pierwszy. Ale zawsze sądziłem, że odnajdę miłość jego życia, zanim odejdzie, a pięciu Johnnych White'ów, których sprawdziłem do tej pory, okazało się niewypałami. Zostało jeszcze trzech, ale nie jest dobrze.

Byłem naiwny. Kay słusznie od początku mi to powtarzała.

*

Na bojlerze:

*Jeśli dotarłeś do tego miejsca, pewnie odkryłeś, że bojler jest popsuty. Ale nie martw się, Leon, mam znakomite wieści! Już zadzwoniłam do pani hydraulik, która*

*przyjdzie jutro wieczorem. Do tego czasu będziesz musiał się myć w LODOWATEJ wodzie, ale skoro przyszedłeś sprawdzić bojler, to pewnie już to zrobiłeś, zatem najgorsze masz za sobą. Polecam zwinąć się w kłębek na poduszce z kulkami z kubkiem gorącej jabłkowej herbaty z przyprawami (tak, kupiłam nową owocową herbatę; nie, nie mamy ich za dużo w kredensie) i okryć naszym cudownym poncho. Sama tak zrobiłam i podziałało. xx*

Nie jestem pewien, czy to rzeczywiście nasze poncho, zakładając, że ma na myśli tę powycieraną różnokolorową szmatę, którą ciągle muszę zrzucać z łóżka. To z pewnością jeden z najgorszych przedmiotów w mieszkaniu.

Siadam na poduszce z kulkami z najnowszą odmianą owocowej herbaty i myślę o Tiffy, która znajdowała się w tym samym miejscu zaledwie kilka godzin wcześniej. Z mokrymi włosami i obnażonymi ramionami. Owinięta tylko ręcznikiem i poncho.

Może to poncho wcale nie jest takie złe. Ma… charakter. Jest dziwaczne. Chyba się do niego przekonam.

# 35
# *Tiffy*

To moja pierwsza wizyta u innego terapeuty niż Mo.

Mo sam to zaproponował. Powiedział, że pomogłaby mi prawdziwa terapia i rozmowa z kimś, kto mnie nie zna. A potem Rachel poinformowała mnie, że, o dziwo, w ramach świadczeń społecznych wydawnictwo zapewnia nam piętnaście godzin rozmów z psychologiem. Nie mam pojęcia, dlaczego są gotowi sfinansować coś takiego, a jednocześnie płacą minimalną stawkę – może znudziło im się, że pracownicy odchodzą z powodu stresu.

A więc jestem. Dziwnie się czuję. Ktoś inny niż Mo ma na imię Lucie i nosi olbrzymi sweter zamiast sukienki, co od razu budzi moją sympatię i zachęca mnie do spytania, gdzie kupuje ciuchy. Przez chwilę rozmawiałyśmy

o sklepach z oldschoolowymi ubraniami w południowym Londynie, a potem przyniosła mi szklankę wody i oto siedzimy w jej gabinecie na identycznych fotelach. Jestem niezwykle zdenerwowana, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

– Powiedz, Tiffy, co skłoniło cię do tego, żeby się ze mną spotkać? – pyta Lucie.

Otwieram usta i zaraz je zamykam. Boże, długo by tłumaczyć. Od czego zacząć?

– Zacznij od tego… – mówi Lucie. Najwyraźniej potrafi czytać w myślach, tak samo jak Mo, pewnie uczą ich tego w szkole. – …od tego, co sprawiło, że wzięłaś do ręki telefon i umówiłaś się na wizytę.

– Chcę naprawić to, co popsuł we mnie mój były chłopak – odpowiadam i milknę, zaskoczona. Jakim cudem powiedziałam o tym wprost całkowicie obcej osobie, którą poznałam pięć minut temu? Co za wstyd.

Ale Lucie nawet nie drży powieka.

– Jasne – odpowiada. – Opowiesz mi coś więcej?

*

– Jesteś uleczona? – pyta Rachel, stawiając kawę na moim biurku.

Ach, kawa, eliksir przepracowanych. Ostatnio wyprzedziła herbatę na mojej liście ulubionych rzeczy, co świadczy o tym, jak mało sypiam. Posyłam Rachel całusa, kiedy idzie do swojego komputera. Jak zwykle kontynuujemy rozmowę za pomocą komunikatora.

Tiffany [09:07]: Było naprawdę dziwnie. Już po dziesięciu minutach opowiedziałam jej najbardziej wstydliwe rzeczy o sobie.

Rachel [09:08]: Opowiedziałaś jej o tym, jak zwymiotowałaś na swoje włosy w nocnym autobusie?

Tiffany [09:10]: No nie, ten temat się nie pojawił.

Rachel [09:11]: A o tym, jak na uniwerku złamałaś tamtemu facetowi penisa?

Tiffany [09:12]: Nie przeginaj.

Rachel [09:12]: On też tak mówił.

Tiffany [09:13]: Słaby żart.

Rachel [09:15]: Nieważne. Przynajmniej mam pewność, że znam więcej twoich upokarzających tajemnic niż ta nowa uzurpatorka. Opowiadaj dalej.

Tiffany [09:18]: Nie mówiła dużo. Jeszcze mniej niż Mo. Myślałam, że powie mi, co jest ze mną nie tak. Ale zamiast tego sama doszłam do kilku wniosków… co nigdy by mi się nie udało, gdyby ona nie siedziała naprzeciwko mnie. Dziwne.

Rachel [09:18]: Jakich wniosków?

Tiffany [09:19]: Na przykład… że Justin czasami bywał okrutny. Kontrolował mnie. No i robił inne złe rzeczy.

Rachel [09:22]: Przyznaję, że myliłam się co do Justina. Gerty ma rację. To kawał drania.

Tiffany [09:23]: Zdajesz sobie sprawę, że właśnie napisałaś „Gerty ma rację”?

Rachel [09:23]: Tylko jej o tym nie wspominaj.

Tiffany [09:23]: Już jej posłałam zrzut ekranu.

Rachel [09:24]: Jędza. Więc wybierasz się tam znowu?

Tiffany [09:24]: Mam trzy wizyty w tym tygodniu.

Rachel [09:24]: A niech mnie.

Tiffany [09:25]: Boję się, że skoro tamto pierwsze wspomnienie wróciło do mnie, gdy Ken mnie pocałował…

Rachel [09:26]: Tak?

Tiffany [09:26]: A jeśli teraz już zawsze tak będzie? Jeśli Justin mnie przeprogramował i JUŻ

NIGDY NIE BĘDĘ MOGŁA POCAŁOWAĆ MĘŻCZYZNY?

Rachel [09:29]: O kurwa, to straszne.

Tiffany [09:30]: Dzięki, Rachel.

Rachel [09:31]: Powinnaś z kimś o tym porozmawiać.

Tiffany [09:33]: [rozgniewana buźka] Dziękuję, Rachel.

Rachel [09:34]: Och, daj spokój. Wiem, że cię rozbawiłam. Przecież widziałam, że zaczęłaś się śmiać, a potem kaszląc, próbowałaś to ukryć, kiedy przechodził naczelny.

Tiffany [09:36]: Myślisz, że się udało?

– Tiffy?! Masz chwilę?! – woła naczelny.

Cholera. „Masz chwilę” zawsze źle zwiastuje. Gdyby chodziło o coś pilnego, ale bezproblemowego, po prostu wykrzyczałby polecenie ze swojego miejsca albo wysłał mi mejla z agresywnym czerwonym wykrzyknikiem. Ale „masz chwilę” oznacza, że to sprawa poufna, więc chodzi o coś gorszego niż chichotanie za biurkiem i plotkowanie z Rachel o całowaniu.

Co zrobiła Katherin? Wrzuciła na Twittera zdjęcie swojej waginy? Grozi, że to zrobi, za

każdym razem, gdy przekazuję jej prośbę Martina, by udzieliła kolejnego wywiadu.

A może chodzi o którąś z wielu książek, o których kompletnie zapomniałam w wirze obowiązków związanych z *Szydełkiem przez życie*? Nawet nie pamiętam ich tytułów. Swobodnie przekładałam daty wydania i z pewnością nie przekazałam tych zmian do zaakceptowania redaktorowi naczelnemu. Pewnie o to chodzi. Tak długo ignorowałam czyjąś książkę, że ukazała się z pustymi kartkami.

– Jasne – odpowiadam, wstając od biurka szybkim i profesjonalnym ruchem, a przynajmniej mam nadzieję, że tak to wygląda.

Wchodzę za naczelnym do jego gabinetu. Zamyka za mną drzwi.

– Tiffy – zaczyna, przysiadając na krawędzi swojego biurka. – Wiem, że od kilku miesięcy masz mnóstwo pracy.

Przełykam ślinę.

– Jakoś sobie radzę – odpowiadam. – Ale dziękuję!

Posyła mi nieco zdziwione spojrzenie, co jest całkowicie zrozumiałe.

– Fantastycznie zajęłaś się książką Katherin. To naprawdę wyjątkowe wydanie. Zauważyłaś

nowy trend… nie, sama go stworzyłaś. Znakomita robota.

Mrugam oszołomiona. Ani nie zauważyłam, ani nie stworzyłam tego trendu. Redaguję książki o szydełkowaniu od początku pracy w Butterfingers.

– Dziękuję – odpowiadam, czując się nieco winna.

– Jesteśmy pod takim wrażeniem twojej pracy, że chcielibyśmy zaproponować ci stanowisko redaktora prowadzącego.

Jego słowa docierają do mnie dopiero po kilku sekundach, a gdy tak się dzieje, wydaję z siebie osobliwy zduszony odgłos.

– Wszystko w porządku? – pyta naczelny, marszcząc czoło.

Odchrząkuję.

– Tak! Dzięki! – odpowiadam piskliwie. – Po prostu nie spodziewałam się…

…że kiedykolwiek dostanę awans. Kiedykolwiek. Już całkiem pożegnałam się z nadzieją.

– Bardzo sobie na to zasłużyłaś – mówi, uśmiechając się życzliwie.

Udaje mi się odwzajemnić uśmiech. Nie wiem, co ze sobą począć. Chciałabym spytać, jaką

dostanę podwyżkę, ale nie da się tego zrobić tak, by zachować twarz.

– Bardzo dziękuję – odpowiadam i czuję się nieco żałośnie, ponieważ szczerze mówiąc, powinni mnie awansować już dwa lata temu, a takie płaszczenie się uwłacza mojej godności. Wstaję i uśmiecham się rzeczowo. – Lepiej wrócę do pracy. – Przełożeni zawsze lubią, gdy się tak mówi.

– Oczywiście. Kadrowa podeśle ci szczegóły dotyczące podwyżki i tak dalej.

Podoba mi się to „i tak dalej”.

*Gratuluję awansu! Lepiej późno niż wcale? Przyrządziłem dla Ciebie strogonowa z pieczarkami, żeby to uczcić. x*

Uśmiecham się. Wiadomość znajduje się na lodówce, która jest już w całości pokryta karteczkami. Obecnie najbardziej podoba mi się wykonany przez Leona rysunek, który przedstawia mężczyznę spod piątki siedzącego na olbrzymiej stercie bananów. (Wciąż nie wiemy, dlaczego stawia na swoim miejscu parkingowym tyle skrzynek po bananach).

Na chwilę opieram się czołem o lodówkę, a potem przesuwam palcami po warstwie

skrawków papieru i samoprzylepnych karteczek. Jest tutaj tak wiele różnych rzeczy. Żarty, tajemnice, opowieści, powoli rozwijająca się historia dwóch osób, których życie płynie równolegle, a może synchronicznie. W tym samym miejscu, ale w różnych czasach.

Sięgam po długopis.

*Dziękuję :) Przyznam się, że długo tańczyłam z radości po mieszkaniu. To było naprawdę słabe, nawet próbowałam wykonać moonwalk. Jakoś sobie nie wyobrażam, żebyś Ty coś takiego robił…*

*Jakie masz plany na weekend? Pewnie znów pojedziesz do swojej mamy? Zastanawiałam się, czy nie miałbyś ochoty wybrać się na drinka, żeby uczcić ze mną mój awans. xx*

Kiedy czekam na odpowiedź, po raz pierwszy żałuję, że Leon i ja nie komunikujemy się przez WhatsApp jak normalni ludzie. W tej chwili wiele bym dała, by zobaczyć dwa niebieskie ptaszki. Po powrocie do domu znajduję następującą wiadomość starannie przyklejoną pod moją karteczką:

*Lubię od czasu do czasu przejść moonwalkiem z kuchni do salonu.*

*Niestety, nie mogę iść na drinka, bo poluję na Johnny'ego White'a. Tym razem w Brighton.*

Poniżej, zapisane innym kolorem długopisu:

*Wiem, że to szalony pomysł, ale jeśli masz ochotę na wycieczkę nad morze, to pojedź ze mną.*

Stoję w kuchni przed lodówką i promienieję z radości.

*Bardzo chętnie! Uwielbiam morze. Można tam nosić kapelusz od słońca i parasolkę, dwa cudowne przedmioty, których za rzadko mam okazję używać. Gdzie chcesz się spotkać? xx*

Odpowiedź zajmuje mu dwa dni. Zastanawiam się, czy nie stchórzył, ale w końcu znajduję karteczkę pośpiesznie zabazgraną niebieskim długopisem:

*Dworzec Wiktorii o 10.30 w sobotę. No to mamy randkę! X*

# 36
# *Leon*

Mamy randkę? Mamy randkę?!

Co mi strzeliło do głowy? Powinienem był napisać: *Do zobaczenia*. Zamiast tego umówiłem się z nią na randkę. Chociaż to wcale nie jest randka. Chyba. A nawet gdyby, to nie należę do osób, które mówią: „No to mamy randkę”.

Trę oczy i niespokojnie przestępuję z nogi na nogę. Stoję pod tablicami odjazdów na Dworcu Wiktorii razem z setką innych ludzi, ale podczas gdy oni wpatrują się w tablice, ja wlepiam wzrok w wyjście z przejścia podziemnego. Ciekawe, czy Tiffy rozpozna mnie w ubraniu. A skoro o tym mowa, jest niezwykle ciepło jak na wrzesień. Nie powinienem był wkładać dżinsów.

Sprawdzam, czy mam w telefonie instrukcję dojazdu z dworca w Brighton. Sprawdzam

godzinę. Sprawdzam peron. Znów przestępuję z nogi na nogę.

Kiedy w końcu się pojawia, nie sposób ją przegapić. Ma na sobie kanarkową kurtkę i obcisłe spodnie; pomarańczowoczerwone włosy odrzuciła na plecy, gdzie podskakują przy każdym kroku. Jest wyższa od większości ludzi idących obok niej i nosi żółte sandały na wysokich obcasach, które dodają jej jeszcze kilka centymetrów.

Wydaje się, że nie zwraca uwagi na to, ile spojrzeń przyciąga, co czyni ją jeszcze bardziej atrakcyjną.

Uśmiecha się i macha, gdy mnie zauważa. Dalej sterczę w miejscu, czekając, aż się zbliży, a wtedy, w ostatniej chwili, pytam siebie, czy powinniśmy się uściskać na powitanie. Mogłem się nad tym zastanawiać przez ostatnie dziesięć minut. Teraz muszę natychmiast podjąć decyzję, gdy staje przede mną, zaczerwieniona od gorąca panującego na dworcu.

Zatrzymuje się kawałek ode mnie; za późno na uścisk.

Tiffy: Cześć.

Ja: Cześć.

A potem, jednocześnie:

Tiffy: Przepraszam za spóźnienie…

Ja: Nie widziałem wcześniej tych żółtych butów…

Tiffy: Przepraszam, ty pierwszy.

Ja: Nie przejmuj się, prawie się nie spóźniłaś.

Dzięki Bogu, że mnie zagłuszyła. Dlaczego zwróciłem uwagę na fakt, że znam większość jej butów? To strasznie dziwaczne.

Idziemy na peron. Wciąż na nią zerkam; z jakiegoś powodu nie mogę się nadziwić, jaka jest wysoka. Nie tak ją sobie wyobrażałem.

Spogląda na mnie, zauważa, że się jej przyglądam, i posyła mi uśmiech.

Tiffy: Nie tego się spodziewałeś?

Ja: Słucham?

Tiffy: Mówię o sobie. Tego się spodziewałeś?

Ja: No…

Unosi brew.

Tiffy: To znaczy zanim mnie zobaczyłeś w zeszłym miesiącu.

Ja: Nie spodziewałem się, że będziesz taka…

Tiffy: Duża?

Ja: Chciałem powiedzieć goła. Ale owszem, także wysoka.

Parska śmiechem.

Tiffy: Nie byłam aż taka goła jak ty.

Ja, krzywiąc się: Nie przypominaj mi. Tak mi przykro, że…

Jak dokończyć to zdanie? Może to tylko moja wyobraźnia, ale jej policzki chyba jeszcze bardziej poróżowiały.

Tiffy: Poważnie, to była moja wina. Ty tylko niewinnie brałeś prysznic.

Ja: To nie twoja wina. Każdemu zdarza się zaspać.

Tiffy: Zwłaszcza po wypiciu prawie całej butelki ginu.

Wsiedliśmy do pociągu, więc rozmowa się urywa, gdy idziemy korytarzem. Tiffy wybiera siedzenie przy stoliku; w ułamku sekundy podejmuję decyzję, że mniej niezręcznie będę się czuł, siedząc naprzeciwko, a nie obok niej, ale kiedy zajmuję miejsce, uświadamiam sobie swój błąd. Teraz będziemy ciągle patrzyli sobie w oczy.

Zdejmuje kurtkę; pod spodem ma bluzkę w ogromne zielone kwiaty. Bluzka ma krótkie rękawy i głęboki dekolt w kształcie litery V. Kryjący się we mnie nastolatek próbuje przejąć kontrolę nad moim wzrokiem, ale w ostatniej chwili nad sobą zapanowuję.

Ja: Całą butelkę ginu?

Tiffy: O tak. Byłam na premierze książki, a później pojawił się Justin i… w każdym razie,

po tym wszystkim potrzebowałam mnóstwa ginu.

Marszczę czoło.

Ja: Twój były? Czy to nie… dziwne?

Odrzuca włosy i sprawia wrażenie nieco skrępowanej.

Tiffy: Początkowo też tak pomyślałam i zastanawiałam się, czy specjalnie mnie nie wytropił, ale gdyby chciał się ze mną zobaczyć, przecież mógłby odwiedzić mnie w pracy… albo w domu, czego dowodzi tamten bukiet. Najwyraźniej mam paranoję.

Ja: Tak powiedział? Że masz paranoję.

Tiffy, po namyśle: Nie, nigdy nie użył tych słów.

Ja, z opóźnieniem: Zaraz. Nie mówiłaś mu, gdzie mieszkasz?

Tiffy: Nie. Nie wiem, jak mnie znalazł. Pewnie na Facebooku albo gdzieś.

Przewraca oczami, jakby to był drobiazg, ale ja wciąż marszczę czoło. To nie w porządku. Mam paskudne podejrzenie, że znam takich mężczyzn z życia swojej matki. Mężczyzn, którzy mówią kobiecie, że zwariowała, jeśli ta o coś ich podejrzewa, oraz wiedzą, gdzie ona mieszka, chociaż nie powinni.

Ja: Długo byliście razem?

Tiffy: Dwa lata. Ale to był bardzo intensywny związek. Mnóstwo rozstań, krzyków, płaczu i tak dalej.

Wygląda na to, że sama jest zaskoczona swoimi słowami. Otwiera usta, jakby chciała się poprawić, ale rezygnuje.

Tiffy: Tak, w sumie około dwóch lat.

Ja: Twoi przyjaciele za nim nie przepadają?

Tiffy: Nigdy go nie lubili. Nawet na początku. Gerty stwierdziła, że wysyła „złe wibracje", chociaż widziała go tylko z daleka.

Coraz bardziej lubię Gerty.

Tiffy: Tak czy inaczej, pojawił się i próbował zaciągnąć mnie na drinka, żeby wszystko wyjaśnić.

Ja: Odmówiłaś?

Kiwa głową.

Tiffy: Powiedziałam, że musi trochę poczekać, żeby móc mnie zaprosić na drinka. Co najmniej dwa miesiące.

Wygląda przez okno i szybko porusza oczami, śledząc przemykający Londyn.

Tiffy, cicho: Czułam, że nie mogę odmówić. Justin właśnie taki jest. Sprawia, że zaczynasz chcieć tego samego co on. Jest bardzo… czy ja wiem? Od razu przejmuje kontrolę nad otoczeniem. Ma siłę przebicia.

Próbuję zignorować syreny alarmowe rozbrzmiewające w mojej głowie. W ogóle mi się nie podoba ta sytuacja. Inaczej to sobie wyobrażałem na podstawie jej liścików – ale może Tiffy sama dopiero niedawno uświadomiła sobie, co się naprawdę dzieje. Bywa, że ludzie potrzebują czasu, by zrozumieć, że są emocjonalnie krzywdzeni.

Tiffy: Nieważne! Przepraszam. Mój Boże. Co za dziwactwo.

Uśmiecha się.

Tiffy: To bardzo poważny temat jak na rozmowę z kimś, kogo dopiero co poznałam.

Ja: Poznaliśmy się już wcześniej.

Tiffy: Prawda. Było tamto pamiętne zderzenie w łazience.

Znów unosi brew.

Ja: Chodziło mi o to, że mam wrażenie, jakbyśmy znali się od wieków.

Znów się uśmiecha.

Tiffy: Rzeczywiście. Pewnie dlatego tak swobodnie rozmawiamy.

To prawda. Rozmawiamy bardzo swobodnie i założę się, że mnie dziwi to jeszcze bardziej niż ją, ponieważ na całym świecie są może trzy osoby, z którymi dobrze mi się rozmawia.

# 37
# *Tiffy*

Nie rozumiem, co mnie podkusiło, żeby się tak rozgadywać o Justinie. W swoich wiadomościach nie wspominałam o spotkaniach z psychoterapeutką ani o uciążliwych wspomnieniach – nasze liściki sprawiają, że czuję się bezpieczna, nie mam zamiaru tego psuć smędzeniem o Justinie – ale kiedy staję z Leonem twarzą w twarz, nagle czuję potrzebę opowiadania o tym, co mnie dręczy. Nie ma w nim ani odrobiny krytykanctwa, dzięki czemu mam ochotę… na zwierzenia.

Milkniemy, kiedy pociąg mknie przez otwarte wiejskie przestrzenie. Odnoszę wrażenie, że Leon lubi ciszę; nie czuje się w niej niezręcznie, lecz jest ona dla niego naturalnym stanem. To dziwne, ponieważ kiedy się odzywa, mówi

naprawdę ciekawie, chociaż spokojnie i z naciskiem.

Wygląda przez okno, mrużąc oczy od słońca, dzięki czemu mogę mu się przyjrzeć. Jest trochę niechlujny, ma na sobie znoszony szary T-shirt, a na szyi pleciony naszyjnik, którego zapewne prawie nigdy nie zdejmuje. Ciekawe, co oznacza. Leon nie wygląda na kogoś, kto nosi dodatki z przyczyn innych niż sentymentalne.

Zauważa, że go obserwuję, i patrzy mi w oczy. Czuję łaskotanie w brzuchu. Nagle cisza nabiera nowego wymiaru.

– Jak się czuje pan Prior? – wyrzucam z siebie.

Leon sprawia wrażenie zaskoczonego.

– Pan Prior?

– Tak, specjalista od robótek, który uratował mi życie. Kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, był w hospicjum. – Uśmiecham się drwiąco. – Tamtego dnia, gdy mnie unikałeś.

– Aha. – Masuje się po karku ze spuszczonym wzrokiem, a potem posyła mi krzywy uśmiech. Tak szybki, że prawie go przegapiam. – To nie był mój najlepszy dzień.

– Mmm. – Robię udawaną surową minę. – Czyżbyś się mnie bał?

– Troszeczkę.

– Troszeczkę! Dlaczego?

Przełyka ślinę, aż porusza się jego jabłko Adama, a potem odgarnia włosy z twarzy. Chyba jest zdenerwowany. To urocze.

– Jesteś bardzo… – Macha dłonią.

– Głośna? Nietaktowna? Napastliwa?

Krzywi się.

– Nie, nie o to chodzi.

Czekam.

– Czy kiedykolwiek tak bardzo nie mogłaś się doczekać przeczytania jakiejś książki, że miałaś problem, by ją zacząć?

– Pewnie, że tak. Cały czas mi się to zdarza. Gdybym miała w sobie chociaż odrobinę opanowania, nigdy nie przeczytałabym ostatniej książki o Harrym Potterze. Oczekiwanie było trudne do zniesienia. A jeśli nie dorówna poprzednim tomom? A jeśli rozminie się z moimi oczekiwaniami?

– No właśnie. – Leon macha ręką w moją stronę. – Chyba czułem… właśnie coś takiego.

– Ale w stosunku do mnie?

– Tak, do ciebie.

Patrzę na swoje dłonie spoczywające na kolanach, próbując się nie uśmiechnąć.

– A jeśli chodzi o pana Priora… – Leon teraz mówi w stronę okna. – Przykro mi, ale nie mogę rozmawiać o pacjentach.

– Och, oczywiście. Mam tylko nadzieję, że odnajdzie swojego Johnny’ego White’a. Pan Prior jest cudowny. Zasługuje na szczęśliwe zakończenie.

Kiedy tak jedziemy, prowadząc naszą swobodną pogawędkę, co jakiś czas dyskretnie zerkam na Leona ponad stolikiem. W pewnej chwili nasze spojrzenia spotykają się w szybie, a wtedy oboje szybko odwracamy wzrok, jakbyśmy zobaczyli coś zakazanego.

Kiedy docieramy do Brighton, czuję, że wszelka niezręczność się ulotniła, ale wtedy on wstaje, żeby zabrać plecak z półki, a jego T-shirt się unosi i widzę fragment czarnych bokserek Calvina Kleina ponad dżinsami. Znów nie wiem, co ze sobą zrobić. Próbuję zainteresować się stolikiem.

W Brighton świeci słabe wrześniowe słońce; jeszcze nie nadeszła jesień. Z dworca widzę rzędy białych kamieniczek ciągnące się wzdłuż ulic, poprzetykane pubami i kawiarniami, jakie każdy londyńczyk chciałby mieć na swojej ulicy, nawet gdyby musiał w nich słono przepłacać.

Leon umówił się z panem White’em na molo. Kiedy docieramy na brzeg, piszczę z podniecenia. Molo ciągnie się w głąb szarobłękitnego morza jak na obrazie przedstawiającym jeden

z dawnych kurortów, w których w epoce wiktoriańskiej wypoczywali ludzie w absurdalnych strojach kąpielowych sięgających kolan. Jest idealne. Wyciągam z torby swój duży, miękki kapelusz od słońca w stylu lat pięćdziesiątych i wciskam go na głowę.

Leon patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Co za kapelusz – mówi.

– Co za dzień – odpowiadam, rozkładając ręce. – Żadne inne nakrycie głowy nie pozwoli go docenić.

Uśmiecha się.

– Na molo?

Kapelusz podskakuje, gdy kiwam głową.

– Na molo!

# 38
# *Leon*

Bez trudu zauważamy Johnny’ego White’a. Bardzo stary mężczyzna usadowił się na samym końcu pomostu. Dosłownie na końcu – dynda nogami, siedząc na balustradzie. Dziwię się, że nikt nie kazał mu zejść. To wygląda dosyć niebezpiecznie.

Ale Tiffy nie sprawia wrażenia przejętej. Podryguje, aż kapelusz łopocze jej na głowie.

Tiffy: Patrz! Mój własny Johnny White! Założę się, że to ten prawdziwy. Czuję to.

Ja: Niemożliwe. Nie możesz wygrać za pierwszym podejściem.

Ale muszę przyznać, że mieszkaniec Brighton wygląda bardziej obiecująco niż wielbiciel trawki ze środkowej Anglii.

Tiffy podchodzi do niego, zanim udaje mi się zebrać myśli albo wymyślić najbezpieczniejszą

taktykę; wspina się na balustradę obok niego.

Tiffy, do JW Szóstego: Dzień dobry, czy pan White?

Staruszek odwraca się z promiennym uśmiechem.

JW Szósty: Zgadza się. Leon?

Ja: Tak, jestem Leon. Miło pana poznać.

JW Szósty uśmiecha się jeszcze szerzej.

JW Szósty: Cała przyjemność po mojej stronie! Dołączą państwo do mnie? To moje ulubione miejsce.

Ja: Czy to bezpieczne?

Tiffy już przerzuciła nogi na drugą stronę.

Ja: Ludzie się nie martwią? Że pan skoczy albo spadnie?

JW Szósty: Och, wszyscy mnie tutaj znają.

Wesoło macha do sprzedawcy waty cukrowej, który równie wesoło pokazuje mu środkowy palec. Staruszek chichocze.

JW Szósty: Więc co to za projekt rodzinny? Jest pan moim zaginionym wnukiem?

Ja: Wątpię. Chociaż to niewykluczone.

Tiffy zerka na mnie z zaciekawieniem. To nie jest właściwa chwila na opowiadanie jej o licznych białych plamach w historii mojej rodziny. Nagle robi mi się nieprzyjemnie gorąco.

Słońce odbija się tutaj od wody, przez co upał jest bardziej dotkliwy. Czuję pot na twarzy.

Tiffy: Jesteśmy tutaj w imieniu naszego znajomego. Nazywa się… Prior?

Mewa krzyczy za naszymi plecami, a Johnny White Szósty lekko się wzdryga.

JW Szósty: Obawiam się, że to trochę za mało.

Ja: Robert Prior. Chyba służył w tym samym pułku co pan podczas…

Staruszek przestaje się uśmiechać. Ucisza mnie uniesioną dłonią.

JW Szósty: Jeśli można, wolałbym, żeby pan tutaj przerwał. To nie jest… mój ulubiony temat rozmowy.

Tiffy, delikatnie: A może pójdziemy się gdzieś ochłodzić? Moja skóra źle znosi takie słońce.

Pokazuje mu obnażone ręce. Uśmiech powoli powraca na jego twarz.

JW Szósty: Angielska róża! I to piękna.

Odwraca się w moją stronę.

JW Szósty: Szczęściarz z pana, że udało się panu znaleźć taką kobietę. Dziś już należą do rzadkości.

Ja: Och, ona nie jest…

Tiffy: Nie jestem…

Ja: Tak naprawdę jesteśmy tylko…

Tiffy: Współlokatorami.

JW Szósty: Aha!

Spogląda na nas oboje. Nie wygląda na przekonanego.

JW Szósty: Tak czy inaczej, tutaj najłatwiej się ochłodzić w morzu.

Wskazuje plażę.

Ja: Nie zabrałem kąpielówek.

Ale w tej samej chwili Tiffy odpowiada…

Tiffy: Chętnie, jeśli pan też da się namówić, panie White!

Wbijam w nią wzrok. Tiffy jest pełna niespodzianek. Zbija mnie tym z tropu. Nie jestem pewien, czy podoba mi się jej pomysł.

Staruszek natomiast sprawia wrażenie zachwyconego propozycją Tiffy, która już pomaga mu zejść z balustrady. Ruszam jej z pomocą, w końcu to starszy pan i może spaść.

Kiedy idziemy po molo, mijając karuzele i zatłoczone pasaże handlowe, mam mnóstwo czasu, żeby się uspokoić.

Ja: Któreś z nas będzie musiało pilnować naszych rzeczy.

JW Szósty: Bez obaw, zostawimy je u Radleya.

Radley to mężczyzna w wielobarwnym turbanie, prowadzący staroświecki uliczny teatrzyk lalkowy. Tiffy posyła mi zachwycone spojrzenie, gdy się witamy i zostawiamy nasze

bagaże. „Czy to nie wspaniałe?”, pyta bezgłośnie. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Muszę przyznać, że ten Johnny White szybko staje się moim ulubieńcem.

Podążam za Tiffy i Johnnym, którzy kluczą między plażowiczami i leżakami, zmierzając w stronę brzegu. Na chwilę zatrzymuję się, żeby zdjąć buty, i czuję pod stopami chłodny żwir. Słońce płonie nisko nad wodą, a wilgotne kamyki lśnią srebrzyście. Włosy Tiffy jarzą się czerwienią. Johnny White w marszu ściąga koszulę.

A Tiffy… robi to samo.

# 39
# *Tiffy*

Już dawno się tak nie czułam. Prawdę mówiąc, gdybyście spytali mnie jeszcze kilka miesięcy temu, powiedziałabym, że mogę się tak czuć tylko w towarzystwie Justina. To podniecenie wywołane pójściem na żywioł, wyzbyciem się planów i ignorowaniem myśli, że robię coś nierozsądnego… Boże, jak mi tego brakowało. Śmieję się, potykam, włosy opadają mi na twarz, ściągam dżinsy, a pan White ciska swoje szorty w stronę bezładnej sterty ubrań.

Leon jest tuż za nami; oglądam się na niego i widzę, że też się uśmiecha. To mi wystarczy. Pan White jest już w samych majtkach.

– Gotowy?! – wołam do niego. Jest wietrznie; włosy chłoszczą mnie po twarzy, a podmuchy łaskoczą mój obnażony brzuch.

Panu White’owi nie trzeba powtarzać. Już wchodzi do morza – porusza się bardzo szybko jak na kogoś, kto ma co najmniej dziewięćdziesiąt lat. Oglądam się na Leona, który wciąż jest ubrany i spogląda na mnie z niewyraźną miną.

– No chodź! – zachęcam go, wbiegając tyłem do wody. Kręci mi się w głowie, jakbym była pijana.

– To bez sensu! – odkrzykuje.

Rozkładam ręce.

– Co cię powstrzymuje?

Może to tylko moja wyobraźnia, zresztą jest za daleko, żebym mogła się upewnić, ale chyba nie patrzy tylko na moją twarz. Powstrzymuję uśmiech.

– No dalej! – krzyczy Johnny White, który już płynie żabką. – Jest cudownie!

– Nie mam kąpielówek! – odpowiada Leon, brodząc na płyciźnie.

– Co to za różnica? – Wskazuję swoją bieliznę – czarną, tym razem bez koronek – która wygląda tak samo jak bikini innych plażowiczek. Jestem zanurzona do pasa i zagryzam wargi pod wpływem zimnej wody.

– Może żadna w przypadku kobiet, ale jest trochę inaczej, gdy…

Leon zapewne kończy zdanie, ale go nie słyszę. Nagle znajduję się pod wodą i mogę myśleć tylko o przeszywającym bólu kostki.

Krzyczę i zachłystuję się morską wodą, tak słoną, że pali mnie w gardle. Rozpaczliwie macham rękami i moja sprawna stopa na chwilę dotyka dna, ale potem druga również próbuje znaleźć oparcie i ból znów zwala mnie z nóg. Wiruję, otoczona przebłyskami wody i nieba. Najwyraźniej skręciłam kostkę, stwierdza jakiś odległy zakątek mojego mózgu. Nie panikuj, podpowiada, ale jest za późno. Krztuszę się wodą, pieką mnie oczy i gardło, nie mogę się obrócić, nie mogę stanąć, moja kostka potwornie boli za każdym razem, gdy się poruszam i próbuję płynąć…

Ktoś usiłuje mnie chwycić. Czuję silne dłonie przesuwające się po moim ciele; coś uderza mnie w obolałą kostkę i chcę krzyczeć, ale mam ściśnięte gardło. To Leon – wywleka mnie spod wody i przyciąga do siebie; chwytam go, a on się potyka i niemal zanurza razem ze mną, ale szybko odbija się nogami i zaczyna płynąć, mocno trzymając mnie w pasie. Holuje mnie w stronę brzegu, aż w końcu udaje mu się stanąć na dnie.

Kręci mi się w głowie, wszystko wiruje. Nie mogę oddychać. Zaciskam dłoń na jego przemoczonym T-shircie, krztusząc się i kaszląc, gdy kładzie mnie na kamienistej plaży. Jestem taka zmęczona – jak po nocy nieprzespanej z powodu choroby, gdy oczy same ci się zamykają.

– Tiffy – mówi Leon.

Nie mogę przestać kaszleć. Mam w gardle tak dużo wody – wymiotuję nią obficie na mokre kamienie. Świat wciąż tańczy mi przed oczami, a moja głowa jest tak ciężka, że z trudem ją podnoszę. Już niemal zapomniałam o pulsującym bólu kostki.

Łapczywie chwytam powietrze. Niemożliwe, żebym miała w sobie jeszcze więcej wody. Leon odgarnął mi włosy z twarzy i teraz delikatnie przyciska palce do mojej szyi, jakby coś sprawdzał. Potem owija mnie moją kurtką i masuje mi ramiona przez materiał; to sprawia mi ból i próbuję się odwrócić, ale mocno mnie przytrzymuje.

– Nic ci nie jest – mówi. Jego twarz kołysze się tam i z powrotem. – Chyba skręciłaś kostkę i połknęłaś mnóstwo wody, ale nic ci nie będzie. Postaraj się oddychać wolniej.

Robię, co mogę. Za jego plecami pojawia się zmartwiona twarz Johnny'ego White'a Szóstego. Z trudem wkłada sweter; spodnie już ma na sobie.

– Czy jest tu w pobliżu jakieś ciepłe miejsce, do którego możemy ją zabrać? – pyta go Leon.

– Tawerna Króliczy Skok, tam niedaleko – wskazuje pan White. Ponownie wymiotuję i opieram się czołem o kamyki. – Znam właścicielkę. Na pewno użyczy nam pokoju.

– Świetnie. – Leon sprawia wrażenie całkowicie spokojnego. – Teraz cię podniosę, Tiffy. Zgoda?

Powoli kiwam obolałą głową. Leon podnosi mnie z ziemi i niesie na rękach. Oddycham powoli i opieram głowę na jego piersi. Przed moimi oczami przesuwa się rozmazana plaża; ludzie oglądają się na mnie, ich twarze przypominają oszołomione różowo-brązowe plamy na tle wielobarwnych ręczników i parasolek. Zamykam oczy – kiedy są otwarte, czuję się gorzej.

Leon przeklina pod nosem.

– Gdzie są schody?

– Tutaj – odpowiada Johnny White gdzieś po mojej lewej stronie.

Słyszę pisk hamulców i szum samochodów, gdy przechodzimy przez jezdnię. Leon ciężko oddycha, a jego klatka piersiowa faluje pod moim policzkiem. Mnie natomiast oddycha się coraz łatwiej – ucisk w gardle i dziwny ciężar w płucach nieco ustąpiły.

– Babs! Babs! – woła Johnny White Szósty. Wchodzimy do budynku, a nagła fala ciepła uzmysławia mi, jak mocno drżę.

– Dziękuję – mówi Leon.

Wokół mnie panuje poruszenie. Przez chwilę jestem tym zażenowana i próbuję wyrwać się z objęć Leona, żeby iść samodzielnie, ale wtedy znów kręci mi się w głowie i przywieram do jego T-shirtu, a on się zatacza.

– Spokojnie – prosi.

Krzyczę z bólu. Uderzył moją kostką o balustradę. Przeklina i przygarnia mnie do siebie, tak że moja głowa znów opiera się o jego pierś.

– Przepraszam, przepraszam – mówi, wchodząc tyłem po schodach. Widzę bladoróżowe ściany obwieszone obrazami w krzykliwych ramach, pozłacanych i pełnych zawijasów, a potem drzwi. Po chwili Leon kładzie mnie na cudownie miękkim łóżku. Nade mną pojawiają się nieznajome twarze, między innymi

kobieta w stroju ratowniczki. Zastanawiam się, czy towarzyszyła mi od początku.

Leon podkłada mi poduszki pod plecy, podtrzymując mnie jednym przedramieniem.

– Możesz usiąść? – pyta cicho.

Próbuję coś powiedzieć, ale zaczynam kaszleć i przetaczam się na bok.

– Ostrożnie. – Odgarnia moje mokre włosy na plecy. – Są tu jakieś dodatkowe koce?

Ktoś okrywa mnie grubymi, drapiącymi kocami. Leon wciąż się ze mną mocuje, próbując mnie posadzić.

– Wolałbym, żebyś była w pozycji pionowej – wyjaśnia. Jego twarz jest blisko mojej; widzę pierwsze ślady zarostu na policzkach. Patrzy mi prosto w oczy. Jego są jasnobrązowe, jak czekolada Lindt. – Możesz to dla mnie zrobić?

Podnoszę się wyżej na poduszkach, bezskutecznie próbując przytrzymać się koca zmarzniętymi palcami.

– Może rozgrzejesz się herbatą? – mówi i od razu zaczyna się rozglądać za kimś, kto ją zaparzy. Jedna z nieznajomych osób wymyka się za drzwi. Nigdzie nie ma śladu Johnny'ego White'a – mam nadzieję, że poszedł po jakieś ciepłe ubranie dla siebie – ale otacza mnie milion

innych osób. Ponownie kaszlę i odwracam się od tych wszystkich ciekawskich twarzy.

– Dajmy jej trochę przestrzeni. Czy wszyscy mogą wyjść? – rozkazuje Leon, wstając, by wyprowadzić gapiów z pokoju. – Nic jej nie będzie, chcę tylko przeprowadzić badanie w ciszy i spokoju.

Mnóstwo ludzi mówi o tym, co mamy zrobić, jeśli będziemy czegoś potrzebować. Kolejno wychodzą z pomieszczenia.

– Tak mi przykro – mówię, kiedy drzwi zamykają się za wszystkimi. Kaszlę, wciąż z trudem się odzywam.

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać – przerywa mi Leon. – Jak się czujesz?

– Jest mi zimno i jestem trochę obolała.

– Nie widziałem, jak wpadłaś pod wodę. Pamiętasz, czy uderzyłaś głową o kamień albo o coś innego?

Zrzuca buty i siada ze skrzyżowanymi nogami na końcu łóżka. Dopiero teraz zauważam, że jest przemoczony i również dygocze.

– Cholera, jesteś cały mokry!

– Po prostu chcę się upewnić, że z twojej czaszki nie wycieka płyn mózgowy. Potem pójdę się przebrać, zgoda?

Uśmiecham się słabo.

– Przepraszam. Nie, chyba nie uderzyłam się w głowę. Tylko skręciłam kostkę.

– To dobrze. Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteśmy?

– W Brighton. – Rozglądam się. – A jedyne miejsce z taką ilością tapety w kwiaty, w jakim byłam, to dom mojej matki. – Wypowiedzenie pełnego zdania sprawia, że znów zanoszę się kaszlem, ale było warto, żeby zobaczyć, jak Leon nieco się odpręża, a na jego usta powraca krzywy uśmiech.

– Uznaję tę odpowiedź. Możesz mi podać swoje pełne imię i nazwisko?

– Tiffany Rose Moore.

– Nie znałem drugiego imienia. Rose… pasuje do ciebie.

– Nie powinieneś mi zadawać pytań, na które znasz odpowiedź?

– Chyba podobałaś mi się bardziej, kiedy byłaś podtopiona i otępiała. – Leon nachyla się i dotyka dłonią mojego policzka. Towarzyszy temu bardzo intensywne i nieco niespodziewane doznanie. Mrugam, kiedy patrzy mi w oczy, chyba coś sprawdzając. – Czujesz się senna?

– Eee, nieszczególnie. Jestem zmęczona, ale nie chce mi się spać.

Kiwa głową, a potem, nieco zbyt opieszale, odrywa dłoń od mojego policzka.

– Zadzwonię do mojej koleżanki. Jest lekarką i niedawno pracowała na izbie przyjęć, więc będzie potrafiła się zająć twoją kostką. W porządku? Oceniając po tym, jak się ruszasz, jestem prawie pewien, że to tylko skręcenie, ale lepiej to sprawdzić.

– Eee, jasne.

Dziwnie jest słuchać rozmowy Leona z lekarką, z którą pracuje. Zachowuje się tak samo – jest równie spokojny i zrównoważony jak wobec mnie, mówi z takim samym delikatnym irlandzkim akcentem – ale sprawia wrażenie bardziej… dorosłego.

– No dobrze, to całkiem proste badanie – mówi do mnie po zakończeniu rozmowy. Przysiada na łóżku ze zmarszczonym czołem i odkrywa moją kostkę. – Mogę je wykonać, czy wolisz jechać na pogotowie?

Przełykam ślinę, nagle nieco zdenerwowana.

– Możesz.

Przez chwilę na mnie patrzy, jakby zastanawiał się, czy nie zmienię zdania, a mnie zaczynają piec policzki. Potem powoli przyciska palce do mojej kostki, delikatnie badając różne miejsca, a ja krzywię się z bólu.

– Przepraszam – mówi, kładąc chłodną dłoń na mojej nodze. Niemal natychmiast dostaję gęsiej skórki i podciągam koc pod szyję, lekko zawstydzona. Leon bardzo delikatnie kręci moją stopą w różne strony, co jakiś czas zerkając na moją twarz, żeby zobaczyć reakcję.

– Jak silny jest ból, w skali od zera do dziesięciu? – pyta.

– Czy ja wiem, może sześć. – Naprawdę myślę „Osiem osiem osiem”, ale nie chcę wyjść na mięczaka.

Kącik ust Leona lekko się unosi i mam wrażenie, że mnie przejrzał. Kiedy dalej mnie bada, patrzę na jego dłonie przesuwające się po mojej skórze i zastanawiam się, dlaczego nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak intymną czynnością jest takie badanie i jak dużą rolę odgrywa w nim dotyk. Chociaż zazwyczaj odbywa się w gabinecie lekarskim, a nie na wygodnym łóżku, na którym leży roznegliżowana pacjentka.

– No dobrze. – Leon łagodnie kładzie moją stopę. – Według mnie skręciłaś kostkę. Nie musisz czekać pięciu godzin na pogotowiu, ale możemy tam pojechać, jeśli chcesz.

Kręcę głową. Mam wrażenie, że jestem w dobrych rękach.

Ktoś puka do drzwi, a potem w pokoju pojawia się kobieta w średnim wieku z dwoma parującymi kubkami i stertą ubrań.

– Doskonale. Dziękuję. – Leon bierze od niej kubki i podaje mi jeden z nich. To gorąca czekolada; pachnie wspaniale.

– Pozwoliłam sobie dodać nieco whisky do pani porcji – oznajmia kobieta i puszcza do mnie oko. – Jestem Babs. Jak się pani czuje?

Biorę głęboki, rozdzierający wdech.

– Teraz już dużo lepiej. Bardzo dziękuję.

– Może pani z nią zaczekać, kiedy będę się przebierał? – pyta Leon.

– Nie potrzebuję… – zaczynam, ale znów mam napad kaszlu.

– Proszę nie spuszczać z niej oka – ostrzega Leon, po czym wymyka się do łazienki.

# 40
# *Leon*

Opieram się o drzwi łazienki i zamykam oczy. Tylko skręcona kostka, bez wstrząsu mózgu. Mogło być gorzej, znacznie gorzej.

Wreszcie mam czas, żeby pomyśleć o tym, jaki jestem zmarznięty. Zrzucam mokre ubranie i odkręcam gorącą wodę pod prysznicem. Wysyłam esemesa z podziękowaniami do Sochy. Mój telefon na szczęście wciąż działa, choć jest zamoczony – był w kieszeni spodni.

Wchodzę pod prysznic i stoję pod strumieniem wody, aż przestaję dygotać. Przypominam sobie, że Babs pilnuje Tiffy. Mimo wszystko ubieram się w rekordowym tempie i nie kłopoczę się zakładaniem paska do absurdalnie dużych spodni, które Babs dla mnie znalazła. Będę je nosił nisko, w stylu lat dziewięćdziesiątych.

Kiedy wchodzę do sypialni, Tiffy ma włosy upięte w kok. Jej usta i policzki częściowo odzyskały różową barwę. Uśmiecha się do mnie, a ja czuję, jak coś porusza się w mojej piersi. Trudno to opisać. Zupełnie jakby mechanizm zamka wskoczył na swoje miejsce.

Ja: Jak smakuje czekolada?

Popycha w moją stronę drugi kubek.

Tiffy: Sam się przekonaj.

Ktoś puka do drzwi. Zabieram kubek i idę otworzyć. To Johnny White Szósty, bardzo zmartwiony i również ubrany w komicznie duże spodnie.

JW Szósty: Jak się czuje nasza dziewczyna?

Mam wrażenie, że Tiffy bardzo łatwo zostaje „naszą dziewczyną" – jest typem osoby, do której lubią się przyznawać dalecy krewni i dawni sąsiedzi.

Tiffy: Czuję się dobrze, panie White! Proszę się o mnie nie martwić.

Jak na złość w tej samej chwili zanosi się wilgotnym kaszlem. Staruszek przestępuje z nogi na nogę w progu, wyraźnie nieszczęśliwy.

JW Szósty: Tak mi przykro. Czuję się odpowiedzialny. To był mój pomysł, żeby wykąpać się w morzu. Powinienem był się upewnić, że umiecie pływać!

Tiffy, gdy już odzyskała głos: Umiem pływać, panie White. Po prostu straciłam grunt pod nogami i wpadłam w panikę, to wszystko. Jeśli pan koniecznie szuka winnych, proszę mieć pretensje do kamienia, na którym skręciłam sobie kostkę.

Johnny White nieco się uspokaja.

Babs: Oboje zostaniecie u mnie na noc. Żadnych sprzeciwów. Na mój koszt.

Próbujemy zaprotestować, ale Tiffy znów zaczyna wypluwać płuca, co nie pozwala nam argumentować, że nie musi zostać w łóżku.

Ja: Przynajmniej ja powinienem sobie pójść… teraz już nie jestem potrzebny…

Babs: Bzdura. To dla mnie żaden kłopot. Poza tym Tiffy wymaga opieki, a moja wiedza lekarska ogranicza się do różnych zastosowań whisky. John, podwieźć cię do domu?

JW Szósty próbuje się wykręcić, ale Babs jest jedną z tych niezwykle miłych osób, które nie uznają odmowy. Po pięciu minutach zgodnie wychodzą z pokoju. Kiedy zamykają się za nimi drzwi, oddycham z ulgą. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję chwili spokoju.

Tiffy: Dobrze się czujesz?

Ja: Tak, po prostu nie lubię…

Tiffy: Zamieszania?

Kiwam głową.

Uśmiecha się i podciąga wyżej koc.

Tiffy: Jesteś pielęgniarzem… jak udaje ci się tego unikać?

Ja: W pracy jest inaczej. Ale i tak czuję się wtedy wyczerpany. Potem potrzebuję odpoczynku.

Tiffy: Jesteś introwertykiem.

Krzywię się. Nie jestem fanem takiego szufladkowania typów osobowości. To jak horoskopy dla biznesmenów.

Ja: Pewnie tak.

Tiffy: Ja wręcz przeciwnie. Nie potrafię z niczym sobie poradzić, jeśli nie zadzwonię do Gerty, Mo albo Rachel.

Ja: Chcesz teraz do kogoś zadzwonić?

Tiffy: O cholera, mój telefon był w…

Zauważa stertę ubrań, które jeden z uczestników procesji uczynnych nieznajomych przyniósł z plaży. Radośnie klaszcze w dłonie.

Tiffy: Podasz mi moje spodnie?

Wręczam jej ubranie i patrzę, jak grzebie w kieszeniach w poszukiwaniu telefonu.

Ja: Kupię nam lunch. Ile czasu potrzebujesz?

Odgarnia kilka luźnych kosmyków z twarzy i podnosi na mnie wzrok, trzymając telefon

w garści. Zatrzaśnięty zamek w mojej piersi znów się odzywa.

Tiffy: Pół godziny?

Ja: Załatwione.

# 41
# *Tiffy*

– Nic ci nie jest? – pyta w pierwszej kolejności Mo. – Byłaś na pogotowiu?

Gerty tymczasem skupia się na prawdziwym problemie.

– Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś nam o tamtym incydencie w łazience? Czy jesteś zakochana w tym mężczyźnie, z którym dzielisz łóżko, i ukrywasz to przed nami, ponieważ wiesz, że w końcu się z nim prześpisz, chociaż wyraźnie powiedziałam, że pierwszą zasadą dzielenia mieszkania jest niesypianie ze swoim współlokatorem?

– Tak, nic mi nie jest, i nie, nie byłam na pogotowiu, ale Leon zbadał moją kostkę, korzystając z telefonicznej pomocy swojej koleżanki, która jest lekarką. Okazuje się, że

potrzebuję tylko dużo odpoczynku. Oraz whisky, zależy, kogo spytać o opinię.

– Teraz moje pytanie – dopomina się Gerty.

– Nie, nie jestem w nim zakochana – odpowiadam, poprawiając się na łóżku i krzywiąc się, gdy kostka pulsuje bólem. – I nie zamierzam się z nim przespać. Jest moim przyjacielem.

– Jest wolny?

– Owszem, ale…

– Przepraszam, ale muszę się upewnić – wtrąca się Mo. – Czy ktoś przebadał cię pod kątem…

– Och, przymknij się, Mo – przerywa mu Gerty. – Była w towarzystwie pielęgniarza. Nic jej nie jest. Tiffy, jesteś pewna, że nie cierpisz na syndrom sztokholmski?

– Słucham?

– Pielęgniarze na izbie przyjęć to nie to samo co pielęgniarz z oddziału paliatywnego…

– Syndrom sztokholmski?

– Tak – potwierdza Gerty. – Ten mężczyzna zapewnił ci dach nad głową, gdy byłaś bezdomna. Jesteś zmuszona sypiać w jego łóżku, a teraz sądzisz, że jesteś w nim zakochana.

– Wcale nie sądzę, że jestem w nim zakochana – przypominam jej cierpliwie. – Mówiłam ci, że

jest moim przyjacielem.

– Ale to była randka – upiera się Gerty.

– Tiffy, wydaje się, że wszystko z tobą w porządku, ale chciałbym się upewnić. Właśnie wszedłem na stronę internetową państwowej służby zdrowia. Czy możesz oprzeć ciężar ciała na tej kostce?

– Ty i Google nie jesteście lepsi od pielęgniarza pozostającego w kontakcie telefonicznym z lekarką – odpowiada mu Gerty.

– To nie była randka – oznajmiam, chociaż jestem pewna, że to nieprawda. Wolałabym, żeby Mo i Gerty nie wyrobili sobie nawyku wspólnego odbierania telefonów, gdy oboje są w domu. Zadzwoniłam do Mo, ponieważ to z nim chciałam porozmawiać. Nie chodzi o to, że nie lubię rozmawiać z Gerty, ale to zupełnie inne doświadczenie, na które niekoniecznie mam ochotę po tym, jak prawie się utopiłam.

– Będziesz musiała jeszcze raz mi wytłumaczyć to całe zamieszanie z Johnnym White'em – dopomina się Gerty.

Sprawdzam godzinę na ekranie telefonu. Za pięć minut Leon wróci z lunchem.

– Słuchajcie, muszę kończyć – rzucam. – Ale nie martw się, Mo, nic mi nie jest. A ty, Gerty, pohamuj swój instynkt opiekuńczy. On nie

próbuje zaciągnąć mnie do łóżka, uwięzić ani zamknąć w swojej piwnicy, jasne? Prawdę mówiąc, podejrzewam, że w ogóle się mną nie interesuje.

– Ale ty interesujesz się nim? – upiera się Gerty.

– Do widzenia, Gerty!

– Uważaj na siebie, Tiffy – zdąża powiedzieć Mo, zanim Gerty przerywa połączenie (nie przepada za pożegnaniami).

Natychmiast wybieram numer Rachel.

*

– Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że jak dotąd podczas każdego spotkania z Leonem rozbierasz się do bielizny – zauważa Rachel.

– Hm. – Uśmiecham się szeroko.

– Od tej pory lepiej pozostawaj ubrana. Jeszcze pomyśli, że jesteś… jak się mówi na tych facetów, którzy lubią się obnażać w parku?

– Hej! – protestuję. – Ja wcale nie…

– Po prostu mówię głośno to, co wszyscy myślą, moja droga. Na pewno nie kopniesz w kalendarz?

– Czuję się dobrze. Tylko jestem obolała i zmęczona.

– No to w porządku. W takim razie naciesz się darmowym pobytem w hotelu i zadzwoń do mnie, jeśli podczas kolacji przypadkowo zrzucisz biustonosz.

Ktoś puka do drzwi.

– Cholera! Muszę kończyć, pa! – syczę do telefonu. – Proszę! – wołam. Kiedy Leona nie było, udało mi się włożyć sweter pozostawiony przez Babs, więc przynajmniej od pasa w górę wyglądam przyzwoicie.

Leon uśmiecha się do mnie i pokazuje dużą torbę, która pachnie rybą z frytkami. Wstrzymuję oddech z zachwytu.

– Prawdziwe nadmorskie żarcie!

– A także… – Sięga do torby i wyjmuje kolejną. Zaglądam do środka: czerwone aksamitne babeczki z polewą serową.

– Ciastka! I to najlepsze!

– Zgodnie z zaleceniem lekarza. – Leon przez chwilę milczy. – No cóż, Socha powiedziała: „Kup jej coś do jedzenia”. Smażona ryba i babeczki to przykład licencji poetyckiej.

Jego włosy prawie wyschły; sól sprawiła, że jeszcze bardziej się kręcą i wysuwają zza uszu. Kiedy przyłapuje mnie na tym, że na niego patrzę, przygładza je, a na jego twarzy pojawia się skruszony uśmiech.

– Nie powinnaś mnie oglądać w takim stanie.

– Och, a co ja mam powiedzieć? – rzucam, wskazując na swój olbrzymi rozciągnięty sweter, bladą twarz i potargane włosy. – „Utopiony szczur” to moja ulubiona stylizacja.

– Może raczej „syrenka”? – proponuje Leon.

– Ciekawe, że o tym wspominasz. Rzeczywiście mam tutaj płetwę – mówię, klepiąc się po przykrytych nogach.

Leon uśmiecha się i rozkłada rybę z frytkami na łóżku. Zrzuca buty i siada, starając się nie urazić mojej opuchniętej kostki.

Jedzenie jest niesamowite. Właśnie czegoś takiego potrzebowałam, chociaż zdaję sobie z tego sprawę dopiero, gdy czuję ten zapach. Leon zamówił praktycznie wszystkie możliwe dodatki – purée z zielonego groszku, krążki cebulowe, sos curry, marynowane cebulki, nawet jedną z tych kiełbasek, które zawsze leżą za szybą i wyglądają, jakby je zrobiono z plastiku. Zjadamy wszystko, a gdy przychodzi pora na babeczki, ostatnie kęsy wymagają od nas nie lada wysiłku.

– Otarcie się o śmierć potrafi wykończyć człowieka – stwierdzam i nagle czuję się bardzo senna.

– Zdrzemnij się – proponuje Leon.

– Nie boisz się, że już się nie obudzę? – pytam, przymykając oczy. Jestem cudownie rozgrzana i najedzona. Od tej pory zawsze będę doceniała taki stan.

– Będę cię budził co pięć minut, żeby sprawdzić, czy nie doznałaś uszkodzenia mózgu – odpowiada Leon.

Gwałtownie otwieram oczy.

– Co pięć minut?

Chichocze i zaczyna zbierać swoje rzeczy.

– Do zobaczenia za kilka godzin.

– Och, pielęgniarze nie powinni stroić sobie żartów! – wołam w ślad za nim, ale chyba mnie nie słyszy. A może tylko zamierzam to powiedzieć. Zapadam w sen, zanim drzwi do końca się za nim zamykają.

*

Budzę się gwałtownie, a moją kostkę przeszywa ból. Krzyczę i rozglądam się. Tapeta w kwiaty. Jestem w domu? Kim jest ten mężczyzna, który siedzi na fotelu przy drzwiach i czyta…

– *Zmierzch*?

Leon mruga i odkłada książkę na swoje kolana.

– Dopiero co byłaś nieprzytomna, a już zbiera ci się na krytykanctwo?

– Przez chwilę sądziłam, że to dziwaczny sen – odpowiadam. – Ale w moich snach miałbyś lepszy gust literacki.

– Tylko to znalazłem u Babs. Jak się czujesz?

Przez chwilę się nad tym zastanawiam. Moja kostka pulsuje bólem, a gardło jest straszliwie podrażnione przez sól, ale ból głowy zniknął. Czuję natomiast, że mięśnie brzucha będą mnie bolały od kaszlu.

– Dużo lepiej.

Rozpromienia się na te słowa. Jest uroczy, gdy się uśmiecha. Kiedy jest poważny, jego twarz wygląda nieco surowo – ma łagodnie zarysowane brwi, policzki, szczękę – ale gdy się uśmiecha, widzę tylko miękkie usta, ciemne oczy i białe zęby.

Sprawdzam godzinę w telefonie, głównie po to, by zerwać kontakt wzrokowy. Nagle uświadamiam sobie, że leżę w łóżku, mam rozczochrane włosy i gołe nogi tylko do połowy okryte kocem.

– Szósta trzydzieści?

– Byłaś senna.

– Co robiłeś przez ten cały czas? – pytam. Pokazuje mi zakładkę – przeczytał prawie cały

*Zmierzch*.

– Ta Bella Swan jest bardzo popularna jak na dziewczynę, która uznaje się za tak nieatrakcyjną – zauważa. – Wygląda na to, że zakochuje się w niej każdy mężczyzna w książce poza jej ojcem.

Kiwam głową z powagą.

– Bardzo ciężko jest być Bellą.

– Z takimi efektownymi chłopakami na pewno nie jest łatwo – zgadza się Leon. – Spróbujesz kawałek się przejść?

– Nie mogę zostać w łóżku na zawsze?

– Dostaniesz kolację i więcej whisky, jeśli uda ci się zejść na dół.

Piorunuję go wzrokiem. Patrzy na mnie z całkowitym spokojem, a ja uświadamiam sobie, jakim musi być znakomitym pielęgniarzem.

– Dobrze. Ale najpierw się odwróć, żebym mogła włożyć spodnie.

Nie odpowiada, że widział już tak dużo, że wcale nie musi, tylko posłusznie odwraca się na fotelu i otwiera *Zmierzch*.

# 42
# *Leon*

„Tylko się nie upij”. Powtarzam to sobie raz za razem, ale nie mogę przestać sączyć swojego drinka. To whisky z lodem. Paskudna. A przynajmniej byłaby taka, gdyby Babs nie powiedziała, że to na koszt firmy, dzięki czemu drink od razu stał się smaczniejszy.

Siedzimy przy rozchwianym drewnianym stole obok okna z widokiem na morze. Na blacie stoi dzbanek do herbaty z grubą świecą wetkniętą do środka. Tiffy jest zachwycona tym świecznikiem. Wywiązuje się ożywiona rozmowa z kelnerami o wystroju wnętrz.

Tiffy trzyma zwichniętą nogę na poduszce, zgodnie z zaleceniami Sochy. Drugą nogę też uniosła – znajduje się praktycznie w pozycji horyzontalnej, a zachodzące słońce rozświetla jej odrzucone do tyłu włosy. Wygląda jak postać

z renesansowego obrazu. Whisky przywróciła jej rumieńce i lekko zaróżowiła dekolt, na który zerkam za każdym razem, gdy odwraca wzrok.

Przez cały dzień myślałem prawie wyłącznie o niej, nawet zanim zaczęła się topić. Poszukiwanie Johnny'ego White'a zeszło na dalszy plan, choć jeszcze tydzień temu miałem na tym punkcie „fiksację", jak to określiła Kay. Teraz mam wrażenie, że interesuje mnie to tylko dlatego, że towarzyszy mi Tiffy.

Opowiada mi o swoich rodzicach. Co jakiś czas odchyla głowę do tyłu i odrzuca włosy za oparcie krzesła, przymykając oczy.

Tiffy: Tylko aromaterapia się przyjęła. Mama przez jakiś czas wyrabiała świece, ale na tym nie da się zarobić, więc w pewnym momencie dała sobie spokój i powiedziała, że znów będzie kupowała świece w sklepie Wszystko za Funta, ale ostrzegła, by nikt nie ważył się jej tego wypominać. Potem miała dziwaczną fazę na seanse.

To sprawia, że przestaję się na nią gapić.

Ja: Seanse?

Tiffy: Tak, no wiesz, kiedy ludzie siedzą wokół stolika i rozmawiają ze zmarłymi.

Kelner przystaje przy krześle, na którym Tiffy trzyma stopy. Patrzy na nią, lekko zaskoczony,

ale nie komentuje. Można odnieść wrażenie, że widział już wszystko, także przemoczonych ludzi jedzących z nogami na krześle.

Kelner: Podać państwu deser?

Tiffy: O nie, dziękuję, jestem pełna.

Kelner: Babs twierdzi, że to na koszt firmy.

Tiffy, bez namysłu: Poproszę budyń kajmakowy.

Ja: Dla mnie to samo.

Tiffy: Wszystko za darmochę. Jak we śnie. Powinnam częściej się topić.

Ja: Nie rób tego.

Podnosi głowę, żeby dobrze mi się przyjrzeć. Jest lekko zaspana, ale patrzy mi w oczy dłużej, niż to konieczne.

Odchrząkuję. Przełykam ślinę. Rozpaczliwie szukam jakiegoś tematu.

Ja: Twoja mama uczestniczyła w seansach?

Tiffy: O tak. Kiedy byłam w szkole średniej, przez dwa lata zastawałam codziennie po powrocie do domu zaciągnięte zasłony i ludzi, którzy mówili: „Pokaż się” albo „Stuknij raz na tak, dwa razy na nie”. Pewnie w większości przypadków, gdy sądzili, że nawiedził ich duch, tak naprawdę to ja wracałam do domu i wrzucałam plecak do szafki pod schodami.

Ja: Co było po seansach?

Tiffy się zastanawia. Kelner przynosi budyń: porcje są olbrzymie i skąpane w sosie toffi. Tiffy wydaje z siebie entuzjastyczny okrzyk, od którego ściska mnie w żołądku. Co za głupota. Nie może mnie podniecać kobieta, która robi maślane oczy do budyniu. Muszę wziąć się w garść. Upijam łyk whisky.

Tiffy, z ustami pełnymi budyniu: Przez jakiś czas szyła zasłony. Ale koszty materiałów były za wysokie, więc przerzuciła się na serwetki. A potem przyszła kolej na aromaterapię.

Ja: To dlatego mamy tak dużo zapachowych świeczek?

Uśmiecha się.

Tiffy: Tak, te w łazience zostały starannie wybrane – ich zapach pomaga się odprężyć.

Ja: Na mnie działają odwrotnie. Muszę je przestawiać za każdym razem, gdy chcę wziąć prysznic.

Posyła mi zadziorne spojrzenie.

Tiffy: Niektórym ludziom nie pomoże nawet aromaterapia. Mama wybrała także moje perfumy. Podobno „odzwierciedlają i podkreślają moją osobowość”.

Przypominam sobie, jak po raz pierwszy poczułem jej perfumy po wejściu do mieszkania – skojarzyły mi się z ciętymi kwiatami i straganem

z przyprawami – i jak dziwnie się poczułem ze świadomością, że w moim domu jest obecny zapach innej osoby. Teraz już mnie to nie dziwi. Poczułbym się nieswojo, gdyby go zabrakło.

Ja: Co to za zapach?

Tiffy, bez chwili zwłoki: Główna nuta to róża, a pod nią piżmo i goździk. Co oznacza, według mojej mamy…

Zamyśla się, lekko marszcząc nos.

Tiffy: „Nadzieja, ogień, siła”.

Sprawia wrażenie rozbawionej.

Tiffy: To podobno ja.

Ja: Chyba się zgadza.

Przewraca oczami, nie chcąc tego słuchać.

Tiffy: Bardziej pasowałoby: „spłukana, pyskata, uparta” – zresztą pewnie właśnie to miała na myśli.

Ja, zdecydowanie podchmielony: A co by pasowało do mnie?

Przekrzywia głowę. Ponownie patrzy na mnie z taką intensywnością, że mam ochotę zarazem odwrócić wzrok i pocałować ją ponad świecznikiem z dzbanka.

Tiffy: Cóż, z pewnością jest w tobie nadzieja. Twój brat na niej polega.

To mnie zaskakuje. Niewiele osób wie o Richiem, a jeszcze mniej z własnej inicjatywy

porusza jego temat. Tiffy mnie obserwuje, bada moją reakcję, gotowa wycofać się, gdyby sprawiła mi ból. Uśmiecham się. To miłe móc o nim porozmawiać. Jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Ja: Więc powinienem kupić płyn po goleniu o zapachu róży?

Krzywi się.

Tiffy: Dla mężczyzn zapewne jest zupełnie inny zestaw zapachów. Niestety, znam się tylko na kobiecych perfumach.

Chcę ją nakłonić, by wymieniła kolejne moje cechy – chcę się dowiedzieć, co o mnie myśli – ale czuję, że wyszedłbym na zarozumialca. Dlatego siedzimy w milczeniu, płomień świecy tańczy między nami, a ja dalej sączę whisky.

# 43
# *Tiffy*

Nie jestem pijana, ale nie jestem też całkowicie trzeźwa. Ludzie mówią, że pływanie w morzu zaostrza apetyt – wygląda na to, że topienie się owocuje słabą głową.

Poza tym whisky z lodem jest naprawdę mocna.

Nie mogę przestać chichotać. Leon też jest lekko odurzony; rozluźnił ramiona, a krzywy uśmiech nie znika z jego twarzy. Poza tym już nie próbuje przygładzić włosów, więc kolejne loki wyrywają się na wolność i sterczą na wszystkie strony.

Opowiada mi o swoim dzieciństwie w Cork i skomplikowanych pułapkach, które zastawiali razem z Richiem, żeby wkurzyć chłopaka swojej mamy (to dlatego chichoczę).

– Naprawdę rozciągaliście drut w salonie? Nikt inny się o niego nie potykał?

Leon kręci głową.

– Wymykaliśmy się z pokoju, kiedy mama już nas położyła spać. Whizz zawsze do późna przesiadywał w pubie. Nauczyliśmy się wielu nowych przekleństw, gdy słuchaliśmy, jak się potyka.

Śmieję się.

– Miał na imię Whizz?

– Mhm. Chociaż pewnie nie tak ochrzcili go rodzice. – Na chwilę jakby trzeźwieje. – Był jednym z najgorszych. Fatalnie traktował mamę, ciągle jej powtarzał, jaka jest głupia. Ale ona uparcie przy nim trwała. Wyrzucała go, a potem zawsze pozwalała mu wrócić. Kiedy się poznali, chodziła do szkoły dla dorosłych, ale wkrótce kazał jej zrezygnować.

Krzywię się. Opowieść o pułapce nagle przestaje być zabawna.

– Serio? Co za kutas!

Leon sprawia wrażenie nieco zaszokowanego.

– Powiedziałam coś nie tak? – pytam.

– Nie. – Uśmiecha się. – Po prostu mnie zaskoczyłaś. Potrafiłabyś dotrzymać Whizzowi kroku w przeklinaniu.

Skłaniam głowę.

– Bardzo dziękuję – odpowiadam. – A co z twoim tatą? Nie było go przy was?

Leon prawie leży, podobnie jak ja – opiera skrzyżowane stopy na tym samym krześle – i kołysze szklaneczką z whisky między palcami, przyglądając się jej w blasku świecy. Jesteśmy prawie sami; kelnerzy dyskretnie sprzątają ze stołów po drugiej stronie sali.

– Odszedł, kiedy Richie przyszedł na świat, przeniósł się do Stanów. Miałem wtedy dwa lata. Nie pamiętam go… tylko zarys sylwetki i… – Macha dłonią. – Jakieś dziwne uczucie. Mama niemal nigdy o nim nie wspomina, wiem tylko, że był hydraulikiem z Dublina.

Szeroko otwieram oczy. Nie wyobrażam sobie, jak można wiedzieć tak mało o własnym ojcu, ale Leon mówi o tym tak swobodnie. Zauważa moją minę i wzrusza ramionami.

– To nigdy nie było dla mnie istotne. Nie zależało mi, żeby dowiedzieć się więcej. Richiemu nie dawało to spokoju, gdy był nastolatkiem, ale nie wiem, co z tego wynikło. Nie rozmawiamy o tym.

Mam wrażenie, że to nie koniec tej historii, ale nie chcę na niego naciskać, żeby nie zepsuć tego wieczoru. Na chwilę kładę dłoń na jego nadgarstku; posyła mi kolejne zaskoczone,

zaciekawione spojrzenie. Kelner podchodzi bliżej, być może wyczuwając, że nasza bezcelowa rozmowa nigdy się nie skończy, jeśli on nie wkroczy do akcji. Zaczyna sprzątać z naszego stolika, a ja w końcu zabieram dłoń z nadgarstka Leona.

– Powinniśmy się położyć, prawda? – mówię.

– Pewnie tak – zgadza się Leon. – Babs wciąż tutaj jest? – pyta kelnera.

Ten kręci głową.

– Poszła do domu.

– Aha. Powiedziała, który pokój jest mój? Obiecała, że Tiffy i ja będziemy mogli przenocować.

Kelner spogląda na mnie, na Leona i znów na mnie.

– Eee, chyba… założyła, że… są państwo…

Leon dopiero po chwili pojmuje, w czym rzecz, a wtedy wzdycha i zasłania twarz dłonią.

– Nie ma sprawy – mówię, nie mogąc powstrzymać chichotu. – Przywykliśmy do dzielenia łóżka.

– Jasne – odpowiada kelner, jeszcze bardziej zbity z tropu. – A więc wszystko w porządku?

– Ale nie jednocześnie – tłumaczy Leon. – Dzielimy łóżko o różnych porach.

– Jasne – powtarza kelner. – Czy powinienem…? Czy czegoś ode mnie państwo potrzebują?

Leon życzliwie macha ręką.

– Nie, może pan iść do domu. Prześpię się na podłodze.

– To duże łóżko – odpowiadam. – Pomieścimy się oboje.

Wydaję z siebie krótki krzyk – zbyt ambitnie oparłam się na skręconej kostce, próbując wstać od stołu. Leon natychmiast pojawia się u mojego boku. Ma bardzo szybki refleks jak na kogoś, kto spożył taką ilość whisky.

– Nic mi nie jest – zapewniam, ale pozwalam, żeby objął mnie ramieniem i podtrzymał, gdy kuśtykam. Kiedy w końcu docieramy do schodów, syczy: „Psiakość” i bierze mnie na ręce.

Piszczę z zaskoczenia, a potem wybucham śmiechem. Nie każę, żeby mnie postawił – nie chcę tego. Ponownie widzę wypolerowaną poręcz i obrazy w pełnych zawijasów pozłacanych ramach, które przesuwają mi się przed oczami, gdy Leon, dźwigając mnie, wchodzi szybkim krokiem po schodach. Łokciem otwiera drzwi mojego – naszego – pokoju, przenosi mnie przez próg i kopnięciem zatrzaskuje drzwi za swoimi plecami.

Kładzie mnie na łóżku. W pokoju jest niemal zupełnie ciemno, światło latarni ulicznej za oknem kreśli żółte trójkąty na kołdrze i barwi włosy Leona na złoto. Jego duże brązowe oczy wpatrują się we mnie, jego twarz jest oddalona od mojej o zaledwie kilka centymetrów, gdy delikatnie wysuwa spode mnie rękę i kładzie moją głowę na poduszkach.

Nie porusza się. Przyglądamy się sobie nawzajem, niemal czujemy oddechy tego drugiego i napięcie w powietrzu – to chwila pełna możliwości. W głębi mojego umysłu pojawia się iskierka paniki – a jeśli znów stracę głowę? – ale bardzo pragnę, żeby mnie pocałował, i iskra gaśnie, pogrążając się w błogim niebycie. Teraz czuję oddech Leona na swoich ustach, w półmroku widzę jego rzęsy.

Nagle zamyka oczy i cofa się, a następnie odwraca głowę i wzdycha, jakby wstrzymywał oddech.

Uff. Ja także się odsuwam, nagle tracąc pewność siebie, a pełna napięcia cisza się urywa. Czyżbym… źle odczytała sytuację, chociaż patrzyliśmy sobie w oczy i niemal stykaliśmy się ustami?

Moja skóra płonie, puls szaleje. Leon znów na mnie spogląda; wciąż ma ogień w oczach

i zmarszczone brwi. Jestem pewna, że zamierzał mnie pocałować. Może zrobiłam coś nie tak – w końcu nieco wyszłam z wprawy. A może klątwa Justina teraz krzyżuje mi szyki, jeszcze zanim dojdzie do pocałunku.

Leon kładzie się na łóżku; sprawia wrażenie bardzo zakłopotanego, a kiedy nerwowo skubie koszulę, zastanawiam się, czy może powinnam przejąć inicjatywę i go pocałować, przytulić się do niego i odwrócić go twarzą w moją stronę. Ale co, jeśli źle zinterpretowałam sytuację i to jedna z tych chwil, gdy należy odpuścić?

Ostrożnie układam się obok niego.

– Chyba powinniśmy się przespać – mówię.

– Tak – odpowiada cicho.

Odchrząkuję. A więc już po wszystkim.

Lekko się poprawia. Jego ręka przypadkowo ociera się o moją i dostaję gęsiej skórki. Słyszę, że wstrzymuje oddech, gdy się dotykamy. Natychmiast wstaje i wchodzi do łazienki, a ja zostaję sama z gęsią skórką i trzepoczącym sercem, zapatrzona w sufit.

# 44
# *Leon*

Jej oddech zwalnia. Ryzykuję ukradkowe spojrzenie i dostrzegam delikatne trzepotanie rzęs, które świadczy o tym, że coś jej się śni. A więc zasnęła. Powoli wypuszczam powietrze, próbując się uspokoić.

Naprawdę mam nadzieję, że tego nie spaprałem.

To było bardzo nie w moim stylu, tak ją porwać, a potem położyć na łóżku. Wyglądało, jakbym… sam nie wiem. Tiffy jest tak impulsywna, że mi się to udziela. Ale oczywiście wciąż jestem sobą, więc ta impulsywność wyczerpała się w kluczowej chwili i zastąpiło ją znajome paniczne niezdecydowanie. Jest pijana i kontuzjowana – nie wolno całować kobiety w takim stanie. Prawda? A może wolno. Może tego chciała?

Richie ma reputację romantyka, ale to ja zawsze nim byłem. Kiedy byliśmy nastolatkami, nazywał mnie ciepłymi kluchami. On sam gonił za każdą laską, która na niego popatrzyła, podczas gdy ja usychałem z tęsknoty za dziewczyną, która podobała mi się od szkoły podstawowej, ale bałem się do niej odezwać. Zawsze długo się namyślałem przed upadkiem – chociaż obaj upadaliśmy równie dotkliwie.

Przełykam ślinę. Myślę o dotyku ręki Tiffy, o tym, jak włoski na moim przedramieniu stanęły dęba, gdy musnąłem jej skórę. Wbijam wzrok w sufit. Poniewczasie uświadamiam sobie, że zasłony wciąż są rozsunięte, a do pokoju wpadają z ulicy wstęgi światła.

Kiedy tak leżę, rozmyślając, patrząc na światło przemieszczające się po podłodze, powoli uświadamiam sobie, że już od dawna nie byłem zakochany w Kay. Kochałem ją, czułem, że jest mi bliska, podobało mi się, że stanowi część mojego życia. To było łatwe i bezpieczne. Ale już zapomniałem o tym ognistym szaleństwie, które trawi nas, gdy poznajemy kogoś nowego, i sprawia, że nie możemy myśleć o niczym innym. Między mną a Kay nie było choćby iskry przez ostatni… może nawet rok?

Znów zerkam na Tiffy, na cienie rzucane przez jej rzęsy, i przypominam sobie, co mi opowiadała o Justinie. Na podstawie liścików odniosłem wrażenie, że źle ją traktował – dlaczego nagle musiała oddać mu pieniądze? Ale bardziej zaniepokoiło mnie to, co mówiła w pociągu. Liściki były dla mnie ważne, lecz na piśmie łatwiej niepostrzeżenie dla innych okłamywać samego siebie.

Jestem zbyt spanikowany, rozżalony i odurzony whisky, by zasnąć. Wpatruję się w sufit. Słucham oddechu Tiffy. Wyobrażam sobie wszystko, co mogło pójść nie tak: gdybym ją pocałował, a ona by mnie odepchnęła; gdybym ją pocałował, a ona by tego nie zrobiła…

Lepiej nie rozważać tego scenariusza. Prowokuje nieprzyzwoite myśli.

Tiffy przewraca się na bok, pociągając kołdrę. Połowa mojego ciała jest teraz odkryta i marznie. Ale nie mogę mieć do niej pretensji. Najważniejsze, żeby rozgrzała się po tym, jak prawie utonęła.

Odwraca się jeszcze dalej. Znów pociąga kołdrę. Mam przykrytą już tylko prawą rękę. Nie dam rady tak spać.

Będę musiał odzyskać część kołdry. Najpierw pociągam delikatnie, ale to przypomina zabawę

w przeciąganie liny. Tiffy trzyma kołdrę jak w imadle. Jak to możliwe, że jest tak silna, skoro śpi?

Będę musiał spróbować stanowczego szarpnięcia. Może jej nie obudzę. Może tylko…

Tiffy: Auu!

Przetacza się w moją stronę razem z kołdrą i nagle znajdujemy się kusząco blisko, zwróceni ku sobie w ciemności.

Mój oddech przyśpiesza. Tiffy ma zaróżowione policzki i zaspane oczy.

Zbyt późno uświadamiam sobie, że zawołała „Auu”. Pewnie uraziłem jej kostkę.

Ja: Przepraszam! Przepraszam!

Tiffy, zaskoczona: Próbowałeś ściągnąć ze mnie kołdrę?

Ja: Nie! Chciałem tylko ją odzyskać.

Tiffy mruga oczami. Naprawdę mam ochotę ją pocałować. Czy mógłbym teraz to zrobić? Pewnie już wytrzeźwiała. Ale po chwili krzywi się z bólu i czuję się jak najgorszy człowiek na świecie.

Tiffy: Jak to odzyskać?

Ja: No cóż, po prostu… zagarnęłaś całą.

Tiffy: Aha! Przepraszam. Następnym razem po prostu mnie obudź i mi powiedz. Bez problemu znów zasnę.

Ja: Dobrze. Jasne. Wybacz.

Posyła mi na wpół rozbawione, na wpół zaspane spojrzenie, odsuwa się i podciąga kołdrę pod szyję. Odwracam głowę na poduszce. Nie chcę, żeby zauważyła, że uśmiecham się jak zakochany nastolatek, ponieważ powiedziała „następnym razem”.

# 45
# *Tiffy*

Budzi mnie światło dnia, co jest znacznie mniej przyjemne, niż się ludziom wydaje. Wieczorem nie zaciągnęliśmy zasłon. Odruchowo odwracam głowę od okna, przewracam się na bok i zauważam, że druga strona łóżka jest pusta.

W pierwszej chwili wydaje mi się to całkowicie normalne, w końcu każdego dnia budzę się w łóżku Leona i nie ma go obok mnie. Mój zaspany mózg podpowiada: „Aha, oczywiście… nie, zaraz, chwileczkę…”.

Na poduszce leży wiadomość.

*Wyszedłem poszukać śniadania.*
*Niedługo wrócę z ciastkami. x*

Uśmiecham się i przetaczam w drugą stronę, żeby sprawdzić godzinę na moim telefonie, który leży na stoliku obok łóżka.

Cholera. Dwadzieścia siedem nieodebranych połączeń, wszystkie z nieznanego numeru.

Co do…

Niezgrabnie wstaję z mocno bijącym sercem i wrzeszczę, gdy uderzam się w kostkę. Kurwa mać. Wybieram numer poczty głosowej, a w moim wnętrzu kiełkuje złe przeczucie. Mam wrażenie, że… wczorajszy dzień był zbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy. Stało się coś strasznego. Wiem, że nie powinnam była…

„Tiffy, nic ci nie jest? Widziałem wpis Rachel na Facebooku. Naprawdę prawie utonęłaś?”

To Justin. Nieruchomieję, odsłuchując wiadomość.

„Wiem, że się teraz na mnie gniewasz, ale muszę się dowiedzieć, czy dobrze się czujesz. Oddzwoń”.

Jest więcej takich wiadomości. Dokładnie rzecz biorąc, jeszcze dwanaście. Skasowałam jego numer po jednej z sesji terapeutycznych, która wyjątkowo podbudowała moje poczucie wartości, dlatego numer wyświetlał się jako nieznany. Ale chyba od razu domyśliłam się, kto to był. Nikt nigdy nie wydzwaniał do mnie aż tyle

razy oprócz Justina – zazwyczaj po kłótni albo rozstaniu.

„Tiffy, to absurd. Gdybym wiedział, gdzie jesteś, przyjechałbym do ciebie. Zadzwoń do mnie, dobrze?”

Drżę. Czuję, że… Czuję się fatalnie. Jakbym nie powinna spędzać tego dnia z Leonem. Gdyby tylko Justin wiedział, gdzie byłam i co robiłam.

Otrząsam się. Czuję, że to nie ma sensu. Znów sama się ranię.

Piszę esemesa.

**Nic mi nie jest. Lekko skręciłam kostkę. Proszę, nie dzwoń do mnie więcej**

Odpowiada po kilku chwilach.

**Dzięki Bogu! Jak sobie radzisz bez mojej opieki? Bardzo mnie wystraszyłaś. Będę grzeczny i dotrzymam umowy. Żadnych kontaktów do października. Ale będę o Tobie myślał xx**

Przez chwilę wpatruję się w jego wiadomość. *Jak sobie radzisz?* Nie jestem aż takim nieudacznikiem. Wczoraj Leon wyciągnął mnie

z morza, ale dopiero teraz czuję się, jakbym wymagała ratunku.

Pieprzyć to. Blokuję numer Justina i kasuję wszystkie wiadomości z poczty głosowej.

*

Kuśtykam do łazienki. To nie jest najbardziej dostojna metoda przemieszczania się – materiałowe klosze lamp na ścianach nieco wibrują, gdy je mijam – ale to skakanie dobrze mi robi. Hop, hop, hop. Głupi, cholerny Justin. Zamykam drzwi łazienki z satysfakcjonującym trzaśnięciem.

Na szczęście Leon wyszedł po śniadanie, ponieważ dzięki temu nie był świadkiem mojego problemu, a poza tym przy odrobinie szczęścia wróci z czymś kalorycznym, co poprawi mi nastrój.

Biorę prysznic i przebieram się we wczorajsze ubranie – jest pokryte drobnym żwirkiem, który sypie się na podłogę – kuśtykam z powrotem do łóżka i padam na nie z głuchym hukiem, zatapiając twarz w poduszce. Wczoraj było tak cudownie, a teraz czuję się podła i brudna, jakby wiadomości od Justina mnie splamiły. Ale zablokowałam jego numer, na co nie

zdobyłabym się jeszcze kilka miesięcy temu. Może powinnam być wdzięczna, że skłonił mnie do tego swoją natarczywością.

Podpieram się na łokciach i sięgam po liścik zostawiony przez Leona. Napisał go na hotelowej papeterii. Na spodzie kartki eleganckimi literami wypisano nazwę *Tawerna Króliczy Skok*. Pismo Leona wygląda jak zawsze – litery są schludne, drobne i zaokrąglone. Ogarnięta wstydliwym sentymentem, składam kartkę na pół i chcę ją schować do torebki.

Ktoś cicho puka do drzwi.

– Proszę! – wołam.

Ma na sobie ogromny T-shirt z rysunkiem trzech podłużnych kamieni i napisem BRIGHTON ROCKS. Mój humor natychmiast się poprawia. Nic tak nie dodaje otuchy rankiem jak mężczyzna w kiczowatym T-shircie – zwłaszcza gdy trzyma w dłoni bardzo obiecującą papierową torbę z napisem *Cukiernia u Valerie*.

– Jeden z modowych hitów Babs? – pytam, wskazując T-shirt.

– Mam nową stylistkę – odpowiada.

Podaje mi torbę z ciastkami, siada na skraju łóżka i odgarnia włosy do tyłu. Znów się denerwuje. Dlaczego uważam, że to urocze?

– Dotarłaś pod prysznic? – pyta w końcu, wskazując głową moje mokre włosy. – Noga ci nie dokuczała?

– Udawałam flaminga. – Zginam jedno kolano. Leon się uśmiecha. Kiedy widzę jego krzywy uśmiech, czuję się, jakbym wygrała, chociaż nawet nie wiedziałam, że w coś gram. – Ale drzwi się nie zamykają. Obawiałam się, że zaskoczysz mnie pod prysznicem, ale karma najwyraźniej miała tego ranka coś innego do roboty.

Wydaje z siebie zduszony dźwięk i skupia się na jedzeniu rogalika. Powstrzymuję uśmiech. Niestety, skutkiem ubocznym zachwytu nad jego nerwowością jest nieopanowana chęć mówienia rzeczy, które go peszą.

– Ale w końcu już widziałeś mnie prawie nagą – ciągnę. – I to dwa razy. Dlatego nie spotkałaby cię żadna wielka niespodzianka.

Tym razem podnosi na mnie wzrok.

– Prawie się nie liczy – mówi z naciskiem.

Mój żołądek robi fikołka. Niezależnie od nerwowości, którą wyczuwałam u niego zeszłego wieczoru, na pewno nie wymyśliłam sobie seksualnego napięcia, które teraz wisi w powietrzu.

– To ja powinienem się martwić, że niczym cię nie zaskoczę – dodaje. – Widziałaś mnie

naprawdę nagiego.

– Tak się zastanawiałam… Kiedy zaskoczyłam cię pod prysznicem, czy miałeś…

Tak szybko ucieka do łazienki, że ledwie słyszę jego wymówkę. Kiedy zamyka za sobą drzwi i odkręca wodę pod prysznicem, uśmiecham się. Chyba poznałam odpowiedź. Rachel będzie zachwycona.

# 46
# *Leon*

Jeszcze nigdy tak się nie zastanawiałem nad liścikami, które zostawiam. Było znacznie łatwiej, gdy po prostu zapisywałem luźne myśli dla znajomej, której nigdy nie spotkałem. Teraz starannie układam wiadomości dla kobiety, która na dobre zamieszkała w moich myślach.

To straszne. Kiedy siadam z długopisem i samoprzylepną karteczką, od razu zapominam, co chciałem napisać. Jej liściki są bezczelne, zalotne i barwne jak ona sama. Oto pierwszy, który do mnie napisała po weekendzie w Brighton; znajduję go na drzwiach sypialni.

*Cześć, współlokatorze. Udało Ci się przestawić na nocny tryb życia? Widzę, że Leokadia i jej krewni znów przetrząsnęli*

*kubły ze śmieciami, gdy nas nie było – małe spryciule.*

*Chciałam podziękować Ci za to, że wyciągnąłeś mnie z morza. Ty też koniecznie kiedyś wpadnij do jakiegoś dużego zbiornika, żebym mogła się zrewanżować – w imię równouprawnienia. Poza tym uważam, że świetnie byś wyglądał świeżo wydobyty z jeziora, jak pan Darcy w* Dumie i uprzedzeniu. *xx*

Moje liściki są sztuczne i przekombinowane. Piszę je po powrocie z pracy, przepisuję na nowo przed wyjściem, a potem wstydzę się ich przez całą noc w szpitalu. Aż wreszcie wracam do domu, znajduję odpowiedź i od razu czuję się lepiej. Ten cykl stale się powtarza.

W końcu w środę zdobywam się na odwagę i zostawiam następującą wiadomość na kuchennym blacie:

*Jakieś plany na weekend? x*

Sparaliżowały mnie wątpliwości, gdy tylko wyszedłem z budynku i znalazłem się za daleko, żeby wrócić. Uświadomiłem sobie, że to bardzo krótka wiadomość. Może za krótka, żeby Tiffy

jednoznacznie ją zrozumiała? Może wręcz niegrzeczna? Dlaczego to takie trudne?

Ale już czuję się lepiej.

*Weekend spędzam w domu. Masz ochotę wpaść i przyrządzić dla mnie strogonowa z pieczarkami? Jadłam go tylko po odgrzaniu, a założę się, że jest jeszcze lepszy prosto z rondla. xx*

Bazgrzę odpowiedź na nowej karteczce.

*Ciasto czekoladowe z bakaliami na deser? x*

Richie: Denerwujesz się, prawda?

Ja: Nie! Ależ skąd.

Richie parska. Jest w dobrym nastroju, co ostatnio często mu się zdarza. Przynajmniej co drugi dzień dzwoni do Gerty, żeby się dowiedzieć, jak idą przygotowania do rozprawy apelacyjnej. Mają tak dużo do omówienia, że te telefony są niezbędne. Biegli ponownie badają dowody. Zgłaszają się świadkowie. W końcu udaje się zdobyć nagrania z monitoringu.

Ja: No dobrze, trochę się denerwuję.

Richie: Świetnie sobie poradzisz, stary. Wiesz, że ona za tobą przepada. Jaki masz plan? Czy to będzie ta noc?

Ja: Oczywiście, że nie. Jest dużo za wcześnie.

Richie: Ogoliłeś nogi na wszelki wypadek?

Nie mam zamiaru odpowiadać. Richie chichocze.

Richie: Ona mi się podoba. Trafiła ci się niezła babka.

Ja: Nie wiem, czy mi się „trafiła”.

Richie: Co takiego? Myślisz, że… jej były?

Ja: Ona już go nie kocha. Ale to skomplikowane. Trochę się o nią martwię.

Richie: Facet był palantem?

Ja: Mhm.

Richie: Skrzywdził ją?

Skręca mnie w żołądku, gdy o tym myślę.

Ja: W pewnym sensie. Ona w zasadzie ze mną o tym nie rozmawia, ale… mam co do niego złe przeczucia.

Richie: Cholera, stary. Czyżbyśmy mieli tutaj do czynienia z czymś w rodzaju stresu pourazowego?

Ja: Tak sądzisz?

Richie: Rozmawiasz z królem nocnych lęków. Nie wiem, nie spotkałem jej, ale jeśli ona wciąż zmaga się ze swoimi przeżyciami, możesz tylko

być przy niej i pozwolić, by sama zdecydowała, kiedy będzie gotowa.

Trauma związana z rozprawą i pierwszym miesiącem w więzieniu przytłoczyła Richiego mniej więcej sześć miesięcy po wyroku. Drżenie rąk, ataki lęku, natrętne wspomnienia, podrywanie się pod wpływem najlżejszego hałasu. To ostatnie najbardziej go irytowało – uważał, że dla ludzi, którzy doznali urazów związanych z głośnymi hałasami, na przykład żołnierzy, należałoby stworzyć osobną kategorię w ramach zespołu stresu pourazowego.

Richie: Ale nie próbuj podejmować tej decyzji za nią. Nie zakładaj, że ona jeszcze nie może czuć się lepiej. To do niej należy ocena.

Ja: Jesteś dobrym człowiekiem, Richardzie Twomey.

Richie: Pamiętaj o tym i powiedz to sędziom za trzy tygodnie, braciszku.

*

Docieram do mieszkania około siedemnastej; Tiffy spędza dzień z Mo i Gerty. Dziwnie się tutaj czuję w weekend. Teraz to jej mieszkanie.

Nie golę nóg, ale przesadnie dużo czasu zajmują mi przygotowania. Nie mogę przestać

myśleć o tym, gdzie każde z nas spędzi dzisiejszą noc. Czy wrócę do mamy, czy może będę spał tutaj? W końcu dzieliliśmy łóżko w Brighton…

Rozważam, czy nie napisać do niej, że przenocuję u mamy, w ten sposób dając dowód swojej dobrej woli. Ale dochodzę do wniosku, że tym samym za wcześnie zamknę przed sobą drzwi, a także podejmę decyzję za Tiffy, przed czym przestrzegał mnie Richie, więc rezygnuję.

Chrobot klucza w zamku. Próbuję zerwać się z poduchy z kulkami, ale to nie udałoby się nawet człowiekowi o udach ze stali, więc Tiffy zastaje mnie na wpół przykucniętego, gramolącego się z podłogi.

Tiffy, ze śmiechem: Zupełnie jak ruchome piaski, prawda?

Wygląda pięknie. Ma na sobie obcisłą niebieską bluzkę, długą powiewającą szarą spódnicę i jaskraworóżowe buty, które próbuje zrzucić, balansując na zdrowej nodze.

Chcę jej pomóc, ale odpędza mnie machnięciem ręki i siada na kuchennym blacie, żeby ułatwić sobie zadanie. Wygląda na to, że swobodniej porusza kostką, co dobrze rokuje. Najwyraźniej szybko odzyskuje sprawność.

Patrzy na mnie z uniesionymi brwiami.

Tiffy: Gapisz się na moje kostki?

Ja: Interesują mnie z czysto medycznego punktu widzenia.

Uśmiecha się do mnie, ześlizguje z blatu i kuśtyka do garnka na płycie grzejnej.

Tiffy: Pachnie wspaniale.

Ja: Coś mi podpowiedziało, że będziesz miała ochotę na strogonowa z pieczarkami.

Rzuca mi uśmiech przez ramię, a ja mam ochotę podejść do niej od tyłu, objąć ją w pasie i pocałować w szyję. Powstrzymuję się, uznając, że to by było bezczelne i niewłaściwe.

Tiffy: Przy okazji, to było w twojej skrzynce pocztowej.

Wskazuje małą białą kopertę leżącą na blacie, zaadresowaną do mnie. Otwieram ją. To zaproszenie, wypisane odręcznie nieco nierównymi literami.

*Kochany Leonie!*

*W niedzielę urządzam pszyjęcie urodzinowe bo kończę osiem lat. Proszę przyjdź!!! Zabierz swoją przyjaciółkę Tiffy od szydełkowania. Przepraszam że tak późno ale mama mówi że prawdziwe zaproszenie zgubiła w szpitalu taka pielęgniarka ktura jest do bani a potem powiedzieli że nie mogą nam dać twojego*

*adresu ale powiedzieli że wyślą to za nas więc mam nadzieję że to zrobili proszę przyjdź!!*

*Holly xoxoxoxoxox*

Uśmiecham się i pokazuję zaproszenie Tiffy.

Ja: Może miałaś na jutro inne plany?

Tiffy, najwyraźniej zachwycona: Pamięta mnie!

Ja: Miała na twoim punkcie obsesję. Ale nie musimy iść.

Tiffy: Żartujesz? Oczywiście, że pójdziemy. Proszę. Tylko raz kończy się osiem lat.

# 47
# *Tiffy*

Naprawdę nie sądziłam, że jedzeniu czekoladowego ciasta z bakaliami może towarzyszyć tak silne seksualne napięcie. Siedzimy na sofie przed telewizorem (który pełni funkcję oryginalnej ozdobnej półki) z kieliszkami wina w dłoniach, a nasze nogi się stykają. Prawie siedzę mu na kolanach. Z pewnością właśnie tam chcę siedzieć.

– No dalej – zachęcam, trącając go kolanem. – Powiedz prawdę.

Sprawia wrażenie nerwowego. Patrzę na niego spod przymrużonych powiek, przysuwam się jeszcze bliżej, zerkam na jego usta. On robi to samo – przenosi wzrok między moimi oczami i ustami, co mnie do niego przyciąga. Czujemy się jak akrobaci huśtający się na linie, którzy czekają, aż pochwyci ich grawitacja, ale na razie

wciąż jeszcze nie opadają. Tym razem nie mam wątpliwości. Wiem, że on myśli o pocałowaniu mnie.

– Powiedz – powtarzam.

Przekrzywia głowę, ale w ostatniej chwili lekko się odsuwam, a on cicho wzdycha, na wpół rozbawiony, na wpół sfrustrowany tym, że się z nim drażnię.

– Znacznie niższa – mówi niechętnie, również się odsuwając i sięgając po kolejny kawałek ciasta. Patrzę, jak zlizuje czekoladę z palców. To niezwykłe – zawsze dziwiło mnie, że w filmach ludzie uważają coś takiego za seksowny gest, ale oto Leon udowadnia, że tak właśnie jest.

– Niższa? To wszystko? Już mi o tym mówiłeś.

– No i… bardziej przysadzista.

– Przysadzista! – pieję z zachwytu. Właśnie na coś takiego czekałam. – Myślałeś, że będę przysadzista?

– Po prostu… tak sobie ciebie wyobrażałem! – odpowiada Leon, poprawiając się na sofie i znów przyciągając mnie bliżej, tak że niemal wtulam się w jego pierś.

Opieram się o niego, rozkoszując się tym uczuciem.

– Niska i przysadzista. Jaka jeszcze?

– Myślałem, że będziesz się dziwacznie ubierać.

– Cóż, to akurat prawda – zauważam, wskazując na ubrania suszące się w kącie, wśród których są moje jaskrawoczerwone szarawary oraz tęczowy sweter robiony na drutach, który Mo podarował mi na urodziny w zeszłym roku (chociaż nawet ja nie zdobyłabym się na zestawienie tych dwóch elementów stroju razem).

– Ale na tobie to dobrze wygląda – odpowiada. – Ubierasz się tak rozmyślnie. To część ciebie.

Śmieję się.

– Dzięki.

– A ty? – pyta, zmieniając pozycję, żeby napić się wina.

– Co ja?

– Jak sobie mnie wyobrażałaś?

– Oszukałam i znalazłam cię na Facebooku – przyznaję.

Leon sprawia wrażenie wstrząśniętego, zastyga z kieliszkiem uniesionym do ust.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy!

– Oczywiście, że nie. Ja na pewno chciałabym obejrzeć kogoś, kto ma się do mnie wprowadzić i spać w moim łóżku, ale ty nie przywiązujesz wagi do wyglądu, prawda?

Przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Twój wygląd zrobił na mnie wrażenie, gdy już cię zobaczyłem. Ale ogólnie co to za różnica? Pierwszą zasadą naszej umowy było, że się nie spotkamy.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– A więc tę pierwszą zasadę już złamaliśmy.

– Są jakieś inne?

– Nie przejmuj się. – Nie mam ochoty opowiadać o „pierwszej zasadzie" według Gerty i o tym, jak często myślałam o jej złamaniu.

– Ach! – woła nagle Leon, zatrzymując wzrok na moim zegarze z Piotrusiem Panem, który postawiłam na lodówce. Jest wpół do pierwszej w nocy. – Zrobiło się późno. – Patrzy na mnie zmartwionym wzrokiem. – Straciłem rachubę czasu.

Wzruszam ramionami.

– To dobrze?

– Nie mogę teraz wrócić do mamy, ostatni pociąg odjechał dziesięć minut po północy. – Ma zbolały wyraz twarzy. – Chyba… prześpię się na sofie. Może tak być?

– Na sofie? Dlaczego?

– Żebyś ty mogła spać na łóżku?

– Sofa jest malutka. Musiałbyś spać w pozycji embrionalnej. – Serce szybciej mi bije. – Masz

swoją stronę łóżka, ja mam swoją. Jak dotąd trzymamy się tej zasady. Dlaczego mielibyśmy ją zmieniać?

Przygląda się mojej twarzy, jakby próbował coś z niej wyczytać.

– To tylko łóżko – dodaję, ponownie się przysuwając. – Już raz razem spaliśmy.

– Nie jestem pewien… czy to będzie takie proste – odpowiada Leon dziwnie zduszonym głosem.

Pod wpływem nagłego impulsu nachylam się i delikatnie przyciskam usta do jego policzka, a potem jeszcze znów i znów, aż moje pocałunki docierają od kości policzkowej do krawędzi ust.

Prostuję się i patrzę mu w oczy. Czuję mrowienie na całym ciele, spojrzenie, które posyła mi Leon, przeszywa mnie jak błyskawica i mam wrażenie, że osiemdziesiąt procent mojego ciała zmieniło się w bijące serce. Jesteśmy najbliżej siebie, jak się da bez pocałunku. Tym razem nie ma w nas strachu, tylko błogie płomienne pożądanie.

Więc w końcu go całuję.

Kiedy cmoknęłam go w policzek, planowałam, że nasz pierwszy prawdziwy pocałunek będzie delikatny i powolny, taki, jaki czuje się aż w palcach stóp, ale kiedy do niego dochodzi, staje

się jasne, że za długo czekaliśmy i drażniliśmy się ze sobą. To pocałunek, który zwiastuje szybkie pozbycie się ubrań i który zazwyczaj ma miejsce w drodze do łóżka. Dlatego nie jestem zdziwiona, że gdy wreszcie chwytamy powietrze, siedzę na nim okrakiem, moje włosy opadają nam na twarze, długa spódnica podwinęła mi się na udach, a dłonie Leona przyciągają mnie najbliżej, jak to możliwe.

Nie odpoczywamy długo. Bezceremonialnie odstawiam kieliszek z winem na stolik i lekko się poprawiam, żeby wygodniej ułożyć bolącą kostkę, a potem znów łapczywie się całujemy. Nie pamiętam, żeby moje ciało kiedykolwiek było tak rozpalone. Jedna z jego dłoni przesuwa się na mój kark, po drodze ocierając się o bok mojej piersi, a ja prawie krzyczę pod wpływem tego doznania. Mam wrażenie, że świat kręci się w szalonym tempie.

Nie mam pojęcia, co się wydarzy dalej. Nawet się nad tym nie zastanawiam. Jestem za to niezwykle wdzięczna losowi – wszelkie wspomnienia i myśli o moich byłych całkowicie się ulotniły. Ciało Leona jest twarde i ciepłe, a ja marzę tylko o tym, żeby pozbyć się wszystkich tych ubrań i znaleźć się jak najbliżej niego. Gdy zaczynam rozpinać guziki jego koszuli, cofa ręce

z moich bioder, żeby mi pomóc. Ściąga koszulę i odrzuca ją za siebie, gdzie zawisa na lampie jak flaga. Przesuwam dłońmi po piersi Leona, zachwycona tym, że mogę go dotykać. Na chwilę odrywam się od niego i zdejmuję bluzkę.

Leon głośno wstrzymuje oddech, a kiedy chcę znów go pocałować, powstrzymuje mnie, opiera dłonie na moich ramionach i wpatruje się w moje ciało. Mam na sobie cienką halkę z głębokim dekoltem dopasowanym do linii biustonosza.

– Boże – odzywa się chrapliwie Leon. – Ale pięknie wyglądasz.

– Już mnie widziałeś – przypominam mu i niecierpliwie się nachylam, szukając kolejnego pocałunku. Znów mnie powstrzymuje i nie przestaje na mnie patrzeć. Wzdycham z frustracją, ale wtedy przyciska usta do mojego mostka, a następnie zaczyna całować górną część moich piersi, więc przestaję protestować.

Nie jestem w stanie sformułować dłuższych myśli. Wyparowują mi z głowy. Kolejne obszary mojego mózgu oddają się wyłącznie myśleniu o seksie. Część odpowiedzialna za ból całkowicie zapomniała o kostce i jest znacznie bardziej zainteresowana tym, co robią usta Leona, które coraz bardziej zbliżają się do brzegu biustonosza.

Część zazwyczaj odpowiedzialna za zastanawianie się, czy nie wyglądam grubo w danym ubraniu, najwyraźniej zupełnie się wyłączyła. Ograniczam się do jęków, ponieważ mój ośrodek mowy najwyraźniej także przestał działać.

Dłonie Leona wsuwają się od góry pod moją spódnicę i dotykają jedwabnej bielizny. Oczywiście mam na sobie ładną bieliznę. Może tego nie planowałam, ale nie zakładałam, że to na pewno się nie wydarzy.

Odchylam się i zsuwam ramiączka halki – tylko nam przeszkadza. Będę musiała z niego zejść, żebyśmy mogli bardziej się rozebrać, ale nie mam ochoty. Mój mózg próbuje myśleć bardziej długoterminowo, ale to na nic, więc ignoruję ten problem w nadziei, że Leon znajdzie jakieś rozwiązanie.

– Łóżko? – pyta Leon, a jego usta wracają na moją szyję.

Kiwam głową, ale kiedy przesuwa się pode mną, protestuję i znów się pochylam, żeby go pocałować. Czuję, że się uśmiecha.

– Nie przeniesiemy się na łóżko, jeśli się nie ruszysz – przypomina i znów próbuje zmienić pozycję.

Znów niezrozumiale protestuję. Chichocze, cały czas przyciskając usta do moich ust.

– Sofa? – proponuje.

Tak lepiej. Wiedziałam, że znajdzie rozwiązanie. Niechętnie ześlizguję się z jego kolan, żeby mógł się poruszyć. Szarpie materiał mojej spódnicy, szukając suwaka albo guzika.

– Ma ukryty suwak – mówię i obracam się bokiem, pokazując zamek błyskawiczny w szwie biegnącym wzdłuż biodra.

– Diabelskie kobiece ubrania – stwierdza Leon i pomaga mi zdjąć spódnicę. Chcę czym prędzej do niego przywrzeć, ale powstrzymuje mnie, żeby dokładnie mi się przyjrzeć. Pod wpływem jego wzroku płoną mi policzki. Odpinam jego pasek, a on gwałtownie wciąga powietrze i patrzy na moją twarz, gdy rozpinam mu spodnie.

– Pomożesz mi? – pytam, unosząc brwi, gdy zmagam się z guzikami.

– Zostawiam to tobie – odpowiada. – Nie musisz się śpieszyć.

Uśmiecham się szeroko, a on ściąga dżinsy, po czym kładzie mnie obok siebie na sofie. Zmieniamy się w plątaninę kończyn i poduszek. Nie mieścimy się. W ogóle nie mamy miejsca. Śmiejemy się, ale tylko pomiędzy pocałunkami,

a za każdym razem, gdy nasze ciała się stykają, mam wrażenie, że ktoś przeprogramował moje nerwy, żeby stały się pięć razy bardziej wrażliwe.

– Kto się uparł na sofę? – pyta Leon. Jego głowa jest na wysokości mojej klatki piersiowej; całuje moje ciało wzdłuż dolnego brzegu biustonosza, a ja jęczę. Jest mi okropnie niewygodnie, ale niewygoda to niewielka cena.

Dopiero kiedy uderza mnie łokciem w żołądek, gdy próbuje się podnieść, żeby mnie pocałować, zmieniam zdanie.

– Łóżko – stwierdzam kategorycznie.

– Rozsądna kobieta.

Potrzebujemy kolejnych dziesięciu minut, by ruszyć się z miejsca. Leon wstaje pierwszy, a kiedy ja próbuję się podnieść, nachyla się, żeby wziąć mnie na ręce.

– Mogę chodzić – protestuję.

– To już nasza tradycja. Poza tym tak będzie szybciej. – Ma rację; już po kilku sekundach kładzie mnie na łóżku i po chwili przywiera gorącymi ustami do moich ust i kładzie dłoń na mojej piersi. Już się nie śmieję. Jestem tak podniecona, że z trudem oddycham. To nie do pomyślenia. Nie mogę czekać ani chwili dłużej.

Wtedy rozlega się dzwonek domofonu.

# 48

# *Leon*

Oboje nieruchomiejemy. Podnoszę głowę, żeby na nią popatrzeć. Ma zaczerwienione policzki, usta nabrzmiałe od pocałunków, a plątanina jej pomarańczowych włosów spoczywa na białej poduszce. Wygląda nieprawdopodobnie seksownie.

Ja: Ktoś do ciebie?

Tiffy: Co? Nie!

Ja: Ale nikt z moich znajomych nie wie, że spędzam tutaj weekend!

Tiffy stęka.

Tiffy: Nie zadawaj mi trudnych pytań. Teraz… nie jestem w stanie myśleć.

Ponownie ją całuję, ale dzwonek odzywa się po raz drugi. Przeklinam. Odwracam się na bok; próbuję się uspokoić.

Tiffy kładzie się na mnie.

Tiffy: Pójdzie sobie.

Dochodzę do wniosku, że ma rację. Ma niesamowite ciało. Nie mogę się powstrzymać przed jego dotykaniem – wiem, że zbyt chaotycznie ją obłapiam, ale nie chcę niczego przegapić. Szkoda, że nie mam dziesięciu dodatkowych rąk.

Intruz znów dzwoni. I jeszcze raz. Z pięciosekundowymi przerwami. Tiffy z wściekłym pomrukiem rzuca się na swoją stronę łóżka.

Tiffy: Kto to, kurwa, jest?

Ja: Powinniśmy otworzyć.

Przesuwa palcem od mojego pępka do bokserek. Wszystkie myśli ulatniają się z mojej głowy. Pragnę jej. Pragnę. Pragnę. Pragnę…

Dzwonek dzwonek dzwonek dzwonek.

Tiffy: Kurwa! Ja pójdę.

Ja: Nie, ja się tym zajmę. Mogę owinąć się ręcznikiem i udawać, że byłem pod prysznicem.

Patrzy na mnie zdziwiona.

Tiffy: Jak możesz w tej chwili myśleć o czymś takim? Mój mózg przestał funkcjonować. Najwyraźniej jesteś znacznie bardziej absorbujący ode mnie.

Leży na łóżku, obnażona od pasa w górę, tylko skrawek jedwabiu dzieli ją od nagości. Odrywam

się od niej jedynie dzięki niezwykłej wewnętrznej sile i nieustępliwemu głośnemu dzwonieniu.

Ja: Uwierz mi, jesteś bardzo absorbująca.

Tiffy mnie całuje. Dzwonek teraz brzęczy bez przerwy. Ktoś trzyma palec na przycisku.

Ktokolwiek to jest, nienawidzę go.

Odsuwam się od Tiffy, ponownie klnę i sięgam po ręcznik wiszący na kaloryferze. Chwiejnym krokiem idę przez sypialnię do przedpokoju. Muszę wziąć się w garść. Otworzę drzwi, zdzielę pięścią tego, kto nam przeszkodził, a potem wrócę do łóżka. Dobry, solidny plan.

Otwieram drzwi do budynku, uchylam te do mieszkania i czekam. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że mam suche włosy, więc nie wyglądam, jakbym wyszedł spod prysznica.

Mężczyznę, który staje na progu, widzę po raz pierwszy w życiu. Nie jest to także ktoś, kogo chętnie zdzieliłbym pięścią. Jest wysoki i dobrze zbudowany, jakby spędzał mnóstwo czasu w siłowni. Ma brązowe włosy, idealnie przystrzyżoną brodę, drogą koszulę. Wściekłe oczy.

Nagle ogarniają mnie złe przeczucia. Żałuję, że mam na sobie tylko ręcznik.

Ja: Słucham pana?

Sprawia wrażenie zbitego z tropu.

Mężczyzna o wściekłym spojrzeniu: Czy to mieszkanie Tiffy?

Ja: Tak. Jestem jej współlokatorem.

Nie jest zachwycony tą wiadomością.

Mężczyzna o wściekłym spojrzeniu: Zastałem ją?

Ja: Przepraszam, ale nie przedstawił się pan.

Posyła mi długie, rozgniewane spojrzenie.

Mężczyzna o wściekłym spojrzeniu: Mam na imię Justin.

Aha.

Ja: Nie ma jej.

Justin: Myślałem, że to ona spędza tutaj weekendy.

Ja: Tak panu powiedziała?

Justin na chwilę traci pewność siebie, ale dobrze to ukrywa.

Justin: Tak mówiła, kiedy ostatnio się widzieliśmy. Na tym polega wasza umowa. Całe to dzielenie łóżka.

Z pewnością nie powiedziałaby o tym Justinowi. Domyśliłaby się, że nie byłby tym zachwycony. Jego niezwykle agresywna mowa ciała dowodzi, że rzeczywiście mu się to nie podoba.

Justin: Gdzie jest?

Wzruszam ramionami. Udaję znudzonego. Jednocześnie bardziej się prostuję, żeby uznał, że dorównuję mu wzrostem. To trochę prymitywne, ale całkiem przyjemne.

Ja: Skąd mam wiedzieć?

Justin, niespodziewanie: Mogę obejrzeć mieszkanie?

Ja: Słucham?

Justin: Czy mogę obejrzeć mieszkanie? Chciałbym tylko rzucić okiem.

Rusza naprzód, jakby zamierzał wejść. Zapewne właśnie tak sobie radzi w życiu: żąda nierozsądnych rzeczy, a następnie po prostu je bierze.

Stoję bez ruchu. W końcu będzie musiał się zatrzymać, bo stoję mu na drodze.

Ja: Przykro mi, ale nie.

Wyczuwa moją wrogość. Jest wkurzony. Kiedy tu przyszedł, już był zły, a teraz przypomina psa na smyczy, który rwie się do walki.

Justin: Dlaczego nie?

Ja: Ponieważ to moje mieszkanie.

Justin: Także Tiffy. Ona jest moją…

Ja: Pańskim kim?

Justin nie kończy kłamstwa. Być może uznaje, że wiem, czy Tiffy się z kimś spotyka.

Justin: To skomplikowane. Ale jesteśmy sobie bardzo bliscy. Zapewniam, że nie miałaby nic przeciwko temu, abym się tutaj rozejrzał i sprawdził, czy to mieszkanie się dla niej nadaje. Zakładam, że podpisał z nią pan umowę podnajmu? Sygnowaną przez właściciela nieruchomości?

Nie chcę z nim o tym rozmawiać. Poza tym nie mamy umowy podnajmu. Właściciel nie rozmawiał ze mną od lat, więc po prostu… nie wspomniałem mu o Tiffy.

Ja: Nie może pan wejść.

Podchodzi do mnie. Mam na sobie tylko ręcznik; patrzymy sobie w oczy. Naprawdę nie sądzę, by Tiffy pragnęła naszej bójki.

Ja: Jestem z dziewczyną.

Justin gwałtownie cofa głowę. Tego się nie spodziewał.

Justin: Naprawdę?

Ja: Tak. Dlatego byłbym wdzięczny, gdyby pan…

Mruży oczy.

Justin: Kim ona jest?

No, do kurwy nędzy.

Ja: Jakie to ma znaczenie?

Justin: Więc to nie Tiffy?

Ja: Dlaczego to miałaby być Tiffy? Przed chwilą panu powiedziałem…

Justin: Tak, wyjechała na weekend. Ale wiem, że nie ma jej u rodziców, a nigdy nie wyjeżdża samotnie z Londynu, chyba że wybiera się do domu rodzinnego. Więc…

Próbuje się obok mnie przepchnąć, ale jestem na to gotowy. Stawiam mu opór i wytrącam go z równowagi.

Ja: Wynocha, ale już. Nie wiem, na czym polega twój problem, ale z chwilą wejścia do mojego mieszkania złamałeś prawo, więc jeśli nie chcesz, żebym wezwał policję – jeżeli kobieta w mojej sypialni już tego nie zrobiła – to wypierdalaj.

Widzę, jak falują mu nozdrza. Chce się ze mną bić; musi z całych sił się powstrzymywać. Nie jest sympatycznym człowiekiem. Zauważam, że też jestem gotów do walki. Niemal liczę na to, że spróbuje mnie uderzyć.

Ale tego nie robi. Zerka na drzwi sypialni, a potem zauważa moje dżinsy rozciągnięte na podłodze. Moją koszulę wiszącą na absurdalnej lampie z małpą. Dobrze, że nigdzie nie leżą ubrania Tiffy – pewnie by je rozpoznał. Co za nieprzyjemna myśl.

Justin: Wrócę, żeby zobaczyć się z Tiffy.

Wycofuje się.

Ja: Może następnym razem zadzwoń, żeby sprawdzić, czy jest w domu. I czy chce się z tobą spotkać.

Zatrzaskuję za nim drzwi.

# 49
# *Tiffy*

Nikt nie powie, że to miłe, gdy twój były chłopak pojawia się, kiedy zabawiasz się z nowym facetem. Żadna kobieta nie chciałaby, aby jej się to przytrafiło, chyba że ma jakieś dziwaczne upodobania seksualne.

Ale z pewnością żadna nie byłaby tym aż tak bardzo zdenerwowana.

Trzęsę się – nie tylko moje dłonie, ale także nogi, nawet powyżej kolan. Próbuję jak najciszej się ubrać, sparaliżowana myślą, że Justin wejdzie i zobaczy mnie w samych majtkach, ale w połowie przerywam, ponieważ boję się, że mnie usłyszy. Zamiast tego kładę się na łóżku w bieliźnie i olbrzymim swetrze ze Świętym Mikołajem (leżał na wierzchu w szafie).

Kiedy drzwi mieszkania się zatrzaskują, podskakuję, jakby ktoś pociągnął za spust. Co za

głupota. Twarz mam mokrą od łez i jestem szczerze wystraszona.

Leon delikatnie puka do drzwi sypialni.

– To tylko ja! – woła. – Mogę wejść?

Biorę głęboki, urywany oddech i ocieram łzy z policzków.

– Tak, wejdź.

Spogląda na mnie i robi to samo co ja – podchodzi do szafy i wyciąga pierwszy z brzegu ciuch. Kiedy już jest ubrany, siada na drugim końcu łóżka. Jestem mu za to wdzięczna. W tej chwili nie chcę być w obecności nikogo nagiego.

– Na pewno sobie poszedł? – pytam.

– Zaczekałem, aż zamkną się drzwi budynku – zapewnia Leon. – Poszedł.

– Ale wróci. A ja nie zniosę ponownego spotkania. Nie mogę… Nienawidzę go. – Biorę kolejny rozdzierający oddech, czując, że łzy znów spływają mi po twarzy. – Dlaczego był taki wściekły? Czy zawsze tak się zachowywał, a ja po prostu o tym zapomniałam?

Wyciągam rękę w stronę Leona; chcę, żeby mnie przytulił. Przesuwa się na łóżku i przyciąga mnie do siebie, a potem kładzie mnie na posłaniu i przywiera do moich pleców.

– Czuje, że cię traci – tłumaczy cicho. – Boi się tego.

– Tym razem do niego nie wrócę.

Leon całuje mnie w ramię.

– Chcesz, żebym zadzwonił po Mo? Albo po Gerty?

– Możesz po prostu ze mną zostać?

– Oczywiście.

– Chcę się położyć spać.

– A więc śpimy. – Sięga po poncho, nakrywa nas oboje, a potem gasi lampę. – Obudź mnie, jeśli będę ci potrzebny.

*

Nie wiem, jak to się dzieje, ale przesypiam całą noc. O siódmej budzą mnie odgłosy wydawane przez sąsiada z góry, który robi to samo, co każdego dnia (brzmi to jak jakieś energiczne ćwiczenia z mnóstwem podskoków; normalnie byłabym rozdrażniona, ale to znacznie lepsze od budzika).

Leona nie ma. Siadam na łóżku; mam zamglony wzrok, ponieważ płakałam przed zaśnięciem. Próbuję odzyskać jasność myśli. Kiedy wspominam miniony dzień – niestety po miłym epizodzie na sofie pojawił się Justin – Leon zagląda do pokoju.

– Herbaty?

– Zaparzyłeś?

– Nie, poprosiłem krasnoludki.

Uśmiecham się.

– Nie przejmuj się, poprosiłem, żeby twoja była wyjątkowo mocna – dodaje. – Mogę wejść?

– Oczywiście, że możesz. To też twoja sypialnia.

– Nie, kiedy ty tutaj jesteś. – Podaje mi kubek odpowiednio mocnego naparu. Po raz pierwszy zaparzył dla mnie herbatę, ale pewnie domyślił się, jaką lubię najbardziej, tak jak ja wiem, że on dodaje do swojej mleko. To dziwne, jak dobrze można kogoś poznać na podstawie śladów, które pozostawia.

– Przepraszam za wczorajszą noc – zaczynam.

Leon kręci głową.

– Nie musisz. To nie twoja wina.

– No cóż, spotykałam się z nim. Z własnej woli.

Mówię swobodnie, ale Leon marszczy czoło.

– Takie związki bardzo szybko przestają być dobrowolne. Istnieje wiele sposobów na zmuszenie kogoś, by z tobą został albo uwierzył, że tego chce.

Przekrzywiam głowę i patrzę na niego, gdy przysiada na krawędzi łóżka i opiera przedramiona na kolanach, obejmując dłońmi kubek z herbatą. Mówi do mnie na wpół przez

ramię, a za każdym razem, gdy spogląda mi w oczy, mam ochotę się uśmiechnąć. Uczesał się – jeszcze nigdy nie widziałam u niego tak schludnej fryzury. Włosy są przygładzone za uszami i opadają lokami na szyję.

– Sprawiasz wrażenie bardzo dobrze poinformowanego – odzywam się ostrożnie.

Teraz na mnie nie patrzy.

– Moja mama – wyjaśnia. – Spędzała dużo czasu z mężczyznami, którzy się nad nią znęcali.

Krzywię się na te słowa, a Leon to zauważa.

– Przepraszam.

– Justin nigdy mnie nie uderzył – odpowiadam szybko, czerwieniąc się. No proszę, narzekam na chłopaka, który trochę się rządzi, podczas gdy mama Leona przeszła coś takiego…

– Nie o takie znęcanie mi chodziło – tłumaczy Leon. – Mówiłem o znęcaniu emocjonalnym.

– Aha. – Czy właśnie to robił Justin?

Tak, myślę od razu, zanim zdążę zmienić zdanie. Oczywiście, że tak. Lucie, Mo i Gerty od dawna tak uważają, chociaż nie mówili tego wprost. Upijam łyk herbaty, kryjąc twarz za kubkiem.

– Trudno było na to patrzeć – ciągnie Leon, wpatrując się w swoją herbatę. – Teraz wychodzi

na prostą. Dzięki długiej terapii i serdecznym przyjaciołom. Powoli dociera do sedna problemu.

– Mmm. Ja też tego próbuję… to znaczy terapii.

Kiwa głową.

– To dobrze. To może pomóc.

– Myślę, że pomaga. Mo wpadł na ten pomysł, a on zawsze ma rację.

Przydałby mi się teraz jeden z jego uścisków na odległość. Rozglądam się za swoją komórką, a Leon mi ją wskazuje. Leży na stoliku przy łóżku.

– Dam ci chwilę. No i nie przejmuj się urodzinami Holly. Założę się, że to ostatnia rzecz, jaką teraz…

Milknie, widząc moją oburzoną minę.

– Myślisz, że z powodu wczorajszej nocy mam zamiar przegapić urodziny Holly?

– Pomyślałem tylko, że masz wszystkiego dość i…

Kręcę głową.

– Nic z tych rzeczy. Ostatnie, czego chcę, to żeby ten… Justin stanął na drodze tego, co dla mnie ważne.

Leon się uśmiecha i zatrzymuje wzrok na mojej twarzy.

– Dobrze, dziękuję.

– Musimy wyjść wcześniej, żeby kupić prezent! – wołam za nim, gdy wychodzi.

– Dałem jej w prezencie zdrowie! – odkrzykuje zza drzwi.

– To nie wystarczy, wpadniemy po biżuterię do Claire’s!

# 50
# *Leon*

Mama Holly mieszka w obskurnej, sypiącej się kamienicy w Southwark. Farba obłazi ze ścian, pod którymi stoją niezawieszone obrazy, ale mieszkanie sprawia przyjemne wrażenie. Po prostu jest nieco zaniedbane.

Kiedy przyjeżdżamy, grupki dzieci wbiegają i wybiegają drzwiami frontowymi. Czuję się nieco przytłoczony. Wciąż myślę o poprzedniej nocy, wciąż jestem pobudzony po sprzeczce z Justinem. Zgłosiliśmy incydent na policję, ale chcę zrobić więcej. Tiffy powinna postarać się o sądowy zakaz zbliżania się. Ale nie mogę jej tego zasugerować. To jej decyzja. Jestem bezsilny.

Wchodzimy do domu. Znajdujemy tam mnóstwo urodzinowych kapelusików i kilkoro płaczących niemowląt, zapewne

doprowadzonych do łez przez rozbrykanych ośmiolatków.

Ja: Widzisz gdzieś Holly?

Tiffy staje na palcach (zdrowej stopy).

Tiffy: Czy to ona? W stroju z *Gwiezdnych wojen*?

Ja: Ze *Star Treka*. To nie ona. Może tam, obok wejścia do kuchni?

Tiffy: Jestem pewna, że to chłopiec. Mówiłeś, że obowiązują eleganckie stroje?

Ja: Ty też czytałaś zaproszenie!

Ignoruje moją uwagę, podnosi porzucony kowbojski kapelusz i wkłada mi go na głowę.

Odwracam się do lustra i podziwiam efekt. Kapelusz niepewnie tkwi na czubku mojej głowy. Przekładam go na głowę Tiffy. Znacznie lepiej. Wygląda jak seksowna kowbojka. To banalna stylizacja, ale robi wrażenie.

Tiffy przegląda się i poprawia kapelusz.

Tiffy: W porządku. W takim razie ty będziesz czarodziejem.

Zdejmuje zdobioną księżycami pelerynę z oparcia krzesła, zawiesza mi ją na ramionach i mocuje pod szyją za pomocą muchy. Wystarczy dotyk jej palców, żebym wrócił pamięcią do poprzedniej nocy. To wybitnie nieodpowiednie miejsce na takie myśli, więc próbuję je odpędzić,

ale Tiffy mi w tym nie pomaga. Przesuwa dłońmi po mojej piersi, podobnie jak wtedy na sofie.

Chwytam ją za rękę.

Ja: Nie możesz tego robić.

Figlarnie unosi brew.

Tiffy: Czego?

Przynajmniej wiem, że skoro tak mnie dręczy, na pewno czuje się lepiej.

*

W końcu znajdujemy Holly na schodach i uświadamiamy sobie, dlaczego tak trudno było ją wypatrzyć. Sprawia wrażenie całkowicie odmienionej. Lśnią jej oczy. Ma gęstsze i zdrowsze włosy, które opadają jej na twarz, tak że podczas rozmowy niecierpliwie odrzuca je do tyłu. Wygląda nawet na nieco pulchną.

Holly: LEON!

Zbiega po schodach i zatrzymuje się na dole. Jest przebrana za Elsę z *Krainy lodu*, jak każda młoda jubilatka na zachodniej półkuli od 2013 roku. Jest na to nieco za duża, ale przecież przegapiła większą część dzieciństwa.

Holly: Gdzie Tiffy?

Ja: Jest ze mną, tylko poszła do łazienki.

Dziewczynka wygląda na uspokojoną. Bierze mnie pod rękę i ciągnie do salonu, gdzie próbuje nakarmić mnie pasztecikami, które przeszły przez wiele brudnych dziecięcych rąk.

Holly: Umawiasz się już z Tiffy?

Zatrzymuję plastikowy kubek tropikalnego soku w połowie drogi do ust i patrzę na nią z góry.

Holly przewraca oczami, przekonując mnie, że jest tą samą osobą, a nie bardziej pulchnym sobowtórem.

Holly: Daj spokój. Jesteście sobie przeznaczeni!

Rozglądam się nerwowo, mając nadzieję, że Tiffy jej nie słyszy. Ale uświadamiam sobie, że też się uśmiecham. Przypominam sobie, jak reagowałem na podobne komentarze dotyczące mnie i Kay – to właśnie moje reakcje skłoniły ją do nazywania mnie związkofobem. Chociaż trzeba przyznać, że takie uwagi rzadko padały z ust małego, ale rozwiniętego ponad wiek dziecka ze sztucznym warkoczem wokół szyi (pewnie zsunął jej się z głowy).

Ja: Tak się składa…

Holly: Tak! Wiedziałam! Powiedziałeś jej, że ją kochasz?

Ja: Trochę na to za wcześnie.

Holly: Nie, jeśli kochasz się w niej od dawna.

Zapada cisza.

Holly: A tak właśnie jest.

Ja, łagodnie: Nie jestem pewien, czy to prawda, Holly. Byliśmy przyjaciółmi.

Holly: Przyjaciółmi, którzy są w sobie zakochani.

Ja: Holly…

Holly: Powiedziałeś jej chociaż, że ją lubisz?

Ja: Na pewno o tym wie.

Mruży oczy.

Holly: Czyżby, Leonie?

Czuję się lekko zbity z tropu. Tak? Wie o tym? Pocałunki to wyraźna wskazówka, prawda?

Holly: W ogóle nie potrafisz mówić ludziom, co o nich myślisz. Nigdy mi nie powiedziałeś, że lubisz mnie bardziej od innych pacjentów. Ale wiem, że tak było.

Wskazuje na mnie palcem, by podkreślić, że ma rację. Próbuję się nie uśmiechnąć.

Ja: No cóż, postaram się, żeby się o tym dowiedziała.

Holly: Nie musisz. Sama jej powiem.

Po czym błyskawicznie znika w tłumie. Cholera.

Ja: Holly! Holly! Nie mów niczego…

W końcu znajduję je obie w kuchni. Holly właśnie kończy coś opowiadać Tiffy, która pochyla się nad nią z uśmiechem; jej włosy lśnią rudozłociście w blasku zbyt jasnych kuchennych lamp.

Holly: Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że on jest miły i ty też jesteś miła.

Staje na palcach i dodaje scenicznym szeptem:

Holly: A to oznacza, że nikt nikogo nie depcze jak wycieraczkę.

Tiffy patrzy na mnie pytająco.

Zaciskam usta, czując ciepło rozlewające się w mojej piersi. Podchodzę, przyciągam do siebie Tiffy i mierzwię włosy Holly. Mój dziwaczny mały jasnowidz.

# 51
# *Tiffy*

Mo i Gerty przychodzą po południu, po tym, jak Leon już pojechał do mamy, a ja opowiadam im o swoich nocnych perypetiach przy jakże potrzebnej butelce wina. Mo kiwa głową z empatią, ale Gerty tylko przeklina. Ma kilka bardzo wymyślnych i paskudnych określeń na Justina. Chyba chowała je na taką okazję.

– Chcesz dzisiaj zostać u nas na noc? – pyta Mo. – Możesz spać na moim łóżku.

– Dzięki, ale nie, nic mi nie jest – odpowiadam. – Nie chcę uciekać. Wiem, że on nie zamierza mnie skrzywdzić.

Mo nie sprawia wrażenia przekonanego.

– Jeśli jesteś pewna – mówi.

– Możesz do nas zadzwonić, kiedy zechcesz, a my wyślemy po ciebie taksówkę – zapewnia Gerty, dopijając swój kieliszek wina. – Zadzwoń

do mnie rano. Musisz mi opowiedzieć o tym, jak uprawiałaś seks z Leonem.

Wbijam w nią wzrok.

– Słucham?

– Wiedziałam! Widać to po niej! – woła, wyraźnie zadowolona z siebie.

– Tak naprawdę wcale tego nie zrobiliśmy – odpowiadam, pokazując język. – Więc przeczucie cię zawiodło, ponownie.

Mruży oczy.

– Ale byliście nadzy. Dotykaliście się.

– Na tej sofie.

Zrywa się jak oparzona. Mo i ja chichoczemy.

– No dobrze – mówi Gerty, z niesmakiem otrzepując obcisłe dżinsy. – Zobaczymy się z Leonem we wtorek. Tak więc na pewno go przyciśniemy i upewnimy się, że ma wobec ciebie dobre zamiary.

– Chwileczkę, co takiego?

– Zapoznam go z postępami w sprawie.

– A Mo będzie ci towarzyszył, ponieważ… – Spoglądam na Mo.

– Ponieważ chcę go poznać – odpowiada Mo bez skrępowania. – No co? Wszyscy inni już go poznali.

– Tak, ale… ale… – Mrużę oczy. – On jest moim współlokatorem.

– Oraz moim klientem – zauważa Gerty, zabierając torebkę z blatu. – Być może dla ciebie spotkanie Leona to wielkie halo, ale my możemy po prostu wysłać mu esemesa i umówić się z nim na brunch jak normalni ludzie.

Irytuje mnie, że nie wiem, co na to odpowiedzieć. Nie mogę ich winić za to, że chcą być nadopiekuńczymi przyjaciółmi – bez tego, bez nich zapewne wciąż zapłakiwałabym się w mieszkaniu Justina. Ale nie wiem, czy jestem gotowa na przedstawienie Leona swoim przyjaciołom, a to, jak wtrącają się w moje sprawy, zaczyna mnie drażnić.

Zapominam o wszystkim, gdy we wtorek wracam do domu z pracy i znajduję następującą wiadomość na stoliku:

*TE ZŁE RZECZY NAPRAWDĘ SIĘ WYDARZYŁY. (Mo prosił, żebym Ci o tym przypomniał).*

*Ale przetrwałaś je i dzięki temu jesteś silniejsza. (Gerty prosiła, żebym Ci to przekazał… chociaż w jej wersji było mnóstwo przekleństw).*

*Jesteś urocza i nigdy nie skrzywdzę Cię tak jak on.*

*(To było ode mnie).*

*Leon xx*

– Ozłocisz mnie – stwierdza Rachel, stając na palcach, żeby porozmawiać ze mną ponad moją ścianą roślinności.

Trę oczy. Przed chwilą skończyłam rozmawiać przez telefon z Martinem, który ostatnio upodobał sobie dzwonienie do mnie zamiast spacerów korytarzem. Pewnie sądzi, że dzięki temu sprawia wrażenie zapracowanego i ważnego – zbyt zapracowanego i ważnego, by ruszyć tyłek i do mnie przyjść. Ale mogę nie odbierać jego telefonów, a jeśli koniecznie muszę z nim porozmawiać, mogę jednocześnie robić głupie miny do Rachel, więc są też zalety takiej sytuacji.

– Dlaczego? Co zrobiłaś? Kupiłaś mi zamek?

Wbija we mnie wzrok.

– Dziwne, że akurat to ci przyszło do głowy.

Odwzajemniam jej spojrzenie.

– A co? Naprawdę kupiłaś mi zamek?

– Oczywiście, że nie – odpowiada, otrząsając się z zamyślenia. – Gdyby stać mnie było na zamek, to sama bym go sobie kupiła, bez obrazy. Ale ta sprawa rzeczywiście ma coś wspólnego z zamkiem.

Sięgam po swój kubek i wyciągam nogi spod biurka. Ta rozmowa wymaga herbaty. Pokonujemy naszą zwyczajową trasę do kuchni: przechodzimy obok gabinetu fotoedytora, by uniknąć spotkania z redaktorem naczelnym i dyrektorem, chowamy się za filarem obok kserokopiarki, żeby nie zauważyła nas Hana, i zbliżamy się do kuchni pod takim kątem, by upewnić się, że w środku nie kryje się nikt z redakcji.

– No dalej! Mów! – zachęcam Rachel, kiedy już jesteśmy bezpieczne.

– Pamiętasz ilustratora, którego zamówiłam do drugiej książki twojego murarza-który-został-projektantem? Nazwałyśmy go lordem.

– Jasne. Lord Ilustrator – odpowiadam. Takie przezwisko mu nadałyśmy.

– No więc Lord Ilustrator wymyślił idealne miejsce na sesję zdjęciową Katherin.

Dział marketingu chce, żebyśmy zareklamowali produkty z książki Katherin. Media głównego nurtu niezbyt się do tego garną – wciąż nie rozumieją, że youtuberzy tacy jak Tasha Chai-Latte potrafią znacznie podbić sprzedaż – więc postanowiliśmy samodzielnie zapłacić za sesję i „rozsiać fotki po serwisach społecznościowych”. Tasha obiecała, że

udostępni je na swoim blogu, a skoro został zaledwie tydzień do premiery książki, działy marketingu i public relations zaczynają rozpaczliwie domagać się zorganizowania sesji zdjęciowej.

– On jest właścicielem zamku – kończy Rachel. – W Walii. Możemy z niego skorzystać.

– Poważnie? Za darmo?

– Jak najbardziej. W ten weekend. A skoro to tak daleko, obiecał, że nas przenocuje! W zamku! Ale najlepsze jest to, że Martin musi mnie też zabrać, chociaż jestem tylko projektantką… ponieważ Lord Ilustrator nalega, żebym przywiozła Katherin! – Rachel klaszcze z zachwytu. – Ty oczywiście też pojedziesz, ponieważ Katherin niczego nie zrobi, jeśli nie będziesz jej chronić przed koszmarnym towarzystwem Martina i Hany. Weekend w walijskim zamku! Weekend w walijskim zamku!

Uciszam ją. Zaczęła bardzo głośno śpiewać i wykonywać jakiś zamkowy taniec (w którym mocno kołysze się biodrami), a chociaż upewniłyśmy się, że w kuchni nie ma nikogo z przełożonych, nigdy nie wiadomo, kiedy się pokażą. To jak w tym powiedzeniu o szczurach –

zawsze jakiś jest co najmniej dwa metry od ciebie.

– Teraz musimy tylko znaleźć kogoś, kto zgodzi się pozować za darmo w najbliższy weekend – dodaje Rachel. – Aż się boję powiedzieć Martinowi. Nie chcę, żeby nagle mnie polubił albo coś. Zachwiałoby to równowagą całego wydawnictwa.

– Powiedz mu! – nalegam. – To świetny pomysł.

Rzeczywiście. Ale Rachel ma rację. Katherin nie pojedzie beze mnie, a to oznacza cały weekend poza domem. Liczyłam, że uda mi się spędzić trochę czasu z Leonem. No wiecie. Nago.

Rachel unosi brew, zauważając moją minę.

– Aha – mówi.

– Ależ nie, to świetny pomysł – próbuję się bronić. – Weekend poza miastem z tobą i Katherin. Szykuje się kupa zabawy. Poza tym darmowe zwiedzanie zamku! Będę udawała, że oglądam swój przyszły dom.

Rachel opiera się o lodówkę, czekając, aż herbata się zaparzy, i uważnie mnie obserwuje.

– Naprawdę lubisz tego chłopaka, prawda?

Zajmuję się wyciąganiem z kubków torebek z herbatą. Faktycznie, bardzo go lubię. Trochę

mnie to przeraża. W pozytywny sposób, ale jednak.

– W takim razie go zabierz, żebyście nie musieli się rozstawać.

Podnoszę wzrok.

– Zabrać go? Niby jak mam przekonać szefostwo do pokrycia dodatkowych kosztów?

– Przypomnij mi, jak ten ogier wygląda? – mówi Rachel, przesuwając się, żebym mogła wyjąć mleko z lodówki. – Wysoki, ciemnowłosy, przystojny, o tajemniczym seksownym uśmiechu?

Tylko Rachel potrafi użyć słowa „ogier” bez cienia ironii.

– Myślisz, że zgodziłby się pozować za darmo?

Niemal wypluwam herbatę. Rachel uśmiecha się szeroko i podaje mi papierowy ręcznik, żebym mogła uratować szminkę.

– Leon? Pozować?

– Dlaczego nie?

– No… ponieważ… – Na pewno by mu się to nie spodobało. A może… wcale nie. Tak mało go obchodzi, co myślą inni, że pewnie nie przejąłby się tym, że ktoś robi mu zdjęcia i wrzuca je do internetu.

Ale gdyby się zgodził, to oznaczałoby wspólny weekendowy wypad, chociaż nieco

niekonwencjonalny. A to już… poważna sprawa. Jak w związku. Ta myśl sprawia, że zaciska mi się krtań, a w brzuchu czuję wzbierającą panikę. Przełykam ślinę, zła na siebie.

– No dalej. Spytaj go – nalega Rachel. – Na pewno się zgodzi, jeśli dzięki temu będzie mógł spędzić więcej czasu z tobą. Ja wszystko załatwię z Martinem. Jak mu dam zamek, jeszcze długo będzie mi się podlizywał.

*

Nie bardzo wiem, jak przeprowadzić tę rozmowę. Początkowo sądziłam, że temat pojawi się naturalnie podczas kolejnej rozmowy telefonicznej, ale o dziwo żadne z nas nie wspomniało o zamkach ani pozowaniu do zdjęć, a teraz jest już siódma czterdzieści i wiem, że Leon za pięć minut wychodzi z pracy.

Ale nie zamierzam się wycofywać. Od czasu tamtej nocy, gdy pojawił się Justin, nasza relacja z Leonem uległa zmianie. Teraz łączy nas coś więcej niż seksualne napięcie i zalotne liściki, a mnie z jakiegoś powodu nieco to przeraża. Kiedy o nim myślę, ogarnia mnie niepowstrzymana radość pomieszana z klaustrofobiczną paniką. Ale podejrzewam, że

to tylko zahamowania zaszczepione przez Justina, i mam dosyć tego, że mnie ograniczają.

– A więc – zaczynam, szczelniej otulając się swetrem. Stoję na balkonie, to moje ulubione miejsce rozmów telefonicznych. – Jesteś wolny w najbliższy weekend, prawda?

– Mmhmm – odpowiada. Podczas rozmowy ze mną je śniadację w szpitalu, więc jest jeszcze mniej rozmowny niż zazwyczaj, ale czuję, że to zadziała na moją korzyść. Lepiej, aby wysłuchał tej propozycji w całości, zanim zaczniemy o niej rozmawiać.

– Muszę jechać do walijskiego zamku, żeby razem z Katherin fotografować robótki, ponieważ jestem jej osobistą opiekunką, a chociaż dostaję marne grosze, oczekuje się ode mnie, że będę na zawołanie pracowała w weekendy, tak to już jest.

Chwila ciszy.

– Okej – odzywa się Leon. Nie sprawia wrażenia zirytowanego. Uświadamiam sobie, że nie ma powodu. Przecież go nie spławiam, muszę pracować. Kto jak kto, ale on na pewno to rozumie.

Nieco się rozluźniam.

– Ale bardzo chcę się z tobą zobaczyć – mówię bez namysłu. – I Rachel wpadła na potencjalnie

fatalny pomysł, z którego może być kupa zabawy.

– Mm? – odpowiada Leon nieco nerwowo. Słyszał wystarczająco dużo o Rachel, by wiedzieć, że jej pomysły często opierają się na dużej ilości alkoholu i braku rozwagi.

– Co byś powiedział na darmowy weekend w walijskim zamku ze mną… w zamian za pozowanie w strojach zrobionych szydełkiem do zdjęć, które trafią na profile wydawnictwa w serwisach społecznościowych?

Na drugim końcu linii rozlega się odgłos krztuszenia.

– Uważasz, że to koszmarny pomysł – mówię, czując, że moje policzki różowieją. Zapada długa cisza. Nie powinnam była tego proponować; Leon lubi spokojne wieczory przy winie i ciekawe rozmowy, a nie paradowanie przed obiektywem.

– Wcale nie uważam, że jest koszmarny – odpowiada. – Po prostu… staram się go przyswoić.

Daję mu trochę czasu. Czekanie jest nie do zniesienia, ale kiedy już myślę, że wiem, jak się skończy ta zawstydzająca rozmowa:

– W porządku – mówi Leon.

Mrugam z niedowierzaniem. Pod balkonem przechodzi Ludwig Lis, a po chwili przemyka

radiowóz na sygnale.

– W porządku? – upewniam się, gdy znów robi się na tyle cicho, że mnie słychać. – Zrobisz to?

– To stosunkowo niewielka cena za spędzenie z tobą weekendu. Poza tym jedyną osobą, która mogłaby mnie wyśmiać, jest Richie, a on nie ma dostępu do internetu.

– Mówisz poważnie?

– Ty też będziesz pozowała?

– Martin pewnie uważa, że jestem za duża – odpowiadam, machając ręką. – Będę tylko Kathystentką.

– Poznam wreszcie tego Martina, którego tak bardzo lubimy? No i kim będziesz?

– Kathystentką, czyli asystentką Katherin. Tak moją rolę określiła Rachel. Martin będzie koordynował cały projekt, więc owszem, poznasz go. Ale ostrzegam, że stanie się wyjątkowo nieznośny, ponieważ będzie miał władzę.

– Doskonale – cieszy się Leon. – Podczas pozowania będę knuł, jak obalić jego rządy.

# PAŹDZIERNIK

# 52
# *Leon*

A więc tak. Stoję pomiędzy dwiema zbrojami, ubrany w wełniany sweter, i patrzę w dal.

Moje życie stało się bardziej szalone, odkąd pojawiła się w nim Tiffy. Nigdy nie bałem się szaleństw, ale ostatnio zrobiłem się nieco… wygodny. Skostniały, jak mawiała Kay.

W obecności Tiffy to mi nie grozi.

Pomaga Katherin ustylizować pozostałe dwie modelki, którymi są wychudzone nastolatki. Martin wpatruje się w nie, jakby chciał je zjeść. Są miłe, ale rozmowa przestała się kleić, kiedy już omówiliśmy ostatni sezon *MasterChefa*, i teraz tylko odliczam minuty do chwili, gdy Tiffy znów do mnie podejdzie, żeby poprawić mój wełniany sweter, co (mogę się założyć) jest tylko wymówką, by mnie dotknąć.

Lord Ilustrator kręci się po planie. Jest sympatycznym, eleganckim panem; jego zamek nieco podupadł, ale można w nim przenocować i zapewnia efektowne widoki, więc wszyscy sprawiają wrażenie zadowolonych.

Poza Martinem. Żartowałem z Tiffy, że będę się zastanawiał, jak obalić jego rządy, ale mam wrażenie, że kiedy akurat nie ślini się do modelek, stale rozmyśla, jak zepchnąć mnie z blanek. Nic z tego nie rozumiem. Nikt tutaj nie wie o mnie i Tiffy – uznaliśmy, że tak będzie najprościej – jednak mam wrażenie, że on się domyślił. Ale jeśli tak jest w istocie, to dlaczego aż tak go to obchodzi, że chce mnie zabić wzrokiem?

No nic. Robię, co mi każą, i spoglądam w nieco innym kierunku. Cieszę się, że mogłem się wyrwać na weekend z mieszkania; miałem przeczucie, że Justin wróci. W końcu tak się stanie. Wyraźnie miał coś jeszcze do powiedzenia, kiedy w sobotę sobie poszedł. Ale jak dotąd milczy. Żadnych kwiatów, żadnych esemesów, nie pojawia się niespodziewanie tam, gdzie jest Tiffy. Podejrzane. Boję się, że coś szykuje. Takich mężczyzn niełatwo odstraszyć.

Próbuję nie ziewać (nie spałem od wielu godzin, nie licząc krótkich drzemek). Odnajduję

wzrokiem Tiffy. Jest ubrana w kalosze oraz niebieskie, farbowane nierówno dżinsy i siedzi bokiem na olbrzymim krześle rodem z *Gry o tron*, które stoi w kącie zbrojowni i na którym zapewne nie wolno siadać. Kiedy się porusza, jej sweter się rozchyla i zauważam fragment gładkiej skóry. Przełykam ślinę. Znów zaczynam wpatrywać się w dal, jak mi polecił fotograf.

Martin: No dobrze, dwudziestominutowa przerwa!

Uciekam, zanim każe mi zrobić coś innego niż porozmawiać z Tiffy (jak dotąd podczas przerw musiałem poprzestawiać dawną broń, zebrać odkurzaczem niepotrzebną słomę i zająć się malutkim obtarciem na palcu jednej z wątłych modelek).

Ja, podchodząc do tronu Tiffy: Co ten facet do mnie ma?

Kręci głową i wstaje z krzesła.

Tiffy: Naprawdę nie mam pojęcia. Traktuje cię jeszcze gorzej niż pozostałych, prawda?

Rachel, syczy za moimi plecami: Uciekajcie! W nogi! Nadchodzi!

Tiffy nie trzeba powtarzać. Chwyta mnie za rękę i odciąga w stronę głównego holu (gigantycznej kamiennej jaskini z trzema ciągami schodów).

Katherin, woła za nami: Zostawiacie mnie z nim samą?

Tiffy: Psiakrew, kobieto! Wyobraź sobie, że jest torysem w latach siedemdziesiątych, dobrze?

Nie oglądam się, więc nie wiem, jak Katherin reaguje, ale słyszę, że Rachel parska śmiechem. Tiffy wciąga mnie do bogato zdobionego zakątka, w którym kiedyś mógł stać jakiś posąg, i mocno całuje w usta.

Tiffy: Cały dzień tylko na ciebie patrzę. To nie do zniesienia. Poza tym jestem potwornie zazdrosna, że wszyscy inni też mogą to robić.

Czuję się tak, jakby do mojej piersi wlało się coś gorącego. Uśmiecham się. Nie wiem, co powiedzieć, więc ją całuję. Przyciska mnie do zimnej kamiennej ściany, zarzucając mi ręce na szyję.

Tiffy, nie odrywając ode mnie ust: W następny weekend.

Ja: Hm?

(Jestem zajęty całowaniem).

Tiffy: Będziemy tylko we dwoje. Sami. W naszym mieszkaniu. A jeśli ktokolwiek nam przeszkodzi albo poprosi, żebyś zajął się zadrapanym paluszkiem osiemnastolatki, osobiście go zetnę.

Milknie na chwilę.

Tiffy: Przepraszam. Ten zamek wyraźnie działa mi na wyobraźnię.

Odsuwam się i patrzę jej prosto w oczy. Czyżbym jej nie powiedział? Na pewno powiedziałem.

Tiffy: Co? Co się stało?

Ja: Rozprawa Richiego jest w piątek. Przykro mi, ale potem zostaję na weekend u mamy. Nie mówiłem ci?

Czuję znajomy strach. To będzie początek nieprzyjemnej rozmowy – zapomniałem jej o czymś powiedzieć, zmieniam jej plany…

Tiffy: Nie! Mówisz poważnie?

Skręca mnie w żołądku. Chcę ją przytulić, ale odtrąca moje ręce i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

Tiffy: Nie powiedziałeś mi! Leonie, nie wiedziałam. Tak mi przykro, ale… premiera książki Katherin…

Czuję się zbity z tropu. Dlaczego to ona mnie przeprasza?

Tiffy: Chciałam tam być, ale w piątek mamy premierę książki Katherin. Nie mogę w to uwierzyć. Poprosisz Richiego, żeby do mnie zadzwonił, kiedy będę w mieszkaniu? Chciałabym go porządnie przeprosić.

Ja: Za co?

Przewraca oczami.

Tiffy: Za to, że nie będę mogła przyjść na jego rozprawę apelacyjną!

Wpatruję się w nią. Kilka razy mrugam. Odprężam się, gdy uświadamiam sobie, że wcale nie jest na mnie zła.

Ja: Nie spodziewałem się…

Tiffy: Żartujesz? Myślałeś, że nie zamierzam się wybrać do sądu? Przecież chodzi o Richiego!

Ja: Naprawdę chciałaś przyjść?

Tiffy: Tak, Leonie. Naprawdę bardzo chciałam przyjść.

Dźgam ją palcem w policzek.

Tiffy, ze śmiechem: Au! Za co?

Ja: Naprawdę istniejesz? Jesteś prawdziwą, żywą kobietą?

Tiffy: Tak, jestem prawdziwa, idioto.

Ja: Nie do wiary. Jak to możliwe, że jesteś taka miła, a jednocześnie taka ładna? Jesteś postacią mityczną? O północy zmieniasz się w ogra?

Tiffy: Przestań. Jasna cholera, ale masz niskie oczekiwania! Dlaczego nie miałabym przyjść na rozprawę apelacyjną twojego brata? Jest też moim przyjacielem. Pamiętaj, że rozmawiałam z nim po raz pierwszy wcześniej niż z tobą.

Ja: Cieszę się, że to mnie pierwszego poznałaś osobiście. Jest ode mnie dużo atrakcyjniejszy.

Porusza brwiami.

Tiffy: To dlatego nie powiedziałeś mi o rozprawie?

Przestępuję z nogi na nogę. Byłem pewien, że jej powiedziałem. Ściska mnie za rękę.

Tiffy: Nie przejmuj się, naprawdę, tylko się z tobą droczę.

Myślę o tych miesiącach, gdy zostawialiśmy sobie liściki i porcje posiłków, ale się nie znaliśmy. Odkąd ją spotkałem, wszystko jest inaczej. Nie mogę uwierzyć, że zmarnowałem tyle czasu – nie tylko tamte miesiące, ale także poprzednie lata, gdy guzdrałem się i bezczynnie czekałem.

Ja: Nie, powinienem był ci powiedzieć. Musimy to dopracować. Nie możemy ciągle opierać się na pojedynczych wyszarpanych dniach albo przypadkowych spotkaniach.

Zamyślam się. Może mógłbym od czasu do czasu brać dzienny dyżur? Raz w tygodniu zostawać w mieszkaniu na noc? Chcę to zaproponować, ale Tiffy nagle poważnieje. W jej szeroko otwartych oczach dostrzegam nerwowość i uświadamiam sobie, że nie powinienem tego mówić.

Tiffy, pogodnym głosem: Może zawiesimy kalendarz na lodówce?

Racja. To pewnie lepszy pomysł. Przecież dopiero zaczynamy. Za bardzo się zapaliłem.

Dobrze, że niczego nie palnąłem.

# 53
# *Tiffy*

Patrzę w górę na bardzo odległy, zasnuty pajęczynami sufit. Cholernie tutaj zimno, nawet pod kołdrą i trzema kocami oraz pomimo Rachel, która leży tuż obok i grzeje jak kaloryfer.

Dzisiaj był wyjątkowo frustrujący dzień. Rzadko ma się okazję patrzeć przez osiem godzin na kogoś, kto nam się podoba. Szczerze mówiąc, większość dnia spędziłam na snuciu fantazji o tym, że pozostali ludzie w zamku nagle znikają, a zostajemy tylko ja i Leon, nadzy (wyparowują również nasze ubrania), z dostępem do wielu ciekawych miejsc, w których można uprawiać seks.

Wciąż czuję się roztrzęsiona po wizycie Justina, a im bliżej jestem z Leonem, tym częściej podniecenie wymieszane z lękiem zmienia się w czysty lęk. Kiedy Leon zaczął mówić o tym, że

powinniśmy spędzać ze sobą więcej czasu, od razu dopadło mnie paniczne uczucie usidlenia. Ale w chwilach, gdy myślę jasno, mam dobre przeczucia co do Leona. Kiedy jestem w pogodnym nastroju, to do niego wędrują moje myśli. Dzięki niemu jestem jeszcze bardziej zdeterminowana, by poradzić sobie z tym, co spotkało mnie ze strony Justina, ponieważ nie chcę dźwigać tego brzemienia, gdy jestem z Leonem. Chcę być wtedy swobodna i wolna. No i naga.

– Przestań – mruczy w poduszkę Rachel.

– O co ci chodzi? – Gdybym wiedziała, że nie śpi, wypowiedziałabym na głos cały ten ciąg myślowy.

– Od twojej seksualnej frustracji sama robię się nerwowa – odpowiada Rachel, przewracając się na drugi bok i pociągając w swoją stronę jak największy kawałek kołdry.

Przytrzymuję nakrycie i odzyskuję kilka centymetrów.

– Nie jestem sfrustrowana.

– Daj spokój. Założę się, że tylko czekasz, aż zasnę, żeby poocierać się o moją nogę.

Dotykam ją lodowatą stopą, a ona piskliwie krzyczy.

– Moja seksualna frustracja nie może przeszkadzać ci w zaśnięciu – odzywam się, dając za wygraną. – Gdyby to było możliwe, w czasach wiktoriańskich nikt by nie sypiał.

Ogląda się na mnie, wytężając wzrok.

– Dziwna jesteś – stwierdza, po czym znów odwraca się do mnie plecami. – Wymknij się i znajdź swojego chłopaka.

– On nie jest moim chłopakiem – odpowiadam odruchowo, jak mamy w zwyczaju, odkąd skończyłyśmy osiem lat.

– Swojego wyjątkowego przyjaciela. Swojego pięknisia. Swojego wielbiciela. Swojego…

– Idę – syczę do niej i odrzucam kołdrę.

Hana cicho pochrapuje na drugim łóżku. Kiedy śpi, wygląda nawet sympatycznie, ale trudno być jędzą, gdy człowiek ślini się poduszkę.

Wspólnie z Leonem obmyśliliśmy plan nocnego spotkania. Martin z jakiegoś irytującego powodu ulokował Leona w dwuosobowym pokoju razem z fotografem, co oznacza, że nie mogę potajemnie wślizgnąć się do jego łóżka. Ale skoro Hana i fotograf śpią, nie ma powodu, żebyśmy nie mogli wybrać się na małą wyprawę po zamku. Postanowiliśmy, że oboje trochę odpoczniemy, a potem spotkamy się o trzeciej w nocy. Jestem zbyt podniecona, żeby zasnąć, ale

tuż po obudzeniu wcale nie wyglądamy tak dobrze, jak nam wmawia Hollywood, więc pewnie dobrze się stało, że tylko leżałam przez kilka godzin, oddając się nieprzyzwoitym myślom.

Nie spodziewałam się jednak, że będzie tak cholernie zimno. Myślałam, że włożę tylko bieliznę i szlafrok – przywiozłam ze sobą seksowny negliż – ale w tej chwili mam na sobie grube spodnie od piżamy, wełniane skarpety oraz trzy swetry i nie ma mowy, żebym je zdjęła. Dlatego tylko smaruję usta błyszczykiem, lekko mierzwię włosy i uchylam drzwi.

Skrzypią głośno jak na filmach, ale Hana się nie budzi. Wyślizguję się przez szparę i zamykam drzwi za sobą, krzywiąc się pod wpływem hałasu.

Umówiliśmy się z Leonem w kuchni, ponieważ gdyby ktoś nas przyłapał, mielibyśmy dobrą wymówkę (biorąc pod uwagę sterty herbatników, które pochłaniam w pracy, nikogo nie zdziwi, że mam ochotę na nocną przekąskę). Śmiało idę wyłożonym chodnikiem korytarzem, bacznie obserwując drzwi mijanych pokoi, na wypadek gdyby ktoś inny też nie spał.

Pusto. Szybki chód nieco mnie rozgrzewa, więc schody pokonuję biegiem, a kiedy docieram

do kuchni, jestem już lekko zdyszana.

Kuchnia to jedyne miejsce w zamku, o które ktoś się troszczy. Niedawno została wyremontowana i z zachwytem zauważam w niej ogromny piec. Przywieram do niego jak dziewczyna, która w nocnym klubie wpadła na członka ulubionego boysbandu i nie zamierza bez niego wyjść.

– Powinienem być zazdrosny? – odzywa się Leon za moimi plecami.

Oglądam się przez ramię. Stoi w progu, ze świeżo uczesanymi włosami, ubrany w luźny T-shirt i spodnie do joggingu.

– Jeśli jesteś cieplejszy od tego pieca, to jestem twoja – odpowiadam, odwracając się, żeby ogrzać sobie pupę i tylną stronę nóg oraz uważniej mu się przyjrzeć.

Podchodzi bliżej, swobodnie i bez pośpiechu. Czasami dostrzegam w nim niespodziewaną pewność siebie – nieczęsto ją okazuje, ale kiedy to robi, nie mogę mu się oprzeć. Gdy mnie całuje, robi mi się jeszcze cieplej.

– Miałeś jakieś problemy z wymknięciem się z pokoju? – pytam, odsuwając się od pieca, żeby odgarnąć włosy na plecy.

– Fotograf Larry śpi jak kamień – odpowiada Leon, a następnie ponownie odnajduje moje usta

i powoli mnie całuje.

Serce tłucze mi się w piersi. Mam lekkie zawroty głowy, jakby cała krew, która zazwyczaj krąży w moim mózgu, nagle postanowiła wybrać się w inne miejsca. Nie przerywając pocałunku, Leon unosi mnie i sadza na płycie pieca, a ja oplatam go nogami. Przywiera do mnie.

Czuję, jak ciepło pieca stopniowo przenika moje flanelowe spodnie od piżamy i coraz mocniej parzy mnie w tyłek.

– Auu! – wołam i odpycham się od pieca, zawisając na Leonie jak koala. Przenosi mnie na kredens i zaczyna powoli całować po szyi i dekolcie, ustach, ramionach. Kręci mi się w głowie; nie mogę zebrać myśli. Jego dłonie odnajdują wąski odstęp między swetrami a spodniami od piżamy i po chwili dotyka mojej skóry, a ja całkowicie tracę głowę.

– Czy to coś złego uprawiać seks w miejscu, w którym inni ludzie przygotowują posiłki? – pyta Leon zdyszanym głosem.

– Nie! Tak jest bardziej… czysto! Higienicznie – odpowiadam, przyciągając go do siebie.

– To dobrze – stwierdza i jednym ruchem ściąga ze mnie wszystkie swetry. Już nie jest mi zimno. Prawdę mówiąc, żałuję, że nie mam na

sobie czegoś skromniejszego. Dlaczego, u diabła, nie włożyłam negliżu?

Zdzieram z Leona T-shirt i ciągnę za gumkę spodni, aż się zsuwają. Kiedy się o niego ocieram, na chwilę nieruchomieje.

– Chcesz? – pyta chrapliwie. Widzę, jak wiele go kosztuje, żeby nad sobą zapanować. Odpowiadam mu kolejnym pocałunkiem. – Tak? – pyta, nie odrywając ode mnie ust. – To znaczy, że chcesz?

– Tak. A teraz przestań gadać – odpowiadam, a on robi, co mu każę.

Jesteśmy tak blisko. Ja prawie naga, on prawie nagi, myślę tylko o nim. To ta chwila. To się dzieje. Sfrustrowana wiktoriańska kobieta w moim wnętrzu niemal płacze z radości, gdy Leon przyciąga mnie za biodra, tak że znów znajduje się między moimi nogami.

I wtedy się pojawiają. Wspomnienia.

Sztywnieję. Początkowo tego nie zauważa i przez kilka straszliwych sekund wciąż wodzi dłońmi po moim ciele, mocno przyciskając usta do moich ust. Bardzo trudno opisać to uczucie. To jak atak paniki, ale jestem całkowicie znieruchomiała i dziwnie bierna. Jakbym wpadła w potrzask i odłączyła się ode mnie jakaś ważna część mojej osobowości.

Dłonie Leona zwalniają, a następnie zatrzymują się na moich policzkach. Delikatnie unosi moją głowę, żebym na niego popatrzyła.

Wzdycha i odsuwa się ode mnie, a ja zaczynam dygotać.

Nie mogę odnaleźć tej zagubionej części siebie. Nie wiem, skąd się wzięło to uczucie – jeszcze przed chwilą miałam się kochać z mężczyzną, o którym fantazjowałam przez cały tydzień, aż tu nagle… coś sobie przypomniałam. Ciało, które nie należało do Leona, dłonie, które robiły to samo, chociaż chciałam, by przestały.

– Potrzebujesz przestrzeni czy chcesz się przytulić? – pyta wprost, stając kilkadziesiąt centymetrów ode mnie.

– Przytul mnie – odpowiadam z trudem.

Przygarnia mnie do siebie, jednocześnie sięgając po stertę swetrów leżącą na blacie. Otula mnie jednym z nich i obejmuje, a ja przyciskam głowę do jego piersi. Łomot serca jest jedyną oznaką jego frustracji.

– Przepraszam – szepczę.

– Nigdy nie powinnaś za to przepraszać – odpowiada. – Zgoda?

Uśmiecham się niewyraźnie, przywierając ustami do jego skóry.

– Zgoda.

# 54
# *Leon*

Z natury nie jestem skory do gniewu. Zazwyczaj zachowuję się łagodnie i trudno wyprowadzić mnie z równowagi. To ja zawsze powstrzymywałem Richiego, gdy chciał się rzucić do bitki (zazwyczaj w obronie kobiet, które nie zawsze tego potrzebowały). Ale teraz odzywa się we mnie coś pierwotnego i z wielkim trudem zachowuję spokój. Agresywna postawa i nerwy nie pomogą Tiffy.

Tylko że chcę go skrzywdzić. Naprawdę. Nie wiem, co zrobił Tiffy, co konkretnie tak nią wstrząsnęło, w każdym razie teraz ona drży jak kociak po zimnej nocy spędzonej poza domem.

Odrywa się ode mnie i ociera twarz.

Tiffy: Przepra… eee, to znaczy… cześć.

Ja: Cześć. Napijesz się herbaty?

Kiwa głową. Nie mam ochoty jej puścić, ale wiem, że nie powinienem jej przytrzymywać wbrew jej woli. Ubieram się i ruszam w stronę czajnika.

Tiffy: To było…

Czekamy. Woda zaczyna cicho bulgotać.

Tiffy: To było naprawdę straszne. Sama nie wiem, co się stało.

Ja: Jakieś nowe wspomnienie? A może coś, o czym już rozmawiałaś z terapeutką?

Kręci głową i marszczy czoło.

Tiffy: To nie było wspomnienie, żaden obraz nie pojawił się w mojej głowie…

Ja: Bardziej jak pamięć ciała?

Podnosi wzrok.

Tiffy: Właśnie tak.

Nalewam herbatę. Otwieram lodówkę, żeby wyjąć mleko, i nieruchomieję. W środku jest pełno tac z małymi różowymi babeczkami z napisem „F i J”.

Tiffy podchodzi do mnie i obejmuje mnie ręką w pasie.

Tiffy: Ooo, to pewnie na przyjęcie weselne, które odbędzie się po naszym wyjeździe.

Ja: Jak sądzisz, dokładnie je policzyli?

Śmieje się. Trochę przez łzy, ale dobre i to.

Tiffy: Na pewno. Chociaż jest ich tak dużo.

Ja: Za dużo. Szacuję, że… około trzystu.

Tiffy: Nikt nie zaprasza trzystu osób na ślub. Chyba że jest sławny albo rzecz się dzieje w Indiach.

Ja: Może to wesele jakiegoś sławnego Hindusa?

Tiffy: Lord Ilustrator o niczym takim nie mówił.

Zabieram dwie babeczki i wręczam jedną Tiffy. Wciąż ma zaczerwienione oczy, ale już się uśmiecha i zjada babeczkę prawie całą na raz. Pewnie potrzebuje cukru.

Przez chwilę jemy w milczeniu, oparci o piec.

Tiffy: Więc… według twojej fachowej oceny…

Ja: Jako pielęgniarza z oddziału opieki paliatywnej?

Tiffy: Jako osoby mającej do czynienia z medycyną…

O nie. Takie rozmowy nigdy nie kończą się dobrze. Ludzie zawsze sądzą, że w szkole pielęgniarskiej poznajemy wszystkie tajniki medycyny i wciąż je pamiętamy po pięciu latach.

Tiffy: Czy będę tak wariować za każdym razem, gdy będziemy chcieli uprawiać seks? Ponieważ to cholernie przygnębiająca myśl.

Ja, ostrożnie: Podejrzewam, że nie. Ale może trochę potrwać, zanim odkryjesz, jakie bodźce

wywołują taką reakcję, i nauczysz się ich unikać, dopóki nie poczujesz się bezpieczniej.

Patrzy na mnie ostro.

Tiffy: Nie jestem… Nie chcę, żebyś myślał, że… On nigdy mnie nie… skrzywdził.

Mam ochotę zaprzeczyć jej słowom. Wygląda na to, że została bardzo skrzywdzona. Ale to nie moja rola, więc tylko przynoszę kolejną babeczkę i podsuwam jej do ust.

Ja: Nie snuję żadnych przypuszczeń. Po prostu chcę, żebyś poczuła się lepiej.

Tiffy na mnie patrzy, a potem niespodziewanie dźga mnie palcem w policzek.

Ja, krzyczę: Hej!

Dźgnięcie w policzek jest znacznie bardziej dokuczliwe, niż sądziłem, gdy sam ją tak potraktowałem.

Tiffy: Nie jesteś prawdziwy, zgadza się? Jesteś zbyt miły.

Ja: Wcale nie. Jestem zgorzkniałym starcem, który nie lubi większości ludzi.

Tiffy: Większości?

Ja: Jest kilka wyjątków.

Tiffy: Jak je wybierasz? Te wyjątki?

Skrępowany wzruszam ramionami.

Tiffy: Mówię poważnie. Całkiem serio. Dlaczego ja?

Ja: No cóż, chyba… Przy niektórych ludziach po prostu czuję się swobodnie. Nie jest ich wielu. Ale ty byłaś jedną z takich osób, jeszcze zanim cię spotkałem.

Patrzy mi w oczy z przekrzywioną głową, tak długo, że zaczynam się wić jak piskorz i koniecznie chcę zmienić temat. W końcu pochyla się i powoli mnie całuje. Jej usta smakują lukrową polewą.

Tiffy: Będzie warto zaczekać. Zobaczysz.

Nigdy w to nie wątpiłem.

# 55
# *Tiffy*

Odchylam się do tyłu na krześle, odrywając wzrok od ekranu. Wpatrywałam się w niego zdecydowanie za długo – zdjęcia z sesji w zamku opublikował „Daily Mail” w kąciku mody kobiecej i czuję się z tym dziwnie. Katherin została celebrytką. Nie mogę uwierzyć, jak szybko to się stało, a także nie potrafię przestać czytać komentarzy, w których kobiety rozpływają się nad tym, jak seksownie Leon wygląda na zdjęciach. Oczywiście dobrze o tym wiem, ale mimo wszystko ich opinie wzbudzają we mnie złość pomieszaną z satysfakcją. Zastanawiam się, jak on się z tym czuje. Mam nadzieję, że jest niezbyt biegły technologicznie i nie będzie umiał dostać się do sekcji komentarzy, ponieważ niektóre z nich są naprawdę nieprzyzwoite. Oczywiście pojawiło

się też kilka rasistowskich wpisów, jak wszędzie w internecie, a dyskusja wkrótce zeszła na temat globalnego ocieplenia jako spisku liberałów i zanim się obejrzałam, znalazłam się w internetowym rynsztoku i zmarnowałam pół godziny na czytanie absurdalnych opinii o tym, czy Trump jest neonazistą i czy Leon ma za duże uszy.

Po pracy idę na wizytę do terapeutki. U Lucie jak zwykle przez chwilę panuje niezręczne milczenie, a potem, niby spontanicznie, zaczynam jej opowiadać o paskudnych, bolesnych sprawach, o których na co dzień trudno jest mi choćby myśleć. O tym, jak Justin sprytnie przekonał mnie, że mam kiepską pamięć, dzięki czemu zawsze mógł mi wmówić, że źle coś zapamiętałam. O tym, jak bezczelnie wmawiał mi, że wyrzuciłam część swoich ubrań, podczas gdy tak naprawdę chował na dnie szafy stroje, w których nie chciał mnie oglądać.

O tym, jak w subtelny sposób zmienił seks w obowiązek, który musiałam spełniać, nawet gdy przez niego byłam tak smutna, że mieszało mi się w głowie.

Ale dla Lucie to wszystko drobiazg. Ona tylko kiwa głową. Albo ją przekrzywia. Ewentualnie – w ekstremalnych przypadkach, gdy mówię na

głos coś, co sprawia mi niemal fizyczny ból – rzuca pocieszające „No tak”.

Tym razem na koniec wizyty pyta mnie, czy uważam, że robię postępy. Zaczynam jak zawsze – „Och, jest wspaniale, naprawdę, bardzo dziękuję” – jakbym rozmawiała z fryzjerką, która pyta, czy podoba mi się nowa fryzura, ale Lucie tylko się we mnie wpatruje, więc zaczynam się zastanawiać, jak naprawdę sobie radzę. Dwa miesiące temu nie potrafiłam odmówić Justinowi, gdy chciał mnie zaprosić na drinka. Traciłam mnóstwo sił na bronienie się przed niechcianymi wspomnieniami. Nie chciałam przyznać, że mnie krzywdził. A teraz rozmawiam z kimś innym niż Mo o tym, że nie jestem winna tego, co się wydarzyło z Justinem, i naprawdę w to wierzę.

Kiedy wracam metrem do domu, słucham Kelly Clarkson. Zauważam swoje odbicie w szybie, prostuję plecy i patrzę sobie w oczy, jak podczas pierwszej podróży z mieszkania Justina do mojego własnego lokum. Owszem, mam łzy w oczach po rozmowie z terapeutką, ale tym razem nie zakładam okularów przeciwsłonecznych.

Wiecie co? Jestem z siebie niezwykle dumna.

*

Po powrocie do mieszkania poznaję odpowiedź na pytanie, co Leon sądzi o zdjęciach w kobiecym kąciku mody. Zostawił mi następujący liścik na lodówce:

*Nie zrobiłem kolacji. Jestem na to teraz zbyt sławny.*

*(Czyli zamówiłem żarcie z dostawą, żeby uczcić sukces Katherin i Twój. Pyszne tajskie jedzenie czeka w lodówce). x*

Wygląda na to, że woda sodowa nie uderzyła mu do głowy, a to już coś. Wkładam tajskie danie do mikrofalówki, nucąc *Stronger (What Doesn't Kill You),* i sięgam po długopis. Leon pracuje do środy, a potem jedzie do swojej mamy. Nie zobaczymy się przed piątkową rozprawą Richiego. Nie próżnuje – jutro rano wybiera się na ostatnie spotkanie z Johnnym White'em. Zamierza pojechać najwcześniejszym pociągiem do Cardiff, żeby po powrocie zdrzemnąć się przed pracą. Mam ochotę zwrócić mu uwagę, że nie może tak mało sypiać, ale widzę, że nie wysypia się nawet wtedy, gdy jest tutaj, więc może lepiej, że jest w ruchu. Wreszcie skończył

czytać *Szklany klosz*, co dowodzi, że nie śpi w ciągu dnia i najwyraźniej trzyma się na nogach głównie dzięki kofeinie, ponieważ w tych dniach miesiąca zazwyczaj jeszcze nie kończy się nam kawa rozpuszczalna.

Postanawiam się streszczać.

*Cieszę się, że podoba Ci się Twoje nowe życie celebryty. Ja z kolei jestem żenująco zazdrosna o setkę kobiet w internecie, które uważają, że jesteś „smakowity LOL”, i uznałam, że bardziej mi się podoba, gdy tylko ja się na Ciebie gapię.*

*Trzymam kciuki, żeby Johnny White Ósmy okazał się tym właściwym! xx*

Kiedy następnego wieczoru znajduję odpowiedź, poznaję po niej, że Leon jest wyczerpany. Jego pismo jest mniej staranne niż zwykle, jakby nie miał siły mocno trzymać długopisu.

*Johnny White Ósmy to nie ten, którego szukamy. Prawdę mówiąc, to kawał gbura i homofoba. Poza tym zmusił mnie do zjedzenia mnóstwa przeterminowanych ciastek z nadzieniem figowym.*

*Richie Cię pozdrawia. Wszystko u niego w porządku. Trzyma się. x*

Hm. Richie może się trzyma, ale nie jestem pewna, czy to samo można powiedzieć o Leonie.

# 56
# *Leon*

Spóźniam się do pracy. Chociaż nie miałem czasu, przez dwadzieścia minut dyskutowałem z Richiem o zespole stresu pourazowego. Po raz pierwszy od dawna rozmawiałem z bratem o czymś innym niż jego los, co może dziwić, skoro do rozprawy apelacyjnej zostały trzy dni. Ale Gerty pewnie tak często to z nim omawia, że ucieszyła go zmiana tematu.

Spytałem go także o sądowy zakaz zbliżania się. Nie pozostawił mi wątpliwości: decyzja należy do Tiffy. Popełniłbym duży błąd, gdybym próbował wywierać presję – powinienem pozwolić, by sama doszła do wniosku, że tego potrzebuje. Nie podoba mi się, że jej były wie, gdzie mieszka, ale muszę pamiętać, że to nie moja sprawa.

Jestem już bardzo spóźniony. Wybiegając z budynku, zapinam koszulę. Jestem ekspertem od szybkiego wychodzenia z domu. Udało mi się zaoszczędzić po kilka sekund na każdej czynności, a także zrezygnowałem ze śniadacji, co zemści się na mnie około dwudziestej trzeciej, kiedy okaże się, że dzienne pielęgniarki zjadły wszystkie herbatniki.

Dziwak spod piątki: Leon!

Podnoszę wzrok, gdy drzwi zatrzaskują się za moimi plecami. Woła mnie dziwak z mieszkania numer pięć, ten, który (według Tiffy) każdego dnia o siódmej energicznie się gimnastykuje, a także gromadzi skrzynki po bananach na swoim miejscu parkingowym. Dziwi mnie, że zna moje imię.

Ja: Cześć.

Dziwak spod piątki: Nie wierzyłem, że naprawdę jesteś pielęgniarzem!

Ja: No tak. Jestem spóźniony do pracy, więc…

Dziwak spod piątki macha do mnie swoją komórką, jakbym mógł zobaczyć, co się znajduje na ekranie.

Dziwak, triumfalnie: Jesteś sławny!

Ja: Słucham?

Dziwak: Jesteś w „Daily Mail”! Ubrany w pedalski sweterek dla ważniaków!

Ja: Pedalski już nie jest politycznie poprawnym określeniem, dziwaku spod piątki. Muszę lecieć. Miłego czytania kobiecego kącika mody!

Uciekam jak najszybciej. Po namyśle postanawiam nie zabiegać o sławę.

*

Pan Prior już od dawna nie śpi, więc może zobaczyć zdjęcia. Wkrótce znów zaśnie, ale wiem, że to go rozweseli, więc korzystam z okazji i pokazuję mu zdjęcia na ekranie telefonu.

Hm. Czternaście tysięcy polubień przy zdjęciu, na którym patrzę w dal, ubrany w czarny T-shirt i ogromny szydełkowy szal. Dziwne.

Pan Prior: Bardzo stylowo, Leonie!

Ja: Ależ dziękuję.

Pan Prior: Czy się nie mylę, że to pewna młoda dama przekonała cię, abyś upokorzył się w taki sposób?

Ja: Eee. Mhm. To był pomysł Tiffy.

Pan Prior: Ach, współlokatorka. A także… twoja dziewczyna?

Ja: Nie, nie dziewczyna. Jeszcze nie.

Pan Prior: Nie? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, odniosłem wrażenie, że nie

widzicie świata poza sobą.

Zerkam na kartę pana Priora, uważając, by moja mina niczego nie zdradziła. Zaburzenia funkcjonowania wątroby. Niedobrze. Można się było tego spodziewać, ale mimo wszystko nie wygląda to najlepiej.

Ja: No… zgadza się. Właśnie tak się czuję. Ale nie chcę się za bardzo śpieszyć. Ona chyba też.

Pan Prior marszczy czoło. Jego paciorkowate oczy niemal znikają pod zwieszającymi się brwiami.

Pan Prior: Czy mogę udzielić ci rady, Leonie?

Kiwam głową.

Pan Prior: Nie pozwól, żeby powstrzymywała cię twoja naturalna… powściągliwość. Powiedz jej wprost, co czujesz. Nie da się ukryć, że jesteś zamkniętą księgą, Leonie.

Ja: Zamkniętą księgą?

Zauważam, że dłonie staruszka drżą, gdy wygładza narzutę. Staram się nie myśleć o prognozach.

Pan Prior: Jesteś cichy. Zamyślony. Nie wątpię, że to jej się podoba, ale nie pozwól, by stało się barierą między wami. Sam zbyt długo zwlekałem, by powiedzieć mojemu… za długo czekałem i teraz żałuję, że nie wykorzystałem okazji. Zastanawiam się, jak mogłoby wyglądać

moje życie. Nie mówię, że nie jestem zadowolony ze swojego losu, ale… w młodości marnuje się strasznie dużo czasu.

Nie mogę się ruszyć, by ktoś nie obdarzył mnie słowami mądrości. Ale pan Prior nieco mnie zaniepokoił. Po podróży do Walii uznałem, że nie powinienem się śpieszyć w swoim związku z Tiffy. Ale może za bardzo zwlekam. Najwyraźniej mam to w naturze. Szkoda, że nie wspomniałem jej o pomyśle zmiany dyżurów na dzienne. Z drugiej strony wybrałem się z nią do walijskiego zamku i pozowałem pod targanym wiatrem drzewem, ubrany w obszerny sweter. To chyba nie pozostawia wątpliwości co do moich uczuć?

*

Richie: Nie jesteś otwarty z natury.

Ja: Ależ jestem! Jestem… śmiały. Pełen ekspresji. Jak otwarta księga.

Richie: Ze mną rzeczywiście potrafisz rozmawiać o uczuciach, ale to się nie liczy, a poza tym zazwyczaj to ja zaczynam. Powinieneś wziąć ze mnie przykład, braciszku. Nigdy nie miałem czasu zgrywać trudnego do

zdobycia. W moim przypadku sprawdzały się dostępność i szczerość.

Czuję się lekko zbity z tropu. Byłem zadowolony z tego, co dzieje się między mną a Tiffy, ale teraz ogarnia mnie niepokój. Nie powinienem był zdradzać Richiemu, co mi powiedział pan Prior – mogłem się domyślić, jaka będzie jego opinia. Richie śpiewał dziewczynom miłosne serenady na szkolnych korytarzach, gdy miał dziesięć lat.

Ja: Więc co mam zrobić?

Richie: Ja pierdolę, stary, po prostu powiedz jej, że ją lubisz i chcesz, żebyście oficjalnie zostali parą. Najwyraźniej tego pragniesz, więc to nie może być takie trudne. Muszę kończyć. Gerty chce, żebym znów zrelacjonował jej pierwsze dziesięć minut po wyjściu z klubu. Serio, nie jestem pewien, czy ona jest człowiekiem.

Ja: Ta kobieta jest…

Richie: Nie martw się, nie dam powiedzieć na nią złego słowa. Zamierzałem spytać, czy jest nadczłowiekiem.

Ja: To dobrze.

Richie: No i niezła z niej laska.

Ja: Nawet nie próbuj…

Richie zanosi się śmiechem, a ja szczerzę zęby. Nie umiem powstrzymać uśmiechu, gdy

słyszę ten wesoły rechot.

Richie: Będę grzeczny, obiecuję. Ale jeśli ona mnie stąd wyciągnie, zaproszę ją na kolację. Albo może poproszę o rękę.

Mój uśmiech nieco przygasa. Czuję ukłucie niepokoju. Rozprawa apelacyjna za chwilę naprawdę się odbędzie. Zostały tylko dwa dni. Nawet nie śmiem marzyć, że Richie zostanie uniewinniony, ale mój umysł mimowolnie wraca do tej myśli i odtwarza taki scenariusz. Wyobrażam sobie, jak przyprowadzam go do mieszkania, jak siada na poduszce z kulkami, pije ze mną piwo, znów jest moim braciszkiem.

Nie umiem znaleźć słów, które chciałbym mu powiedzieć. Nie rób sobie nadziei? Ale wiem, że to na nic – ja też wierzę, że się uda. Przecież po to próbujemy. Więc może… nie załamuj się, jeśli przegramy? To też głupota. Żadne słowa nie oddadzą ogromu problemu.

Ja: Do zobaczenia w piątek.

Richie: Oto otwarta księga, którą znam i uwielbiam. Do zobaczenia w piątek, braciszku.

# 57
# *Tiffy*

To pierwsze, co czeka nas w piątek. Nadszedł wielki dzień.

Leon jest u mamy – razem wybierają się do sądu. Rachel i Mo są u mnie. Mo jedzie ze mną na premierę książki – biorąc pod uwagę, ile pracy w nią włożyłam, nawet Martin nie mógł mi odmówić zaproszenia dla osoby towarzyszącej.

Gerty wpada razem z Mo, żeby mnie uściskać i pośpiesznie porozmawiać o sprawie Richiego. Ma już na głowie swoją absurdalną adwokacką perukę, jakby udawała postać z osiemnastowiecznego obrazu.

Mo jest w smokingu, wygląda uroczo. Uwielbiam, kiedy jest elegancki. To jak oglądanie zdjęć, na których szczeniaczki są przebrane za ludzi. Widać, że mu niewygodnie i ma ochotę zdjąć chociaż buty, ale wie, że jeśli sięgnie

w stronę sznurówek, Gerty warknie na niego i będzie musiał się wycofać z podkulonym ogonem. Kiedy Gerty wychodzi, Mo oddycha z ulgą.

– Jeśli chcesz wiedzieć, Mo i Gerty na sto procent się bzykają – mówi Rachel, podając mi szczotkę do włosów.

Wbijam w nią wzrok w lustrze. (W tym mieszkaniu jest stanowczo za mało luster. Szkoda, że nie przygotowujemy się u Rachel, która w sypialni ma całą ścianę szafek z lustrami, prawdopodobnie w celach seksualnych, ale Rachel nie wpuszcza do siebie Gerty, odkąd ta podczas jej przyjęcia urodzinowego skrytykowała panujący w mieszkaniu bałagan).

– Mo i Gerty się nie bzykają – odpowiadam, otrząsając się z szoku i chwytając szczotkę. Próbuję zapanować nad swoimi włosami i elegancko je upiąć, tak jak widziałam w jednym z naszych poradników fryzjerskich. Autorka zapewnia, że to łatwe, ale od piętnastu minut zmagam się z drugim etapem. W sumie jest ich dwadzieścia dwa, a nam zostało pół godziny.

– Ależ tak – stwierdza Rachel rzeczowo. – Wiesz, że mam nosa do takich spraw.

Powstrzymuję komentarz, że Gerty także „ma nosa” i potrafi ocenić, kiedy jej przyjaciółka

z kimś sypia. Nie chcę, żeby to się zmieniło w rywalizację, zwłaszcza że jeszcze nie kochałam się z Leonem.

– Mieszkają razem – mówię z ustami pełnymi spinek. – Czują się swobodniej w swoim towarzystwie niż kiedyś.

– Tak swobodnie można się przy kimś czuć tylko wtedy, gdy chodzi się z nim do łóżka – upiera się Rachel.

– To dziwaczne i prostackie. Zresztą jestem pewna, że Mo jest aseksualny.

Poniewczasie upewniam się, czy drzwi łazienki są zamknięte. Mo jest w salonie. Przez ostatnią godzinę sprawiał wrażenie na zmianę cierpliwego i znudzonego, w zależności od tego, czy uważa, że na niego patrzymy.

– Chcesz w to wierzyć, ponieważ jest dla ciebie jak brat. Ale na pewno nie jest aseksualny. Zeszłego lata startował do mojej koleżanki Kelly podczas przyjęcia.

– W tej chwili nie poradzę sobie z takimi rewelacjami! – rzucam, wypluwając spinki. Zdecydowanie za wcześnie włożyłam je do ust. Przydadzą się podczas czwartego etapu, a wciąż nie przebiłam się przez trzeci.

– Pokaż – mówi Rachel, a ja oddycham z ulgą. Dzięki Bogu.

– Naprawdę nie dałaś mi szansy – skarżę się, gdy chwyta szczotkę, wygładza splątane włosy i zaczyna je układać jedną ręką zgodnie z instrukcją.

– Jak inaczej masz się nauczyć? – pyta.

*

Jest dziesiąta. Dziwnie się czuję w eleganckim stroju tak wcześnie rano. Z jakiegoś powodu mam paranoję, że obleję się herbatą, chociaż jestem pewna, że gdybym piła martini, nie miałabym podobnych obaw. Po prostu picie z kubka nie pasuje do jedwabnej sukienki.

Rachel przeszła samą siebie – moje włosy są gładkie i lśniące, splecione na karku w kilka tajemniczych zawijasów, zupełnie jak na zdjęciu. Ale skutkiem ubocznym jest znaczne odsłonięcie dekoltu. Kiedy przymierzałam tę sukienkę, miałam rozpuszczone włosy i nie zauważyłam, jak dużo odsłania głęboki dekolt w kształcie serca. No trudno. To także mój dzień, w końcu to ja zdobyłam tę książkę dla wydawnictwa. Mam prawo ubrać się nieprzyzwoicie.

Odzywa się alarm, przypominając mi, żebym sprawdziła, co słychać u Katherin. Dzwonię do niej, próbując nie zauważać tego, że znajduje się

wyżej na liście najczęściej wybieranych numerów niż moja matka.

– Jesteś gotowa? – pytam, gdy tylko odbiera.

– Prawie! – szczebiocze. – Już skończyłam poprawki do stroju i…

– Jakie poprawki? – pytam podejrzliwie.

– Przymierzyłam go i uświadomiłam sobie, jak ponuro i nudno wyglądam w tej sukience, którą wybrali dla mnie twoi koledzy, więc lekko zmieniłam rąbek i dekolt.

Chcę ją zganić, ale szybko się opamiętuję. Po pierwsze, zmiany już się dokonały – skoro skróciła suknię, to nie da się jej uratować. A po drugie, moja śmiała sukienka będzie prezentowała się znacznie lepiej obok stroju kogoś, kto także postanowił pokazać za dużo ciała.

– W porządku. Odbierzemy cię o wpół.

– Klawo! – woła, mam nadzieję, że ironicznie, ale nie jestem pewna.

Zerkam na zegarek i rozłączam się. Mam dziesięć minut. (Musiałam wziąć pod uwagę przygotowania Rachel, które zawsze trwają o połowę dłużej, niż się wydaje. Oczywiście będzie się usprawiedliwiała, że musiała mi ułożyć włosy, ale tak naprawdę opóźnienia wynikają z tego, że jest samozwańczą królową

konturówki i poświęca co najmniej czterdzieści minut na subtelne zmienianie kształtu twarzy, zanim zabierze się do oczu i ust).

Właśnie mam napisać do Leona z zapytaniem, co u niego, gdy dzwoni telefon stacjonarny.

– Co to, kurwa, jest?! – woła Rachel z łazienki.

– Nasz telefon stacjonarny! – odwrzaskuję, biegnąc w kierunku, z którego dobiega dźwięk (najwyraźniej gdzieś z okolic lodówki). Niełatwo biegać w tym stroju – spódnica nadyma się i dwukrotnie niebezpiecznie zaplątuję się bosą stopą w tiul. Krzywię się, kiedy materiał szarpie mnie za obolałą kostkę. Już mogę na niej chodzić, ale bieganie wyraźnie jej nie służy. Prawdę mówiąc, moja zdrowa kostka też za nim nie przepada.

– Wasz co? – pyta Mo z rozbawieniem.

– Telefon stacjonarny – powtarzam, grzebiąc wśród przedmiotów piętrzących się na kuchennych blatach.

– Wybacz, nie wiedziałam, że mamy lata dziewięćdziesiąte! – woła Rachel w tej samej chwili, gdy znajduję telefon.

– Słucham?

– Tiffy?

Marszczę czoło.

– Richie? Wszystko w porządku?

– Będę szczery, Tiffy – odpowiada. – Robię w gacie ze strachu. Nie dosłownie, ale może to tylko kwestia czasu.

– Ktokolwiek to jest, mam nadzieję, że podoba mu się najnowsza płyta Blur! – woła Rachel.

– Zaczekaj. – Przechodzę do sypialni i starannie zamykam za sobą drzwi. Z trudem układam spódnicę w taki sposób, że mogę przysiąść na skraju łóżka bez ryzyka podarcia stroju. – Nie powinieneś teraz być w jakiejś furgonetce albo czymś takim? Jakim cudem do mnie dzwonisz? Chyba nie zapomnieli o dacie twojej rozprawy?

Słyszałam wiele strasznych opowieści z ust Gerty i Leona, więc wiem, że przez więzienną biurokrację więźniowie nie zawsze docierają do sądu na czas. Kilka dni temu przenieśli Richiego do (jeszcze bardziej ponurego) londyńskiego aresztu, żeby był blisko sądu, ale też musi do niego dojechać. Robi mi się niedobrze na myśl, że wszystkie te przygotowania mogą pójść na marne, ponieważ ktoś zapomniał zadzwonić w sprawie transportu.

– Nie, już jechałem furgonetką – odpowiada Richie. – Mówię ci, kupa śmiechu. Jakimś cudem spędziłem w środku pięć godzin, chociaż mógłbym przysiąc, że przez połowę czasu

staliśmy w miejscu. Nie mam prawa do telefonu, ale pilnuje mnie pewna Irlandka, która powiedziała, że jestem podobny do jej syna. No i że wyglądam fatalnie. Powiedziała, żebym zadzwonił do swojej dziewczyny, ale żadnej nie mam, więc pomyślałem o tobie, bo jesteś dziewczyną Leona. Albo mogłem wybrać Ritę ze szkoły, z którą chyba nawet oficjalnie nie zerwałem.

– Bełkoczesz, Richie – odpowiadam. – Co się stało? Zjadają cię nerwy?

– To przypadłość starych babć. W moim przypadku lepsze będzie słowo „groza”.

– Rzeczywiście, brzmi lepiej. Kojarzy się z horrorami, a nie z omdleniem z powodu zbyt ciasnego gorsetu.

– Właśnie.

– Gerty tam jest?

– Jeszcze jej nie widzę. Zresztą jest zajęta prawniczą robotą. Na razie muszę sobie radzić sam. – Mówi swobodnie i jak zwykle żartuje z siebie, ale łatwo można usłyszeć drżenie w jego głosie.

– Nie musisz sobie radzić sam – odpowiadam stanowczo. – Masz nas wszystkich. Podczas naszej pierwszej rozmowy powiedziałeś, że zaczynasz się przyzwyczajać do więzienia.

Pamiętaj, że w najgorszym wypadku czeka cię dłuższy pobyt w miejscu, w którym już potrafisz się odnaleźć.

– A jeśli zwymiotuję na sali sądowej?

– Wtedy ktoś opróżni salę i wezwie osobę sprzątającą, a potem rozprawa zostanie wznowiona. Coś takiego nie sprawi, że sędziowie wezmą cię za uzbrojonego złodzieja, prawda?

Richie wydaje z siebie zduszony chichot. Na chwilę milknie.

– Nie chcę zawieść Leona – mówi w końcu. – Tak wiele sobie po tym obiecuje. Nie chcę… nie mogę znów go rozczarować. To było najgorsze, co mi się przytrafiło, mówię szczerze. Wyraz jego twarzy.

– Nigdy go nie zawiodłeś – zaprzeczam. Serce wali mi jak młotem. To bardzo ważne. – On wie, że tego nie zrobiłeś. System… zawiódł was obu.

– Powinienem był się przyznać. Odsiedziałbym wyrok, opuścił więzienie, a on mógłby się zająć swoim życiem. To wszystko… nie wyjdzie mu na dobre.

– Leon zamierzał walczyć niezależnie od twojej decyzji. Nigdy by nie pozwolił, żeby ktoś skrzywdził jego brata. Poczułby się rozczarowany tylko wtedy, gdybyś się poddał.

Richie bierze głęboki, rozdzierający oddech.

– Doskonale – mówię. – Oddychaj. Słyszałam, że to bardzo pomaga ludziom o słabych nerwach. Masz sole trzeźwiące?

Znów chichocze, tym razem bardziej swobodnie.

– Nazywasz mnie mięczakiem? – pyta.

– Jestem przekonana, że jesteś bardzo dzielnym facetem – zapewniam. – Ale owszem, w tej chwili nazywam cię mięczakiem. Może to ci przypomni, jaki jesteś odważny.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Tiffy.

– A skoro już jesteś mniej zielony na twarzy… Możemy wrócić do tej „dziewczyny Leona”?

Zapada cisza.

– Nie jesteś dziewczyną Leona? – pyta.

– Jeszcze nie. To znaczy jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Byliśmy dopiero na kilku randkach.

– On za tobą szaleje – odpowiada Richie. – Może nie mówi tego na głos, ale…

Czuję ukłucie niepokoju. Ja też straciłam głowę dla Leona. Myślę o nim przez większą część dnia, a także w nocy. Ale… sama nie wiem. Myśl, że miałby zostać moim chłopakiem, sprawia, że czuję się osaczona.

Poprawiam ubranie, zastanawiając się, czy tylko ja mam problemy w gorsetami i nerwami.

Naprawdę lubię Leona. Co za głupota. Chciałabym móc go nazywać swoim chłopakiem i przedstawiać go tak innym. Zawsze się tego pragnie, gdy się za kimś szaleje. Ale…

Co by powiedziała Lucie?

Prawdę mówiąc, pewnie nic. Pozwoliłaby mi samej rozmyślać o tym, że ten dziwaczny lęk przed osaczeniem niemal na pewno łączy się z faktem, że byłam związana z mężczyzną, który nigdy tak naprawdę nie wypuścił mnie z rąk.

– Tiffy? – odzywa się Richie. – Chyba muszę kończyć.

– O Boże, tak – rzucam, otrząsając się z zamyślenia. Nie wiem, dlaczego zamartwiam się, jaką etykietkę przyczepić Leonowi, podczas gdy jego brat za chwilę ma wejść na salę sądową. – Powodzenia, Richie. Żałuję, że nie mogę tam być.

– Może spotkamy się po drugiej stronie – mówi drżącym głosem. – A jeśli nie, opiekuj się Leonem.

Tym razem ta prośba nie brzmi dziwnie.

– Dobrze – odpowiadam. – Obiecuję.

# 58
# *Leon*

Nienawidzę tego garnituru. Ostatnio miałem go na sobie w sądzie podczas procesu, a potem wepchnąłem go do szafy w mieszkaniu mamy. Kusiło mnie nawet, żeby go spalić, jakby był skażony. Dobrze, że tego nie zrobiłem. Nie mogę sobie pozwolić na kupowanie garnituru za każdym razem, gdy system prawny zawodzi. Możliwe, że to nie jest nasza ostatnia apelacja.

Mama płacze i cała się trzęsie. Staram się być silny dla niej, ale nie mogę wytrzymać z nią w jednym pomieszczeniu. Byłoby mi łatwiej, gdyby chodziło o kogokolwiek innego. Chcę, żeby to ona się mną opiekowała, a nie na odwrót, i niemal wpadam w złość, gdy widzę ją w takim stanie, chociaż jednocześnie bardzo mnie to smuci.

Sprawdzam telefon.

**Właśnie rozmawiałam z Richiem — zadzwonił do nas, żeby się trochę podbudować. Jakoś się trzyma. Wszystko będzie dobrze, niezależnie, co się stanie. Napisz, jeśli będę mogła w czymś pomóc. Zawsze mogę się wymknąć, żeby zadzwonić. Tiffy xx**

Na chwilę robi mi się ciepło na sercu, po całym poranku wypełnionym lodowatym strachem. Przypominam sobie o postanowieniu, by mówić Tiffy otwarcie o swoich uczuciach i skierować nasz związek w bardziej poważne rejony, na przykład poprzez spotkanie z jej rodzicami i tak dalej.

Mama: Kochanie?

Ostatnie spojrzenie w lustro. Patrzy na mnie chudszy, długowłosy, wyciągnięty Richie. Nie mogę go wyrzucić z głowy – wciąż pamiętam, jak wyglądał, gdy odczytano mu wyrok oraz towarzyszący mu stek bzdur o dokonanej z zimną krwią wyrachowanej zbrodni. Pamiętam, jak wytrzeszczył przerażone oczy.

Mama: Leon? Kochanie?

Ja: Już idę.

*

Witaj ponownie, salo sądowa.

Jest taka pospolita. Nie ma tutaj drewnianych siedzisk ani sklepionych sufitów rodem z amerykańskich dramatów sądowych – tylko mnóstwo papierów na biurkach, wykładzina i ustawione rzędami ławki, na których siedzi kilku znudzonych prawników i dziennikarzy. Jeden z tych ostatnich szuka gniazdka, żeby naładować telefon. Studentka prawa przygląda się swojej butelce ze smoothie.

Dziwne. Jeszcze niedawno miałbym ochotę wydrzeć się na nich oboje. „Skupcie się, kurwa. Patrzycie, jak niszczą komuś życie". Ale to wszystko część rytualnej otoczki, a skoro już wiemy, jak grać w tę grę – ponieważ mamy prawnika, który zna zasady – sam rytuał staje się mniej irytujący.

Pomarszczony mężczyzna w długiej todze podobnej do stroju postaci z *Harry'ego Pottera* wchodzi do sali razem ze strażnikiem więziennym i Richiem. Richie nie jest skuty kajdankami, co mnie cieszy, ale wygląda tak źle, jak się obawiałem. W ostatnich kilku miesiącach nabrał mięśni, ponieważ znów zaczął ćwiczyć, ale jest przygarbiony, jakby muskuły nadmiernie mu ciążyły. Ledwie rozpoznaję w nim osobę, która weszła do sądu w zeszłym roku,

przekonana, że niewinny człowiek nie może zostać skazany. Brata, który dorastał u mojego boku, starał się mi dorównać i zawsze stał za mną murem.

Niemal nie mogę na niego patrzeć – jego wystraszone spojrzenie sprawia mi zbyt wielki ból. Kiedy patrzy na mnie i mamę, jakimś cudem zdobywam się na pocieszający uśmiech. Sadzają go w przeszklonym boksie i zamykają drzwi.

Czekamy. Dziennikarzowi udało się podłączyć telefon i teraz pomimo wiszącej nad nim ogromnej tablicy z zakazem używania telefonów przegląda coś, co wygląda jak strona internetowa Reutersa. Dziewczyna ze smoothie skubie luźne nitki swojego puszystego szalika.

Muszę dalej się uśmiechać do Richiego. Gerty też tu jest, ubrana w swój absurdalny strój, niemal nie do odróżnienia od pozostałych prawników, chociaż widziałem ją, jak jadła chińskie danie na wynos w mojej kuchni. Aż się jeżę na jej widok. To odruchowa, pierwotna reakcja. Muszę stale sobie przypominać, że gra w naszej drużynie.

Pomarszczony mężczyzna w todze: Proszę wstać!

Wszyscy wstają. Do sali wchodzi trzech sędziów. Czy to będzie generalizacja, jeśli

powiem, że wszyscy są białymi mężczyznami w średnim wieku i noszą buty warte więcej niż samochód mojej matki? Próbuję stłumić wzbierającą we mnie nienawiść, gdy zajmują swoje miejsca. Przeglądają leżące przed nimi papiery. W końcu podnoszą wzrok na Gerty i na prokuratora. Żaden nie patrzy na mojego brata.

Sędzia 1: Zaczynamy?

# 59
# *Tiffy*

Katherin jest malutką, ubraną na czarno figurką na scenie. Pojawia się także na trzech telebimach za swoimi plecami, tym razem powiększona do przerażających rozmiarów – na jednym z ekranów widnieją tylko jej dłonie, dzięki czemu widzowie mogą patrzeć, jak operuje szydełkiem, a dwa pozostałe pokazują jej twarz.

To niezwykłe. Tłum jest oczarowany. Wszyscy ubraliśmy się zdecydowanie zbyt elegancko jak na odbywające się w ciągu dnia spotkanie dotyczące szydełkowania, ale Katherin na to nalegała – chociaż gardzi burżuazyjnymi postawami, nigdy nie przegapi okazji, by włożyć wyszukane ciuchy. Kobiety w sukniach koktajlowych patrzą na jej olbrzymią twarz, unieśmiertelnioną na wielkich ekranach pod

sklepionym sufitem. Mężczyźni w smokingach reagują serdecznym śmiechem na jej dowcipne uwagi. Pewna młoda kobieta w satynowej sukience nawet powtarza ruchy dłoni Katherin, chociaż nie trzyma szydełka, tylko malutką kanapkę z kozim serem.

Ale mimo że wokół mnie dzieje się tyle dziwacznych rzeczy, nie mogę przestać myśleć o Richiem i o tym, jak drżał mu głos, gdy rozmawialiśmy przez telefon.

Nikt by nie zauważył, gdybym się wymknęła. Mój ubiór nie pasuje do sali sądowej, ale może mogłabym zahaczyć o swoje mieszkanie, zabrać inne ciuchy i przebrać się w taksówce…

Boże, nie mogę uwierzyć, że jestem gotowa zapłacić za taksówkę.

– Patrz! – syczy nagle Rachel, dając mi kuksańca w bok.

– Auu! Co?

– Patrz! To Tasha Chai-Latte!

Podążam wzrokiem za jej palcem. Młoda kobieta ubrana w subtelną suknię koktajlową w kolorze lila właśnie wmieszała się w tłum w towarzystwie oszałamiająco atrakcyjnego chłopaka. Podąża za nimi groźnie wyglądający mężczyzna w smokingu – zapewne ochroniarz.

Rachel ma rację, to na pewno ona. Rozpoznaję jej kształtne kości policzkowe z filmów na YouTubie. Wbrew sobie czuję łaskotanie w żołądku – mam słabość do sławnych ludzi.

– Nie wierzę, że przyszła!

– Martin będzie wniebowzięty. Myślisz, że Tasha zgodzi się, żebym zrobiła sobie z nią zdjęcie? – pyta Rachel. Ponad nami olbrzymia Katherin na ekranach uśmiecha się do tłumu, a jej dłonie pokazują skończoną robótkę.

– Na twoim miejscu przejmowałabym się raczej wielkoludem w smokingu.

– Ona nagrywa! Popatrz!

Nieprawdopodobnie przystojny chłopak Tashy Chai-Latte wyjął z pokrowca niewielką drogą kamerę i manipuluje przyciskami. Tasha sprawdza fryzurę i makijaż, delikatnie dotykając palcem ust.

– Mój Boże. Wrzuci nagranie z imprezy na swój kanał na YouTubie. Myślisz, że Katherin wspomni o tobie w swoim przemówieniu? Będziemy sławne!

– Uspokój się – odpowiadam, wymieniając spojrzenia z Mo, zajmującym się w tej chwili sporą stertą kanapek, które gromadził, gdy wszyscy byli zbyt zaaferowani szydełkowaniem, by myśleć o jedzeniu.

Chłopak kieruje kamerę na twarz Tashy, a ona natychmiast zaczyna się uśmiechać, zapominając o włosach i makijażu.

– Podejdź bliżej, bliżej – szepcze Rachel, posyłając Mo w stronę Tashy. Przesuwamy się w ślad za nim, próbując wyglądać nonszalancko, aż w końcu jesteśmy wystarczająco blisko, by ich słyszeć.

– …niesamowita kobieta! – mówi Tasha. – A poza tym, czy to miejsce nie jest piękne? Mój Boże, kochani, mam wielkie szczęście, że mogę tutaj być i dzielić się tym z wami wszystkimi… na żywo! Wiecie, jak ważne jest dla mnie wspieranie prawdziwych artystów, a właśnie kimś takim jest Katherin.

Tłum wiwatuje – Katherin zakończyła prezentację. Tasha niecierpliwie macha ręką i każe chłopakowi powtórzyć ujęcie. Pewnie przygotowują się do transmisji na żywo.

– A teraz kilka podziękowań! – woła Katherin ze sceny.

– Uwaga – szepcze podniecona Rachel. – Na pewno o tobie wspomni.

Skręca mnie w żołądku. Nie jestem pewna, czy chcę, by o mnie wspomniała – w sali jest mnóstwo ludzi, a kolejne kilka milionów wkrótce obejrzy transmisję na kanale Tashy Chai-Latte.

Poprawiam sukienkę, próbując przesunąć ją nieco do góry.

Ale niepotrzebnie się martwiłam. Katherin zaczyna od podziękowań dla licznych przyjaciół i członków rodziny, a lista jest absurdalnie długa (nachodzi mnie myśl, że trochę sobie kpi – to byłoby w jej stylu). Tłum traci zainteresowanie. Ludzie zaczynają się rozglądać za prosecco i przekąskami.

– Są także dwie osoby – oznajmia Katherin uroczyście – o których muszę wspomnieć na końcu.

Nie może chodzić o mnie. Pewnie wymieni mamę i tatę. Rachel posyła mi rozczarowane spojrzenie, a potem skupia uwagę na Tashy i jej chłopaku, którzy nagrywają wszystko w skupieniu.

– Dwie osoby, bez których ta książka nigdy by nie powstała – ciągnie Katherin. – Pracowały bardzo ciężko, by *Szydełkiem przez życie* mogła zostać wydana. A co więcej, wierzyły we mnie od samego początku, gdy jeszcze nie mogłam liczyć na takie tłumy na swoich prezentacjach.

Rachel i ja patrzymy na siebie.

– To na pewno nie ja – szepcze Rachel, nagle wyraźnie zdenerwowana. – Przecież ona nigdy nie pamięta, jak mam na imię.

– Tiffy i Rachel redagowały i projektowały moje książki przez ostatnie trzy lata i to im zawdzięczam swój sukces – ogłasza Katherin, a tłum klaszcze. – Nie wiem, jak im dziękować za to, że uczyniły moją książkę najlepszą i najpiękniejszą, jaką mogła się stać. Rachel! Tiffy! Wejdźcie na scenę. Mam coś dla was obu.

Gapimy się na siebie nawzajem. Rachel nie panuje nad oddechem. Nigdy w życiu tak bardzo nie żałowałam wyboru stroju. Muszę stanąć przed tysiącem ludzi ubrana w coś, co ledwie zakrywa moje sutki.

Ale kiedy przebijamy się do sceny – co naprawdę trochę trwa, w końcu stałyśmy dość daleko – widzę, że Katherin uśmiecha się do nas z ogromnych ekranów. Prawdę mówiąc, ma łzy w oczach. Boże. Czuję się jak oszustka. To prawda, przez ostatnie kilka miesięcy bezustannie siedziałam nad książką Katherin, ale sporo na nią narzekałam, a przede wszystkim niewiele za nią zapłaciłam.

Staję na scenie, zanim do końca orientuję się, co się dzieje. Katherin całuje mnie w policzek i wręcza mi olbrzymi bukiet lilii.

– Myślałyście, że o was zapomniałam? – szepcze mi do ucha z zawadiackim uśmiechem. – Sława jeszcze nie uderzyła mi do głowy.

Ludzie biją brawo, a odgłos oklasków odbija się echem od stropu, tak że nie wiem, skąd naprawdę dobiega. Uśmiecham się, mając nadzieję, że siłą woli powstrzymam sukienkę przed opadaniem. Światła są takie jasne, gdy stoi się na scenie – za każdym razem, kiedy mrugam, rozbłyskują mi pod powiekami jak eksplodujące gwiazdy. Wszystko jest albo bardzo białe i lśniące, albo czarne i zacienione, jakby ktoś przestawił kontrast.

Pewnie dlatego nie zauważam zamieszania, dopóki nie dociera do pierwszych rzędów. Ludzie oglądają się, pokrzykują i zataczają, jakby ktoś ich popychał. W końcu jakaś postać wyłania się z tłumu i wskakuje na scenę.

Nie widzę dokładnie, ponieważ oczy pieką mnie od świateł, a kielichy lilii kołyszą się przede mną, gdy próbuję mocno chwycić bukiet, jednocześnie zastanawiając się, jak zejdę ze sceny w tych butach, skoro nie będę mogła się przytrzymać poręczy.

Ale rozpoznaję ten głos. A kiedy zdaję sobie z tego sprawę, wszystko inne przestaje się liczyć.

– Mogę na chwilę przejąć mikrofon? – pyta Justin, ponieważ oczywiście, wbrew logice, wbrew prawdopodobieństwu, to właśnie on

przepchnął się przez tłum. – Chciałbym coś powiedzieć.

Katherin bez zastanowienia przekazuje mu mikrofon. W ostatniej chwili zerka na mnie ze zmarszczonym czołem, ale już jest za późno. Oto cały Justin: zawsze dostaje to, czego chce.

Odwraca się w moją stronę.

– Tiffy Moore, popatrz na mnie.

Ma rację – nie patrzę na niego. Obracam głowę jak marionetka na jego sznurkach i patrzę mu w oczy. Oto on. Kanciasta szczęka, idealnie przystrzyżona broda, silne ramiona pod marynarką smokingu. Łagodne oczy wpatrzone we mnie, jakbym była jedyną dziewczyną w pomieszczeniu. Ani śladu człowieka, o którym opowiadałam terapeutce i który mnie skrzywdził. Ten mężczyzna to spełnienie marzeń.

– Tiffy Moore – zaczyna jeszcze raz. Wszystko jest nie tak, jakbyśmy znaleźli się w alternatywnym świecie rodem z *Przypadkowej dziewczyny*, i nagle boję się, że rzeczywistość, w której nie potrzebuję i nie chcę Justina, zniknie. – Jestem zagubiony bez ciebie.

Zapada cisza. Niezręczna, potworna, rozbrzmiewająca echem cisza przypominająca uporczywą nutę, która dźwięczy nam w uszach po ustaniu muzyki.

Potem Justin pada na jedno kolano.

Nagle zdaję sobie sprawę z reakcji tłumu – mruczą i wzdychają – oraz widzę otaczające mnie twarze zaszokowanej Rachel i zaskoczonej Katherin. Rozpaczliwie pragnę uciec, chociaż podejrzewam, że nawet gdybym odnalazła w sobie niezbędną siłę, moje nogi i tak odmówiłyby posłuszeństwa. Mam wrażenie, że wszystkie osoby na scenie tworzą żywy obraz.

– Proszę – zaczynam. Dlaczego zaczęłam od prośby? Próbuję znów się odezwać, ale Justin mi nie pozwala.

– Jesteś mi przeznaczona – mówi. Ma delikatny głos, który jednak doskonale słychać w całej sali. – Teraz już to wiem. Nie rozumiem, jak mogłem przestać w nas wierzyć. Jesteś wszystkim, czego pragnę. – Przekrzywia głowę, czemu nigdy nie potrafiłam się oprzeć. – Wiem, że na ciebie nie zasługuję. Wiem, że jesteś dla mnie za dobra, ale…

Coś we mnie brzęczy, niczym struna bliska pęknięcia. Przypominam sobie, jak Gerty mówiła, że Justin doskonale umie mną manipulować, i właśnie to widzę. Oto ten sam Justin, który zdobył mnie na początku.

– Tiffany Moore, czy zostaniesz moją żoną?

Jest coś w jego oczach – to one zawsze najmocniej do mnie przemawiały. Przedłużająca się cisza zaciska się wokół mojej krtani. Mam wrażenie, że jestem w dwóch miejscach jednocześnie, że jestem dwiema różnymi osobami. To uczucie jest tak silne, jakbym była na wpół uśpiona i miotała się między jawą a snem. Oto Justin, który błaga o moją rękę. Justin, którego zawsze pragnęłam. Justin, którego miałam na początku, z którym wielokrotnie się kłóciłam i rozstawałam, ale o którego zawsze chciałam walczyć.

Otwieram usta i zaczynam mówić, ale bez mikrofonu mój głos ginie za bukietem z lilii. Sama nie słyszę swojej odpowiedzi.

– Zgodziła się! – wrzeszczy Justin, wstając i rozkładając szeroko ręce. – Zgodziła się!

Tłum zaczyna wiwatować. Gwar jest nie do wytrzymania. Światła wypalają pręgi pod moimi powiekami, a Justin chwyta mnie w objęcia, przytula, dotyka ustami moich włosów i wcale nie czuję się z tym dziwnie – dotyk i ciepło jego silnego ciała są straszliwie znajome.

# 60
# *Leon*

Pani Constantine: Pani Wilson, jako pierwsza biegła sądowa, czy mogłaby pani zacząć od poinformowania sądu, co wynika z przeprowadzonej przez panią ekspertyzy?

Pani Wilson: Od piętnastu lat zajmuję się analizą i poprawianiem jakości nagrań z monitoringu. Pracuję dla jednej z czołowych brytyjskich firm w tej branży. To właśnie mój zespół poskładał to poprawione nagranie [wskazuje na ekran].

Pani Constantine: Dziękuję bardzo, pani Wilson. Opierając się na pani doświadczeniu w badaniu zapisów z monitoringu, co może nam pani powiedzieć o tych dwóch krótkich nagraniach, które dziś obejrzeliśmy?

Pani Wilson: Sporo. Po pierwsze, przedstawiają dwóch różnych facetów.

Pani Constantine: Naprawdę? Wydaje się, że jest pani tego pewna.

Pani Wilson: Jeszcze jak. Po pierwsze, proszę się przyjrzeć kolorowi bluz z kapturem na poprawionym nagraniu. Tylko jedna bluza jest czarna. Widać różnice w odcieniu. Czerń jest bardziej gęsta.

Pani Constantine: Czy możemy zobaczyć na ekranie oba materiały? Dziękuję.

Pani Wilson: Poza tym proszę zwrócić uwagę na ich chód! Pierwszy gość jest wyraźnie naje… wyraźnie pijany, Wysoki Sądzie. Idzie zygzakiem. Prawie wpada na witrynę. Drugi całkiem udanie go naśladuje, ale idzie bardziej prosto i bardzo zręcznie sięga po nóż. Pierwszy facet prawie upuścił piwo!

Pani Constantine: Na nowym nagraniu z kamery sprzed sklepu Aldi wyraźniej widać ten charakterystyczny… zygzakowaty chód?

Pani Wilson: O tak.

Pani Constantine: Czy wśród członków grupy, która na wcześniejszym nagraniu idzie za panem Twomeyem… widzi pani mężczyznę, który pojawia się z nożem w sklepie monopolowym?

Pan Turner, do sędziów: Wysoki Sądzie, to czyste spekulacje.

Sędzia Whaite: Nie widzimy przeciwskazań. Pani Constantine prosi biegłą o fachową opinię.

Pani Constantine: Pani Wilson, czy któryś z tych mężczyzn mógł być napastnikiem ze sklepu monopolowego?

Pani Wilson: O tak. Pierwszy gość po prawej. Ma zdjęty kaptur i nie udaje pijanego, ale za każdym razem, gdy stawia lewą stopę, opada mu jedno ramię. Proszę popatrzeć, jak się po nim masuje – taki sam gest wykonuje mężczyzna w sklepie monopolowym tuż przed wyciągnięciem noża.

Pan Turner: Zebraliśmy się tutaj, żeby ponownie rozpatrzyć wyrok skazujący pana Twomeya. Jaki sens ma obciążanie niezidentyfikowanego świadka?

Sędzia Whaite: Rozumiem pańskie stanowisko, panie Turner. No dobrze, pani Constantine, czy ma pani jeszcze jakieś pytania związane ze sprawą?

Pani Constantine: Nie, Wysoki Sądzie. Mam nadzieję, że wrócimy do tej rozmowy w późniejszym terminie, gdy sprawa zostanie przekazana do ponownego rozpatrzenia.

Prokurator Turner szyderczo parska, zasłaniając usta dłonią. Gerty posyła mu lodowate spojrzenie. Pamiętam, jak pan Turner

traktował Richiego podczas procesu. Nazywał go oprychem, brutalnym przestępcą, dzieckiem, które bierze sobie wszystko, na co ma ochotę. Widzę, jak pan Turner blednie pod wpływem wzroku Gerty. Miło wiedzieć, że nawet w swojej todze i peruce nie jest odporny na moc jej spojrzenia.

Patrzę Richiemu w oczy i po raz pierwszy tego dnia szczerze się uśmiecham.

*

Podczas przerwy wychodzę i włączam telefon. Moje serce nie bije szybciej niż zazwyczaj, ale… głośniej. Donośniej. Wszystko wydaje mi się wyraźniejsze: kiedy piję kawę, ma mocniejszy smak; kiedy niebo się przejaśnia, słońce świeci bardziej jaskrawo. Nie wierzę, jak dobrze nam idzie. Gerty nie zatrzymuje się nawet na chwilę – każde jej słowo jest takie… ostateczne. Sędziowie tylko kiwają głowami. Podczas procesu sędzia w ogóle nie przytakiwał.

Tyle razy sobie to wyobrażałem, a teraz to się dzieje naprawdę. Mam wrażenie, że śnię.

Kilka wiadomości od Tiffy. Piszę szybką odpowiedź. Pocą mi się dłonie, niemal boję się o tym napisać, żeby nie zapeszyć. Chciałbym móc

do niej zadzwonić. Zamiast tego zaglądam na profil facebookowy Tashy Chai-Latte, która podobno prowadzi transmisję z premiery książki. Wrzuciła już filmik, który ma tysiące odsłon; chyba właśnie z premiery, sądząc po sklepionym suficie widocznym na miniaturce.

Siadam na ławce przed budynkiem sądu i oglądam nagranie, ignorując tłumek paparazzich czekających na możliwość zrobienia zdjęcia, za które ktoś im zapłaci.

To podziękowania Katherin. Uśmiecham się, słuchając o zasługach Tiffy. Wiem od niej, że rzadko docenia się pracę redaktorów, a tym bardziej projektantów. Widzę rozpromienioną Rachel, która staje na scenie obok Tiffy.

Kamera gwałtownie się porusza. Ktoś przepycha się przez tłum. Kiedy wskakuje na scenę, od razu go rozpoznaję.

Nagle ogarnia mnie poczucie winy i chcę pędzić do Islington. Pochylam się i wbijam wzrok w malutki ekran.

Nagranie kończy się po tym, jak Tiffy mówi „Tak”.

Jestem zaskoczony tym, jak fatalnie się czuję. Pewnie do końca nie zdajemy sobie sprawy z tego, co do kogoś czujemy, dopóki ten ktoś nie zgodzi się wyjść za kogoś innego.

# 61
# *Tiffy*

Justin ściąga mnie ze sceny za kulisy. Idę z nim, ponieważ chcę przede wszystkim uciec od zgiełku, świateł i tłumu, ale gdy tylko chowamy się za kurtyną, wyrywam dłoń z jego uścisku. Mój nadgarstek pulsuje bólem; Justin trzymał mnie za mocno. Jesteśmy w wąskim korytarzu o czarnych ścianach obok sceny, w którym nie ma nikogo poza ubranym na czarno mężczyzną z krótkofalówką, który stoi pośród kłębowiska kabli.

– Tiffy? – odzywa się Justin. Wyczuwam, że słabość w jego głosie jest udawana.

– Co ty sobie, kurwa… – zaczynam. Cała się trzęsę. Trudno jest mi się utrzymać na nogach, zwłaszcza na wysokich obcasach. – Co to miało być?

– O co ci chodzi? – Znów wyciąga do mnie ręce.

Rachel wpada za kulisy i zrzuca buty.

– Tiff… Tiffy!

Obracam się w jej stronę, a ona dobiega i mocno mnie obejmuje. Justin patrzy na nas spod lekko przymrużonych powiek. Widzę, że coś knuje, więc zanurzam twarz w gęstych warkoczykach Rachel i z całych sił staram się nie rozpłakać.

– Tiffy?! – woła ktoś inny. To Mo. Nie potrafię ocenić, skąd dobiega głos.

– Twoi przyjaciele przyszli, żeby ci pogratulować – mówi Justin życzliwie, ale ma napięte ramiona.

– Mo?! – wołam. Pojawia się za plecami Justina, zza zasłony oddzielającej nas od głównej części kulis. Zdjął marynarkę i ma potargane włosy, jakby biegł.

Po chwili już jest przy mnie. Za sobą słyszę, jak Katherin dzielnie próbuje wrócić do tematu *Szydełkiem przez życie*.

Justin obserwuje naszą trójkę. Rachel wciąż mnie obejmuje, a ja podnoszę wzrok na Justina.

– Dobrze wiesz, że wcale się nie zgodziłam – rzucam bezbarwnym głosem.

Szerzej otwiera oczy.

– Co masz na myśli?

Kręcę głową. Wiem, co on robi – pamiętam to uczucie, dręczące wyrzuty sumienia.

– Nie zmusisz mnie do uwierzenia w coś, co nie jest prawdą.

W jego oczach pojawia się błysk – może myśli: Już wiele razy mi się udało.

– Już nie – dodaję. – Wiesz, jak coś takiego się nazywa? Manipulacja. To rodzaj maltretowania psychicznego. Wmawiasz mi, że sprawy wyglądają inaczej, niż ja je postrzegam.

To nim wstrząsa. Nie jestem pewna, czy Rachel albo Mo dostrzegają, co się dzieje, ale ja widzę, że zadałam celny cios. Tiffy, jaką znał, nigdy nie użyłaby takich słów jak „manipulacja” czy „maltretowanie”. Jego wahanie przepełnia mnie mieszanką lęku i podniecenia, jakie czuje się na przykład na krawędzi peronu, gdy przejeżdża pociąg.

– Powiedziałaś „Tak” – oponuje. Światło ze sceny sączy się między zasłonami, kreśląc długą żółtą linię na zacienionej twarzy Justina. – Słyszałem! Poza tym… przecież chcesz za mnie wyjść, prawda, Tiffy? Jesteśmy sobie przeznaczeni.

Próbuje wziąć mnie za rękę. To wszystko tylko gra. Cofam się, a Rachel błyskawicznie odtrąca

jego wyciągniętą dłoń.

Nie reaguje na uderzenie. Odzywa się spokojnym, zbolałym głosem:

– Czym sobie na to zasłużyłem?

– Nie dotykaj jej – warczy Rachel.

– Chyba powinieneś już pójść, Justinie – dodaje Mo.

– O co tu chodzi, Tiffy? – pyta Justin łagodnie. – Twoi przyjaciele gniewają się na mnie, ponieważ się rozstaliśmy? – Cały czas próbuje się zbliżyć, centymetr po centymetrze, ale Rachel mocno mnie trzyma, a Mo stoi u mojego drugiego boku. Stanowimy jedną drużynę.

– Mogę cię o coś spytać? – odzywam się nagle.

– Oczywiście.

Dźwiękowiec w czarnym ubraniu patrzy na nas z irytacją.

– Nie wolno wam tutaj być – rzuca, gdy tłum na zewnątrz zaczyna głośno wiwatować.

Ignoruję go, nie spuszczając wzroku z Justina.

– Skąd wiedziałeś, że dzisiaj tutaj przyjdę?

– Jak to? Przecież wszędzie reklamowano tę premierę. W internecie nie dało się o niej nie przeczytać.

– Ale skąd wiedziałeś, że ja wezmę w niej udział? Skąd w ogóle wiedziałeś, że pracowałam nad tą książką?

Wiem, że mam rację. Widzę to w jego rozbieganym spojrzeniu. Poprawia kołnierzyk palcem.

– No i skąd wiedziałeś, że będę na premierze książki w Shoreditch? A także na tamtym statku?

Jest wyraźnie zbity z tropu. Uśmiecha się kpiąco, po raz pierwszy posyłając mi nieprzyjemne, pogardliwe spojrzenie. Tak lepiej – oto Justin, którego pamiętam.

Przez chwilę sprawia wrażenie niezdecydowanego, a potem uśmiecha się beztrosko.

– Twój kumpel Martin udzielał mi wskazówek – przyznaje wstydliwie, jak niegrzeczny chłopiec przyłapany na kradzieży. Jest słodki, psotny, niegroźny. – On wie, jak mi na tobie zależy, więc pomagał nam wrócić do siebie.

– Chyba żartujesz – wybucha Rachel. Zerkam na nią; oczy jej płoną i jeszcze nigdy nie wyglądała tak przerażająco, a to nie byle co.

– Skąd w ogóle znasz Martina? – pytam z niedowierzaniem.

– Cicho! – syczy dźwiękowiec. Wszyscy go ignorujemy.

– Poznaliśmy się podczas waszej imprezy firmowej, pamiętasz? – odpowiada Justin. – Czy

to ważne? Nie możemy pójść w jakieś spokojniejsze miejsce, tylko we dwoje?

Nie przypominam sobie żadnej imprezy firmowej. Opuściłam większość z nich, ponieważ Justin nie lubił na nie chodzić, a nie chciał mnie puszczać samej.

– Nie chcę nigdzie z tobą iść, Justinie – mówię, biorąc głęboki, urywany oddech. – I nie chcę za ciebie wyjść. Chcę, żebyś dał mi spokój.

Wiele razy wyobrażałam sobie, jak to mówię. Sądziłam, że będzie sprawiał wrażenie zranionego i zaszokowanego, może cofnie się o krok albo zasłoni dłonią usta. Wyobrażałam sobie, że zacznie płakać i spróbuje przyciągnąć mnie do siebie; nawet bałam się, że będzie usiłował zatrzymać mnie siłą.

Ale on tylko wygląda na zakłopotanego. Poirytowanego. Może nieco wkurzonego, jakby został straszliwie oszukany i spotkała go wielka niesprawiedliwość.

– Nie mówisz poważnie – zaczyna.

– Jeszcze jak – odzywa się Mo. Jego głos jest przyjemny, ale bardzo stanowczy.

– Żebyś wiedział, że tak – dodaje Rachel.

– Nie. – Justin kręci głową. – Nie dajesz nam szansy.

– Szansy? – Niemal parskam śmiechem. – Wielokrotnie do ciebie wracałam. Miałeś więcej szans, niż potrafię zliczyć. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

Marszczy czoło.

– W barze w Shoreditch powiedziałaś, że będziemy mogli porozmawiać za dwa miesiące. Dostosowałem się do twoich reguł – mówi, rozkładając ręce. – Jest październik, prawda?

– Wiele może się zmienić w ciągu dwóch miesięcy. Dużo myślałam. Dużo… wspominałam.

Znów go widzę – jakiś błysk, jakby strachu, w głębi jego oczu. Po raz ostatni wyciąga do mnie rękę, a Rachel tym razem go policzkuje.

– Sam nie ująłbym tego lepiej – mruczy Mo, wciągając nas dwie głębiej w plątaninę kabli i ciemność, podczas gdy Justin zatacza się do tyłu z wytrzeszczonymi oczami.

– Wynocha – rozkazuje stanowczo Justinowi rozdrażniony dźwiękowiec, najwyraźniej rozpoznając w nim źródło całego zamieszania. Podchodzi bliżej, zmuszając Justina do cofnięcia się.

Justin odzyskuje równowagę i ostrzegawczo wyciąga rękę w stronę dźwiękowca. Zerka przez ramię w poszukiwaniu wyjścia, a następnie

odwraca się w moją stronę, szukając mojego wzroku.

Na chwilę zapominam, że są ze mną Mo i Rachel, a także dźwiękowiec. Jestem tylko ja i potężne ubrane w smoking ciało Justina w tej ciasnej, mrocznej przestrzeni. Wpadam w panikę i tracę oddech. Trwa to tylko kilka sekund, ale jest gorsze od wszystkiego, co się dotychczas wydarzyło.

Potem Justin hałaśliwie wycofuje się między zasłony, a ja opieram się chwiejnie o Rachel i Mo. Poszedł sobie. To już koniec. Ale pozostawił mnie bez tchu, więc rozpaczliwie przytrzymuję się przyjaciół lepkimi palcami, ogarnięta nagłym lękiem, że już nigdy się od niego nie uwolnię, nieważne, jak wiele razy ode mnie odejdzie.

# 62
# *Leon*

Nie mogę myśleć. Niczego nie mogę zrobić. Jakimś cudem udaje mi się zapanować nad stopami i wracam do sali sądowej, ale wciąż towarzyszy mi poczucie, że śnię, więc wszystko dookoła sprawia nierzeczywiste wrażenie. Machinalnie uśmiecham się do Richiego. Zauważam, jak jasne ma spojrzenie, ile w nim nadziei. Sam niczego nie czuję.

To pewnie skutek szoku. Niedługo dojdę do siebie i znów skupię się na rozprawie. Nie mogę uwierzyć, że coś zdołało odwrócić moją uwagę. Nagle ogarnia mnie wściekłość na Tiffy, która akurat dzisiaj musiała mnie rzucić i wrócić do Justina. Myślę o mamie, która zawsze wracała do swoich mężczyzn, niezależnie od tego, co o tym myśleliśmy Richie i ja.

Jakaś część mojego mózgu przypomina mi, że mama wcale nie chciała być z tymi mężczyznami. Po prostu uważała, że nie wolno jej żyć inaczej. Wierzyła, że nic nie znaczy, gdy jest sama.

Ale Tiffy nie była sama. Miała Mo, Gerty, Rachel. Mnie.

Richie. Myśl o Richiem. On mnie potrzebuje i za cholerę nie stracę go ponownie.

Gerty wygłasza mowę końcową. Udaje mi się skupić na jej słowach – jest taka dobra, że nie sposób ją zignorować. Potem, bez żadnych fajerwerków, rozprawa dobiega końca. Wszyscy wstajemy. Sędziowie wychodzą. Richie udaje się tam, skąd go przyprowadzili, rzucając nam na pożegnanie tęskne spojrzenie. W milczeniu przechodzimy przez budynek sądu. Gerty sprawdza coś w telefonie, mama bez przerwy wyłamuje sobie palce.

Zerka na mnie z ukosa, gdy docieramy do wyjścia.

Mama: Lee? Co się stało?

Nagle Gerty głośno wstrzymuje oddech. Zasłania usta dłonią. Zerka na mnie mętnym wzrokiem i zauważam, że ogląda nagranie na Facebooku.

Gerty: O Boże.

Mama, zaniepokojona: Co się stało?

Ja: Tiffy.

Mama: Twoja dziewczyna? Co zrobiła?

Gerty: Niemożliwe.

Ja: Owszem. Wiesz, że ludzie tak robią. Wracają. Trudno jest porzucić coś, co się zna. To nie jej wina. Dobrze wiesz, że tak się dzieje.

Milczenie Gerty jest bardzo znaczące. Nagle ogarnia mnie przemożne pragnienie, by stąd uciec.

Ja: W weekend nie wydadzą orzeczenia?

Gerty: Nie, dopiero w przyszłym tygodniu. Zadzwonię, kiedy…

Ja: Dzięki.

Po czym wychodzę.

*

Nie przestaję iść. Nie mogę płakać, tylko zaschło mi w gardle i pieką mnie oczy. Jestem pewien, że częściowo odpowiada za to lęk o Richiego, ale potrafię myśleć tylko o Justinie, który rozkłada ręce i woła: „Zgodziła się” do wiwatującego tłumu.

Odtwarzam w myślach każdą scenę. Niekończącą się wymianę liścików, Brighton, wieczorne jedzenie ciasta na sofie, przyjęcie u Holly, pocałunki przy piecu. Skręca mnie

w żołądku, gdy przypominam sobie, jak jej ciało stawało się zimne, kiedy o nim myślała, ale po chwili biorę się w garść. Nie chcę jej żałować. Na razie chcę się czuć zdradzony.

Ale nic na to nie poradzę. Wbrew sobie myślę o tym, jak drżały jej kolana.

A więc jednak. Pojawiają się łzy. Wiedziałem, że w końcu tak się stanie.

# 63
# *Tiffy*

Woń lilii mnie dusi. Mo trzyma bukiet, gdy kulimy się w ciemności, przyciska kwiaty do mojej sukienki, plamiąc materiał pyłkami. Kiedy spoglądam na ślady na jedwabiu, dostrzegam, że cała się trzęsę.

Nie pamiętam, co dokładnie Justin powiedział, kiedy odchodził. Tak naprawdę mam wrażenie, że już zapomniałam większą część naszej rozmowy. Może to był tylko nierzeczywisty sen na jawie, a ja wciąż stoję w tłumie i zastanawiam się, czy Katherin wspomni o mnie podczas podziękowań, i czy te małe ruloniki na tacy z kanapkami to kaczka czy kurczak.

– A jeśli… a jeśli on wciąż tam jest? – szepczę do Rachel, wskazując ciemne zasłony, za którymi zniknął Justin.

– Mo, potrzymaj – prosi Rachel. Chyba chodzi jej o mnie. Znika za kulisami, podczas gdy na scenie Katherin żegna się z publicznością pośród niesłabnącego aplauzu.

Mo posłusznie podtrzymuje mnie za łokieć.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze. Nie mówi niczego więcej, tylko wspiera mnie życzliwym milczeniem, które tak uwielbiam. W świecie po drugiej stronie mrocznych zasłon tłum wciąż wiwatuje. Przytłumione oklaski brzmią jak szum ulewy na asfalcie.

– Naprawdę nie możecie tutaj siedzieć – upiera się zdesperowany dźwiękowiec, gdy Rachel do nas wraca. Cofa się o krok pod wpływem jej spojrzenia. Nie dziwię mu się. Rachel przybrała wojowniczą minę i wygląda cholernie groźnie.

Mija go bez słowa, unosząc rąbek sukienki, żeby przejść nad kablami.

– Nigdzie nie widać twojego szalonego byłego – informuje, stając przy moim boku.

Katherin nagle schodzi ze sceny za kulisy i prawie zderza się z Mo.

– O rany, to było drastyczne – stwierdza i głaszcze mnie po plecach matczynym gestem. – Wszystko w porządku? Zakładam, że ten jegomość to…

– Były chłopak Tiffy, który ją prześladuje – wyjaśnia Rachel. – A skoro mowa o prześladowaniu, chyba powinniśmy zamienić kilka słów z Martinem…

– Nie teraz – proszę, chwytając Rachel za rękę. – Zostań przy mnie na chwilę, dobrze?

Jej twarz łagodnieje.

– Jasne. Ale później będę mogła powiesić go za jaja?

– Masz to jak w banku.

– Nie wierzę, że cały czas mówił temu… śmieciowi, gdzie jesteś. Powinnaś go pozwać, Tiffy.

– Z pewnością powinnaś wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się – dodaje Mo cichym głosem.

– Dla Martina? Czulibyśmy się niezręcznie w pracy – odpowiadam słabo.

Mo tylko na mnie patrzy.

– Wiesz, o kim mówię.

– Czy już możemy wyjść z tej… ciemnej… klitki? – pytam.

– Dobry pomysł – stwierdza Katherin. Dźwiękowiec dyskretnie kiwa głową i przewraca oczami, korzystając z tego, że Rachel na niego nie patrzy. – Powinnam wyjść do ludzi, ale może wrócicie moją limuzyną?

– Słucham? – pyta Rachel, wytrzeszczając oczy.

Katherin sprawia wrażenie zawstydzonej.

– To nie był mój pomysł. Ludzie z działu PR w wydawnictwie ją dla mnie załatwili. Stoi przed budynkiem. Możecie ją wziąć. Nie mam zamiaru pokazywać się w takim aucie, od razu wyrzuciliby mnie z Klubu Socjalistów.

– Dzięki – odzywa się Mo, a ja na chwilę wyłaniam się z oparów paniki, dziwiąc się, że kierowniczka działu PR z własnej woli wyłożyła pieniądze na limuzynę, chociaż słynie z oszczędności.

– Teraz musimy tylko się stąd wydostać. Przebić się przez tłum – mówi Rachel z ponurą miną.

– Najpierw powinnaś zawiadomić policję o nękaniu ze strony Justina – poucza mnie Mo. – Musisz im opowiedzieć o wszystkim. O innych razach, o kwiatach, o Martinie…

Wydaję z siebie ni to stęknięcie, ni to jęk. Mo głaszcze mnie po plecach.

– Zrób to, Tiffy – mówi Rachel, wręczając mi swój telefon.

*

Przepycham się przez tłum, jakbym była kimś innym. Ludzie poklepują mnie po plecach, uśmiechają się i wołają do mnie. Początkowo próbuję tłumaczyć wszystkim – „Wcale się nie zgodziłam, nie wychodzę za niego za mąż, on nie jest moim chłopakiem” – ale oni nie mogą albo nie chcą mnie usłyszeć, więc w końcu daję za wygraną.

Samochód Katherin stoi za rogiem. To przedłużana limuzyna. Co za absurd. Kierowniczka działu PR zapewne niedługo poprosi Katherin o zrobienie czegoś bardzo ważnego za niewielkie pieniądze.

– Dzień dobry, przepraszam – odzywa się Rachel do kierowcy swoim najsłodszym głosem. – Katherin powiedziała, że możemy skorzystać z jej limuzyny.

Wywiązuje się długa rozmowa. Jak można się było spodziewać, kierowca nie ma zamiaru przyjąć na wiarę, że Katherin udostępniła nam samochód. Ale po szybkim telefonie do Katherin i powrocie bojowej miny Rachel wreszcie wsiadamy – dzięki Bogu. Trzęsę się jak szalona, mimo okrywającej mnie marynarki Mo.

W środku auto wygląda jeszcze bardziej absurdalnie. Są tutaj długie kanapy, barek, dwa ekrany telewizyjne i zestaw audio.

– Ja pierdolę – odzywa się Rachel. – Co za głupota. Może lepiej zapłaciliby mi więcej niż minimalne wynagrodzenie?

Siedzimy w milczeniu, podczas gdy szofer odjeżdża od krawężnika.

– No cóż – ciągnie Rachel. – Chyba wszyscy możemy się zgodzić, że ten dzień potoczył się w niespodziewany sposób.

Z jakiegoś powodu jej uwaga sprawia, że tracę nad sobą panowanie. Zaczynam szlochać, zasłaniając twarz dłońmi, opieram głowę o luksusową szarą tapicerkę i zanoszę się płaczem jak małe dziecko. Mo ze współczuciem ściska moją dłoń.

Rozlega się dziwaczne brzęczenie.

– Wszystko w porządku tam z tyłu?! – woła szofer. – To brzmi, jakby ktoś miał napad astmy!

– Nic się nie dzieje! – odpowiada Rachel, podczas gdy ja wyję i rzężę, z trudem chwytając powietrze. – Moją przyjaciółkę właśnie dopadł szalony były chłopak i zmanipulował w obecności tysiąca osób w taki sposób, by wszyscy pomyśleli, że przyjęła jego oświadczyny, więc teraz ona musi w całkowicie naturalny sposób odreagować.

Kierowca przez chwilę milczy.

– A niech mnie – odzywa się w końcu. – Chusteczki są pod barkiem.

*

Po powrocie do domu dzwonię do Leona, ale on nie odbiera. Pomimo całego szaleństwa, jakie spotkało mnie tego dnia, koniecznie chcę dowiedzieć się czegoś więcej, niż napisał mi w ostatnim esemesie: *Dobrze nam idzie w sądzie*. Jak dobrze? Czy już po wszystkim? Kiedy poznamy wyrok w sprawie Richiego?

Bardzo chcę z nim porozmawiać. A najchętniej najpierw przytuliłabym się do jego ramienia, poczuła jego cudowny zapach i pozwoliła, by głaskał mnie po karku, jak ma w zwyczaju.

Nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę w to, co zrobił Justin. W to, że postawił mnie w takiej sytuacji w obecności tych wszystkich ludzi… Co on sobie myślał? Że po prostu się zgodzę, ponieważ tego ode mnie chce?

Może kiedyś bym to zrobiła. Boże, niedobrze mi na samą myśl.

Fakt, że skorzystał z pomocy Martina, żeby śledzić moje poczynania, czyni to wszystko o wiele bardziej niepokojącym. Wyśmiewał mnie,

gdy sugerowałam, że nasze dziwne spotkania to nie przypadek, tymczasem wszystko było starannie ukartowane. Ale po co? Jeśli mnie chciał, przecież należałam do niego. Zrobiłabym dla niego wszystko. Dlaczego mnie odepchnął, a potem próbował odzyskać? To takie… dziwaczne. Niepotrzebnie bolesne.

Rachel nie mogła wrócić z nami do mieszkania – wieczorem musi zająć się siostrzenicą, więc wymieni jedną zapłakaną marudę na drugą – ale Mo obiecał, że ze mną zostanie. Jest kochany. Czuję się trochę winna, ponieważ w tej chwili najbardziej pragnę Leona.

Niemal mnie zaskakuje, jak wyraźna jest ta myśl. Pragnę Leona. Chcę, żeby był przy mnie, wiercił się nerwowo, krzywo uśmiechał i bez wysiłku rozjaśniał mój świat. Po szaleństwie tego dnia z nową mocą uświadamiam sobie, że nawet jeśli ponowna nauka bycia w związku czasem mnie przeraża, to cóż z tego? Jeżeli poddam się temu lękowi i pozwolę, by oddalił mnie od Leona, wtedy Justin zwycięży.

A Leon jest wart odrobiny strachu. Tak bardzo wart. Sięgam po telefon i ponownie do niego dzwonię.

# 64
# *Leon*

Trzy nieodebrane połączenia od Tiffy.

Nie mogę z nią rozmawiać. Nie chcę słuchać, jak się tłumaczy. Cały czas idę, chociaż nie wiem dokąd – może kręcę się w kółko. Rzeczywiście mijam kilka bardzo podobnych Starbucksów. Ta część Londynu jest obskurna jak w powieściach Dickensa. Wszędzie bruk i poplamione cegły, wąskie paski nieba nad głową pomiędzy brudnymi oknami. Ale nie trzeba iść daleko, by trafić do błyszczącego błękitnego świata City. Skręcam za róg i staję twarzą w twarz ze swoim odbiciem w szklanej ścianie siedziby jakiegoś biura rachunkowego.

Wyglądam okropnie. Wyczerpany i wymięty – nigdy nie było mi do twarzy w garniturze. Powinienem był się bardziej postarać; mój niechlujny wygląd mógł zaszkodzić Richiemu.

Wystarczy, że ma mamę, dla której szczytem elegancji są buty do kolan na nieco wyższych obcasach.

Zatrzymuję się, zaskoczony napastliwością tej myśli. Była okrutna i krytykancka. Nie podoba mi się, że zrodziła się w mojej głowie. Wiele mnie kosztowało przebaczenie mamie – a przynajmniej sądzę, że to zrobiłem – ale teraz wpadam w gniew na samą myśl o niej.

Dzisiaj po prostu jestem wściekły. Wściekły, że muszę się zadowolić ponownym rozpatrzeniem sprawy mojego brata, podczas gdy on nigdy nie powinien się znaleźć na sali rozpraw. Wściekły, że bałem się powiedzieć Tiffy, co czuję, aż w końcu uprzedził mnie mężczyzna, przez którego ma koszmary, ale który z pewnością zna się na romantycznych gestach. Nikt już nie ma wątpliwości, co czuje Justin. Nie musi się o to martwić.

Naprawdę myślałem, że ona nie zechce do niego wrócić. Ale ciągle się tak łudzimy, a one zawsze to robią.

Spoglądam na swój telefon: imię Tiffy pojawiło się na ekranie. Napisała do mnie. Nie czuję się na siłach, żeby przeczytać wiadomość, ale wiem, że nie oprę się pokusie, więc wyłączam telefon.

Rozważam powrót do domu, ale tam jest pełno jej rzeczy. Jej zapach, ubrania, w których ją widziałem, otaczająca ją przestrzeń negatywna. Zresztą w końcu ona wróci z premiery – dziś wieczorem i przez weekend mieszkanie należy do niej. Dlatego takie rozwiązanie odpada. Oczywiście mogę przenocować u mamy, ale z jakiegoś powodu jestem na nią równie zły jak na Tiffy. Poza tym nie zniosę myśli, że śpię w pokoju, w którym kiedyś mieszkałem z Richiem. Nie mogę być tam, gdzie jest Tiffy, ani tam, gdzie nie ma Richiego.

Nie mam dokąd pójść. Nie mam domu. Muszę iść przed siebie.

Żałuję, że przyjąłem współlokatorkę. Żałuję, że otworzyłem swoje życie i wpuściłem kogoś, kto je w taki sposób wypełnił. Jakoś sobie radziłem – byłem bezpieczny. Teraz mieszkanie nie jest tylko moje, ale nasze, a kiedy ona się wyprowadzi, będzie mi dokuczał brak ciasta czekoladowego z bakaliami, książek o murarzach i tej głupiej poduchy z kulkami. Stale będzie mi czegoś brakowało. Właśnie tego chciałem uniknąć.

Może wciąż uda mi się ją ocalić. Przyjęcie oświadczyn nie oznacza, że koniecznie muszą się pobrać, zresztą ona nie mogła odmówić na

oczach tych wszystkich ludzi. Czuję niebezpieczny przypływ nadziei i staram się go stłumić. Przypominam sobie, że nie da się nikogo uratować na siłę – ludzie muszą to zrobić sami. My możemy najwyżej im pomóc, gdy będą gotowi.

Powinienem coś zjeść. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem coś w ustach. Zeszłego wieczoru? Mam wrażenie, że od tamtej pory minęła wieczność. Kiedy już uzmysłowiłem sobie, że jestem głodny, zaczyna mi burczeć w brzuchu.

Wchodzę do Starbucksa. Mijam dwie dziewczyny oglądające filmik Tashy Chai-Latte z oświadczynami Justina. Wypijam herbatę z mnóstwem mleka, zjadam absurdalnie drogą grzankę z mnóstwem masła i wbijam wzrok w ścianę.

Kiedy barista posyła mi zaciekawione spojrzenie pełne współczucia, zdaję sobie sprawę, że znów płaczę. Nie jestem w stanie przestać, nawet nie próbuję. Ale w końcu ludzie to zauważają, więc wychodzę, sam jak palec.

Znów idę. Eleganckie buty obcierają mi pięty do żywego ciała. Z tęsknotą przypominam sobie znoszone, idealnie dopasowane buty, które noszę w pracy, i już wkrótce staje się jasne, dokąd

zmierzam. W hospicjum zawsze przyda się dodatkowy pielęgniarz.

# 65
# *Tiffy*

Dzwoni Gerty. Odbieram, nawet o tym nie myśląc – to odruch.

– Słucham? – Mój głos brzmi dziwnie bezbarwnie, nawet w moich uszach.

– Pojebało cię, Tiffany? Pojebało cię?

Pod wpływem szoku znów zaczynam płakać.

– Daj mi to – odzywa się Mo. Podnoszę na niego wzrok, kiedy odbiera mi telefon, i gwałtownie wstrzymuję oddech, widząc jego minę. Sprawia wrażenie bardzo rozzłoszczonego. – Co ty wyprawiasz? – rzuca do telefonu. – Tak? Obejrzałaś nagranie, prawda? I nie przyszło ci do głowy, żeby spytać Tiffy, co się stało? Okazać swojej najlepszej przyjaciółce odrobinę zaufania, zanim zaczniesz się na nią wydzierać?

Wytrzeszczam oczy. Nagranie? O cholera. Jakie nagranie?

Nagle doznaję olśnienia. Tasha Chai-Latte wszystko nagrywała. Martin zapewne to zaplanował, więc Justin wiedział. Nic dziwnego, że zadbał o to, by każdy usłyszał, co „odpowiedziałam” na jego wielkie pytanie – potrzebował tego na filmie.

Martin także widział mnie z Leonem w zamku w Walii, wkrótce po tym, jak Justin zaczął coś podejrzewać, gdy wpadł do mojego mieszkania i zastał tam Leona w samym ręczniku.

– Mo – mówię szybko. – Spytaj Gerty, gdzie jest Leon.

*

– Zadzwoń do niego jeszcze raz.

– Tiff, on wciąż ma wyłączony telefon – łagodnie odpowiada Mo.

– Jeszcze raz! – mówię, krążąc między sofą a kuchnią. Moje serce bije tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. Przeraża mnie myśl, że Leon zobaczył nagranie i pomyślał, że zaręczyłam się z Justinem. Nie zniosłabym tego.

– Wciąż ma wyłączony telefon – powtarza Mo z moją komórką przy uchu.

– Zadzwoń od siebie. Może specjalnie nie odbiera moich telefonów. Pewnie mnie

znienawidził.

– Na pewno cię nie znienawidził – mówi Mo.

– Gerty to zrobiła.

Mo mruży oczy.

– Gerty rzeczywiście łatwo feruje wyroki. Ale pracuje nad tym.

– No cóż, Leon nie zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy bym mu tego nie zrobiła. – Splatam dłonie. – Wie, że byłam bardzo przywiązana do Justina, więc pewnie myśli… o Boże. – Tracę głos.

– Cokolwiek myśli, jeszcze nic straconego – uspokaja mnie Mo. – Musimy tylko zaczekać, aż będzie gotowy z tobą porozmawiać. Miał ciężki dzień, przecież był w sądzie z Richiem.

– Wiem! – warczę na Mo. – Wiem! Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, jakie to dla niego ważne?

Mo nie odpowiada. Ocieram twarz.

– Przepraszam. Nie powinnam się na ciebie wydzierać. Bardzo mi pomagasz. Po prostu jestem wściekła na siebie.

– Dlaczego? – pyta Mo.

– Ponieważ… chodziłam z nim, do cholery.

– Z Justinem?

– Nie twierdzę, że to, co się dzisiaj wydarzyło, to moja wina. Wiem, że to tak nie działa, ale nie mogę przestać myśleć, że gdybym była silniejsza

i nie pozwoliła tak sobą manipulować… nigdy by do tego nie doszło. Cholera, przecież żadna z twoich byłych dziewczyn nie próbuje wmanewrować cię w zaręczyny, żeby rozbić twój obecny związek, prawda? Nie mówię, że jesteś z kimś w związku, ale wiesz, o co mi chodzi.

– Mhm – odpowiada Mo.

Patrzę na niego i ponownie ocieram oczy. Ani na chwilę nie wysychają, cały czas łzawią.

– Nie mów. Ty i Gerty.

– Zgadłaś? – pyta Mo, wyraźnie zakłopotany.

– Nie ja, tylko Rachel. Ona ma w tych sprawach znacznie lepsze wyczucie niż Gerty. Tylko jej tego nie mów… albo powiedz, kogo obchodzą uczucia Gerty? – dodaję złośliwie.

– Właśnie dzwoni – mówi Mo, podając mi mój telefon.

– Nie chcę z nią rozmawiać.

– Mam odebrać?

– Rób, co chcesz. To twoja dziewczyna.

Mo posyła mi przeciągłe spojrzenie, a ja opadam na sofę, ponieważ trzęsą mi się nogi. Oczywiście zachowuję się jak dziecko, ale skoro Mo przyznał, że jest z Gerty, to mam wrażenie, że bierze jej stronę. Tymczasem chcę, żeby stanął u mojego boku. Chcę nawrzeszczeć na Gerty. Miała okazję powiedzieć Leonowi, że nigdy bym

go nie skrzywdziła i że powinien najpierw ze mną porozmawiać, zanim uwierzy w coś takiego, ale tego nie zrobiła.

– Nie może odnaleźć Leona – informuje mnie Mo po chwili. – Bardzo chciałaby z tobą porozmawiać, Tiffy. Przeprosić cię.

Kręcę głową. Nie jestem gotowa wyzbyć się złości tylko dlatego, że ona chce mnie przeprosić.

– Załatwiła Richiemu rozmowę telefoniczną z adwokatem po powrocie do aresztu – przekazuje Mo. Słyszę głos Gerty, cienki i spanikowany. – Opowie mu, co się stało, żeby mógł zadzwonić do Leona na komórkę. Pierwszego dnia pobytu można zadzwonić pod dowolny numer. Pewnie trochę potrwa, zanim przetransportują i przyjmą Richiego, może nawet do rana, ale to i tak nasza najlepsza szansa przekazania Leonowi wiadomości, jeśli nie wróci do domu.

– Do rana? – Jest dopiero późne popołudnie.

Mo robi zbolałą minę.

– Myślę, że w tej chwili to najlepsze wyjście.

To absurd, że najlepszym sposobem na kontakt z kimś jest więzień, który ma prawo do jednego telefonu.

– Leon ma wyłączoną komórkę – przypominam usłużnie. – Nie odbierze.

– W końcu zmądrzeje i ją włączy – odpowiada Mo, nie odrywając aparatu od ucha. – Na pewno nie chce przegapić telefonu od Richiego.

*

Siedzę na balkonie, zwinięta w kłębek pod dwoma ciepłymi okryciami. Jednym z nich jest poncho, które zazwyczaj leży na naszym łóżku – to nim Leon mnie okrył tamtego wieczoru, gdy Justin pojawił się w mieszkaniu i mu groził.

Wiem, że Leon sądzi, że wróciłam do Justina. Już się otrząsnęłam z rozpaczliwej paniki i teraz jestem zdania, że powinien bardziej mi ufać, do kurwy nędzy.

Chociaż pewnie na to nie zasłużyłam. W końcu wielokrotnie wracałam do Justina – mówiłam o tym Leonowi. Ale… nie zaczęłabym spotykać się z Leonem, gdybym nie czuła, że tym razem jest inaczej – gdybym nie była gotowa zostawić tej części życia za sobą. Tak bardzo się starałam. Zmagałam się z najgorszymi wspomnieniami, prowadziłam niekończące się rozmowy z Mo, chodziłam na terapię. Starałam się. Ale Leon zapewne uznał, że jestem zbyt pokiereszowana, by można mnie było naprawić.

Gerty dzwoni co dziesięć minut; wciąż nie odbieram. Zna mnie od ośmiu lat. Skoro jestem zła na Leona, że mi nie zaufał, a znamy się dopiero od niecałego roku, to na Gerty jestem wściekła co najmniej osiem razy bardziej.

Skubię żałosne, żółknące liście jednej z naszych roślin balkonowych i próbuję nie myśleć o tym, że Justin wie, gdzie mieszkam. Ciekawe skąd. Pewnie od Martina – mój adres łatwo zdobyć, jeśli ktoś ma dostęp do mojego biurka i pasków z wypłatą, które dostarczają nam kadry.

Kurwa mać. Wiedziałam, że z jakiegoś powodu nie lubię tego gościa.

Spoglądam na swój telefon, który wibruje i tańczy po małym, rozchwianym stoliku. Blat jest pokryty ptasimi odchodami oraz grubą warstwą lepkiego pyłu, który pokrywa wszystko w Londynie. Imię Gerty pojawia się na ekranie, a ja nagle wpadam w złość i tym razem odbieram.

– Czego? – rzucam.

– Jestem okropna – mówi Gerty bardzo pośpiesznie. – Nie wierzę, że tak się zachowałam. Nie powinnam była zakładać, że wróciłaś do Justina. Tak mi przykro.

Milczę, nieco zaskoczona. Często się kłóciłyśmy, ale Gerty jeszcze nigdy tak szybko mnie nie przeprosiła, i to z własnej woli.

– Powinnam była wierzyć, że potrafisz to zrobić. Nadal w to wierzę.

– Co zrobić? – pytam, zanim przychodzi mi do głowy lepsza, bardziej gniewna odpowiedź.

– Uwolnić się od Justina.

– Aha, o to chodzi.

– Tiffy, wszystko w porządku? – pyta Gerty.

– Niezupełnie – odpowiadam, czując, że drży mi dolna warga. Mocno ją przygryzam. – Pewnie jeszcze nie…

– Richie nie dzwonił. Wiesz, jak to jest, Tiffy, nie wiem, czy przed północą w ogóle zdołają go przenieść z aresztu do Wandsworth. A w tamtym więzieniu panuje jeden wielki chaos, więc nie liczyłabym, że w ogóle pozwolą mu zadzwonić, tym bardziej do adwokata. Ale jeśli będę miała okazję z nim porozmawiać, to o wszystkim mu powiem. Poproszę, żeby odezwał się do Leona.

Sprawdzam godzinę na ekranie: jest dwudziesta, a ja nie wierzę, jak koszmarnie wolno płynie czas.

– Jestem na ciebie bardzo, bardzo, bardzo zła – mówię Gerty, ponieważ wiem, że nie da się tego poznać po moim głosie. Sprawiam wrażenie

smutnej i zmęczonej, szukającej wsparcia u przyjaciółki.

– Rozumiem. Czuję to samo. Jestem na siebie wściekła. Straszna ze mnie jędza. Jeśli to ci poprawi humor, to Mo też się do mnie nie odzywa.

– Wcale mi to nie poprawia humoru – odpowiadam niechętnie. – Nie chcę, żebyś stała się pariasem.

– Czym? To jakiś deser?

– Pariasem. *Persona non grata*. Wyrzutkiem.

– Och, nie przejmuj się. Jestem pogodzona z życiem w niesławie. Na nic więcej nie zasługuję.

Przez chwilę razem milczymy. Szukam w sobie bezdennego morza wściekłości, ale wygląda na to, że wyparowało.

– Naprawdę nienawidzę Justina – mówię żałosnym głosem. – Myślę, że zrobił to głównie po to, żeby rozbić mój związek z Leonem. Wątpię, by naprawdę miał zamiar się ze mną ożenić. Kiedy tylko poczułby, że mnie odzyskał, znów by mnie zostawił.

– Temu facetowi przydałaby się kastracja – odpowiada Gerty stanowczo. – Nie dał ci niczego poza cierpieniem. Nieraz życzyłam mu śmierci.

– Gerty!

– Ty nie musiałaś patrzeć, jak to robi – ciągnie. – Jak pozbawia cię wszystkiego, co czyniło cię wyjątkową. To było chore.

Skubię brzeg poncho.

– To całe zamieszanie pomogło mi zrozumieć… że naprawdę lubię Leona. Naprawdę. – Pociągam nosem i ocieram oczy. – Szkoda, że przynajmniej mnie nie spytał, czy naprawdę powiedziałam „Tak”. A… nawet gdybym to zrobiła… byłoby miło, gdyby nie dał od razu za wygraną.

– Minęło dopiero pół dnia. Jest oszołomiony i wyczerpany po rozprawie. Przygotowywał się psychicznie do tego dnia przez wiele miesięcy. Justin jak zwykle ma koszmarne wyczucie czasu. Daj Leonowi chwilę, a mam nadzieję, że znów o ciebie zawalczy.

Kręcę głową.

– Sama nie wiem. Jakoś wątpię.

– Uwierz w niego, Tiffy. W końcu tego samego wymagasz od niego.

# 66
# *Leon*

Snuję się między oddziałami jak duch. Jak mam się skupić na pobieraniu krwi, skoro nawet oddychanie sprawia mi trudność? Ale z pomocą przychodzi mi błoga rutyna. Dobrze, że mogę się czymś zająć. Leon Oddziałowy, cichy, ale godny zaufania.

Po kilku godzinach zauważam, że omijam Oddział Koralowy. Unikam go.

Tam umiera pan Prior.

W końcu młodszy lekarz dyżurny mówi, że trzeba kontrasygnować zalecenie dotyczące dawki morfiny na Oddziale Koralowym. No trudno. Koniec ukrywania się. Ruszam. Szarawobiałe korytarze, gołe i podrapane, które znam jak własną kieszeń, może nawet lepiej od ścian własnego mieszkania.

Zatrzymuję się. Jakiś mężczyzna w brązowym garniturze siedzi przed wejściem na oddział i wpatruje się w podłogę, opierając przedramiona na kolanach. Dziwnie jest spotkać tutaj kogoś o tak wczesnej porze – podczas nocnej zmiany nie ma wizyt. Mężczyzna jest bardzo stary, siwy. Wygląda znajomo.

Rozpoznaję tę pozę: tak wygląda człowiek, który zbiera się na odwagę. Ja też wiele razy ją przyjmowałem przed wejściem za mury więzienia.

Dopiero po chwili to do mnie dociera – prawie nie myślę, działam jak automat. Ten siwy mężczyzna wbijający wzrok w podłogę to Johnny White Szósty z Brighton. Cóż za absurdalna myśl. JW Szósty pochodzi z mojego innego życia. Tego, które wypełniała Tiffy. A teraz jest tutaj. Wygląda na to, że jednak znalazłem właściwego Johnny'ego, chociaż nie od razu się do tego przyznał.

Powinienem być zadowolony, ale nie potrafię.

Popatrzcie na niego. Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, wytropił pana Priora, włożył najlepszy garnitur i przyjechał tutaj aż z wybrzeża. Wszystko dla mężczyzny, którego dawno temu pokochał. Siedzi tutaj z pochyloną głową, jakby

się modlił, zbierając siły na stanięcie twarzą w twarz z tym, co porzucił.

Panu Priorowi zostało kilka dni życia. Może nawet godzin. Patrzę na Johnny'ego White'a i czuję się, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w żołądek. Kurwa, zostawił to na ostatnią chwilę.

Johnny White podnosi wzrok i zauważa mnie. Nic nie mówimy. Cisza wypełnia oddzielający nas korytarz.

Johnny White: Czy on umarł?

Mówi chrapliwym, łamiącym się głosem.

Ja: Nie. Nie spóźnił się pan.

Tylko że to nieprawda. Jak trudno było mu przyjechać z tak daleka tylko po to, by się pożegnać?

Johnny White: Nie od razu go znalazłem. Zacząłem szukać po waszym wyjeździe.

Ja: Szkoda, że pan nic nie powiedział.

Johnny White: Racja.

Znów patrzy na podłogę. Podchodzę bliżej, przerywam ciszę, siadam obok niego. Razem przyglądamy się podrapanemu linoleum. Tutaj nie chodzi o mnie. To nie moja historia. Ale… Johnny White, zgarbiony na plastikowym krzesełku, pokazuje mi, co się dzieje, gdy niedostatecznie się staramy.

Johnny White: Nie chcę tam wchodzić. Już chciałem odejść, gdy pana zobaczyłem.

Ja: Dotarł pan aż tutaj. Dzielą was tylko te drzwi.

Z trudem podnosi głowę, jakby ważyła tonę.

Johnny White: Na pewno będzie chciał mnie zobaczyć?

Ja: Możliwe, że jest nieprzytomny, panie White. Ale mimo wszystko nie wątpię, że pańska obecność go uszczęśliwi.

Wstaje, otrzepuje spodnie i unosi szczękę filmowego gwiazdora.

Johnny White: No cóż. Lepiej późno niż wcale.

Nie patrzy na mnie, tylko wchodzi przez podwójne drzwi. Patrzę, jak kołyszą się za nim.

Sam nigdy nie przeszedłbym przez te drzwi. Czy kiedykolwiek wynikło z tego coś dobrego?

Wstaję. Czas na mnie.

Ja, do młodszego lekarza: Pielęgniarka dyżurna kontrasygnuje morfinę. Ja nie mam teraz dyżuru.

Młodszy lekarz: Właśnie się zastanawiałem, dlaczego nie jesteś w fartuchu. Co tu w takim razie robisz, do diabła? Wracaj do domu!

Ja: Tak. Dobry pomysł.

*

Jest druga w nocy; Londyn jest nieruchomy i pogrążony w ciemności. Biegnę do autobusu, czując w gardle walenie serca. Po drodze włączam telefon.

Niezliczone nieodebrane połączenia i wiadomości. Oszołomiony, wpatruję się w ekran. Nie wiem, od czego zacząć. Ale nie muszę się długo zastanawiać, ponieważ telefon od razu budzi się do życia, gdy dzwoni do mnie jakiś nieznany londyński numer.

Ja: Słucham?

Drży mi głos.

Richie: Kurwa, udało się. Strażnik zaczyna się irytować. Wydzwaniam do ciebie od dziesięciu minut. Musiałem się gęsto tłumaczyć, że wciąż nie wykorzystałem przysługującego mi telefonu, bo nie odbierasz. Mamy jakieś pięć minut.

Ja: Wszystko u ciebie w porządku?

Richie: Czy u mnie wszystko w porządku? Pewnie, ty dupku, nie licząc tego, że jestem na maksa wkurzony na ciebie i Gerty.

Ja: Co takiego?

Richie: Tiffy. Nie przyjęła oświadczyn. Ten szajbus Justin odpowiedział za nią, nie zauważyłeś?

Staję jak wryty dziesięć metrów przed przystankiem autobusowym. Nie jestem w stanie

tego przyswoić. Mrugam. Przełykam ślinę. Robi mi się niedobrze.

Richie: Właśnie. Gerty do niej zadzwoniła i zaczęła ją wyzywać za to, że wróciła do Justina, ale wtedy Mo zmieszał Gerty z błotem. Powiedział, że jest okropną przyjaciółką, ponieważ nie ma do Tiffy za grosz zaufania i nawet nie wpadło jej do głowy, żeby spytać, co się stało.

Odzyskuję głos.

Ja: Jak się czuje Tiffy?

Richie: Poczułaby się znacznie lepiej, gdyby mogła z tobą porozmawiać, stary.

Ja: Właśnie byłem w drodze, ale…

Richie: Naprawdę?

Ja: Tak. Nawiedził mnie duch przyszłych świąt Bożego Narodzenia.

Richie, niepewny: Trochę za wcześnie na coś takiego, prawda?

Ja: Wiesz, jak to mówią. Każdego roku czas gna coraz szybciej.

Opieram się o wiatę na przystanku. Jestem upojony, a zarazem zniesmaczony. Co ja wyprawiam? Po co tracę tutaj czas?

Ja, poniewczasie i z nagłym lękiem: Tiffy jest bezpieczna?

Richie: Justin wciąż jest na wolności, jeśli o to ci chodzi. Ale jest z nią jej kumpel Mo, a według Gerty Justin przez jakiś czas się nie pokaże. Ucieknie lizać rany i knuć kolejny plan. Zazwyczaj wszystko ma rozplanowane, taki już jest. Wiesz, że ten fiut dowiadywał się od Martina z wydawnictwa, gdzie Tiffy będzie się pojawiała?

Ja: Od Martina… O kurwa.

Richie: Cały czas chodziło o to, żeby was od siebie oddalić. Postarał się, żeby tamta youtuberka wszystko nagrywała, dzięki czemu mógł mieć pewność, że to zobaczysz.

Ja: Nie… nie mogę pojąć, dlaczego tak po prostu w to uwierzyłem.

Richie: Stary, idź naprawić szkody, dobra? I powiedz jej o mamie.

Ja: Co mam jej powiedzieć o mamie?

Richie: Nie muszę być psychoterapeutą, żeby się domyślić, że to dlatego zostawiłeś mamę w sądzie z Gerty i nie wróciłeś do jej mieszkania. Rozumiem cię, stary – obaj wynieśliśmy z rodzinnego domu spory bagaż.

Nadjeżdża autobus.

Ja: Nie jestem pewien… jakie to ma znaczenie?

Richie: To, że mama stale wracała do facetów, którzy źle ją traktowali, i raz za razem wiązała

się z podobnymi typami, nie oznacza, że Tiffy jest taka sama.

Ja, odruchowo: To nie była wina mamy. Oni ją krzywdzili. Manipulowali nią.

Richie: Tak, tak, wiem, zawsze tak mówisz. Ale to kiepskie pocieszenie, gdy masz dwanaście lat, prawda?

Ja: Sądzisz, że…

Richie: Muszę już kończyć, ale po prostu powiedz Tiffy, że ci przykro, że spieprzyłeś sprawę i wychowała cię patologiczna samotna matka, przez co musiałeś stale zajmować się swoim młodszym bratem. To powinno wystarczyć.

Ja: Czy to nie jest… szantaż emocjonalny? Poza tym nie wiem, czy spodoba jej się porównanie z moją matką.

Richie: Słuszna uwaga. Dobrze, zrób to po swojemu. Ale koniecznie to napraw i ją odzyskaj, ponieważ ta kobieta to najlepsze, co cię kiedykolwiek spotkało. Zgoda?

# 67
# *Tiffy*

Zupełnie zapomnieliśmy o jedzeniu i głód przypomina o sobie o wpół do trzeciej w nocy. Mo wyszedł coś kupić. Zostawił mnie na balkonie z dużym kieliszkiem czerwonego wina i jeszcze większą miską przekąsek z kuchennej szafki, które z pewnością należą do Leona, ale jakie to ma znaczenie – skoro uważa, że mogłabym wyjść za kogoś innego, to równie dobrze może mnie uznać za złodziejkę jedzenia.

Nie jestem już pewna, do kogo mam pretensje. Siedzę tutaj od tak dawna, że łapią mnie skurcze w nogi, i w tym czasie przetoczyły się przeze mnie wszystkie możliwe emocje, które ostatecznie zmieszały się ze sobą, tworząc paskudną zupę nieszczęścia. Jedyne, czego jestem pewna, to tego, że byłoby lepiej, gdybym nigdy nie spotkała Justina.

Mój telefon brzęczy.

Dzwoni Leon.

Czekałam na to cały wieczór. Ściska mnie w żołądku. Czy rozmawiał z Richiem?

– Halo?

– Cześć. – Jego głos brzmi chrapliwie i dziwnie obco. Zupełnie jakby uleciała z niego cała energia.

Czekam, żeby powiedział coś jeszcze, i patrzę na jadące na dole samochody, a ich reflektory malują żółto-białe smugi pod moimi powiekami.

– Mam w ręce ogromny bukiet kwiatów – mówi.

Nic nie odpowiadam.

– Czułem, że potrzebuję fizycznego symbolu, który pokaże, jak bardzo jest mi przykro – ciągnie. – Ale przypomniałem sobie, że Justin też zostawił ci ogromny bukiet, prawdę mówiąc, znacznie ładniejszy i droższy, więc doszedłem do wniosku, że to jednak nie najlepszy pomysł. Potem pomyślałem, że po prostu wrócę do domu i powiem ci wszystko osobiście. Ale kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że zostawiłem klucze do mieszkania u mamy, ponieważ miałem u niej nocować. Musiałbym więc zapukać, czym pewnie bym cię wystraszył, ponieważ wciąż

martwisz się swoim niezrównoważonym byłym chłopakiem.

Obserwuję kolejne przejeżdżające samochody. Chyba jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby Leon tak długo mówił.

– Więc gdzie teraz jesteś? – pytam w końcu.

– Podnieś wzrok. Na chodniku naprzeciwko, obok piekarni.

Już go widzę. Jego sylwetka odznacza się na tle jaskrawożołtego podświetlanego szyldu. Trzyma telefon przy uchu, a drugą ręką obejmuje bukiet kwiatów. Ma na sobie garnitur – no tak, nie przebrał się po wizycie w sądzie.

– Domyślam się, że czujesz się zraniona – mówi, a ja miękną pod wpływem jego łagodnego głosu.

Znów zaczynam płakać.

– Tak mi przykro, Tiffy. Nie powinienem był w to uwierzyć. Potrzebowałaś mnie, a ja uciekłem.

– Tak, potrzebowałam cię – szlocham. – Mo, Gerty i Rachel są wspaniali, uwielbiam ich i bardzo mi pomogli, ale chciałam, żebyś to ty był przy mnie. Dzięki tobie zaczęłam czuć, że związek z Justinem nie ma znaczenia, bo tobie i tak na mnie zależy.

– Zależy mi. A on naprawdę nie ma znaczenia. – Przechodzi przez ulicę. Widzę jego twarz, wyraźnie zarysowane, gładkie kości policzkowe, łagodny łuk warg. Patrzy do góry. – Wszyscy mi powtarzali, że cię stracę, jeśli nie powiem ci, co czuję, aż tu nagle pojawia się Justin, król romantycznych gestów…

– Romantycznych? – oburzam się. – Jakich romantycznych? Zresztą wcale nie zależy mi na romantycznych gestach! Po co mi one? Już je poznałam i okazały się gówno warte!

– Wiem – odpowiada Leon. – Masz rację. Powinienem był się domyślić.

– Podobało mi się, że się nie śpieszysz. Myśl o poważnym związku mnie przeraża! Tylko popatrz, jak trudno mi było się wydostać z poprzedniego!

– Aha, no tak. To… tak, rozumiem. – Szepcze pod nosem coś, co brzmi jak „cholerny Richie”.

– Słyszę cię nawet bez telefonu! – wołam, zagłuszając szum samochodów. – Poza tym mam ochotę pokrzyczeć.

Rozłącza się i cofa o kilka kroków.

– Więc pokrzyczmy!

Mrużę oczy, a potem zrzucam z siebie wszystkie koce, odstawiam wino i przekąski, po czym podchodzę do balustrady.

– No, no – mówi Leon i traci głos, tak że kolejne słowa odczytuję z ruchu jego warg. – Wyglądasz niesamowicie.

Spoglądam na siebie i z zaskoczeniem stwierdzam, że wciąż mam na sobie sukienkę bez ramiączek, którą włożyłam na premierę. Bóg raczy wiedzieć, jak wyglądają moje włosy, a makijaż od rana na pewno spłynął o kilka centymetrów, ale sukienka rzeczywiście jest oszałamiająca.

– Nie bądź taki miły! – wołam. – Chcę się na ciebie pozłościć!

– No tak! Racja! Krzyczymy! – woła Leon, poprawiając krawat i zapinając kołnierzyk, jakby się przygotowywał.

– Nigdy nie wrócę do Justina! – wołam, a potem, ponieważ sprawiło mi to wielką frajdę, próbuję ponownie. – Nigdy nie wrócę do pieprzonego Justina!

Gdzieś w pobliżu włącza się alarm samochodowy, oczywiście przypadkiem, ale i tak czuję satysfakcję. Teraz jeszcze tylko czekam na miauczenie kota i łoskot przewracających się kubłów ze śmieciami. Biorę głęboki wdech i otwieram usta, żeby dalej krzyczeć, ale się powstrzymuję. Leon trzyma rękę w górze.

– Mogę coś powiedzieć?! – woła. – To znaczy wykrzyczeć?

Jakiś kierowca zwalnia, żeby przyjrzeć się z zaciekawieniem, jak się nawołujemy. Uzmysławiam sobie, że Leon pewnie jeszcze nigdy nie krzyczał na ulicy. Zamykam usta, nieco zaskoczona, a potem kiwam głową.

– Spieprzyłem sprawę! – drze się Leon. Odchrząkuje i próbuje wołać nieco głośniej: – Przestraszyłem się. Wiem, że to żadne wytłumaczenie, ale to wszystko mnie przeraża. Rozprawa. Ty, my. Nie lubię zmian. Robię się…

Milknie, jakby zabrakło mu słów, a w moim wnętrzu rozlewa się coś ciepłego.

– Zaniepokojony? – podsuwam.

W świetle latarni widzę, że krzywo się uśmiecha.

– Tak. Dobre słowo. – Ponownie odchrząkuje i zbliża się do balkonu. – Czasami jest mi łatwiej żyć tak, jak przed poznaniem ciebie. Bezpieczniej. Ale… sama zobacz, co udało ci się zrobić. Jaka jesteś odważna. Ja też chciałbym taki być. Rozumiesz?

Opieram się o balustradę i patrzę w dół.

– Strasznie dużo gadasz, Leonie Twomey.

– Wygląda na to, że w trudnych chwilach potrafię być całkiem wymowny! – wrzeszczy.

Śmieję się.

– Ale za bardzo się nie zmieniaj. Lubię cię takiego, jaki jesteś.

Uśmiecha się szeroko. Jest rozczochrany i świetnie wygląda w swoim niechlujnym garniturze. Nagle ogarnia mnie przemożna chęć, żeby go pocałować.

– No cóż, Tiffy Moore, ja też cię lubię.

– Możesz powtórzyć?! – wołam, przykładając dłoń do ucha.

– Bardzo, bardzo cię lubię! – ryczy.

Okno piętro wyżej otwiera się z trzaskiem.

– Można trochę ciszej?! – woła dziwak spod piątki. – Usiłuję spać! Jak wstanę z samego rana, żeby poćwiczyć antygrawitacyjną jogę, skoro nie mogę zmrużyć oka?

– Antygrawitacyjna joga! – z zachwytem mówię bezgłośnie do Leona. Od dnia, gdy się tutaj wprowadziłam, zastanawiałam się, co on robi każdego ranka!

– Niech sława nie uderzy ci do głowy, Leonie – ostrzega dziwak z mieszkania numer pięć, a potem zabiera się do zamykania okna.

– Chwileczkę! – wołam.

Spogląda na mnie z góry.

– Kim pani jest?

– Pańską drugą sąsiadką. Dzień dobry!

– Aha, dziewczyną Leona?

Waham się, a następnie szeroko uśmiecham.

– Tak – odpowiadam stanowczo i słyszę cichy okrzyk radości z poziomu ulicy. – I chciałabym o coś zapytać.

Wpatruje się we mnie z miną człowieka, który czeka na reakcję małego dziecka.

– Co pan robi z tymi wszystkimi bananami? No wie pan, z tych skrzynek, które stoją na pańskim miejscu parkingowym?

Ku mojemu zaskoczeniu na jego twarzy pojawia się szeroki, szczerbaty uśmiech. Wygląda z nim całkiem przyjaźnie.

– Poddaję je fermentacji! Wychodzi pyszny cydr!

Zatrzaskuje okno.

Leon i ja patrzymy na siebie, a potem jednocześnie zaczynamy chichotać. Po chwili już zaśmiewam się do łez. Trzymam się za brzuch, rechocząc, z trudem chwytam powietrze i wykrzywiam się.

– Antygrawitacyjna joga! – szepcze Leon, a jego głos niesie się w ciszy pomiędzy warkotem przejeżdżających samochodów. – Bananowy cydr!

– Nie słyszę cię – odpowiadam, ale już nie krzyczę, żeby nie drażnić dziwaka spod piątki. –

Podejdź bliżej.

Leon rozgląda się, a następnie cofa o kilka kroków.

– Łap! – odzywa się scenicznym szeptem i rzuca do mnie bukiet. Chryzantemy krzywo wzlatują w powietrze, gubiąc liście i kilka kwiatów, a mnie udaje się je złapać, choć z piskiem niebezpiecznie wychylam się za balustradę.

Kładę kwiaty na stole, a kiedy wracam, okazuje się, że Leon zniknął. Zaskoczona, wyglądam z balkonu.

– Dokąd poszedłeś?! – wołam.

– Szukam! – rozlega się jego głos gdzieś w pobliżu.

– Pobite gary.

Okazuje się, że wspina się po rynnie. Znów wybucham śmiechem.

– Co ty wyprawiasz?

– Zbliżam się!

– Nie spodziewałam się po tobie wspinaczki rynnowej! – wołam i marszczę czoło, gdy przenosi uchwyt wyżej i podciąga się o kolejny kawałek.

– Ja też – przyznaje i ogląda się na mnie, jednocześnie szukając oparcia dla lewej stopy. –

Najwyraźniej rozbudzasz we mnie to, co najlepsze.

Dzieli go ode mnie niewiele ponad metr. Rynna biegnie tuż obok naszego balkonu, więc Leon już prawie dosięga balustrady.

– Hej, czy to moje przekąski? – pyta, wyciągając rękę.

Tylko na niego patrzę.

– W porządku, zasłużyłem sobie – przyznaje. – Podasz mi pomocną dłoń?

– To wariactwo – mówię, ale mu pomagam.

Ostrożnie odrywa nogi od rynny i zawisa na rękach na balustradzie balkonu.

– O Boże – wzdycham. Boję się na to patrzeć, ale nie mogę odwrócić wzroku, zwłaszcza że wtedy nie zauważę, jeśli puści uchwyt, a ta myśl jest znacznie gorsza niż patrzenie, jak wisi i stara się zahaczyć stopą o dolną krawędź balkonu.

W końcu się podciąga. Podaję mu rękę i pomagam przejść nad balustradą.

– No, jestem! – mówi, otrzepując się. Nieruchomieje zdyszany i patrzy na mnie.

– Cześć – odpowiadam, nagle nieco zawstydzona swoją wyzywającą sukienką.

– Tak mi przykro. – Leon rozkłada ręce, żeby mnie przytulić.

Padam mu w ramiona. Jego garnitur pachnie jesienią, ma tę charakterystyczną woń, którą nasiąkają włosy o tej porze roku. Cała reszta pachnie Leonem, tak jak tego pragnę. Przyciąga mnie do siebie, a ja zamykam oczy i napawam się jego zapachem, czując przy sobie jego silne ciało.

Mo pojawia się w drzwiach z rybą i frytkami w foliowej torebce z logo restauracji. Nawet nie słyszałam, kiedy wszedł, więc wzdrygam się, zaskoczona, ale gdy jestem w objęciach Leona, myśl o pojawieniu się Justina w moim mieszkaniu nie jest aż taka straszna.

– Ach – odzywa się Mo, gdy nas widzi. – Pójdę ze swoją rybą gdzieś indziej, dobrze?

# 68
# *Leon*

Ja: Pewnie to nie najlepsza chwila.

Tiffy: Naprawdę mam nadzieję, że żartujesz.

Ja: Nie żartuję, ale na pewno mam nadzieję, że powiesz mi, że się mylę.

Tiffy: Mylisz się. To idealna chwila. Jesteśmy sami, w naszym mieszkaniu, razem. Trudno o lepszą okazję.

Wbijamy w siebie wzrok. Ona wciąż ma na sobie tę niesamowitą sukienkę. Wygląda, jakbym mógł ją ściągnąć jednym szarpnięciem. Bardzo chcę spróbować, ale powstrzymuję się – mówi, że jest gotowa, ale to nie jest dobry dzień na dziki seks i zrywanie z siebie ubrań. Raczej na słodki, nieśpieszny seks i stopniowe, podniecające pozbywanie się kolejnych części garderoby.

Tiffy: Łóżko?

Ten głos – właśnie taki, jak opisał go Richie. Głęboki i seksowny. Znacznie bardziej seksowny, gdy wypowiada takie słowa jak „łóżko”.

Stajemy naprzeciwko siebie w nogach łóżka. Nachylam się, ujmuję jej twarz w obie dłonie i całuję ją w usta. Czuję, jak jej ciało rozluźnia się i wiotczeje, a gdy cofam głowę, widzę ogień w jej błękitnych oczach. Pożądanie pojawia się, gdy tylko stykają się nasze usta, i z wielkim trudem zmuszam swoje dłonie do pozostania na jej ramionach.

Poluzowuje mi krawat i zdejmuje marynarkę. Powoli rozpina moją koszulę, nie przestając mnie całować. Wciąż trzymamy się na dystans, jakbyśmy nie chcieli się urazić.

Obraca się i odgarnia włosy z karku, żebym mógł rozpiąć jej sukienkę. Zamiast tego owijam sobie jej włosy wokół dłoni i delikatnie pociągam, a ona jęczy. Nie mogę znieść tego odgłosu. Przywieram do niej, całuję ją po ramionach i szyi, w miejscu, w którym włosy spotykają się ze skórą, aż w końcu ona przesuwa się i sama sięga do suwaka na plecach.

Tiffy: Leonie. Skup się. Sukienka.

Wyjmuję uchwyt suwaka z jej palców i powoli ciągnę go w dół, wolniej niżby chciała. Wierci się niecierpliwie. Opiera się o mnie, aż uderzam

nogami w łóżko. Znów do siebie przywieramy, nagie ciało do jedwabiu.

W końcu sukienka opada na podłogę. Prawie jak w filmie – szeleści jedwab, a potem ukazuje się czarna bielizna i nic więcej. Tiffy obraca się w moich ramionach, wciąż płoną jej oczy, a ja uważnie się jej przyglądam.

Tiffy, z uśmiechem: Zawsze to robisz.

Ja: Co robię?

Tiffy: Tak na mnie patrzysz. Kiedy… coś zdejmuję.

Ja: Nie chcę niczego przegapić. To zbyt ważne, żeby się śpieszyć.

Unosi brew, co wygląda nieznośnie podniecająco.

Tiffy: A więc nie śpieszymy się?

Przesuwa palcami wzdłuż brzegu moich bokserek. Potem zsuwa dłoń i zatrzymuje ją o włos od miejsca, w którym chcę ją poczuć.

Tiffy: Jeszcze pożałujesz, że to powiedziałeś, Leonie.

Już żałuję, gdy tylko wypowiada moje imię. Jej palce suną po moim podbrzuszu, aż wreszcie, boleśnie wolno, sięgają do sprzączki paska. Rozpina mi rozporek, a ja zsuwam spodnie od garnituru i zrzucam skarpetki, świadomy tego, że obserwuje mnie czujnie jak kotka. Kiedy znów

chcę ją do siebie przyciągnąć, kładzie dłoń na mojej piersi.

Tiffy, chrapliwie: Łóżko.

Na chwilę znów się od siebie odrywamy; odruchowo przechodzimy każde na swoją stronę posłania. Ona jest po lewej, ja po prawej. Przyglądamy się sobie, wślizgując się pod kołdrę.

Kładę się na boku i na nią patrzę. Jej włosy rozsypują się na poduszce, a chociaż jest przykryta, wyczuwam jej nagość i to, jak wiele mogę odkryć dotykiem. Kładę dłoń w przestrzeni między nami, a ona ją chwyta, przekraczając granicę, którą wyznaczyliśmy w lutym. Całuje moje palce, a potem wsuwa je między swoje wargi i nagle ta przestrzeń znika, a Tiffy do mnie przywiera, skóra do skóry, tak że nie dzieli nas nawet milimetr.

# 69
# *Tiffy*

– Teraz już widziałeś mnie nago. Zabawiłeś się grzesznie ze mną. Ale wciąż tak na mnie patrzysz.

Na jego twarzy pojawia się ten cudowny krzywy uśmiech, który zawrócił mi w głowie kilka tygodni temu w Brighton.

– Tiffany Moore – mówi. – Jeszcze długo mam zamiar patrzeć na ciebie w ten sposób.

– Długo!

Uroczyście kiwa głową.

– Jak uroczo i zarazem mało konkretnie.

– Coś mi podpowiada, że mogłabyś uciec, gdzie raki zimują, gdybym zaproponował stały związek.

Zastanawiam się nad tym, poprawiając głowę na jego piersi.

– Rozumiem, ale prawdę mówiąc, zrobiło mi się dziwnie ciepło i przytulnie.

Nic nie odpowiada, tylko całuje mnie w czubek głowy.

– Poza tym nie bardzo wiem, gdzie zimują raki.

– Może w jakiejś norze? Pewnie jakąś byś znalazła w pobliżu.

– Nie mam ochoty szukać żadnej nory – odpowiadam, obracając się na brzuch i podpierając łokciami. – Podoba mi się myśl, że będziesz na mnie długo patrzył… hej, słuchasz mnie?

– Tak? – odzywa się, podnosząc wzrok. Uśmiecha się. – Przepraszam. Udało ci się odwrócić moją uwagę nawet od ciebie.

– A sądziłam, że nie sposób cię rozproszyć.

Całuje mnie, głaszcząc kolistymi ruchami moją pierś.

– Jasne. To niemożliwe. Za to ty jesteś…

Już nie jestem w stanie jasno myśleć.

– Jak glina w twoich rękach?

– Zamierzałem powiedzieć: „niezwykle podatna na rozproszenie”.

– Tym razem gram trudną do zdobycia.

Robi ze swoją dłonią coś, czego nikt inny nie robił. Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale

najwyraźniej biorą w tym udział jego kciuk, mój sutek oraz cała masa gorących doznań.

– Przypomnę ci o tym za dziesięć minut – mówi Leon, schodząc pocałunkami w dół mojej szyi.

– Jesteś strasznie zadowolony z siebie.

– Jestem szczęśliwy.

Odsuwam się, żeby na niego popatrzeć. Zdaję sobie sprawę, że zaczynają mnie boleć policzki, i podejrzewam, że to od ciągłego uśmiechania się. Kiedy opowiem o tym Rachel, dokładnie wiem, co zrobi: wsadzi sobie palec do ust i uda, że wymiotuje. Ale to prawda – mimo wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło, jestem obrzydliwie, oszałamiająco szczęśliwa.

Unosi brew.

– Żadnej kąśliwej riposty?

Wzdycham, gdy jego palce suną po mojej skórze, kreśląc wzory, których nie potrafię powtórzyć.

– Właśnie nad jakąś myślę… Tylko daj mi… chwilę…

*

Podczas gdy Leon jest pod prysznicem, sporządzam listę zadań na następny dzień

i przyklejam ją do lodówki. Oto co napisałam:

*1. Postarać się nie myśleć o werdykcie sędziów.*
*2. Załatwić sądowy zakaz.*
*3. Porozmawiać z Mo i Gerty o… Mo i Gerty.*
*4. Kupić mleko.*

Wiercę się niecierpliwie, czekając, aż Leon się pojawi, ale w końcu daję za wygraną i sięgam po swój telefon. Będę tylko musiała nasłuchiwać odgłosów spod prysznica.

– Halo? – odzywa się stłumiony głos Gerty na drugim końcu linii.

– Cześć!

– Dzięki Bogu – mówi Gerty, a ja niemal słyszę, jak opada na poduszkę. – Dogadaliście się z Leonem?

– Tak, dogadaliśmy się.

– Przespałaś się z nim?

Uśmiecham się.

– Widzę, że twój instynkt znów działa.

– Więc nie popsułam wszystkiego?

– Nie popsułaś wszystkiego, chociaż to nie ty byłabyś winna, tylko Justin.

– Boże, ale jesteś łaskawa. Zabezpieczyliście się?

– Tak, mamo, zabezpieczyliśmy się. A ty i Mo się zabezpieczyliście, kiedy godziliście się dziś rano? – pytam słodkim głosem.

– Przestań – rzuca Gerty. – Wystarczy, że ja myślę o penisie Mo, ty nie musisz.

Śmieję się.

– Możemy jutro pójść na kawę, tylko we troje? Chcę się dowiedzieć, jak zostaliście parą. Tylko ogólny zarys historii, bez żadnych szczegółów dotyczących penisa.

– Może przy okazji porozmawiamy o sądowym zakazie dla Justina? – proponuje Gerty.

– Czy to Tiffy? – odzywa się Mo w tle.

– Jak to miło z jego strony, że gdy słyszy o sądowym zakazie, od razu myśli o mnie – mówię i lekko pochmurnieję z powodu tej zmiany tematu. – W porządku. Powinniśmy o tym porozmawiać.

– Czujesz się bezpieczna?

– Znów wracamy do tematu antykoncepcji?

– Tiffy. – Gerty nigdy nie lubiła, gdy tak odbijam piłeczkę. – Czy czujesz się bezpieczna w mieszkaniu?

– Kiedy Leon tu jest, tak.

– To dobrze. Ale mimo wszystko musimy porozmawiać o tym zakazie sądowym, żeby zapewnić ci ochronę, zanim dojdzie do procesu.

– Chwileczkę, będzie jakiś proces?

– Daj biedaczce pomyśleć – odzywa się Mo w tle. – Cieszę się, że ty i Leon się pogodziliście!

– Dzięki, Mo.

– Zgasiłam twój entuzjazm? – pyta Gerty.

– Odrobinę. Ale nie szkodzi. Wciąż mogę zadzwonić do Rachel.

– Jasne, porozmawiaj z nią o wszystkich obrzydliwych szczegółach – zachęca Gerty. – Jutro pójdziemy na kawę, napisz gdzie i kiedy.

– Do zobaczenia – rzucam, po czym rozłączam się i nasłuchuję.

Prysznic wciąż szumi. Dzwonię do Rachel.

– Seks? – pyta od razu po odebraniu telefonu.

Śmieję się.

– Nie, dzięki, jestem już zajęta.

– Wiedziałam! Pogodziliście się?

– Jeszcze jak – odpowiadam przesadnie namiętnym głosem.

– Szczegóły! Szczegóły!

– Opowiem ci wszystko w poniedziałek. Ale… odkryłam, że przez całe swoje dorosłe życie nie wykorzystywałam w pełni swoich cycków.

– No tak – odpowiada Rachel fachowym tonem. – To częsty problem. Wiesz, że masz…

– Ciii! – syczę. Prysznic ucichł. – Muszę kończyć!

– Nie zostawiaj mnie tak! Zamierzałam opowiedzieć ci wszystko o sutkach!

– Leon uzna to za dziwaczne, że zaraz po seksie obdzwoniłam wszystkich swoich przyjaciół – szepczę. – To dopiero początek. Wciąż muszę udawać normalną.

– Dobrze, ale rezerwuję sobie dwugodzinne spotkanie w poniedziałek rano. Temat: „Cycki dla początkujących”.

Rozłączam się i po chwili Leon wchodzi do pokoju przepasany ręcznikiem, z zaczesanymi do tyłu włosami i ramionami lśniącymi od kropelek wody. Zatrzymuje się, żeby przeczytać moją listę.

– Wszystko do zrobienia – szacuje, otwierając drzwi lodówki i sięgając po sok pomarańczowy. – Jak się mają Gerty i Rachel?

– Słucham?

Rzuca mi uśmiech przez ramię.

– Mam wrócić pod prysznic? Uznałem, że wystarczą ci dwa telefony, skoro Gerty jest z Mo.

Czuję, że czerwienieją mi policzki.

– Och, no bo…

Nachyla się ze szklanką soku w dłoni i całuje mnie w usta.

– Nie przejmuj się. Zamierzam pozostawać w błogiej nieświadomości, jak wiele opowiadasz Rachel.

– Kiedy skończę swoją relację, uzna cię za boga – odpowiadam, odprężając się i sięgając po sok.

Leon się krzywi.

– Czy będzie mogła znów spojrzeć mi w oczy?

– Oczywiście. Chociaż pewnie będzie wolała patrzeć gdzieś indziej.

# 70
# *Leon*

Weekend przychodzi i błyskawicznie mija, wypełniony wstydliwą rozkoszą. Tiffy prawie nie opuszcza moich objęć, nie licząc wyjścia na kawę z Gerty i Mo. Miałem rację, że będziemy musieli unikać niektórych bodźców; w sobotę na chwilę przytłoczyły ją złe wspomnienia, ale uczę się przywracać ją do rzeczywistości. To całkiem przyjemne.

Z pewnością denerwuje się Justinem bardziej, niż daje to po sobie poznać – pod pretekstem ciężkich zakupów nakłoniła mnie, żebym przyszedł po nią do kawiarni i odprowadził ją do domu. Im szybciej uzyskamy ten zakaz sądowy, tym lepiej. Kiedy jej nie było, naprawiłem łańcuch w drzwiach wejściowych i drzwi balkonowe. Też chcę jakoś pomóc.

Mam wolny poniedziałek, więc odprowadzam Tiffy do metra, a potem przyrządzam sobie smażoną kaszankę ze szpinakiem.

Nie czuję się dobrze w samotności. To dziwne, ponieważ zazwyczaj bardzo lubię być sam. Ale kiedy Tiffy nie ma, jej nieobecność jest jak luka po wyrwanym zębie.

W końcu przestaję krążyć po mieszkaniu i ignorować swój telefon i dzwonię do matki.

Mama: Leon? Kochanie? Wszystko w porządku?

Ja: Cześć, mamo. Tak, wszystko dobrze. Przepraszam, że tak wyszedłem w piątek.

Mama: Nic się nie stało. Wszyscy byliśmy zdenerwowani, a do tego twoja nowa dziewczyna zaręczyła się z tamtym facetem… Och, Lee, pewnie jesteś załamany!

No tak, niby kto miał powiedzieć mamie?

Ja: To było nieporozumienie. Były chłopak Tiffy to kawał drania. To jego wina. Wcale nie zgodziła się za niego wyjść, tylko próbował ją do tego zmusić.

W słuchawce rozlega się dramatyczne westchnienie rodem z opery mydlanej. Bardzo się staram zachować cierpliwość.

Mama: Biedactwo!

Ja: Tak, no cóż, już czuje się lepiej.

Mama: Dorwałeś go?

Ja: Kogo?

Mama: Jej byłego! Po tym, co zrobił twojej Tiffy!

Ja: A co dokładnie proponujesz, mamo?

Postanawiam nie czekać na odpowiedź.

Ja: Zamierzamy uzyskać sądowy zakaz zbliżania się do Tiffy.

Mama: Jasne, to bardzo skuteczne.

Niezręczna cisza. Dlaczego te rozmowy są dla mnie takie trudne?

Mama: Leonie.

Czekam. Nerwowo się wiercę. Wbijam wzrok w podłogę.

Mama: Leonie, jestem pewna, że twoja Tiffy wcale mnie nie przypomina.

Ja: Co takiego?

Mama: Zawsze byłeś bardzo wyrozumiały, nie to co Richie, który ciągle wrzeszczał i uciekał, ale wiem, że nie podobali ci się mężczyźni, z którymi się spotykałam. Ja też w końcu miałam ich dosyć, ale ty nienawidziłeś ich od samego początku. Wiem, że dawałam ci… fatalny przykład.

Czuję się potwornie skrępowany.

Ja: Mamo, nic się nie stało.

Mama: Naprawdę wychodzę na prostą, Lee.

Ja: Wiem. To nie była twoja wina.

Mama: Wiesz, że już prawie w to wierzę?

Milczymy. Rozmyślam o jej słowach.

Ja też prawie w to wierzę. Kto by pomyślał – jeśli powie się prawdę wystarczająco wiele razy i dołoży odpowiednich starań, być może ona w końcu zapuszcza korzenie.

Ja: Kocham cię, mamo.

Mama: Och, kochanie, ja ciebie też. Zobaczysz, jeszcze odzyskamy Richiego i się nim zaopiekujemy jak zawsze.

Ja: Właśnie. Jak zawsze.

*

Wciąż jest poniedziałek. Poniedziałek nie ma końca. Nie znoszę wolnych dni – co ludzie wtedy robią? Wciąż myślę o rozprawie, hospicjum, Justinie, rozprawie, hospicjum, Justinie. Nawet ciepłe i przytulne myśli o Tiffy nie są w stanie dodać mi otuchy.

Ja: Cześć, Gerty, mówi Leon.

Gerty: Leonie, nie wiemy nic nowego. Sędziowie jeszcze nas nie wezwali w celu ogłoszenia wyroku. Jeśli to zrobią, zadzwonię do ciebie i wszystkiego się dowiesz. Tymczasem nie musisz do mnie telefonować.

Ja: Wiem. Jasne. Przepraszam.

Gerty, dając za wygraną: Podejrzewam, że to się stanie jutro.

Ja: Jutro.

Gerty: To jak dzisiaj, tylko o jeden dzień później.

Ja: Dzisiaj, tylko o jeden dzień później. Tak.

Gerty: Nie masz jakiegoś hobby?

Ja: Nie bardzo. W sumie cały czas pracuję.

Gerty: No cóż, mieszkasz z Tiffy. Na pewno nie brakuje wam książek o różnych sposobach spędzania wolnego czasu. Poczytaj sobie o szydełkowaniu albo budowlach z tektury.

Ja: Dzięki, Gerty.

Gerty: Nie ma za co. No i przestań do mnie wydzwaniać. Jestem bardzo zajęta.

Rozłącza się. Wciąż czuję się nieswojo, gdy to robi, niezależnie od tego, jak często musiałem tego doświadczyć.

# 71
# *Tiffy*

Nie wierzę, że Martin odważył się przyjść do pracy. Zawsze uważałam go za tchórza, ale wygląda na to, że z nas dwojga to ja bardziej boję się tej rozmowy. Zupełnie jakbym miała się spotkać z wysłannikiem Justina. Ta myśl mnie przeraża, chociaż zapewniam Leona, że wszystko jest w porządku. Martin tymczasem jak zwykle się obija i przechwala udaną premierą. Pewnie nawet nie wie, że ja wiem.

Zauważam, że nie wspomina o oświadczynach. Nikt w biurze o tym nie rozmawia. Rachel rozesłała informację, że wcale się nie zaręczyłam, co przynajmniej oszczędziło mi niechcianych gratulacji.

Rachel [10:06]: Mogłabym do niego podejść, kopnąć go w jaja i miałybyśmy to z głowy.

Tiffany [10:07]: Kuszące.

Tiffany [10:10]: Nie wiem, dlaczego taki ze mnie cykor. Wczoraj dokładnie zaplanowałam tę rozmowę. Serio, przygotowałam kilka świetnych morderczych komentarzy. Ale dzisiaj już ich nie pamiętam i świruję ze strachu.

Rachel [10:11]: Co by powiedziała twoja terapeutka?

Tiffany [10:14]: Lucie? Powiedziałaby, że strach to normalna reakcja po tym, co się wydarzyło w piątek. Chyba. A także że rozmowa z Martinem trochę przypomina konfrontację z Justinem.

Rachel: [10:15]: Jasne, rozumiem, tylko że… Martin to Martin. Małostkowy i złośliwy wymoczek, który kopie moje krzesło, szkaluje cię podczas zebrań i podlizuje się szefowej działu PR.

Tiffany: [10:16]: Masz rację. Jak mogę się go obawiać?

Rachel: [10:17]: Mam pójść z tobą?

Tiffany: [10:19]: Czy to będzie żałosne, jeśli powiem „Tak”?

Rachel: [10:20]: Zrobisz mi prawdziwą przyjemność.

Tiffany: [10:21]: A więc dobrze.

Czekamy na koniec porannego zebrania. Zgrzytam zębami, słuchając gratulacji, które odbiera Martin w związku z organizacją premiery. Kilka osób posyła mi zaciekawione spojrzenia, ale nikt o nic nie pyta. Mimo wszystko czerwienię się ze wstydu. Nie podoba mi się, że wszyscy w pokoju wiedzą o zamieszaniu z moim byłym chłopakiem. Pewnie snują własne szalone teorie dotyczące tego, dlaczego już nie jestem zaręczona, ale nikt nie domyślił się prawdy.

Rachel chwyta mnie za rękę i mocno ją ściska, a potem delikatnie popycha mnie w stronę Martina, który zbiera notes i dokumenty.

– Martinie, możemy zamienić słówko? – pytam.

– To nie najlepsza chwila, Tiffy – odpowiada z miną bardzo ważnej osoby, która rzadko ma czas na spontaniczne rozmowy.

– Kolego, albo wejdziesz z nami do tej sali konferencyjnej, albo zastosujemy mój plan, który polega na kopnięciu cię w jaja przy wszystkich – odzywa się Rachel.

Strach pojawia się na jego twarzy, a ze mnie wyparowuje nerwowość. Tylko na niego popatrzcie. Podejrzewa, że znamy prawdę, więc się wycofuje. Nagle nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć bzdury, które wymyśli.

Rachel zagania go do jedynej wolnej sali konferencyjnej i zatrzaskuje za nami drzwi. Opiera się o nie z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– O co chodzi? – pyta Martin.

– Może spróbujesz zgadnąć, Martinie? – mówię. Mój głos brzmi zaskakująco swobodnie i serdecznie.

– Naprawdę nie mam pojęcia – wyrzuca z siebie. – Jest jakiś problem?

– Jeśli tak, to ile minie czasu, zanim Justin się o nim dowie? – pytam.

Martin patrzy mi w oczy. Przypomina kota zapędzonego w róg.

– Nie wiem, co… – próbuje.

– Justin mi powiedział. Taki miał kaprys.

Martin się garbi.

– Słuchaj, próbowałem wam pomóc. Skontaktował się z nami w lutym, powiedział, że pomaga ci szukać mieszkania, i umówiliśmy się, że zaproponujemy ci wynajem pokoju za pięćset funtów miesięcznie.

W lutym? Cholera jasna.

– Skąd wiedział, kim jesteś?

– Od dawna jesteśmy znajomymi na Facebooku. Dodał mnie, kiedy po raz pierwszy na poważnie zaczęliście się spotykać. Uznałem, że

pewnie chce mieć oko na facetów, z którymi pracujesz… no wiesz, żeby cię chronić. Zamieściłem ogłoszenie o wynajmie i tak mnie znalazł.

– Ile ci zaproponował?

– Powiedział, że dopłaci różnicę – odpowiada Martin. – Hana i ja uznaliśmy, że to bardzo miło z jego strony.

– Taki już jest Justin – mówię przez zaciśnięte zęby.

– A kiedy nie przyjęłaś propozycji, sprawiał wrażenie przybitego. Zaczęliśmy rozmawiać podczas jednej z jego wizyt i wtedy poprosił, żebym od czasu do czasu napisał mu, jak się miewasz i co porabiasz, żeby nie musiał się o ciebie martwić.

– Nie wydało ci się to trochę… czy ja wiem… chore? – pyta Rachel.

– Nie! – Martin kręci głową. – Wcale takie mi się nie wydało. A on nic mi nie płacił. Wziąłem od niego pieniądze tylko wtedy, gdy załatwiłem, żeby Tasha Chai-Latte transmitowała premierę.

– Wziąłeś od niego pieniądze za prześladowanie Tiffy? – Rachel wyraźnie kipi ze złości.

Martin się krzywi.

– Chwileczkę. – Unoszę dłonie. – Cofnijmy się do początku. Poprosił, żebyś od czasu do czasu dawał mu znać, gdzie jestem. Dzięki temu wiedział, że będę na premierze książki w Shoreditch oraz na statku wycieczkowym?

– Pewnie tak – odpowiada Martin. Przestępuje z nogi na nogę jak dziecko, które musi iść do toalety, a ja zaczynam mu współczuć, ale od razu tłumię w sobie tę reakcję, ponieważ jedyne, co pozwala mi przetrwać tę rozmowę, to gniew.

– A co z sesją zdjęciową w Walii?

Martin wyraźnie zaczyna się pocić.

– No… zadzwonił do mnie, kiedy napisałem mu, gdzie będziesz…

Wzdrygam się. To takie obrzydliwe, że mam ochotę wskoczyć pod prysznic.

– …i spytał o faceta, który miał dla was pozować. Opisałem go, tak jak ty to zrobiłaś. Wtedy umilkł i sprawiał wrażenie okropnie niezadowolonego. Powiedział, że wciąż bardzo cię kocha, a ten nowy facet wszystko popsuje…

– Przez cały weekend nam przeszkadzałeś.

– Myślałem, że pomagam!

– I tak byłeś do niczego, bo o trzeciej w nocy wymknęliśmy się i całowaliśmy w kuchni! – dodaję.

– Ryzykujesz utratą moralnej przewagi, Tiffy – upomina mnie Rachel.

– Dobrze już, dobrze. Więc po powrocie złożyłeś relację Justinowi?

– Tak. Nie był zadowolony z tego, jak sobie poradziłem. Nagle bardzo się zawstydziłem. Jakbym wypadł poniżej oczekiwań.

– Gość zna się na rzeczy – mruczy Rachel pod nosem.

– A potem chciał zaplanować wielkie oświadczyny. Wszystko wyglądało bardzo romantycznie.

– Zwłaszcza gdy ci zapłacił, żebyś namówił Tashę Chai-Latte do nagrywania premiery – odpowiadam.

– Mówił, że chce, aby cały świat to zobaczył! – protestuje Martin.

– Nie świat, tylko Leon. Ile to w ogóle kosztowało? Powinnam była się domyślić, że nie pokrył tego budżet książki.

– Piętnaście tysięcy – odpowiada nieśmiało Martin. – Do tego dwa tysiące dla mnie za organizację.

– Siedemnaście tysięcy funtów?! – wykrzykuje Rachel. – Mój Boże!

– Do tego wynajęcie limuzyny dla Katherin, żeby zachęcić ją do wywiadu z Piersem

Morganem. Uznałem, że… Justin po prostu bardzo cię kocha – tłumaczy się Martin.

– Wcale nie – odpowiadam bezbarwnym głosem. – Miałeś to gdzieś. Chciałeś tylko przypodobać się Justinowi. On tak działa na wielu ludzi. Odzywał się do ciebie od czasu oświadczyn?

Martin nerwowo kręci głową.

– Po tym, jak wyszłaś z imprezy, domyśliłem się, że nie wszystko poszło po jego myśli. Sądzisz, że będzie na mnie zły?

– Czy myślę… – Biorę głęboki oddech. – Martinie, nie obchodzi mnie, czy Justin jest na ciebie zły. Niedługo stanie przed sądem za nękanie albo prześladowanie, gdy tylko moja prawniczka postanowi, która linia ataku bardziej jej się podoba.

Martin robi się jeszcze bardziej blady niż zazwyczaj, a to nie byle co. Zaraz zrobi się przezroczysty i zobaczę tablicę, która wisi za jego plecami.

– Będziesz gotowy zeznawać? – pytam energicznie.

– Co? Nie!

– Dlaczego?

– No… to byłoby dla mnie bardzo upokarzające, a mamy teraz w pracy ważny

okres…

– Jesteś bardzo słabym człowiekiem, Martinie – mówię.

Mruga oczami. Lekko drży mu warga.

– Zastanowię się – obiecuje w końcu.

– Dobrze. Do zobaczenia w sądzie.

Wychodzę z sali razem z Rachel. Kiedy zmierzam do swojego biurka, czuję ogarniającą mnie euforię. Zwłaszcza gdy Rachel zaczyna nucić *Eye of the Tiger*.

*

Świat sprawia wrażenie nieco lepszego miejsca po konfrontacji z Martinem. Unoszę wyżej głowę i stwierdzam, że wcale nie wstydzę się tego, co miało miejsce podczas premiery. Mój były chłopak mi się oświadczył, a ja odmówiłam – wielka mi rzecz. Nie ma w tym niczego złego. Zwłaszcza że Ruby dyskretnie przybija mi piątkę, gdy idę do toalety, a Rachel co piętnaście minut wysyła mi nowe piosenki podbudowujące moją kobiecą dumę. Zaczynam się czuć… silna.

Trudno mi się skupić na pracy, ale jakoś daję radę. Właśnie zgłębiam w internecie nowy trend w lukrowaniu babeczek, gdy ktoś do mnie dzwoni. Niemal natychmiast uświadamiam

sobie, że do końca życia będę pamiętała tę stronę o pistoletach do lukru. To taki rodzaj telefonu.

– Tiffy? – odzywa się Leon.

– Tak?

– Tiffy…

– Leonie, wszystko w porządku? – Serce zaczyna mi mocniej bić.

– On wyszedł.

– Wyszedł…

– Richie.

– Mój Boże. Możesz powtórzyć?

– Richie wyszedł na wolność. Jest niewinny.

Wydaję z siebie okrzyk, który sprawia, że cała redakcja na mnie patrzy. Krzywię się i na chwilę zakrywam telefon.

– Przyjaciel wygrał na loterii! – informuję bezgłośnie Francine, najbliższą wścibską koleżankę, która natychmiast rusza przekazać innym wieści. Jeśli nie zduszę tego w zarodku, pomyślą, że znów się zaręczyłam.

– Leonie, nawet nie wiem… Sądziłam, że podejmą decyzję dopiero jutro!

– Ja też. Podobnie jak Gerty.

– Więc… on po prostu… wyszedł? Na wolność? Boże, nie wyobrażam sobie Richiego na wolności! Jak on w ogóle wygląda?

Leon się śmieje, a mój żołądek wywija fikołka.

– Dzisiaj wieczorem do nas wpadnie. Wreszcie go poznasz.

– Niewiarygodne.

– Wiem. Wciąż nie mogę… Mam wrażenie, że to sen.

– Nie wiem, co powiedzieć. Gdzie teraz jesteś? – pytam, podrygując na krześle.

– W pracy.

– Nie wziąłeś dnia wolnego?

– Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Przyjedziesz do mnie po pracy? Jeśli to nie po drodze, to nie ma problemu, o siódmej będę w domu, ale pomyślałem…

– Będę u ciebie o wpół do szóstej.

– Powinienem wyjść po ciebie na…

– Poradzę sobie sama, naprawdę. Miałam dobry dzień, dam radę. Do zobaczenia o wpół do szóstej!

# 72
# *Leon*

Krążę po oddziałach, sprawdzam karty pacjentów, podaję płyny. Gawędzę z pacjentami i o dziwo, mówię normalnym głosem i potrafię rozmawiać o czymś innym niż powrót mojego brata do domu.

Do domu.

Richie wraca.

Wciąż wycofuję się przed tą myślą – w wyobraźni próbuję wkleić Richiego z powrotem do mojego życia i zaraz odskakuję, jakbym dotknął czegoś gorącego, ponieważ nigdy wcześniej nie pozwoliłem sobie na rozwinięcie tej myśli. Za bardzo bolało. Nie chciałem robić sobie nadziei.

Tylko że teraz to się stało faktem. A raczej stanie się za kilka godzin.

Pozna Tiffy. Będą ze sobą rozmawiali, jak przez telefon, ale twarzą w twarz, na mojej sofie. To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Oczywiście potem pojawia się świadomość, że Richie w ogóle nie powinien był trafić za kratki, ale nawet ona nie jest w stanie stłumić euforii.

Właśnie robię herbatę w szpitalnej kuchni, gdy nagle słyszę, jak ktoś raz za razem powtarza moje imię, coraz głośniej.

Tiffy: Leon! Leon! Leon!

Odwracam się w samą porę. Wpada na mnie, z włosami mokrymi od deszczu, zaróżowionymi policzkami, szerokim uśmiechem.

Ja: Hej!

Tiffy: Bardzo blisko mojego ucha: Leon! Leon! Leon!

Ja: Au?

Tiffy: Przepraszam. Przepraszam. Po prostu…

Ja: Czy ty płaczesz?

Tiffy: Co takiego? Nie.

Ja: Ależ tak. Jesteś niesamowita.

Mruga i patrzy na mnie zaskoczona, a w jej oczach lśnią łzy radości.

Ja: Przecież nawet nie spotkałaś Richiego.

Bierze mnie pod rękę i obraca w stronę czajnika, w którym zaczyna wrzeć woda.

Tiffy: Ale spotkałam ciebie, a Richie jest twoim braciszkiem.

Ja: Muszę cię tylko uprzedzić, że wcale nie jest mały.

Wyjmuje dwa kubki z szafki, a następnie wkłada torebki z herbatą i je zalewa, jakby korzystała z tej kuchni od lat.

Tiffy: Poza tym mam wrażenie, że go znam. Mnóstwo razy rozmawialiśmy. Nie trzeba kogoś spotkać osobiście, żeby go poznać.

Ja: A skoro o tym mowa…

Tiffy: Dokąd idziemy?

Ja: Chodź, chcę ci coś pokazać.

Tiffy: Ale herbata!

Zatrzymuję się i czekam, aż powoli doleje mleka. Zerka zawadiacko przez ramię, a ja od razu nabieram ochoty, by ją rozebrać.

Ja: Gotowa?

Tiffy: W porządku. Jestem gotowa.

Wręcza mi kubek i chwyta mnie za rękę. Niemal wszyscy, których mijamy na korytarzu, wołają: „Cześć, Tiffy!” albo „Ty na pewno jesteś Tiffy!”, albo „Mój Boże, Leon naprawdę ma dziewczynę!”, ale jestem w zbyt dobrym nastroju, by mnie to zirytowało.

Powstrzymuję ją, gdy chce otworzyć drzwi prowadzące na Oddział Koralowy.

Ja: Zaczekaj, popatrz przez okienko.

Oboje zbliżamy twarze do szyby.

Trwa przy jego łóżku od weekendu. Pan Prior śpi, a jego wysuszona, plamista dłoń spoczywa w dłoni Johnny'ego White'a. Spędzili razem całe trzy dni – więcej niż Johnny mógł sobie wymarzyć.

Zawsze warto otworzyć te drzwi.

Tiffy: Więc Johnny White Szósty był tym prawdziwym? To chyba najszczęśliwszy dzień w historii. Czy ktoś wydał jakieś oświadczenie? Dodano każdemu magicznego eliksiru do śniadania? Złote Kupony pojawiły się w pudełkach z płatkami?

Całuję ją mocno w usta. Za naszymi plecami jeden z młodszych lekarzy mówi do drugiego:

– Niesamowite, a sądziłem, że Leon nie lubi nikogo, kto nie jest nieuleczalnie chory!

Ja: Myślę, że to po prostu dobry dzień, Tiffy.

Tiffy: Chyba każdemu w końcu się taki należy.

# 73
# *Tiffy*

– No dobrze, jak wyglądam?

– Uspokój się – mówi Leon, kładąc się na łóżku z jedną ręką za głową. – Richie i tak cię uwielbia.

– Spotkam się z członkiem twojej rodziny! – protestuję. – Chcę dobrze wyglądać. Chcę wyglądać na… elegancką, piękną oraz dowcipną i mieć w sobie coś z Sookie z wczesnych sezonów *Kochanych kłopotów*.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Fukam z irytacją.

– Mo!

– Tak?! – woła Mo z kuchni.

– Powiedz mi, czy w tym stroju wyglądam na fajną i na poziomie, czy może na zmęczoną i pospolitą?

– Jeśli chcesz mojej rady, daruj sobie te ciuchy! – woła Gerty.

Przewracam oczami.

– Nie ciebie pytałam! Tobie nie podobają się żadne moje ubrania!

– Nieprawda, niektóre są w porządku. Tylko nie w takich zestawieniach, na jakie się decydujesz.

– Wyglądasz idealnie – zapewnia Leon z uśmiechem. Cała jego twarz jest dzisiaj zupełnie inna, jakby ktoś pstryknął jakimś przełącznikiem, z którego istnienia nie zdawałam sobie sprawy, i dodał mu blasku.

– Nie, Gerty ma rację – odpowiadam, ściągam kopertową sukienkę i sięgam po swoje ulubione obcisłe zielone dżinsy oraz sweter o grubym splocie. – Za bardzo się staram.

– Starasz się w sam raz – mówi Leon, kiedy podskakuję na jednej nodze, próbując podciągnąć dżinsy.

– Czy mogę dzisiaj powiedzieć cokolwiek, z czym się nie zgodzisz?

Mruży oczy.

– To prawdziwa zagadka – stwierdza w końcu. – Odpowiedź brzmi „Nie”, ale w takim wypadku sam bym sobie zaprzeczył.

– Nie dość, że zgadza się ze wszystkim, co mówię, to jeszcze jest bystry! – Zbliżam się do niego na czworakach, po czym siadam na nim

okrakiem i zaczynam go całować. Kiedy się odsuwam, żeby włożyć bluzkę, protestuje i próbuje mnie przytrzymać, a ja uśmiecham się i opędzam się od jego dłoni. – Nawet ty musisz przyznać, że nie mogę zostać w takim stroju.

Dzwonek domofonu odzywa się trzykrotnie, a Leon podrywa się tak szybko, że niemal spadam z łóżka.

– Przepraszam! – rzuca przez ramię, biegnąc do drzwi. Słyszę, jak Mo albo Gerty podnosi słuchawkę, by wpuścić Richiego do budynku.

Mój żołądek wywija fikołka, gdy wciągam na siebie sweter i przeczesuję palcami włosy. Czekam, aż przy drzwiach wejściowych rozlegnie się głos Richiego. Daję braciom czas na nacieszenie się chwilą, na którą czekali.

Zamiast tego słyszę Justina.

– Chcę z tobą porozmawiać – oznajmia.

– Och, witaj, Justinie – odpowiada Leon.

Zauważam, że mocno obejmuję się ramionami i przywieram do szafy, żeby nie było mnie widać z przedpokoju. Mam ochotę krzyczeć. On nie ma prawa tutaj przychodzić i tak mnie traktować. Chcę, żeby zniknął, naprawdę zniknął, nie tylko z mojego życia, ale także z mojej głowy. Koniec kulenia się po kątach ze strachu.

Oczywiście to nie takie proste – nie da się od ręki zapomnieć o czymś takim – ale w tej chwili mam dosyć i zamierzam wykorzystać tę falę wściekłej pewności siebie. Wychodzę zza rogu.

Justin stoi w progu, barczysty, muskularny i wyraźnie rozgniewany.

– Justinie – odzywam się i staję tuż przed nim, u boku Leona. Opieram dłoń na drzwiach, gotowa je zatrzasnąć.

– Przyszedłem porozmawiać z Leonem – rzuca Justin. Nawet na mnie nie patrzy.

Wbrew sobie lekko się cofam i od razu tracę pewność siebie.

– Jeśli mnie także chcesz się oświadczyć, to odpowiedź brzmi „Nie” – mówi Leon serdecznym głosem. Justin zaciska pięści i rusza naprzód z napiętymi mięśniami i ogniem w oczach. Wzdrygam się.

– Uważaj na swoją stopę, Justinie – odzywa się Gerty ostro za moimi plecami. – Jeśli przekroczy próg tego mieszkania, twój prawnik będzie mi się gęsto tłumaczył.

Widzę, że Justin się waha.

– Nie pamiętam, żeby twoi przyjaciele byli tacy wścibscy, gdy się spotykaliśmy – warczy. Serce tłucze mi się w piersi. Chyba jest pijany. Niedobrze.

– Ale bardzo chcieliśmy – mówi Mo.

Biorę głęboki, urywany oddech.

– Odejście ode mnie to najlepsze, co dla mnie zrobiłeś, Justinie – mówię, starając się stać równie pewnie jak on po drugiej stronie drzwi. – To już koniec. Zostaw mnie w spokoju.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem – odpowiada zniecierpliwionym głosem.

– Wystąpię o zakaz sądowy – wyrzucam z siebie, zanim zdąży powiedzieć coś więcej.

– Nie zrobisz tego – kpi Justin. – Daj spokój, Tiffy. Przestań zachowywać się jak dziecko.

Zatrzaskuję mu drzwi przed nosem, a wszyscy aż podskakują, wliczając mnie.

– Kurwa! – wrzeszczy Justin po drugiej stronie drzwi, a potem zaczyna walić w nie pięścią, aż grzechocze klamka.

Wbrew sobie cicho jęczę i zaczynam się cofać. Nie wierzę, że właśnie zatrzasnęłam Justinowi drzwi przed nosem.

– Policja – bezgłośnie mówi do nas Leon.

Gerty włącza telefon i wybiera numer, a drugą ręką mocno ściska moje palce. Mo natychmiast staje przy moim boku, podczas gdy Leon zapina nowy łańcuch i opiera się o drzwi.

– To wszystko jest pojebane – mówię słabym głosem. – Nie wierzę, że to się dzieje.

– Wpuśćcie mnie! – ryczy Justin.

– Policja – mówi Gerty do telefonu.

Justin bębni w drzwi obiema pięściami, a ja przypominam sobie, jak kilka tygodni temu uporczywie dzwonił domofonem, dopóki Leon mu nie otworzył. Przełykam ślinę. Każde uderzenie wydaje się głośniejsze niż poprzednie, aż w końcu mam wrażenie, że rozbrzmiewają w mojej głowie. Oczy mam mokre od łez; Gerty i Mo ledwie mnie podtrzymują. Nie tak łatwo pokonać strach. Podczas gdy Justin wrzeszczy i miota się na korytarzu, patrzę na zdenerwowanego Leona, który z poważną miną rozgląda się za czymś, czym mógłby zabarykadować drzwi. Po mojej lewej stronie Gerty przez telefon odpowiada na czyjeś pytania.

Nagle szaleństwo i hałas ustają. Leon patrzy na nas pytająco, a potem naciska klamkę – drzwi wciąż są zamknięte.

– Dlaczego przestał? – pytam, tak mocno ściskając dłoń Gerty, że aż bieleją mi palce.

– Właśnie przestał się dobijać – mówi Gerty do telefonu. Słyszę niewyraźną odpowiedź. – Ona mówi, że być może szuka sposobu na wyważenie drzwi. Powinniśmy przejść do innego pokoju. Odsuń się od drzwi, Leonie.

– Zaczekajcie – szepcze Leon, nasłuchując odgłosów dobiegających z korytarza.

Na jego twarzy pojawia się ponury uśmiech. Przywołuje nas gestem. Podchodzę niepewnie, na miękkich kolanach, prowadzona za rękę przez Mo. Gerty zostaje z tyłu i wciąż cicho rozmawia przez telefon.

– Spodobałoby ci się w więzieniu, Justinie – mówi ciepły głos z charakterystycznym akcentem. – Naprawdę. Jest tam mnóstwo takich gości jak ty.

– Richie! – szepczę. – Ale… on nie może… – Dopiero co wyciągnęliśmy go z więzienia. Udział w bójce nie skończy się dla niego dobrze, nawet jeśli w tej chwili pozwoli pozbyć się Justina z budynku.

– Racja – zgadza się Leon, szerzej otwierając oczy. Sięga do zamka i zauważam, że też lekko drżą mu ręce. Po głosach możemy się zorientować, że Richie stoi bliżej drzwi, a Justin nieco dalej, obok schodów. Gwałtownie trę oczy. Nie chcę, żeby Justin dowiedział się, jak na mnie działa. Nie chcę dawać mu takiej władzy.

Kiedy Leon otwiera drzwi, Justin rzuca się w naszą stronę, ale Richie popycha go od niechcenia i Justin wpada na ścianę, klnąc, na czym świat stoi. Richie wchodzi do mieszkania,

a Leon szybko zamyka za nim drzwi. Wszystko trwa kilka sekund; ledwie zdążam zauważyć minę szarżującego Justina, który koniecznie chce się wedrzeć do naszego domu. Co mu się stało? Nigdy się tak nie zachowywał. Nie był agresywny. Zawsze panował nad gniewem, karał mnie sprytnie i okrutnie. Teraz działa chaotycznie i rozpaczliwie.

– Fajny koleś z twojego byłego – mówi do mnie Richie i puszcza oko. – Strasznie się wkurzył. Rano na pewno będzie żałował, że tak tłukł w drzwi. – Rzuca zapasowe klucze na blat, pewnie w ten sposób dostał się do budynku.

Mrugam kilka razy i dokładnie mu się przyglądam. Nic dziwnego, że Justin umilkł, gdy Richie pojawił się na korytarzu. Jest ogromny. Ma sporo ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i mięśnie, jakie można wypracować tylko wtedy, gdy nie ma się nic innego do roboty poza ćwiczeniami. Czarne włosy ma krótko przystrzyżone, a jego przedramiona pokrywa ciąg tatuaży. Kolejny wzór wygląda spod kołnierzyka koszuli i wije się po szyi, obok sznurkowego naszyjnika, zapewne takiego samego, jaki nosi Leon. Ma identyczne ciemnobrązowe oczy jak brat, ale jego spojrzenie,

chociaż równie refleksyjne, jest nieco bardziej psotne.

– Policja przyjedzie za dziesięć minut – oznajmia spokojnie Gerty. – Cześć, Richie. Jak się masz?

– Jestem zrozpaczony, że masz chłopaka – odpowiada Richie i z uśmiechem klepie Mo po ramieniu. Mogłabym przysiąc, że Mo zapada się o kilka centymetrów w dywan. – Jestem wam winien zaproszenie na kolację!

– Nie będziemy się sprzeciwiać – pośpiesznie mówi Mo.

Richie chwyta Leona w objęcia tak mocno, że słyszę, jak zderzają się ich ciała.

– Nie przejmujcie się tym palantem na zewnątrz – uspokaja nas. Na korytarzu Justin rzuca czymś o ścianę, a ja aż się kulę. Cała się trzęsę od chwili, gdy usłyszałam jego głos, ale Richie posyła mi ciepły przyjacielski uśmiech, który jest jak echo krzywego uśmiechu Leona i sprawia, że natychmiast się uspokajam. – Miło cię poznać, Tiffy. Dziękuję, że zaopiekowałaś się moim bratem.

– Nie jestem pewna, czy to się liczy – dukam, wskazując na trzęsące się drzwi.

Richie macha ręką.

– Daj spokój. Jeśli dostanie się do środka, będzie musiał sobie poradzić ze mną i Leonem oraz… wybacz, stary, ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Mo – mówi Mo, który wygląda jak człowiek zarabiający na życie siedzeniem na krześle i rozmawianiem, ale nagle znalazł się w sytuacji, w której to może zadziałać na jego niekorzyść.

– A także ze mną i Tiffy – wtrąca Gerty ostro. – Co to, średniowiecze? Założę się, że potrafię komuś przyłożyć lepiej niż Leon.

– Wpuśćcie mnie, kurwa! – ryczy Justin.

– Do tego jest pijany – zauważa radośnie Richie, a następnie podnosi fotel i usuwa nas z drogi, żeby postawić go przed drzwiami. – Proszę bardzo. Nie ma sensu dalej tu siedzieć, prawda? Lee, balkon nadal jest tam, gdzie kiedyś?

– Eee, tak – zaczyna oszołomiony Leon. Zajął miejsce Mo u mojego boku i głaszcze mnie po plecach, a ja opieram się o niego, uspokajając się pod wpływem jego dotyku. Wciąż wzdrygam się za każdym razem, gdy Justin wrzeszczy albo uderza w drzwi, ale teraz, gdy Richie dźwiga meble, a Leon mnie obejmuje, już nie paraliżuje mnie strach. To miłe.

Richie wyprowadza nas wszystkich na balkon i zamyka za nami oszklone drzwi. Ledwie się mieścimy; Gerty wtula się w Mo w jednym kącie, ja staję przed Leonem w drugim, pozostawiając Richiemu większość wolnej przestrzeni, a on właśnie tego potrzebuje. Głęboko oddycha, z uśmiechem podziwiając widok z balkonu.

– Londyn! – mówi, szeroko rozkładając ręce. – Tęskniłem za tym. Tylko popatrzcie!

W mieszkaniu wciąż słychać walenie do drzwi. Leon mocno mnie przytula i zanurza twarz w moich włosach. Czuję na szyi jego ciepły uspokajający oddech.

– Będziemy stąd doskonale widzieć, kiedy przyjedzie policja – oznajmia Richie i puszcza do mnie oko. – Nie spodziewałem się, że tak szybko znów ich zobaczę.

– Przepraszam – odpowiadam ze smutkiem.

– Nie masz za co – stwierdza stanowczo Richie. W tej samej chwili Leon kręci głową, a Mo mówi:

– Nie przepraszaj, Tiffy. – Nawet Gerty przewraca oczami z sympatią.

Patrzę na nich wszystkich, stłoczonych ze mną na balkonie. To mi poprawia humor – tylko trochę, ale nie sądzę, by w tej chwili cokolwiek mogło pomóc mi bardziej. Zamykam oczy

i opieram się o Leona, skupiając się na swoim oddechu, tak jak uczyła mnie Lucie. Próbuję sobie wyobrazić, że dudnienie to tylko nic nieznaczący hałas. W końcu ustanie. Oddycham głęboko, Leon mnie obejmuje, a ja czuję wzbierającą we mnie pewność. Nawet Justin nie będzie trwał wiecznie.

# 74
# *Leon*

Policja zabiera Justina, który dosłownie toczy pianę z ust. Wystarczy na niego spojrzeć, by zrozumieć, co się stało: człowiek, który zawsze miał wszystko pod kontrolą, nagle ją utracił. Gerty uważa, że to ułatwi nam zdobycie zakazu sądowego.

Oglądamy drzwi. Trochę odkształcił drewno kopniakami i odłupał kawałki farby pięściami. Znajdujemy także ślady krwi. Tiffy odwraca głowę. Zastanawiam się, co czuje, gdy je widzi po tym wszystkim, co przeszła. Wiedząc, że kochała tego mężczyznę, a on też na swój sposób ją kochał.

Dzięki Bogu za Richiego. Dzisiejszego wieczoru promienieje radością. Gdy zaczyna opowiadać kolejną historię o tym, jak „Przygłup” rozpaczliwie próbował wywalczyć sobie

pierwszeństwo na siłowni, policzki Tiffy nabierają koloru, jej ramiona się prostują, a na usta wypływa uśmiech. Tak lepiej. Ja także się odprężam, widząc u niej kolejne oznaki poprawy. Nie mogłem znieść tego, jaka była wystraszona i zapłakana. Nawet widok Justina zabieranego przez policję nie złagodził mojej złości.

Ale teraz, trzy godziny po zakończeniu całego zamieszania, siedzimy razem w salonie, tak jak to sobie wyobrażałem. Prawie nic nie wskazuje na to, że ten wieczór, na który czekałem przez cały ostatni rok, na chwilę zakłócił jakiś niezrównoważony facet. Tiffy i ja usiedliśmy na poduszce z kulkami. Gerty zajęła honorowe miejsce na sofie i opiera się o Mo. Richie króluje nad nami z fotela, który nie wrócił na swoje miejsce po tym, jak wykorzystaliśmy go w roli barykady, i teraz stoi pomiędzy przedpokojem a salonem.

Richie: Przewidziałem to. Tak tylko mówię.

Gerty: Ale kiedy? Ponieważ ja też to przewidziałam, a nie sądzę, żebyś ty mógł to przewidzieć od samego…

Richie: W chwili, gdy Leon po raz pierwszy mi powiedział, że jakaś kobieta będzie spała w jego łóżku pod jego nieobecność.

Gerty: Niemożliwe.

Richie, wylewnie: Daj spokój! Nie można dzielić z kimś łóżka i niczego więcej, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Gerty: A co z Kay?

Richie lekceważąco macha ręką.

Richie: Co tam Kay.

Tiffy: Nie przesadzaj…

Richie: Owszem, była miła, ale od początku nie pasowała do Leona.

Ja, do Gerty i Mo: A co wy o tym myśleliście na samym początku?

Tiffy: O Boże, nie pytaj ich o to.

Gerty, bezzwłocznie: Uważaliśmy, że to okropny pomysł.

Mo: Weź pod uwagę, że mogłeś być kimkolwiek.

Gerty: Na przykład obrzydliwym zboczeńcem.

Richie zanosi się śmiechem i sięga po kolejne piwo. Nie pił od jedenastu miesięcy. Mam ochotę mu powiedzieć, że pewnie ma teraz słabszą głowę niż kiedyś, ale potem zastanawiam się, jak zareaguje na tę uwagę (niemal na pewno wypije jeszcze więcej, żeby udowodnić, że się mylę), i rezygnuję.

Mo: Próbowaliśmy nawet dać Tiffy pieniądze, żeby tego nie robiła…

Gerty: Oczywiście odmówiła…

Mo: A potem stało się jasne, że to część jej planu ucieczki od Justina, więc musieliśmy pozwolić jej zrobić to po swojemu.

Richie: Ale tego nie przewidzieliście? Że Tiffy i Leon będą razem?

Mo: Nie. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że Tiffy jest gotowa na takiego faceta jak Leon.

Ja: Czyli jakiego?

Richie: Diabelsko przystojnego?

Ja: Tyczkowatego? Wielkouchego?

Tiffy, drwiąco: Chodzi mu o kogoś, kto nie jest psychopatą.

Mo: No tak. Trzeba dużo czasu, żeby uciec z takiego związku…

Gerty, pośpiesznie: Nie rozmawiajmy o Justinie.

Mo: Przepraszam. Chciałem tylko podkreślić, jak dobrze Tiffy sobie poradziła. Jak trudno było jej się wyrwać, zanim wpadła w zaklęty krąg.

Richie i ja wymieniamy spojrzenia. Myślę o mamie.

Gerty przewraca oczami.

Gerty: Mówię wam, spotykanie się z terapeutą to koszmar. Ten człowiek nie ma pojęcia, czym jest beztroska.

Tiffy: A ty masz?

Gerty kopie ją w odpowiedzi.

Tiffy, chwytając Gerty za stopę: Zresztą właśnie o tym najbardziej chcemy posłuchać. Nigdy nie opowiedziałaś mi o sobie i Mo! Jak? Kiedy? Możesz pominąć detale dotyczące penisa, jak się umawiałyśmy.

Richie: Co?

Ja: Nie pytaj. Najlepiej ignorować wszystkie hermetyczne żarty. W końcu zaczną mieć odrobinę sensu.

Tiffy: Poczekaj, aż poznasz Rachel. Królową niepoprawnych hermetycznych żartów.

Richie: Brzmi jak babka w moim typie.

Tiffy nagle się zamyśla, a ja ostrzegawczo unoszę brwi. To zły pomysł, żeby swatać Richiego. Chociaż kocham brata, nie da się ukryć, że lubi łamać kobiece serca.

Ja: No mówcie, Mo, Gerty?

Mo, do Gerty: Ty opowiedz.

Tiffy: Nie ma mowy. Wersja Gerty będzie brzmiała jak sądowa przemowa. Mo, przedstaw nam romantyczną wersję wydarzeń.

Mo zerka z ukosa na Gerty, sprawdzając, czy jest bardzo rozdrażniona. Na szczęście wypiła trzy kieliszki wina, więc tylko piorunuje wzrokiem Tiffy.

Mo: No więc wszystko zaczęło się, gdy razem zamieszkaliśmy.

Gerty: Chociaż okazało się, że Mo kochał się we mnie od dawna.

Mo posyła jej lekko zirytowane spojrzenie.

Mo: A Gerty powiedziała, że podobałem jej się od roku.

Gerty: To miała być tajemnica!

Tiffy mruczy niecierpliwie.

Tiffy: Jesteście normalną parą? Śpicie w tym samym łóżku i tak dalej?

Zapada niezręczna cisza. Mo wbija wzrok w swoje stopy. Tiffy uśmiecha się do Gerty i ściska jej dłoń.

Richie: Wygląda na to, że muszę sobie znaleźć współlokatorkę.

# WRZESIEŃ
# Dwa lata później

# Epilog
## *Tiffy*

Kiedy po pracy wracam do domu, na drzwiach wisi wiadomość. Nie jest to dziwne samo w sobie, ale Leon i ja z zasady staramy się ograniczyć do wieszania liścików wewnątrz mieszkania. Nie chcemy afiszować się ze swoimi dziwactwami.

*Uwaga! Nadciąga romantyczny gest.*
*(Bez obaw, bardzo niskobudżetowy).*

Parskam śmiechem i przekręcam klucz w drzwiach. Mieszkanie wygląda tak samo jak zawsze: zagracone, wielobarwne i przytulne. Dopiero kiedy chcę postawić torebkę obok drzwi, zauważam na ścianie kolejną wiadomość.

*Krok pierwszy: odpowiednia sukienka, by ruszyć na spotkanie z przygodą. Proszę, wybierz ubranie z szafy.*

Z rozbawieniem wpatruję się w liścik. To ekscentryczne nawet jak na Leona. Zrzucam płaszcz oraz szalik i zostawiam je na oparciu rozkładanej kanapy. (Zastąpiła dawną sofę i ledwo mieści się w salonie, chociaż poświęciliśmy telewizor, ale w naszym mieszkaniu nie mogło zabraknąć miejsca do spania dla Richiego).

Na wewnętrznej stronie drzwi szafy znajduję złożoną karteczkę przyczepioną taśmą klejącą.

*Masz już na sobie coś w stylu Tiffy?*

Owszem, ale to ubranie do pracy, więc bardziej normalne niż zwykle (czyli starałam się, żeby przynajmniej dwa elementy nie były ze sobą w ostrym kontraście). Grzebię w szafie w poszukiwaniu czegoś, w czym będę mogła „ruszyć na spotkanie z przygodą", cokolwiek to oznacza.

Zatrzymuję się przy niebiesko-białej sukience, którą kupiłam dwa lata temu. Leon zawsze powtarza, że wyglądam w niej na poszukiwaczkę

przygód. Jest nieco niepraktyczna w zimny dzień, ale w połączeniu z grubymi szarymi pończochami i żółtym płaszczem nieprzemakalnym ze sklepu charytatywnego…

Kiedy już jestem przebrana, odklejam kartkę od drzwi szafy i czytam wiadomość.

*Witaj ponownie. Na pewno wyglądasz pięknie.*

*Wybacz, ale musisz zebrać jeszcze kilka przedmiotów, zanim wyruszysz. Pierwszy znajduje się w miejscu, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. (Nie przejmuj się, jest wodoodporny).*

Uśmiecham się i ruszam do łazienki, przyśpieszając kroku. Co Leon knuje? Dokąd mam się wybrać? Skoro mam już na sobie odpowiednią sukienkę, otrząsam się ze zmęczenia po pracy – Leon przewidział, że odżyję, gdy tylko założę coś kolorowego – i czuję łaskotanie w żołądku.

Na zasłonie prysznicowej wisi koperta starannie owinięta folią. Na wierzchu znajduje się samoprzylepna karteczka.

*Jeszcze mnie nie czytaj.*

*Teraz musisz udać się do miejsca,*
*w którym po raz pierwszy się*
*pocałowaliśmy. (Co prawda sofy już nie ma,*
*ale zapomnijmy o tym na potrzeby*
*romantycznego gestu).*

Kolejna koperta tkwi pomiędzy poduszkami na kanapie. Na tej napisano *Otwórz mnie*, więc to robię. Wewnątrz znajduję bilet kolejowy z Londynu do Brighton. Marszczę czoło, całkowicie zbita z tropu. Dlaczego Brighton? Nie byliśmy tam od czasu poszukiwań Johnny'ego White'a.

Za biletem Leon umieścił liścik:

*Ostatni przedmiot, którego potrzebujesz,*
*jest u Bobby'ego. On już na Ciebie czeka.*

Bobby to mężczyzna, którego kiedyś nazywaliśmy dziwakiem spod piątki. Teraz jest naszym przyjacielem i na szczęście pojął, że nie da się robić cydru z bananów, więc przerzucił się na bardziej konwencjonalny cydr jabłkowy. Jest bardzo smaczny i zawsze mam po nim koszmarnego kaca.

Wbiegam na górę, przeskakując po dwa stopnie, i pukam do jego drzwi, niecierpliwie

przestępując z nogi na nogę.

Otwiera mi w swoich ulubionych spodniach od dresu. (W zeszłym roku je dla niego zacerowałam. Zaczynał wyglądać nieprzyzwoicie. Naszyłam łatę z różowej kraciastej bawełny, więc z pewnością nie wygląda mniej dziwacznie).

– Tiffany! – woła, po czym natychmiast odchodzi i zostawia mnie na progu. Wyciągam szyję. W końcu pojawia się ponownie z niewielkim tekturowym pudełkiem z naklejoną karteczką. – Proszę bardzo! – mówi z promiennym uśmiechem. – W drogę!

– Dzięki – odpowiadam, przyglądając się pudełku.

*Kiedy dotrzesz do Brighton, idź na plażę obok molo. Na pewno poznasz to miejsce.*

To najbardziej nieznośna podróż pociągiem w moim życiu. Nie posiadam się z ciekawości. Nie mogę usiedzieć na miejscu. Kiedy docieram do Brighton, jest już ciemno, ale bez trudu znajduję drogę na nabrzeże. Odcinek do molo pokonuję niemal biegiem, co zdarza mi się tylko w wyjątkowych sytuacjach i dowodzi, jaka jestem podekscytowana.

Od razu orientuję się, o co chodziło Leonowi. Nie mogłabym przegapić tego miejsca.

Na kamykach stoi fotel, oddalony mniej więcej o trzydzieści metrów od linii wody. Pokrywają go różnobarwne koce, a wokoło stoją dziesiątki malutkich świeczek.

Zakrywam usta. Moje serce bije z potrójną szybkością. Podchodzę, potykając się na kamykach, i szukam wzrokiem Leona, ale nigdzie go nie widzę – plaża jest pusta.

Liścik na fotelu przytrzymuje duża muszla.

*Usiądź, ciepło się okryj i kiedy będziesz gotowa, otwórz kopertę. A potem pudełko.*

Czym prędzej zrywam folię z koperty i rozdzieram papier. Ku mojemu zaskoczeniu znajduję list napisany ręką Gerty.

*Kochana Tiffy!*

*Leon zwerbował mnie i Mo do pomocy przy tym wariackim planie, ponieważ twierdzi, że liczy się z naszym zdaniem. Podejrzewam, że tak naprawdę trochę się boi i nie chce tego robić sam. Nie mam mu tego za złe. Odrobina pokory to dobra cecha u mężczyzny.*

*Tiffany, nigdy nie widzieliśmy Cię tak szczęśliwej jak teraz. To Twoja zasługa – sama zbudowałaś swoje szczęście. Ale to żaden wstyd przyznać, że Leon Ci w tym pomógł.*

*Kochamy go, Tiffy. Pasujecie do siebie i on jest bardzo dobrym człowiekiem.*

*Oczywiście to Twoja decyzja, ale chciał, żebyś wiedziała, że ma nasze błogosławieństwo.*

*Mo i Gerty x*

*PS Kazał powiedzieć, że nie prosił o zgodę Twojego ojca, ponieważ to trochę archaiczne i patriarchalne, ale jest „przekonany, że Brian nie ma nic przeciwko”.*

Śmieję się i ocieram łzy z policzków. Mój tata ubóstwia Leona. Od co najmniej roku nazywa go „synem” w rozmaitych krępujących sytuacjach towarzyskich.

Drżącymi rękami sięgam po tekturowe pudełko. Strasznie długo mocuję się z taśmą klejącą, ale gdy wreszcie zdejmuję pokrywkę, na dobre zalewam się łzami.

W środku na zwitku tęczowej bibuły spoczywa pierścionek. Jest piękny: staroświecki,

nieco nierówny, z owalnym bursztynem.

Obok znajduję ostatni liścik.

*Tiffany Rose Moore z mieszkania numer 3 w Madeira House w Stockwell!*

*Czy zostaniesz moją żoną?*

*Spokojnie się nad tym zastanów. A jeśli chcesz się ze mną spotkać, jestem w tawernie Króliczy Skok w pokoju numer 6.*

*Kocham Cię x*

Kiedy moje ramiona już przestają drżeć od radosnego płaczu, wycieram oczy, wydmuchuję nos i ruszam wzdłuż plaży w stronę ciepłego światła tawerny.

Czeka na mnie na łóżku w pokoju numer 6. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami, wyraźnie zdenerwowany.

Rzucam się na niego już od progu. Wzdycha z zadowoleniem, kiedy obalam go na łóżko.

– Tak? – pyta po chwili, odgarniając moje włosy, żeby popatrzeć mi w twarz.

– Leonie Twomey, tylko ty mogłeś wymyślić sposób na oświadczyny, który nie wymagał twojej obecności. – Całuję go z całej siły. – Tak. Całkowicie i zdecydowanie tak.

– Na pewno? – pyta, odchylając się, żeby dokładnie mi się przyjrzeć.

– Na pewno.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Nie przesadziłem?

– Psiakrew, Leonie! – wołam z frustracją. Rozglądam się i sięgam po hotelową papeterię leżącą na stoliku obok łóżka.

*TAK. Z przyjemnością zostanę Twoją żoną.*

*Teraz odpowiedź jest na piśmie, jednoznaczna i zapewne wiążąca prawnie, chociaż muszę to jeszcze skonsultować z Gerty, ponieważ wymyśliłam to na poczekaniu. xx*

Macham mu kartką przed nosem, żeby przeczytał, co napisałam, a potem chowam mu ją do kieszeni koszuli. Przyciąga mnie i przywiera ustami do czubka mojej głowy. Czuję, że uśmiecha się po swojemu, i mam wrażenie, że wszystko jest aż za dobrze, jakbyśmy na to nie zasłużyli i zagarniali dla siebie zbyt dużo szczęścia, nie pozostawiając wystarczająco wiele dla innych.

– To jest ta chwila, gdy włączamy telewizor i okazuje się, że wybuchła wojna jądrowa – mówię, kładąc się obok niego.

Uśmiecha się.

– Nie sądzę. To tak nie działa. Czasami szczęśliwe zakończenia naprawdę się zdarzają.

– No proszę, cóż za optymizm! To zazwyczaj moja działka.

– Nie jestem pewien, co go wywołało. Niedawne zaręczyny? Świetlana przyszłość? Miłość mojego życia w moich objęciach? Trudno powiedzieć.

Chichoczę i wtulam się w jego pierś, napawając się jego wonią.

– Twój zapach kojarzy mi się z domem – mówię po chwili.

– Bo jesteś w domu – odpowiada. – Tamto łóżko, tamto mieszkanie…

Milknie jak zawsze, gdy szuka słów, by powiedzieć coś ważnego.

– To nie był mój dom, dopóki ty się w nim nie pojawiłaś, Tiffy.

# Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję niesamowitej Tanerze Simons, która jako pierwsza dała Tiffy i Leonowi szansę, a potem zapoczątkowała najbardziej szalony i cudowny okres w moim życiu. Na podziękowania zasługują także Mary Darby, Emma Winter, Kristina Egan i Sheila David za wszystko, co zrobiły, by moja książka ujrzała światło dzienne. Mam wielkie szczęście, że zakotwiczyłam w agencji literackiej Darley Anderson.

Może w to nie uwierzycie, gdy przeczytacie o Martinie i Hanie, ale w rzeczywistości branża wydawnicza jest pełna wspaniałych ludzi – na szczególne wyróżnienie zasługują zaś osoby, które pracowały nad *Współlokatorami*. Dziękuję Emily Yau i Christine Kopprasch, moim niezwykłym redaktorkom w Quercus i Flatiron, które znacznie ulepszyły mój tekst dzięki swoim poprawkom oraz ogromnemu wsparciu.

Podziękowania otrzymują także Jon Butler, Cassie Browne, Bethan Ferguson, Hannah Robinson, Hannah Winter, Charlotte Webb, Rita Winter i wszyscy pozostali cudowni ludzie w Quercus, którzy uczynili tak wiele, by ta książka nabrała kształtu. Dziękuję także swoim zagranicznym wydawcom za wiarę w opowieść o Tiffy i Leonie, dzięki czemu ta przygoda stała się jeszcze bardziej bajkowa.

Kolejni na liście są: Libby, która była moją muzą; Nups, która była moim oparciem, wspólnie ze mną walczyła z grzybami w toalecie i powtarzała mi (bardzo dobitnie), że to właśnie TA książka; oraz Pooja, która była cudowną przyjaciółką, poświęcała mi mnóstwo czasu i zawsze służyła radą. Moje podziękowania otrzymują także Gabby, Helen, Gary, Holly i Rhys za zapoznanie się z wczesnymi wersjami tekstu oraz burze mózgów i ostre imprezy w Adventure Bar, jak również Rebecca Lewis-Oakes, która postawiła mnie do pionu, gdy bałam się zgłaszać do wydawnictw. Przepraszam, że zachowałam imię Justin, Rebecco!

Dziękuję swojej cudownej rodzinie oraz wspaniałej rodzinie Hodgsonów: zawsze mogę na Was liczyć i ciekawi Was wszystko, co dotyczy mojej książki. Mamo i tato, dziękuję za

niesłabnące wsparcie i wypełnianie mojego życia miłością i książkami. Tom, dzięki za pomoc z dopracowaniem szczegółów. Kocham Cię i myślę o Tobie każdego dnia.

Sam, z Tobą będzie najtrudniej, ponieważ czuję się tak samo jak Leon – nie znajduję słów, by wyrazić coś tak ważnego. Dziękuję za Twoją cierpliwość, serdeczność, dziecięcy entuzjazm wobec wszystkiego, co przynosi życie, oraz za lekturę i szczery śmiech, gdy to było dla mnie najważniejsze. Umieściłam Cię w dedykacji, ale ta książka nie powstała tylko dla Ciebie, lecz także z Twojego powodu.

Wreszcie dziękuję z całego serca każdemu czytelnikowi, który sięgnął po moją powieść, oraz wszystkim księgarzom, którzy to umożliwili. Jestem Wam ogromnie wdzięczna.